

KATARZYNA WILK

A TY JAK BARDZO JESTEŚ PEWNA  
SWOJEGO PARTNERA?

ostatnie  
zlecenie

A black and white photograph of a woman's legs, wearing black stockings and high-heeled shoes, sitting on the floor. The legs are positioned diagonally across the frame, with the right leg bent and the left leg extended. The background is a plain, light-colored surface.

KATARZYNA WILK

# ostatnie zlecenie



OTWARTE

KRAKÓW 2020

# Spis treści

Prolog

Kompleksowa odnowa

Plan trenera

Początek sprawy Roberta Machowskiego

Modus operandi

Trudne rozmowy

Podejście pierwsze

Dzieje Tristana i Izoldy

Fatalne skutki jednej decyzji

Rozmowa w kamienicy

Śledztwo

Widok na miasto nocą

Ostatnia sprawa

Koniec sprawy

„Sekret damy”

Zaproszenie

To nie będzie możliwe

Podejście drugie

Konsekwencje

Właściwa chwila

Rok 1999

Kac

Koniec lata

Orgazm z innego powodu

Wibrująca dłoń

Najwyższy wymiar kary

Trasa

Na plaży

Odwet

Trup przyjaciela, który wiedzie do celu

Placząca calibra

Egzamin z uwodzenia

Skojarzenia

Avi

List

Całe mnóstwo miłości

Pokusa

Ania i Robert

Copyright © by Katarzyna Wilk

Opieka redakcyjna: Ewelina Tondys

Redakcja tekstu: Barbara Majewska

Adiustacja i korekta: Pracownia 12A

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: Katarina Simovic / Stocksy

ISBN 978-83-8135-868-2



[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink



[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek

## Prolog

– Kaligrafia nie jest tylko sztuką pięknego pisania... – mówiła kobieta, spacerując pomiędzy ławkami, od czasu do czasu zatrzymując wzrok na pracy któregoś z kursantów – rzemiosłem ręki, którą przyzwyczajają się do stawiania znaków w odpowiedni sposób. To nie tylko umiejętność kopiowania dawnych mistrzów, odwzorowywania kurrentu, italiki, uncialów czy gotyki. Kaligrafia to kontemplacja słów, które z mozołem stawiamy, to czas wypełniony jedną literą, jednym słowem. Słowa przenikają nas do głębi, wchodzą do naszych serc i umysłów i nagle graficzne znaki zyskują moc, jakiej nie miały nigdy wcześniej.

Oprócz spacerującej kobiety w sali znajdowało się sześć osób, każda pochylona nad zaliniowaną kartką papieru trzymała w ręku obsadkę zakończoną stalówką, którą co jakiś czas maczała w kałamarzu. Trwał egzamin końcowy kursu copperplate dla początkujących, organizowanego w ramach kursów relaksacyjnych prywatnej kliniki psychologicznej. Zadanie uczestników polegało na wykaligrafowaniu jednego, wybranego przez siebie zdania.

– Wykaligrafowana miłość przyprawia o szybsze bicie serca... – kontynuowała nauczycielka, dając się ponieść miłości do kaligrafii oraz niespełnionym ambicjom poetyckim – wykaligrafowane zło pali duszę, smutek wyciska z oczu łzy, a szczęście wywołuje na twarzy uśmiech. Wykaligrafować literę, słowo, zdanie to doświadczyć ich w najbardziej intymny, pełny i zachwycający sposób. – Kobieta zamilkła i spojrzała wymownie w okno. – Kaligrafując – podjęła po chwili z nową energią – zbliżamy się do wielkiej tajemnicy świata. Słowa stwarzają i odtwarzają rzeczywistość, będąc tu i teraz, jesteśmy wszędzie i zawsze. Przekraczamy fizyczną barierę świata. Papier, atrament, stalówka, wreszcie znak graficzny, który na samym końcu przestaje być znakiem. W intymnym akcie tworzenia znak staje się bowiem czynem, przeżyciem i doświadczeniem.

Prowadząc monolog, kobieta nie wspomniała o uspokajającym działaniu kaligrafii, ale o tym uczestnicy kursu wiedzieli przecież doskonale. Od kilkunastu dni przychodzili na zajęcia, żeby odzyskać spokój ducha, który utracili na skutek mniej lub bardziej traumatycznych doświadczeń życiowych.

– Kaligrafia uczy cierpliwości i dokładności. Tu nie ma miejsca na błędy. Normy zostały już dawno wyznaczone i jedyne, co należy zrobić, to dążyć do ich spełnienia, dążyć do doskonałości. Doskonałość jest wiecznością, nieśmiertelnym trwaniem i niekończącą się wielkością. Przepisując, człowiek wykracza poza czas, który przestaje mieć znaczenie, tworzy nieśmiertelność i współuczestniczy w boskim planie stworzenia. Kaligrafia sprawia, że stajemy się lepszymi ludźmi.

Jeden z kursantów podniósł rękę. Kobieta przerwała wywód i powolnym krokiem ruszyła w jego stronę.

– Gotowe?

– Tak.

– Proszę pokazać.

Adept kaligrafii podał kobiecie świeżo zapisaną kartkę, na której pięknym copperplate'em napisane było zdanie:

*Zabiję cię, dziwko.*

# Kompleksowa odnowa

Na pozór była to zupełnie zwyczajna sprawa, jedna z tych, które Dominika Werner załatwiała szybko i bez większego wysiłku. Przyjęła ją z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze, mężczyzna był żonatym pięćdziesięcioletkiem, a tych uwodziła szybciej, niż oni wypowiadali słowa przysięgi małżeńskiej, po drugie, był przystojny, a to czyniło go godnym kandydatem do roli jej ostatniej ofiary.

Dominika miała trzydzieści cztery lata i jedenaście miesięcy i w powszechnie utrwalonej opinii znajdowała się na ostatniej prostej młodości. Wkrótce skończy trzydzieści pięć lat – wiek, któremu przysługuje oddzielna linia słoiczków z kremami do twarzy (35+) i którego przekroczenie powoduje, że kobiety już zawsze nazywa się kobietami, nigdy dziewczynami – i będzie stara. I chociaż ani jej się śniło, żeby tak o sobie myśleć – uważała, że wygląda lepiej od większości dwudziestolatek – to wiedziała, że pewnego dnia jakiś lysiejący wieloryb uzna ją za mniej atrakcyjną od nastolatki o szczyrzej mordzie i szczyrym tułowiu i zrobi to tylko z powodu jej daty urodzenia. W świecie lysiejących waleń wiek ich kochanek stanowi bowiem kluczowy argument w licytacji na pozycję, jaką prowadzą między sobą walenie. Chcąc nie chcąc, Dominika musiała więc przyjąć, że w przypadku zawodu, w którym osiągnięcie sukcesu zależy od preferencji seksualnych mężczyzn, trzydzieści pięć lat to dużo – dużo za dużo, żeby nie narażać się na ryzyko porażki. A ona nie lubiła przegrywać. Dlatego w dniu swoich trzydziestych czwartych urodzin postanowiła, że przed kolejnym cztertnastym październikiem, przed trzydziestymi piątymi urodzinami, zakończy karierę uwodzicielki. Na początku nowego roku zarezerwowała bilet do Nowego Jorku, gdzie zamierzała rozpocząć nowe życie, a ponieważ odlot wyznaczony był na koniec września, na początku miesiąca przyjęła swoją ostatnią sprawę.

\*

Był upalny wieczór, miejskie powietrze pachniało topniejącym asfaltem, a niebo, jakby zabarwione rozpuszczonym słońcem, przybrało kolor pomarańczowy. Ludzie snuli się ulicami Krakowa z energią spacerujących w świetle dnia wampirów, z każdym krokiem wydając swoje ostatnie tchnienia. Tylko kobieta w zwiewnej miętowej sukience, przemierzająca jedną z uliczek nieopodal Rynku Głównego, sprawiała wrażenie, jakby upał jej nie dotyczył. Ku rozpaczy wszystkich grubasów, którzy oblepieni własnymi ciuchami skwierczeli żałośnie niczym topniejący na patelni tłuszcz, jej skóra, zamiast zalewać się potem, błyszczała złotymi drobinkami, rozsiewając wokół zapach cytrynowego olejku do ciała i bazyliowo-piżmowej, absurdalnie drogiej wody toaletowej. Dominika Werner szła do Ministerstwa Urody.

Salon kosmetyczny znajdował się tuż przy Plantach, w ostatniej kamienicy zamykającej ciąg budynków na ulicy Świętego Marka. Dominika weszła do cuchnącego wilgocią domu i podreptała schodami na drugie piętro, do drzwi opatrzonych stylizowaną na urzędowe szyldy tabliczką z nazwą zakładu. W przeciwieństwie do mrocznej klatki schodowej poczekalnia Ministerstwa Urody urządzona była we wszystkich odcieniach bieli i zarządzała nią ubrana również na biało anorektyczna recepcjonistka.

Dominika przychodziła tu niemal zawsze po przyjęciu zlecenia i niemal zawsze decydowała się na pakiet standard. Jednak tym razem, skoro żegnała się z zawodem, ojczyzną i jej dobrami, między innymi tanimi usługami kosmetycznymi, postanowiła zaszaleć. Zamiast pięciuset złotych wyjęła z portfela tysiąc (przyzwyczajenie, żeby zawsze mieć przy sobie trochę gotówki, zostało jej z odległych czasów eksperymentowania z narkotykami) i wraz z kartą stałego klienta wręczyła recepcjonistce, nie bez obaw, że ciężar banknotów powali dziewczynę na ziemię.

– Prestige – poinformowała chudzinę wyniosłym tonem.

Nigdy nie rozumiała kobiet, które doprowadzały się do takiego stanu. Czy one nie wiedzą, że większość mężczyzn, mając do wyboru tyłek Keiry Knightley albo Kim Kardashian, wybierze ten drugi? Choć jednocześnie, przyglądając się dziewczynie, Dominika pomyślała, że tego typu ciała – obleczone skórą szkielety – muszą być tanie w utrzymaniu. Ją sam tyłek kosztował około tysiąca złotych miesięcznie, serum ujędrniające – czterysta, krople kolagenowe – kolejne czterysta, zabieg kawitacji – dwieście, nie wliczając w to opłat za siłownię, na której ćwiczyła trzy razy w tygodniu. Jeśli nie ma czego ujędrniać, problem ujędrniania nie istnieje, stwierdziła w myślach, wpatrując się w klatkę piersiową recepcjonistki.

– Pokój numer siedem – wyrzęziła dziewczyna i Dominika podreptała wzdłuż ciągnącego się za recepcją białego korytarza.

W ramach pakietu prestige oferta kompleksowej odnowy obejmowała dwa indywidualnie dobrane do potrzeb klienta zabiegi. W pokoju numer siedem młoda kosmetyczka wskazała Dominice miejsce na kozetce, po czym przystąpiła do badania stanu cery klientki. Jako posiadaczka cery tłustej uwodzicielka borykała się z trądzikiem, miała rozszerzone pory i skłonność do tworzenia się zaskórników, ale za to jej skóra przejawiała mniejszą tendencję do tworzenia się zmarszczek, których gołym okiem nie było w ogóle widać. Dopiero pod lupą, którą kosmetyczka ustawiła właśnie nad jej twarzą, ujawniła się siatka licznych, choć delikatnych linii pod oczami.

– Zaczniemy od pozbycia się makijażu, proszę się zrelaksować – oznajmiła dziewczyna, nie przypuszczając nawet, że dla leżącej przed nią kobiety nie było nic bardziej stresującego od demakijażu.

Dominika nie miała problemu z nagością, o ile nagość nie dotyczyła jej twarzy. Kiedy była dzieckiem, nie peszyły jej wizyty u lekarzy ani grupowe prysznice po lekcjach wychowania fizycznego, przez pierwszych kilkanaście lat życia nie zaznała uczucia zakłopotania, wynikającego z ekspozycji przed kimś swojego ciała. Nie wiedziała, czym jest wstyd, do momentu, gdy mając piętnaście lat, usłyszała od mężczyzny, którego kochała nad życie, z którym pragnęła mieć dom oraz trójkę dzieci, że powinna się malować. Wtedy po raz pierwszy poczuła się naga i zapragnęła zrobić ze swoją twarzą to, co niektóre dziewczyny robiły z piersiami podczas szkolnych prysznic, to znaczy zmiażdżyć ją o ścianę. Poczawszy od tego wydarzenia, warstwa podkładu i tusz na rzęsach stały się niezbędnym minimum codziennego makijażu Dominiki. Jednolita cera i podkreślone oczy dawały jej poczucie bezpieczeństwa w kontaktach z ludźmi, bez tego nie pozwalała się nikomu oglądać i nawet spędzając noc z mężczyzną, po kryjomu wstawała nad ranem z łóżka, żeby poprawić make-up. Bez podkładu jej cera nie była jednolita i nieskazitelna, bez czarnych kresek na górnej linii rzęs jej oczy, pozbawione ciemnego kontrastu, nie błyszczały tak intensywnie, a bez białych kresek na linii wodnej nie były tak duże, niepodkreślone bronzerm kości policzkowe nie odznaczały się tak wyraźnie. Bez makijażu nie była kobietą, którą pragnęła być, nie była najlepszą wersją siebie i to ją upokarzało. Nieprzypadkowo



właśnie w Ministerstwie Urody nachodziły ją czasem wspomnienia spowiedzi, do której przystępowała jako dziecko. Kiedy kosmetyczka zmywała z jej twarzy warstwy kosmetyków, Dominika doznawała tego samego uczucia złości i zażenowania jak wtedy, gdy wyznawała przed księdzem swoje grzechy. Różnica polegała na tym, że przeciw tamtemu mogła się zbuntować, ryzykując co najwyżej swój pośmiertny los, w tym przypadku konsekwencje odejścia byłyby natychmiast dostrzegalne. Wypryski, zmarszczki, przebarwienia, zapchane pory – prawdziwe piekło, w którym nie mogła i nie chciała się znaleźć.

Na szczęście zabiegi na twarz były tylko częścią pobytu w salonie i poza tym Dominika lubiła spędzać tutaj czas. Raz, że sprawiała jej przyjemność doświadczanie wszystkiego, co powszechnie uchodzi za luksusowe, począwszy od jadań w ekskluzywnych restauracjach, a skończywszy na ubieraniu się u projektantów, przy czym nieodłącznym elementem płynącej z tych doświadczeń przyjemności był ich publiczny charakter. Dlatego nigdy nie kupowała ubrań przez internet, ale zawsze w salonach danych marek, a zakupy spożywcze robiła w najdroższych sklepach z towarami z zagranicy. Kiedy jednak wysyłała po zakupy pomoc domową, pochodzenie produktów przestawało mieć znaczenie i okazywało się, że te z dyskontów rzadko bywają trujące. Dwa, panująca w salonie atmosfera ciszy i skupienia, podobna zresztą do kościelnej, bo wynikająca z uduchowienia personelu i wiary – w tym wypadku, że można zbawić człowieka od jego brzydoty – sprzyjała refleksji. Przygotowując swoje ciało do uwiedzenia kolejnego mężczyzny, Dominika obmyślała jednocześnie plan, jak to zrobić.

Tym razem myśli uwodzicielki krążyły wokół spotkania z klientką, od której kilka godzin wcześniej przyjęła zlecenie. Dominika uświadomiła sobie, że ta rozmowa wyglądała inaczej niż dotychczasowe w jej karierze, ale nie potrafiła ocenić, czy powodem była ona sama, przeświadczenie, że przyjmuje swoje ostatnie zlecenie, czy dziwne zachowanie klientki.

\*

– Chodzi o pewnego mężczyznę – powiedziała kobieta po dłuższej chwili milczenia.

Znajdowały się w ogródku jednej z kawiarni na Rynku Głównym. Dominika próbowała ocenić wiek swojej rozmówczyni, co nie było łatwe, bo kobieta miała na nosie wielkie okulary, których nie zdjęła, mimo że usiadły w cieniu. Jedna czwarta rąk kobiety (resztę skrywały rękawy bluzki), dłonie, szyja, broda oraz usta wyglądały na relatywnie młode, na pewno nie miały więcej niż czterdzieści pięć lat, ale bez dostępu do oczu i części twarzy pod okularami Dominika nie mogła być tego pewna.

– Zawsze chodzi o mężczyznę, innych zleceń nie przyjmujemy – odparła Dominika.

– Nie... nie zajmujecie się kobietami?

Kobieta była spięta, z trudem dobierała słowa, jakby za wszelką cenę starała się uniknąć słowa „uwodzenie”. Święte pizdy, którym wydaje się, że jeśli nie powiedzą czegoś wprost, to coś nie będzie istnieć. Dominika знаła takie przypadki doskonale. Czasami, kiedy widziała, że klient bardzo się męczy, przychodziła mu z pomocą. Kilka zdań na temat ilości przyjmowanych przez agencję zleceń potrafiło uspokoić sumienie klienta, w końcu nic nie umniejsza przewinienia tak jak jego powszechność. Czasami wystarczało stwierdzenie, że wystawienie mężczyzny na próbę o niczym nie świadczy i że ostatecznie to on decyduje o tym, czy da się uwieść, choć na ten temat Dominika miała akurat inne zdanie. Tym razem nie zamierzała ułatwiać klientce zadania. Było w tej kobiecie coś, co budziło opór Dominiki, z jakiegoś powodu pieprzona Holy Bitch działała jej na nerwy.

– Nie uwodzimy kobiet.

– Dlaczego?

– Nie ma takiego zapotrzebowania – odparła krótko, nie chcąc się wdawać w niepotrzebną rozmowę.

– Jak długo załatwia się taką sprawę? – Kobieta wyciągnęła z torebki paczkę papierosów i nie pytając, czy Dominice będzie to przeszkadzać, zapaliła jednego.

Uwodzicielka wzdrygnęła się z obrzydzenia.

– To zależy od osoby, od okoliczności... Nigdy nie umawiam się na określony termin, to byłoby niemożliwe. Zależy pani na czasie?

– W zasadzie to... nie wiem.

Do Agencji Detektywistycznej Black zgłaszali się ludzie zdeterminowani, którzy dysponowali precyzyjnie opracowaną wizją zmarnowania komuś życia i dokładnie wiedzieli, czego chcą, zadawali konkretne pytania i oczekiwali konkretnych odpowiedzi. Holy Bitch sprawiała tymczasem wrażenie, jakby nie zdecydowała jeszcze, czy w ogóle chce wziąć udział w spotkaniu z uwodzicielką. Dominikę dręczyło przeświadczenie, że kobieta siedzi na krześle, tylko jednym półdupkiem, w każdej chwili gotowa do wyjścia.

– Jak pani to robi? Mam na myśli... Jak to się odbywa?

– Każdy przypadek jest inny, nie ma jednej reguły.

– Interesuje mnie pełna opcja, ze wszystkim – powiedziała nagle kobieta.

\*

– To wszystko – głos białej pidzy przebił się do świadomości Dominiki. – W pokoju numer trzy czekają na panią zabiegi na ciało.

Dominika opuściła pokój bez słowa, nie miała w zwyczaju dziękować za tortury. W drodze do kolejnego pomieszczenia wstąpiła do łazienki, gdzie wytuszczyła rzęsy i czarną kredką przyciemniła ich dolną linię, resztę twarzy musiała zostawić bez makijażu przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny. Na szczęście tusz i kredka wystarczyły, żeby brązowe tęczęwki nabrały wyrazistości i oczy, które zniknęły podczas demakijażu, wróciły nagle na swoje miejsce. Co prawda nie było to jeszcze firmowe spojrzenie Dominiki Werner, ale musiało wystarczyć. Makijaż oczu był dla uwodzicielki najważniejszy, bo skoro oczy są pierwszym narządem, za pomocą którego człowiek łapie kontakt z drugim człowiekiem, a uwodzenie polega na łapaniu kontaktu, to jej spojrzenie musiało być wyjątkowe, wyraziste i przyciągające. Dlatego niemal codziennie doklejała sztuczne rzęsy, którymi wabiła potem mężczyzn jak komarzyca przyciągająca komara trzepotem skrzydeł, z tą tylko różnicą, że samce uwodzicielki kończyli raczej jak samce modliszek. Tego, co najważniejsze w spojrzeniu, nie można jednak kupić ani dokleić. Moc, którą emanowało spojrzenie Dominiki Werner, moc rozważniania męskich mózgów uwodzicielka otrzymała w prezencie od matki natury, podobnie zresztą jak wspomniana już Keira Knightley. O ile bowiem tylek aktorki nie jest obiektem męskich fantazji (chyba że tych o stosunku z deską), a przy tyłku Kim Kardashian wygląda jak pomidory z uprawy organicznej przy genetycznie modyfikowanych, to spojrzenie Keiry Knightley przy spojrzeniu Kim Kardashian jest wejrzeniem rasowego kota przy łapaniu krowy. W oczach Keiry jest tajemnica, wyzwanie i prowokacja, w oczach Kim krowia uległość. Podczas gdy Amerykanka mówi do mężczyzn: „nic ci nie zrobię, bierz mnie, jeśli chcesz”, Angielka demonstruje swoją wyższość: „nic mi

nie zrobisz, spróbuj, jeśli masz odwagę”. Firmowe spojrzenie Dominiki Werner było spojrzeniem angielskim.

\*

Holy Bitch sięgnęła do zawieszanej na oparciu krzesła torebki, z której wyciągnęła czerwoną tekturową teczkę.

– Nazywa się Robert Machowski, ma czterdzieści dziewięć lat – powiedziała, kładąc teczkę na środku stołu. – Jest właścicielem firmy budowlanej i jest zamożny.

Dominika sięgnęła po teczkę zadowolona, że kobieta przeszła do konkretów. Odciągnęła gumkę i zajrzała do środka. W teczce znajdowała się koszulka foliowa ze zdjęciami mężczyzny, pod nią ukryte były inne papiery, do których uwodzicielka na razie jednak nie zaglądała.

– Przystojny – stwierdziła z uznaniem, przyglądając się zdjęciu. Jednocześnie pomyślała, że z przyjemnością dołączy tego mężczyznę do grona swoich ofiar.

– Tak mówią.

– Oczywiście heteroseksualny?

Kobieta skinęła głową.

– Zaburzenia seksualne, dysfunkcje seksualne lub zaburzenia tożsamości seksualnej?

– To znaczy?

– Czuje się mężczyzną, jest sprawny seksualnie, nie jest zoofilem, pedofilem, nekrofilem, feedersem?

Holy wykrzywiła z niesmakiem twarz.

– Nie, skąd! Wszystko z nim w porządku.

– Żona? Dzieci?

– Jest żonaty od dziewięciu lat z młodszą kobietą. Nie mają dzieci.

– Zdradzają się? Są szczęśliwi, nieszczęśliwi?

– W tym cały problem...

\*

Ultradźwięki działają na podskórną tkankę tłuszczową wybranej partii ciała, w wyniku czego wzrasta metabolizm komórek, zwiększone zostaje usuwanie zbędnych produktów przemiany materii i dzieją się inne cudowne rzeczy, którymi pocieszają się leniwe grubasy, wsuwając słodycze. Dominika obserwowała czasem te żałosne istoty, które z miną zbitych psów zamawiały słodkości, jakby ktoś je do tego zmuszał, a potem pochłaniały je w tempie tornada, tak jakby ktoś miał im je odebrać, i najczęściej rozmawiały przy tym o odchudzaniu. Dla grubasów słodycze nigdy nie są całkiem słodkie, zawsze czuć w nich posmak przyszłej diety, jajek na twardo w lodach, sałaty w szarlotce, otrębów w bitej śmietanie, grillowanego lososia w kremie brûlée. Dominika Werner w ogóle nie spożywała cukru dodanego, w związku z czym wyglądała jak ktoś, kto go nie spożywa, a mimo to regularnie poddawała się zabiegom na brzuch.

– Ale nie ma sensu robić tu kawitacji! – wykrzyknęła młoda kosmetyczka na widok leżącego przed nią brzucha. – Pani ma idealne ciało. I to w tym wieku!

– Czy ja pytałam o opinię?

Próbując ukryć zmieszanie, dziewczyna odwróciła się natychmiast do maszyny, na której ustawiła parametry, i z rozpędu skierowała głowicę urządzenia w stronę brzucha, zapominając nasmarować go uprzednio żelem.

– Zabierz to! – wrzasnęła Dominika.

Na wpeł zdziwiona, na wpeł przerażona kosmetyczka odskoczyła od kozetki.

– Słucham? – Spojrzała na klientkę nierozumiejącym wzrokiem.

– Co ty robisz?

– Kawitację – wyjęczała płacząc.

– Natychmiast zawołaj kogoś, kto się na tym zna!

– Ale kogo? Ja jestem od kawitacji.

– Zawołaj supervisora! – rozpaczliwy ton kosmetyczki zirytował Dominikę, nie miała litości dla amatorów. Ona nie przysłała tutaj po to, żeby jakaś kretyńka wypominała jej wiek i orała brzuch!

– Kogo? – oszołomienie dziewczyny sięgnęło zenitu.

– Menadżera, do kurwy nędzy!

Chwilę później menadżerka Ministerstwa Urody wręczyła Dominice Werner, przepraszając, kupon na dowolnie wybrany zabieg, a pizda od demakijażu rozpoczęła zabieg na idealnie płaskim i jędrnym, a co najważniejsze, posmarowanym żelem brzuchu. Dominika usłyszała w uszach charakterystyczny dla kawitacji pisk i zamknęła oczy. Wkładając kupon do torebki, pomyślała, że nadszedł czas na laserowe obkurczanie pochwy.

\*

– On bardzo kocha swoją żonę. – Kobieta spojrzała Dominice prosto w twarz, jakby rzucała jej wyzwanie.

– Jak każdy mąż – zakpiła uwodzicielka. Ile razy słyszała podobne wyznanie? Dziesiątki, może setki. Każdy mąż kocha swoją żonę, dopóki młodsza kobieta nie przekona go, że jest inaczej. I nie trzeba do tego wyrafinowanej retoryki, wystarczą dwie literki DD, a nawet samo C, byle tylko było jędrne i nie sięgało pępka.

– Pani mi nie wierzy?

Poczuła się zmęczona. Czy naprawdę musi tłumaczyć coś tak oczywistego?

– Nie wierzę mężczyznom – odparła. – Mam podstawę, żeby im nie wierzyć. Pracuję w tym zawodzie od dziewięciu lat i jeszcze nie zawiodłam żadnego klienta, nigdy. Stuprocentowa skuteczność.

– Może jest pani dobra w swoim fachu, a może miała pani szczęście? Jakkolwiek by to banalnie zabrzmiało, nie wszyscy mężczyźni są tacy sami – kobieta podniosła nieznacznie głos. Lekceważący stosunek uwodzicielki do mężczyzn sprawił jej wyraźną przykrość.

– Jestem najlepsza i szczęście mnie sprzyja, ale to nie zmienia faktu, że działam na przyjaznym gruncie. – Uśmiechnęła się sztucznie. – Oni mnie pomagają. Facet to facet, moja droga, i chce zaliczać panienki.

– To jest seksizm.

– A mnie się wydaje, że biologia – zakpiła uwodzicielka.

– Nie jestem idiotką, moja droga – Holy Bitch zwróciła się do Dominiki w ten sam protekcyjny sposób – nie neguję uwarunkowań biologicznych, ale to nie oznacza, że człowiek nie jest w stanie kontrolować swoich popędów, jeśli tego chce. Wrzucanie wszystkich mężczyzn do jednego worka z napisem „chłop rozplodowy” jest seksizmem. Czy w ten sam sposób mówi pani o kobietach? Baba to baba i jako baba chce rodzić dzieci i siedzieć w domu, bo przecież biologicznie rola ta została przypisana kobietom.

Dominika wykrzywiła twarz w półuśmiechu.

– Widzę, że trafiłam na wrażliwy temat – powiedziała kpiącym tonem. – Powstaje tylko pytanie, czy człowiek naprawdę chce kontrolować swoje potrzeby, czy tylko wydaje mu się, że powinien to robić.

Holy Bitch obdarowała Dominikę długim spojrzeniem, którego znaczenie ukryte było jednak za ciemnymi okularami.

– Tak samo można zadać pytanie, czy człowiek naprawdę chce spędzać cały dzień przed komputerem, skoro to niezdrowe dla kręgosłupa, który biologicznie nie jest przystosowany do siedzenia, a już na pewno nie do siedzenia przez osiem godzin. Wydaje mi się, że sprowadzanie wszystkiego do potrzeb biologicznych jest zbyt wielkim uproszczeniem. Człowiek nie jest tylko istotą biologiczną, jest tworem biologiczno-kulturowym. Co więcej, sam stworzył kulturę, więc można powiedzieć, że w pewnym sensie potrzeby kulturowe są dla niego równie naturalne jak te biologiczne.

\*

Ubrany na białą masażysta wszedł do pokoju, gdy Dominika leżała już na łóżku. Z głośników dobiegały dźwięki uspokajającej melodii, w powietrzu dało się wyczuć woń lawendy. Tę część pobytu w Ministerstwie lubiła najbardziej. Wybierając pakiet prestige, zdecydowała się na dodatkowe pół godziny masażu relaksacyjnego. Pół godziny dłużej mogła chłonąć niemy podziw masażysty, z którym prowadziła niezobowiązujący flirt. Młoda kosmetyczka nie myliła się, Dominika miała idealne ciało, idealną figurę obciągniętą idealną skórą, bez żyłaków, wyprysków, znamion, fałdek, zwiotczeń, rozstępów ani cellulitu. Otrzymała od natury to, za co wiele kobiet płaciło chirurgowi plastycznemu (może poza piersiami, za których powiększenie również musiała zapłacić), i lubiła się tym chwalić. Nawet teraz nie zatroszczyła się o to, żeby zakryć pośladki ręcznikiem.

– Rajskie jabłuszko?

– Z nutą wanilii.

– Podobno wanilia odbiera ochotę na słodycze.

Masażysta podeszedł do półki, z której wziął wybrane przez klientkę olejki.

– Boisz się, że nie będę mieć na ciebie ochoty? – rzuciła Dominika, podążając wzrokiem za pośladkami mężczyzny, które przypominały dwie połówki arbuza w białych spodniach.

Chętnie ujrzałyby je bez roboczego stroju, jeszcze chętniej sprawdziłyby ich konsystencję. Lubiła u mężczyzn wypukłe, twarde pośladki, które niestety zdarzały się rzadko (najczęściej trafiała na spłaszczone trapezy) i najczęściej w nierozłącznym towarzystwie paskudnej facjaty lub, co gorsza – pokryte warstwą kręconych włosów, lub, co najgorsze – warstwą kręconych rudych włosów. A może wcale nie chciała ich oglądać? Może czar tego tyłka polegał właśnie na jego nieosiągalności? Lubiła wzywania, a w tym wypadku wyzwaniem nie było obdarcie masażysty ze spodni, lecz powstrzymanie się przed zrobieniem tego.

– Proszę mi wierzyć, że nie jestem naiwna i wiem, co mówię, Robert naprawdę jest inny – podjęła spokojnie kobieta. – To typ człowieka, który dzisiaj już chyba się nie zdarza, a jeśli nawet, to bardzo rzadko. Robert jest, jak by to powiedzieć... – zamyśliła się – poważny... Tak, to jest chyba dobre określenie, ale proszę nie mylić tego ze sztywnością, nic z tych rzeczy. Chodzi o to, że on, jeśli się już do czegoś zabiera, robi to na serio, bez względu na to, czy to jest praca, czy miłość do żony. On naprawdę ją kocha, powiedziałabym, że wręcz ubóstwia...

Dominika przysłuchiwała się kobiecie z uwagą, ale ciekawsze od jej słów były stojące za nimi uczucia. Jak z trującej mieszanki emocjonalnych perfum uwodzicielka wychwytywała z opowieści kolejne nuty: złości, irytacji, fascynacji, smutku, i zastanawiała się, kim jest siedząca naprzeciwko niej Holy Bitch. Pracownicą, której nie udało się uwieść szlachetnego szefa i próbuje się na nim zemścić? Najlepszą przyjaciółką żony, która bezskutecznie dybie na wdzięki męża? Zazdrosną siostrą?

– Robert traktuje swoją żonę jak boginię, ideał, którym ona, proszę mi wierzyć, nie jest. A abstrakcję ciężko przezwyciężyć konkretem, nawet tak pięknymi i pociągającymi konkretemi, jakimi dysponuje pani. Co tydzień kupuje jej prezent, ja nie żartuję – kobieta spojrzała na uwodzicielkę – co tydzień od kilku lat.

– O, tak? Co to za prezenty?

– Książki, najczęściej, bo ona lubi czytać, obrazy...

– Ciekawe, czy wytrwałby tak długo, kupując biżuterię – zażartowała Dominika, ale Holy Bitch wzięła jej słowa na poważnie.

– To łatwe iść do jubilera i kupić kolczyki z diamentami, jeśli ma się na to pieniądze, albo zlecić to swojej asystentce. Prezenty, które robi Robert, wymagają wysiłku. Książki chociażby... Trzeba iść do księgarni, poszukać, przeczytać obwolutę, żeby wybrać coś, co zainteresuje daną osobę. Nie kupuje się islamistów Biblii, rozumie pani?

Kobieta fascynowała Dominikę coraz bardziej, bo albo była kompletną wariatką, albo nie miała żadnego doświadczenia, bo jak można z takim namaszczeniem mówić o jakimś facecie – dziwiła się. Koleś kupuje żonie prezenty, a ta robi z niego Ojca Świętego. W głowie uwodzicielki zadźwięczało pytanie, którym miała w zwyczaju komentować intelektualne popisy ludzkości – „really?”. Czy ta kobieta nie zna najstarszej prawdy świata, że nie ma słodsze go męża od tego, który zdradza? Dominika wiedziała jednak – jej zawód polegał na tym, żeby to wiedzieć – że siedząca naprzeciwko niej kobieta nie jest łatwowierna. Jeśli Holy Bitch wierzyła w uczciwość tego mężczyzny i jego wyjątkową miłość do żony, uwodzicielka była gotowa przyznać, że ma do czynienia z kimś wyjątkowym, z wyjątkowym oszustem. W ostateczności mógł być wyjątkowym okazem wiernego mężczyzny, któremu udało się przetrwać. Być może nie miał okazji lub odpowiedniej motywacji do zdrady? A ponieważ nie wierzyła w istnienie mężczyzn niezdolnych do zdrady, ani przez chwilę nie przejęła się słowami kobiety.

– Czegoś nie rozumiem – wtrąciła Dominika. – Pani spotkała się, żeby mnie powiedzieć, że nie mam szans uwieść tego mężczyzny?

– Cóż... – Kobieta się uśmiechnęła. – Rzeczywiście mogło to tak zabrzmieć i chyba prawdą jest, że nie do końca wierzę, że może się udać...

Dominika poczuła, że wzbiera w niej irytacja.

– Jakie to polskie: kwestionować usługę, zanim się z niej skorzysta.

– Pani nie jest Polką? – zapytała Holy, która już wcześniej zwróciła uwagę na dziwny sposób wyrażania się uwodzicielki, na przykład mówienie „mnie” zamiast „mi” i unikanie formy grzecznościowej.

– Większość życia spędziłam w Stanach – odparła Dominika, wykazując przy tym brak podstawowych umiejętności matematycznych, jako że osiem z trzydziestu pięciu nie czyni większości, chyba żeby zastosować jakąś metafizyczną miarę znaczeniową, według której osiem lat spędzonych w najwspanialszym państwie świata zostawia na osobowości człowieka większe piętno niż dwadzieścia siedem lat życia w państwie nad Wisłą.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – podjęła Holy – nie przyszląbym, gdybym uważała sprawę za beznadziejną. Chciałabym, żeby się udało, tylko że znam tego człowieka i wiem, że nie jest facetem, który ot tak wda się w romans, bo... – Urwała nagle („bo masz wielkie cycory”, mogłaby pomyśleć). – Po prostu chciałam o tym szczerze powiedzieć, zwłaszcza że pani z agencji mówiła, że w grę wchodzi zaliczka...

– Dziesięć tysięcy złotych. To są pieniądze, które pokrywają koszty trzech podejść, planowanie, logistykę, charakteryzację, bilety wstępów i tak dalej.

Na myśl o tym, że zaliczka mogłaby odwieść kobietę od złożenia zlecenia, Dominika poczuła niepokój. Pragnęła dostać tę sprawę. Naszła ją ochota, żeby udowodnić tej przemądrzałej kretynie w okularach, że jej świątobliwy Robert potrafi zdradzać żonę z oddaniem równym temu, z jakim kupuje jej prezenty.

Zapadło milczenie.

– Uwiodę go.

– Słucham?

– Nie wezmę zaliczki.

– Ale jak to?

– Zrobimy tak: jeśli nie uda mnie się uwieść tego faceta, ty nic na tym nie stracisz, ale jeśli to zrobię, wtedy wypłacisz mi podwójne wynagrodzenie. Taki zakład.

– A co na to agencja?

– Ja jestem agencją, mogę wszystko – stwierdziła bez cienia wątpliwości.

– Ohm... – Kobieta spojrzała niepewnie na uwodzicielkę. – Cóż, skoro ma pani ochotę zaryzykować, to chyba zgoda, choć nie mam pojęcia, dlaczego pani to robi – mówiąc to, ściągnęła na chwilę okulary, żeby przetrzeć twarz.

Dominika odkryła ze zdziwieniem, że Holy Bitch nie nosi makijażu i że nie może mieć więcej niż trzydzięści parę lat.

– Deal. – Dominika Werner podała rękę swojej nowej i zarazem ostatniej klientce. – Myślę, że możemy przejść do szczegółów. Czego oczekujesz, kochanie?

– Wygląda na to, że przegranej – w głosie kobiety pojawiła się nagle złość, jakby miała pretensje o to, że zgodziła się zlecić sprawę. – Pani, z którą rozmawiałam przez telefon, mówiła, że jeśli przyjmiecie sprawę, będę musiała odbyć jeszcze jedno spotkanie, żeby udzielić wywiadu na temat Roberta.

– Im więcej wiem na temat figuranta, tym lepiej.

– Figuranta?

Dominika nie odpowiedziała.

– Domyślam się, że takie coś wymaga znajomości drugiej strony – kobieta wzięła głęboki oddech – ale mówiąc prawdę, nie chciałabym się więcej w tej sprawie spotykać – oznajmiła. – Sama zebrałam informacje, które wydały mi się potrzebne. Tam jest wszystko. – Jej wzrok spoczął na leżącej na stole czerwonej teczce. – Włożyłam również bilet na Koniec Lata. Bal charytatywny, na którym będzie Robert. Sam – wyjaśniła po chwili. – Być może okaże się przydatny. Czy nie jest to problem? – tym razem w jej głosie pojawiła się obawa.

– Dam radę.

– Świetnie.

– Rozumiem, że chodzi o materiał wideo? – zapytała uwodzicielka, na co kobieta skinęła głową.

\*

Dominika Werner opuściła Ministerstwo Urody w doskonałym nastroju. Oczyszczona, ujędrniona i zrelaksowana była przygotowana do pracy nad swoją ostatnią sprawą. Teraz należało opracować plan, jak to oczyszczone, ujędrnione i zrelaksowane ciało zaprezentować niejakiemu Robertowi Machowskiemu.



## Plan trenera

Anna Prus wracała ze spotkania z uwodzicielką i czuła się tak, jak powinien czuć się człowiek, który zrobił właśnie coś złego. Jej serce wściekle waliło, jakby próbowało wyrwać się do ciała jakiejś lepszej osoby, a sumienie gryzło ją boleśnie w podbrzusze. Pragnęła natychmiast się przed kimś wygadać i uzyskać przebaczenie. Jediną osobą, której mogła powiedzieć, co zrobiła, był Tomasz Kantereit. Nie zastanawiając się ani sekundy, wybrała jego numer. Tomek skończył trening w parku na drugim końcu miasta i zgodził się na spotkanie. Zaproponowała, że za pół godziny odbierze go z parku. Na najbliższym rondzie zmieniła kierunek jazdy i dopiero wtedy poczuła, że się uspokaja. Serce zwolniło, brzuch przestał boleć, ale w jej głowie wciąż panował chaos.

Przez ostatni rok mieszkała razem z trupem i wreszcie znalazła sposób, jak się go pozbyć. Myśl o tym sprawiała jej ulgę, bo chociaż trup należał do miłości jej życia, rozkładał się równie wstrętnie jak każdy inny. Ale plan to jedno, a jego realizacja to coś zupełnie innego i Ania czuła także strach, że nic z jej planów nie wyjdzie. Nie zmieniało to faktu, że za każdym razem, kiedy wyobrażała sobie coś przeciwnego, kiedy uświadamiała sobie, że to, co zrobiła, doprowadzi do końca jej małżeństwa, wpadała w rozpacz. Wracała wtedy myślami do przeszłości i zastanawiała się, jak do tego wszystkiego doszło. Jak to się stało, że będąc najszcześliwszą żoną na świecie, zabiła swoje małżeństwo, a teraz, zamiast godnie pogrzebać trupa, zbecześciła jego zwłoki?

Małżeństwo Anny Prus i Roberta Machowskiego było mezaliansem pod każdym względem. On uchodził za przystojniaka, na jej urodę w kulturalnych kręgach spuszczano zasłonę milczenia, on był milionerem, ona nie pracowała, on ukończył technikum budowlane, ona była studentką ASP, dzieliło ich szesnaście lat różnicy wieku. Niedobrani estetycznie, majątkowo, edukacyjnie i metrykalnie stanowili związek idealny. W dziewiątym roku małżeństwa kochali się tak samo jak w pierwszym, a fakt, że Ania zatrudniła agencję detektywistyczną, żeby sprowokowała Roberta do zdrady, niczego nie zmieniał, bo zrobiła to z miłości.

Poznali się podczas aukcji charytatywnej dzieł sztuki autorstwa studentów szkół artystycznych. Robert, właściciel Budmachu, jednego z największych przedsiębiorstw budowlanych w regionie, lokalny milioner znany z dobrego serca i kawalerskiego stanu, występował na imprezie w roli kupującego. Anna, studentka ostatniego roku malarstwa na ASP, której obraz zakwalifikowano do aukcji, przyszła na licytację w charakterze obserwatora. Usiedli obok siebie w ostatnim rzędzie, zagnani do tyłu przez strach przed kompromitacją. Ona obawiała się, że nikt nie zechce kupić jej obrazu, on, że wylicytuje bezwartościowe dziadostwo, ujawniając wszem wobec, że nie ma o sztuce bladego pojęcia.

Biznesmen, biegły w sztuce rozmów o niczym, odruchowo zagadnął siedzącą obok siebie nieznaną. Zamiast nic nieznaczącej odpowiedzi na nic nieznaczące pytanie, które zadał, usłyszał od dziewczyny zaskakujące wyznanie, że obraz jej autorstwa bierze udział w aukcji, a ona się boi, że nikt nie zechce go kupić.

– Czy pani obraz jest aż tak zły? – zapytał trochę zszokowany, trochę zachwycony i trochę rozweselony szczerością młodej malarki.

– Wręcz przeciwnie, jest bardzo dobry! – odparła oburzona.

– W takim razie nie ma się czego obawiać.

Obraz nazywał się „Słoń jedzie na wakacje”, przedstawiał słonia wędrującego przez pustynię z motorówką na plecach i został wylicytowany przez Roberta Machowskiego za rekordową kwotę dwóch tysięcy złotych.

– Jeżeli za dziesięć lat nie będzie wart dwa razy tyle, uznam, że zostałem przez panią oszukany – wyszeptał dziewczynie na ucho po zakończonej aukcji.

Obraz spodobał się Robertowi, ale jeszcze bardziej spodobała mu się jego autorka. Szczerłość, spontaniczność i naturalność młodej malarki wywarły na nim takie wrażenie, że chociaż na oko była od niego dziesięć lat młodsza, nie zawahał się zaprosić jej na kawę. Ona nie zawahała się przyjąć zaproszenia, chociaż na oko był od niej dwadzieścia lat starszy, ale za to niezwykle przystojny i, co najważniejsze, kupił jej obraz. W tym samym roku wzięli ślub, a obraz słonia z motorówką na plecach zawiśł w salonie ich wspólnego domu.

W prezencie ślubnym Robert urządził Ani profesjonalną pracownię malarską, odbierając jej tym samym podstawową broń artysty w walce z twórczą niemocą o równowagę psychiczną – istnienie obiektywnych przeszkód do tworzenia arcydzieł. Na szczęście w tamtych czasach muzy nie opuszczały Anny i kiedy Robert wychodził do biura, ona chętnie schodziła do pracowni, żeby realizować swoje marzenie o artystycznej sławie. Spędzała przy płótnie kilka godzin dziennie, planując, szkicując, malując, próbując odnaleźć swój indywidualny styl, ten niepowtarzalny głos, którym obdarzony jest każdy wielki artysta. Ale tak jak chętnie zanurzała się w świecie cuchnącym farbami i terpentyną, równie chętnie wydostawała się z niego na powierzchnię codziennego życia u boku męża. Gdyby zapytano wtedy Anię, czym jest miłość, odparłaby bez wahania, że jest to połączenie przyjaźni i seksu. Z taką definicją zgodziłby się również Robert i nie omieszkałby dodać, że gdyby ludzie, zamiast kochać się nad życie, po prostu się lubili, małżeństwa miałyby szansę na dłuższe trwanie. Jedyne zgrzyt w relacji małżonków wynikał z różnicy wieku i dotyczył potomstwa. Robert pragnął mieć dzieci, podczas gdy Anna nie była na nie gotowa. On rozumiał ją i nigdy nie próbował wywierać na niej presji, za co ona była mu wdzięczna, bo rozumiała jego. Miała zresztą nadzieję, że pewnego dnia ona także poczuje instynkt rodzicielski i wtedy ich rodzina się powiększy. Do tego czasu pragnęła rozwijać się zawodowo.

Ale lata mijały, a pretendująca do sławy malarka nie namalowała niczego wyjątkowego i wiszący w salonie obraz słonia, sekundant jej zawodowych osiągnięć, wciąż wart był tyle co w chwili jego namalowania, a raczej znacznie mniej niż owe dwa tysiące, które zapłacił za niego Robert. Ania zdawała sobie z tego sprawę i zaczynała rozumieć, że jeśli chce coś w życiu osiągnąć, powinna zmienić zajęcie. Gdzieś w głębi serca odczuwała dręczącą potrzebę odniesienia sukcesu, która tylko w pewnym stopniu związana była z Robertem. Oczywiście chęć udowodnienia mężowi, że kupując jej obraz, nie popełnił błędu, zrodziła się w niej już podczas tamtej aukcji, ale ambicję miała od zawsze. Od najmłodszych lat stawiała sobie wyzwania, z których potem bezwzględnie się rozliczała. Mierzyła wysoko, ale będąc osobą pracowitą i niezwykle wobec siebie krytyczną, nigdy nie przekroczyła granicy, za którą mieszkają przekonane o własnej wybitności beztalencia. Niewiele osób potrafi przyznać się do braku zdolności, stanąć przed lustrem i powiedzieć: „rzeczywistość cię przerosła, nie jesteś tak dobry, jak sądziłeś”, ona potrafiła. Mając dwadzieścia osiem lat, uznała, że jej obrazy są zwykłe, ani złe, ani wyjątkowe, i dlatego nie zamierza wciskać ich światu. Nie zrezygnowała z malowania, to zawsze było

jej pasją, ale odtąd nie miało być niczym więcej. Zamiast tego otworzyła Art. A – galerię sztuki współczesnej.

Pracując jako kustosz wystaw, sprzedawca, promotor sztuki i właściciel instytucji, Ania osiągnęła sukces. W ciągu kilku lat galeria zyskała stabilną pozycję na lokalnym rynku sztuki, zaczęła przynosić niezłe dochody, a nawet jako jedna z nielicznych tego typu instytucji zdobyła rozpoznawalność poza wąskim kręgiem zainteresowanych. Stało się tak za sprawą zawodowej współpracy, jaką Anna nawiązała z firmą Roberta. Art. A dołączyła do organizowania flagowego projektu Budmachu, słynnego konkursu dla młodych przedsiębiorców pod nazwą „Widoki na przyszłość”.

Ambicja i samokrytycyzm, które cechowały Anię, jakkolwiek pożądane i wartościowe cechy ludzkie, należą jednak do tego podstępного rodzaju, że w nadmiarze tracą swój pozytywny charakter. Dając człowiekowi siłę i chęć do pracy, w nadmiarze odbierają radość z jej rezultatów i czynią wszystkie osiągnięcia niewystarczającymi. Bo chociaż wszyscy zgodnie twierdzili, łącznie z obiektywnymi zasadami biznesu, że Art. A osiągnęło sukces, jedyną osobą, która miała na ten temat inne zdanie, była właścicielka galerii. Ania Prus marzyła o stworzeniu renomowanej instytucji kulturotwórczej o międzynarodowej sławie i dopóki Art. A nie istniało na międzynarodowym rynku sztuki, nie było mowy o sukcesie.

Od początku swojej działalności Ania zabiegała o zdobycie dla Art. A zaproszenia na Międzynarodowe Targi Sztuki w Bolonii. Obecność na tej prestiżowej imprezie, na której najbardziej znamiennymi galeriami i muzeami świata, plus kilku pretendentów do tytułu najbardziej znamiennych, prezentujących swoje wystawy, miała być jedną z furtek, być może najważniejszą, otwierającą drogę galerii do sukcesu. Zdobycie zaproszenia do Bolonii, o które corocznie walczy setki instytucji, nie jest jednak łatwe i Art. A zajęło to kilka lat. Kilkadziesiąt zorganizowanych wystaw i przeprowadzonych eventów, miesiące ciężkiej pracy, pozyskiwanie artystów i użeranie się z ich przerośniętymi osobowościami – wszystko po to, by zwrócić uwagę włoskich decydentów i otrzymać upragniony list.

To właśnie o tym liście, a dokładnie: o dwóch listach, myślała Ania, jadąc po Tomka. Ponad rok temu na biurku w jej gabinecie spotkały się dwie koperty: czarno-złota, zdobiona na wzór art déco koperta z Bolonii i biała, czysta koperta bez nadawcy ze zdjęciem w środku. W pewnym sensie od tych dwóch kopert zaczęło się całe nieszczęście.

Po otrzymaniu zaproszenia Ania przystąpiła do pracy nad koncepcją bolońskiej wystawy. Ostatecznie przybrała ona postać ekspozycji malarstwa polskich artystów, uczniów i studentów szkół plastycznych, nazywała się „Przyszłość malarstwa polskiego” i okazała się porażką. Recenzje ekspozycji należały do najgorszych na tamtej edycji targów, krytykom nie spodobał się ani pomysł (zbyt narodowy, zamknięty, ksenofobiczny), ani obrazy (zbyt odważne, wulgarnie, nihilistyczne). Art. A przynajmniej na jakiś czas straciło szansę na międzynarodową sławę.

Gdyby ceną za ambicję była tylko artystyczna klęska, Ania zdołałaby w końcu zapomnieć o porażce i ruszyć do przodu. Ale w Bolonii wydarzyło się coś jeszcze. Coś, o czym nie mogła zapomnieć. Marzenie o sukcesie kosztowało ją dużo więcej niż kilka nieprzychylnych recenzji i gorycz porażki i dlatego od powrotu z Włoch jej dotychczasowe życie legło w gruzach. Najbardziej przerażało ją to, że nigdy nie podjęła decyzji, że chce taką cenę zapłacić. Tak, to ona doprowadziła do tego, co się stało, a jednak miała wrażenie, że wydarzyło się to poza nią, zupełnie jak wtedy, gdy tamtą białą kopertę wetknęła gdzieś do szuflady biurka, nie zastanawiając się nawet, dlaczego to robi.

Teraz, mając trzydzieści trzy lata, była pewna, że to, co najlepsze w życiu, ma już za sobą. Zatrudniła Agencję Detektywistyczną, bo jedyne, czego jeszcze pragnęła, to świętego spokoju. Robert był kurewsko idealnym mężczyzną, który poślubił wytwór swojej kurewsko idealnej wyobraźni. Ona nie umiała sprostać temu wyzwaniu, nie była już jego Andzią, nie po tym, co się stało. I nie chodzi o to, że go zdradzała. Zdradzała go, bo szukała sposobu, by od niego odejść. Musiała od niego odejść, bo ich wspólne życie było dla niej torturą – i prawdopodobnie dla niego również. Musiała od niego odejść, bo go zawiodła i za bardzo go kochała.

\*

Dwudziestoosmioletni Tomasz Kantereit, dla znajomych trener Tomek, wyciągnął umięśnione ramiona wzdłuż oparcia ławki i wystawił twarz do słońca. Nie była to twarz brzydka, lecz tak bardzo nie pasowała do atletycznego ciała mężczyzny, że wraz z głową chciało się ją odkręcić i odłożyć na właściwe miejsce, to znaczy na szyję jakiegoś anemicznego piętnastolatka. Mężczyzna spojrzął na zegarek i przełknął ślinę, pozwolił, żeby dziesięć minut braku wychowania kochanki spłynęło wzdłuż jego gardła niczym gorzkie lekarstwo. Nie znosił spóźniałstwa, lecz jeszcze bardziej nie znosił marnowania okazji, a ona była okazją jego życia. Dlatego czekał, dlatego tolerował jej zachowanie, dlatego ją tolerował.

Nie chodziło o to, że nie lubił Anki, wręcz przeciwnie. Polubił ją od pierwszej chwili, od ich pierwszego treningu. Była miła i zabawna, choć niewątpliwie trochę dziwna. Taki typ najlepszej koleżanki, dziewczyny, z którą świetnie się rozumie i z którą nigdy w życiu nie chciałby iść do łóżka. Mówiąc krótko, nie była w jego typie. W ogóle dziwiło go, że istnieje mężczyzna preferujący ten typ kobiety, a jednak Anka miała męża, w dodatku przystojnego i dobrze sytuowanego, i ilekroć trenerowi Tomkowi zdarzało się go widzieć, zadawał sobie pytanie, jakim cudem doszło do małżeństwa tych dwojga. Nigdy nie starczyło mu wyobraźni, żeby na nie odpowiedzieć. Gej? Aseksualny? Astygmatyk? Psychopata? Rycerz miłosierdzia? W czym tkwił haczyk, o co się zaczepił, że nawet po tylu latach trzymał tego mężczyznę przy tej kobiecie? Anna przypominała czarownicę. Napuszone ciemne włosy, wielkie niebieskie oczy jak u Golluma, haczykowany nos, wystające kości policzkowe i bardzo blada twarz sprawiały, że ilekroć na nią patrzył, miał ochotę uciekać. W dodatku ten dziwny styl ubierania się! Najbardziej nie znosił jej rozciągniętych swetrów, które przypominały zużyte prezerwatywy i taki też miały kolor, ani sportowych biustonoszy i bawełnianych majtek w zielone kwiatuszki. Ale co miał zrobić? Odrzucić okazję tylko dlatego, że przybrała postać bladej czarownicy w zużytej gumce?

Tomasz Kantereit, syn bezrobotnego pijaczyny i matki sprzątaczkę, wychował się w warunkach skrajnej biedy, która nauczyła go jednej podstawowej rzeczy: wszędzie dostrzegać własny interes i wykorzystać wszystkich i wszystko do poprawy swojej sytuacji. Kiedy kilka miesięcy temu, czekając przed gabinetem dentystycznym na wstawienie przedniego zęba, przeczytał wywiad na temat konkursu „Widoki na przyszłość”, w którym od trzech lat bezskutecznie brał udział, i kiedy skojarzył nazwisko współorganizatorki konkursu z nazwiskiem swojej klientki, nieopatrznie ujawnił pozostałym pacjentom powód swojej wizyty. Uśmiechnął się, bo zrozumiał, że dostał od losu szansę. Musiał ją wykorzystać. Nie planował romansu, to stało się z inicjatywy Anki, ale kiedy zorientował się, w którą stronę zmierza ich relacja, nie protestował. Na szczęście nie spotykali się tak często, jak robią to zazwyczaj kochankowie, i w ogóle ich związek był jakiś dziwny. Ale Tomek, nie mając doświadczenia

z kobietami, nie potrafił tego dostrzec. Jeśli już coś w zachowaniu Anki wydawało mu się nietypowe, tłumaczył to sobie artystyczną naturą kochanki, wiedząc skądinąd, że żaden normalny człowiek nie wytrzyma z artystą, tym bardziej dyplomowanym.

Na szczęście dni tego romansu powoli dobiegały końca. Zbliżał się termin rozwiązania konkursu, a co za tym idzie – okres przydatności Anki do spożycia. Tomek wkraczał w trudny dla kombinatorów okres weryfikacji swoich starań i przekrętów, który w jego przypadku nie był jednak stresujący. Trener uważał, że z kobietami jest jak ze sportem – sukces przynosi strategia, trening oraz systematyczność, a skoro on pracował nad nią od kilku miesięcy, był pewien sukcesu i, jak każdy polski sportowiec przed olimpiadą, jechał po medal. W przekonaniu Tomka romans z Anką nie tylko uprawniał go do tego, żeby prosić kochankę o protekcję w konkursie (w jego systemie wartości wystarczyłaby do tego już bliższa znajomość, do której początkowo przecież dążył), ale także gwarantował jej zgodę.

– Cześć.

Tomek usłyszał głos i otworzył oczy. Natychmiast zwrócił uwagę na ubiór Anki. O dziwo, wyglądała całkiem nieźle, obcisłe jeansy i dopasowany T-shirt z rękawami trzy czwarte, do tego modne buty na koturnie. Wreszcie nie przypominała bladej wersji Thomasa Andersa z Modern Talking.

– Cześć, gotowa na wycisk?

– Nie mam dzisiaj ochoty na trening.

– Nie? – zdziwił się, bo wydawało mu się, że podczas ich rozmowy telefonicznej rozpoznał w jej głosie ten rodzaj podenerwowania, którego pozbywała się czasami za pomocą treningu. Jeśli nie miała ochoty na trening, mogła mieć ochotę na coś innego – pomyślał i poczuł zniechęcenie.

– Miałam nadzieję, że zajmiemy się czymś innym.

Ania rzuciła Tomkowi wyzywające spojrzenie i w tym samym momencie uświadomiła sobie, że znowu to robi – inicjuje coś, na co nie ma najmniejszej ochoty.

– Bejbi, wiesz, że normalnie miałbym o tej porze klienta. Nie mogę olewać roboty, sama wiesz, jak jest.

– Ach, przestań marudzić. Zapłacę ci za trening tak czy inaczej.

– Co ty! Nie wzięlbym od ciebie ani grosza – oburzył się mężczyzna, który w ciągu kilku miesięcy zdążył przyjąć od kochanki kilka tysięcy złotych. – Chodź, dosyć ociągania się! – Pociągnął dziewczynę za rękę, mając nadzieję, że uda mu się zmienić jej plany.

– W życiu! – Usiadła na ławce. – Pojedziemy do ciebie – powiedziała, kładąc rękę na obleczonym w satynowy dres kroczu. – Wejdzimy do kamienicy... Na pierwszym piętrze zdejmę bluzkę... – Ręka powędrowała wzdłuż miękkiego jak miś penisa. – Na drugim spodnie... – włączyła namiętny ton. – Przed drzwiami pozbędę się stanika...

– Dobrze, to może pójdziemy do kina? A potem na kolację... – zaproponował w geście rozpaczony, bo z wywalonymi oczami wydała mu się podobna do Steve'a Buscemiego, który średnio go pociągał.

– Nie mam ochoty.

– W takim razie zabieram cię na spacer.

– Mam na ciebie ochotę – powiedziała Anka i wsunęła rękę pod spodnie mężczyzny.

Co prawda trener Tomek nie należał do znawców kobiet, damsko-męskich relacji czy w ogóle relacji międzyludzkich, ale kilku rzeczy zdążył się nauczyć, w tym tej najważniejszej: że pod żadnym pozorem nie należy odmawiać seksu swojemu partnerowi, zwłaszcza jeśli ten jest kobietą. Trener

Tomek uważał, że jeśli kobieta proponuje odbycie stosunku, oznacza to, że mężczyzna zdążył już popełnić błąd, nie odczytał dławiącej potrzeby i nie zaciągnął jej na czas do sypialni. Kobieta, która wychodzi z jawną inicjatywą, robi coś, czego robić nie lubi, i dlatego, choć jeszcze o tym nie wie, nosi w sobie ziarno urazy. Jest rozżalona, bo zachowała się jak dziwka, a zachowała się jak dziwka, bo została do tego zmuszona „przez pieprzonego impotentą, dla którego wszystko jest, kurwa, ważniejsze od niej”. Jeśli mężczyzna przejmie w tym momencie inicjatywę i przeleci spragnioną doznań istotę, wówczas ziarno nie zdoła wykiełkować i uraza nie wyjdzie na jaw. Jeśli jednak mężczyzna odmówi przyjemności albo powie coś w stylu „pewnie, za chwilę”, bo akurat jest zajęty, wówczas podświadoma uraza przerodzi się w trujący i świadomy swojego istnienia bluszcz nienawiści. Trener Tomek nie mógł pozwolić, żeby coś takiego wyrosło między nim a Anką, nie teraz, kiedy najbardziej jej potrzebował. Po słowach Anki zrozumiał więc, że nie może się wycofać, i poddał swoje ciało niechcianej torturze. „Wybacz, stary” – przeprosił misia, po czym pozwolił mu urosnąć.

– Zaraz się do ciebie dobiórę – zapowiedział, zgodnie ze swoją teorią przejmując inicjatywę.

– Gdzie zaparkowałaś?

Ania wskazała kierunek i ruszyli do czarnego land rovera, samochodu zaprojektowanego z myślą o czarownicach.

\*

Dziewczyna poruszała się po mieście z wprawą doświadczonego taksówkarza, jakby na siatkówce jej oka wyświetlała się mapa z ulicami, uliczkami i tajemnymi objazdami. Nauczyła się tego dzięki samotnym przejażdżkom, które od pewnego czasu stały się częścią jej nocnego życia.

Wiele miesięcy temu Ania zaczęła cierpieć na bezsenność i podczas jednej z tych długich bezsennych nocy naszła ją ochota na papierosa. Nie próbując nawet walczyć z duchem dawnego nałogu, który niespodziewanie ją nawiedził, pojechała na stację benzynową. Kupiła paczkę marlboro lightów i w drodze powrotnej zapaliła papierosa, a żeby wypalić go do końca, wróciła do domu dłuższą drogą. Zarówno papieros, jak i widok oświetlonych latarniami ulic sprawił jej przyjemność i tak zaczęły się nikotynowe przejażdżki w bezsenne noce.

To dzięki nim Ania trafiła na reklamę Agencji Detektywistycznej Black. Pewnej nocy, krążąc po południowej części miasta, rzucił jej się w oczy różowy neon z hasłem „uwodzenie na zlecenie”. Hasło, które wtedy wydało jej się kretyńsko głupie, utkwiło jej w głowie, a po wielu tygodniach rozmyślań i przetrząsania internetu doprowadziło ją do spotkania z uwodzicielką. Te trzy kretyńskie słowa zasiały w jej głowie myśl, która z pozoru niewiele znaczyła, a jednak zdołała rozrosnąć się niczym nowotwór i pchnąć ją do zrobienia czegoś, czego nigdy wcześniej by nie zrobiła. O ironio, Ania pomyślała wtedy, że żadna kobieta nie byłaby w stanie uwieść Roberta.

Kobieta, z którą spotkała się przed południem, miała tej myśli zaprzeczyć. Czy możliwe, że potrafi to zrobić? Była piękna, choć zarazem sztuczna jak inteligencja androidów. Czy tyle wystarczy, żeby uwieść Roberta? Droga minęła Ani na rozmyślaniach i dopiero kiedy wchodzili do kamienicy, głos Tomka wyrwał ją z letargu:

– Ktoś tu zapomniał o obietnicy.

– Muszę odebrać – powiedziała Ania, spoglądając na wibrujący w dłoni telefon.

– Tak łatwo ci się nie upiecze. – Trener uśmiechnął się chytrze.

– Halo.

– Cześć, co robisz?

– Idę na trening.

– Dzwonię, bo dzwonił do mnie Jurek. Ma nową dziewczynę i chcieliby do nas wpaść w ten weekend.

– Boże... – jęknęła. – Jak długo to potrwa tym razem, miesiąc, dwa?

– Dziewczyna ma trzydzieści lat, nie daję jej dłużej jak miesiąc – stwierdził głos w słuchawce. – Czyli że nie chcesz ich widzieć?

– Sama nie wiem, jest mi to obojętne.

– Nie chcę, żebyś się zmuszała, jeśli nie masz ochoty. Powiem, że gdzieś wyjeżdżamy.

– Jak chcesz, mnie jest wszystko jedno. Mogą przyjść.

– Na pewno? Naprawdę nie musisz...

– Wiem. Muszę już kończyć – oznajmiła Anka, bo wraz z Tomkiem stanęli przed drzwiami jego mieszkania.

– W porządku. Kocha...

Nacisnęła czerwoną słuchawkę, nie pozwalając głosowi dokończyć.

– A jednak się udało, co?

– Co takiego?

– No, obiecałaś przecież, że się rozbierzesz...

Co za kretyn. Czy naprawdę sądził, że mówiła poważnie? Rozebrać się na klatce schodowej? Po jaką cholere? Kto normalny rozbiera się na klatce schodowej? Zresztą to jej wina, po co wygadywała te wszystkie idiotyzmy. Zachowywała się tak tylko wtedy, gdy jej libido spadało do zera. Tylko wtedy pozwalała sobie na kuszenie i prowokowanie, na zachowanie, które normalnie uznalaby za żalosen. Wiedząc, że nie zębrze o penisa jak pies o kielbasę, mogła to robić. Jedynym minusem udawanego uwodzenia był fakt, że dla mężczyzn nie było ono udawane. Tej rakiety nie można zawracać, usłyszała kiedyś od Roberta, gdy po zainicjowaniu gry wstępnej próbowała się wycofać.

Poczuła na swoim tyłku dłoń trenera.

– Zostaw – odrzuciła ją z niechęcią. – Muszę ci o czymś powiedzieć – zaczęła i w tej samej chwili poczuła w brzuchu znajomy ból wyrzutów sumienia.

Przed spotkaniem z uwodzicielką nie przyszło jej nawet do głowy, że wtajemniczy Tomka w swój pomysł, ale teraz pragnęła to z siebie wyrzucić. Wynajęcie uwodzicielki było dziecinne i absurdalne, ale przede wszystkim złe i nieuczciwe i dawna Anka nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Resztki tamtej kobiety dawały więc o sobie znać w postaci wstydu i wyrzutów sumienia, które dręczyły Anię od chwili, gdy pierwszy raz weszła do internetu, żeby poszukać informacji na temat płatnego uwodzenia. To wstyd kazał jej przygotować teczkę na temat Roberta. Opowiadać o mężu obcej osobie? Tego nie potrafiłaby zrobić nawet mimo przeświadczenia, że złe, nieuczciwe i absurdalne jest także życie, jakie wiedzie u boku mężczyzny, którego nie potrafi zostawić i który każdego dnia zabija ją swoją miłością.

– Dobra czy zła wiadomość?

– Powinieneś się ucieszyć, choć w zasadzie nie dotyczy to ciebie...

– Postanowiłaś rozpocząć intensywny trening pośladeków? – rzucił żartobliwie trener. – Bo twoja pupa, bejbi, woła o pomstę do nieba! Rozrastasz się – ocenił fachowo, lustrując z niesmakiem pośladeki kochanki.

Na szczęście dla naiwnego idioty, bo tylko tak można określić mężczyznę, który żartuje z wielkości pośladek swojej dziewczyny, Anka należała do wymarłej kategorii kobiet, które pozbawione są urodowych kompleksów albo mają kompleksy, ale brakuje im czasu na ich rozpamiętywanie. W każdym razie jej ciało nie było naszpikowane minami, które rozszarpywały mężczyzn na kawałki, gdy tylko niechący na którąś nadeptali.

– Słyszałam, że faceci lubią duże tyłki.

– Duże, ale nie monstrualne.

Ania zignorowała również tę uwagę. Brak kompleksów nie świadczył jednak o tym, że była wolna od szaleństwa. Wręcz przeciwnie. Podobnie jak zakompleksione kobiety, które chcąc schudnąć, połykają tasiemce, malarka stanowiła zagrożenie dla samej siebie. W jej wolnym od autoawersji umyśle nigdy nie pojawiło się bowiem fundamentalne pytanie: dlaczego Tomasz Kantereit, dwudziestoosmioletni, niezłe wyglądający mężczyzna, wdaje się w romans ze starszą od siebie kobietą, którą w roli modelki można sobie wyobrazić tylko pod warunkiem, że prezentuje najnowszy model miotyły podczas zamkniętego pokazu dla czarownic?

Ania usiadła na kanapie w salonie, który pełnił zarazem funkcję siłowni. Znajdował się tu rowerek treningowy oraz ławeczka do brzuszaków.

– Zamieniam się w słuch. – Trener usiadł na rowerku i zaczął pedałować.

– Byłam dzisiaj na spotkaniu. – Na twarzy Anki pojawił się tajemniczy uśmiech.

Tomek lubił, gdy uśmiechała się w ten sposób, wyglądała wówczas jak chochlik z filmów animowanych. Wiedział, że chochlik znamionuje coś dobrego, ostatnim razem widział go na jej twarzy przed tym, jak wręczyła mu wymarzoną konsolę do gier wideo.

– Hm?

– W zasadzie nie powinnam ci mówić... – zawahała się – tylko się nie śmieję – uprzedziła, bo to, co zamierzała powiedzieć, jej samej wydało się nagle śmieszne.

– No, mówże wreszcie. – Zachowanie Anki nie znamionowało prezentu i Tomasz zaczął się denerwować.

– Jakiś czas temu znalazłam agencję, która zajmuje się uwodzeniem mężczyzn.

– Towarzyską w sensie?

– Nie, nie przerywaj. To jest agencja detektywistyczna, która uwodzi na zlecenie. Kobieta podrywa mężczyznę, a potem idzie z nim do łóżka i ktoś to nagrywa... – Urwała. – I właśnie dzisiaj się z nią spotkałam – powiedziała po chwili. – Z tą uwodzicielką.

– Nie ogarniam, po co?

– Spotkałam się z nią, żeby zlecić jej uwiedzenie Roberta. Wynajęłam ją, żeby się z nim przespała i dostarczyła mi na to dowód – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Dalej nie chwytam... – Trener Tomek wpatrywał się w siedzącą na kanapie kobietę, jakby patrzył na kosmitkę. – Ale po co?

– Naprawdę nie rozumiesz? Jeśli Robert mnie zdradzi i jeśli będę mieć na to dowód, wniosę sprawę o rozwód z jego winy. A potem będę wolna.

– Ale... – Twarz przystojnego Tomasza Kantereita upodobniła się nagle do baraniej mordy.

– Chcę wreszcie uciec z tego pieprzonego domu, chcę mieć wreszcie święty spokój! – wykrzyczała niespodziewanie Anka.



Tomek zbaraniał jeszcze bardziej.

Nigdy nie rozmawiali na poważne tematy, nigdy nie usłyszał od niej żadnego wyznania. W gruncie rzeczy niewiele o Ance wiedział, ale intuicyjnie założył, że trzydziestoparoletnie kobiety nie odchodzą od mężów milionerów. Czy uciec z pieprzonego domu oznaczało uciec do niego? Na moment zrobiło mu się słabo. Uważał, że Anka jest jedną z tych znudzonych żon milionerów, zaniedbaną przez zabieganego męża, spragnioną seksu i uwagi. Sądził, że pełni w jej życiu funkcję wypełniacza uczuć, że zapewnia jej czułość, zrozumienie i poczucie bycia pożądaną. Teraz pojął, że popełnił błąd. Zbyt pochopnie ocenił sytuację, nie docenił skali nieszczęścia kobiety, które najwyraźniej nie było tylko frustracją niekochanej żony. Kurwa mać! Wiedząc, że należy pocieszać smutne kobiety, podszedł do Anki i przytulił ją do piersi, choć tak naprawdę miał ochotę kretynkę zmiażdżyć. Wrzał.

– Już dobrze – wyszeptał. Wywar z kurew i pierdoleń kotłował się pod czaszką trenera. I co teraz? Co, kurwa pierdolona w dupę, teraz? Rzadko przeklinał i nie pił mocnego alkoholu, ale teraz zapragnął zrobić jedno i drugie.

– Co o tym myślisz?

– Bejbi... – Westchnął ciężko. Wiedział, że musi odwieść Ankę od tego pomysłu, ale nie wiedział, jak to zrobić. Nie był dobry w sztuce improwizacji. Odsunął się od kochanki i rozpoczął wędrówkę po pokoju, bo w ruchu jego mózg lepiej pracował. – Tak szczerze to powiem ci, że to nie jest dobry pomysł. W internecie pełno jest naciągaczy i oszustów, którzy próbują wyciągnąć od ludzi kasę. Nie możesz dać się nabrać. – Posłał jej protekcyjne i współczujące spojrzenie.

– Mylisz się, ta kobieta nie wzięła ode mnie zaliczki, choć normalnie to robi. Zapłacę jej dopiero wtedy, gdy dostanę materiał. Poza tym jest jeszcze formalna umowa, którą dostanę od agencji. Nie martw się, nie sądzę, żeby chciała mnie oszukać.

– To dobrze – skwitował niemal z żalem. – A pomyślałaś o tym, że możesz paść ofiarą szantażu?

– Co masz na myśli?

– To oczywiste. Zaszantażuje cię, że powie o wszystkim Robertowi Machowskiemu – Tomasz zawsze w ten sposób nazywał męża Anki, jakby mówił o jakimś polityku albo postaci historycznej.

– Dlaczego miałaby to zrobić? Jeśli dostarczy film, zapłacę jej za usługę, a to nie jest mało pieniędzy. Poza tym, jak to sobie wyobrażasz? Że jeśli jej nie zapłacę, to pójdzie do Roberta i powie mu: „twoja żona kazała mi się z tobą przespać, a teraz nie chce mi za to zapłacić, więc może ty mógłbyś zrobić to za nią”. – Na widok surowej miny Tomasza Anna spoważniała. – Po pierwsze, nie ma na to dowodu, po drugie, Robert wzięłby ją za skończoną wariatkę, a tak w ogóle to ona nawet nie wie, że chodzi o mojego męża.

– Po pierwsze, jak się dowie, ile szmalu ma Robert Machowski, od razu będzie chciała więcej. Baby takie są – powiedział trener, nie domyślając się nawet, że popełnia nietakt. – I skąd wiesz, że nie nagrywała waszej rozmowy? A jeśli tak? Wtedy w sądzie raczej nie wygrasz. Pomyślałaś o tym? Pomyślałaś o nas? – zakończył bez sensu.

Anka obrzuciła mężczyznę chłodnym spojrzeniem. Nie tego oczekiwała. Do kurwy nędzy! Nawet jeśli nie rozmawiali o wspólnej przyszłości, to fakt, że będzie wolna, powinien go ucieszyć, przynajmniej teoretycznie. Nawet jeśli nie zrobiła tego z myślą o nim, to właśnie on powinien być jej za to wdzięczny. I nawet jeśli popełniła głupotę, to on miał ją przekonać, że tak nie jest.

– Nie rozumiem cię. Mówisz tak, jakbyś w ogóle się nie cieszył – powiedziała wściekła.

– Nie o to chodzi. Ja nie ufam ludziom z internetu. Czy to w ogóle są ludzie? Powierzać komuś takiemu swoje sprawy... – Tomek pokręcił z dezaprobatą głową. – Martwię się, że z tego może wyniknąć coś złego. Te wszystkie nieszczęścia z internetu.

– O czym ty, kurwa, bredzisz?!

– Po prostu mówię, że to niebezpieczne! – Wiedział, że dopóki nie przemyśli sprawy na spokojnie, nie powinien się odzywać. Swoje sukcesy zawdzięczał długofalowym strategiom i rozważnym posunięciom, nie potrafił działać z zaskoczenia.

Tymczasem Anka, która nie miała w zwyczaju płakać w czyimś towarzystwie, wybuchła nagle szlochem. Rozpacziwym, niepohamowanym płaczem małej dziewczynki, której odebrano lalkę.

– Przepraszam, już dobrze, już dobrze. – Tomek podbiegł do niej natychmiast i przyciągnął ją do siebie, próbując uspokoić. Nie mógł słuchać tego płaczu, którego autentyczność rozdzierała nawet jego serce.

W katalogu ludzkich gnid Tomasz Kantereit odnalazłby swój opis pod hasłem: skurwiel interesowny, ale nie potwór. Patrzenie na czyjeś cierpienie nie sprawiało mu radości i nigdy nie skrzywdziłby kogoś celowo. Wdając się w interesowny romans, nie pomyślał, że wyrządza Ance krzywdę. W końcu chętnie czy niechętnie, ale ofiarowywał jej przyjemność, wnosił do jej smutnego życia siebie, za co ostatecznie powinna być mu wdzięczna.

– Nie płacz już, no już. Dlaczego płaczesz? Ja się martwię, a ty wyjesz, jakbym ci coś zrobił. Przecież wiesz, że cię kocham.

– Zabraniam ci tak mówić, słyszysz?! – wrzasnęła jak oparzona. – Nigdy więcej tak nie mów!

Nigdy więcej!

– Dobrze, już nie powiem! – zapewnił przerażonym głosem.

Naprawdę nie miał pojęcia, co ona odpiędała. Najpierw obraża się, bo nie okazał jej uczuć, potem, bo okazał. Gdzieś z tyłu głowy przeszła mu myśl, że jeśli nie chce zwariować, powinien trzymać się od kobiet z daleka.

– Może to był głupi pomysł, ale innego nie mam! Dlaczego nie możesz się cieszyć? A jeśli się uda? Może tego się właśnie boisz, co? Przestraszyłeś się, że będę wolna!

– Co ty wygadujesz! Popatrz na mnie. – Ujął ją za podbródek i podniósł twarz do góry. Czuł, że traci to, na co tak ciężko pracował, i do jego oczu napłynęły łzy wściekłości. – To nie jest prawda. – Spojrzał na nią znacząco, jakby łzami chciał poświadczyć o czystości swojego sumienia. Tak bardzo pragnął ją przekonać, że niemal sam uwierzył w to, co mówi. – To nieprawda, słyszysz? – Trzymał ją tak długo, aż skinęła głową. – Powiedz to.

– Tak, słyszę.

– Musisz wiedzieć, co czuję... – Ze wszystkich sił pragnął zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, jakie zostało po słowach Anki, ale jak miał to zrobić, skoro nie mógł powiedzieć, że ją kocha?

– Nie chcę słyszeć o żadnych uczuciach!

– No pewnie, jestem ci potrzebny tylko do jednego – rzucił ze złością w myśl teorii, że najlepszą obroną jest atak.

Miał trochę racji, bo Anka wielokrotnie traktowała go instrumentalnie, spotykając się tylko w określonym celu, jakby szukała w tych spotkaniach kary albo zapomnienia.

– Będziesz mi teraz robić wyrzuty?

– Nie, zrobię to, do czego się nadaję – powiedział i zaczął ją całować w ten brutalny sposób, jakby jednocześnie chciał ją zjeść. Tym razem nie czuł niechęci, wręcz przeciwnie, pragnął jak najszybciej się w niej znaleźć. Instykt podpowiadał mu, że w ten sposób ocali swoją pozycję.

Dziewczyna poddała się wreszcie strategicznie słusznemu pożądaniu kochanka, samej sobie wymierzając karę, a może licząc na chwilę zapomnienia.

– Przepraszam, bejbi. Dobrze zrobiłaś, że znalazłaś tę babę – powiedział, ściągając z niej ubranie.

– Bądź cicho.

– Będzie dobrze.

Wchodząc w nią, poczuł ulgę. Ponownie znajdował się na właściwej pozycji, z której mógł nią sterować, a przynajmniej tak mu się wydawało. Nie zmieniło to faktu, że miał problem. Wiedział, że Anka nie może odejść od męża, nie teraz.

## Początek sprawy Roberta Machowskiego

Janek Blak, właściciel Agencji Detektywistycznej Black i klubu sportów walki Fighter, ucinął sobie właśnie niezobowiązującą pogawędkę ze swoją pracownicą, trenerką kickboxingu Sylwią, kiedy w jego spodniach zadźwięczała „Seksbomba” Toma Jonesa. Odebrał telefon, a Sylwia wróciła pospiesznie do swoich zajęć. Na dźwięk głosu Janka, kiedy rozmawiał z seksbombą, dziewczyna dostawała mdłości. Do głowy przychodziło jej tylko jedno skojarzenie: miękki i bezbronny jak sikający penis – nie mogła tego słuchać.

– Co jest z tobą źle?! – poirytowany głos Dominiki zaskrzeczał w słuchawce.

– Czy ja wiem...

– Ja wiem! Powiedziałeś mnie, że apartament na Sławkowskiej jest gotowy.

– No niby tak... Ale tak na sto procent będzie gotowy, zanim przyjmiesz zlecenie.

– Przyjęłam zlecenie – wyszczała Dominika. – I nie waż się mnie kłamać, bo właśnie tu jestem. – Stała pośrodku pustego mieszkania, gdzie nie było ani łóżka, do którego miała zaciągnąć Roberta Machowskiego, ani kamer, które miały to spotkanie zarejestrować. Janek dał jak zwykle dupy, a na dodatek, kiedy spytała go wczoraj, co z mieszkaniem, bezczelnie skłamał.

– Po cholere tam polazłaś? – zdenerwował się w pierwszej chwili, ale zaraz wyjaśnił, że spakował już rzeczy w mieszkaniu na Szwedzkiej i jedyne, co musi zrobić, to przewieźć je na Sławkowską, co łącznie z montażem kamer nie powinno zająć dłużej niż kilka godzin.

– Masz czas do jutra.

– Keine problemas, mi amor.

Miękkość, którą trenerka kickboxingu słyszała w głosie swojego szefa i którą interpretowała jako uległość, ktoś inny mógłby wziąć za pogodę ducha albo lekceważący stosunek do rozmówcy. W rzeczywistości chodziło o jedno i drugie. Po pierwsze, Janek należał do typu żartownisiów, którzy nigdy nie tracą dobrego humoru (w jego przypadku wzmacnianego dodatkowo przez działanie nałogowo spożywanego słodczy), i jeśli dawał sobą pomiatać, to tylko dlatego, że radosne usposobienie nie pozwalało mu dostrzec, że ktoś nim pomiata. Po drugie, czuł do Dominiki coś, co w przypadku czterdziestoletniego mężczyzny, który nigdy nie zdecydował się wyznać swoich uczuć, nazwać można już chyba tylko czcią lub religijnym uwielbieniem, które starał się ukrywać pod maską obojętności i złośliwości.

Dominika i Janek poznali się przed laty w klubie sportowym, gdzie Janek, świeżo upieczony absolwent AWF i aktywny dżudoka, dorabiał jako trener. Dominika, wówczas piętnastoletnia uczennica technikum, zapisała się na treningi do prowadzonej przez niego grupy. Ćwiczyli razem trzy lata. To wtedy Janek zakochał się w podopiecznej do szaleństwa, nadrabiając wszelkie zaległości w dziedzinie młodzięcych rozterek miłosnych i idiotycznych zachowań, łącznie z tym, że zamiast zaprosić dziewczynę na randkę, zaoferował jej przyjaźń. Ich drogi rozeszły się, kiedy Dominika wyjechała do Ameryki.

Janek, tu, zakończył nieudaną karierę sportową i otworzył własny klub sportów walki, Dominika, tam, pracowała w serwisie sprząającym, aż została zauważona przez właściciela agencji z luksusowymi dziewczynami do towarzystwa i zmieniła zajęcie. Osiem lat później zjawiała się niespodziewanie w Fighterze. Pewnego dnia jak gdyby nigdy nic weszła do klubu i zapytała, czy zastała szefa. Mimo że ostatni raz Janek widział ją, gdy miała przyszcze i włosy w kolorze mysiego futra, poznał ją od razu. Złożyła mu propozycję współpracy, a on zgodził się założyć z nią biznes, choć z finansowego punktu widzenia nie miał takiej potrzeby. Zdecydowały dawne uczucia i intuicyjne przekonanie, że jeśli się nie zgodzi, nigdy więcej jej nie zobaczy. Zgodnie z planem Dominika Janek uzyskał licencję prywatnego detektywa i założył agencję detektywistyczną, którą nazwali Black. Dominika formalnie nie istniała, ani jako współwłaściciel, ani jako pracownik agencji. Będąc mózgiem, sercem i każdym innym organem agencji, ze względów bezpieczeństwa pozostała w ukryciu.

Agencja Black oferowała uwodzenie na zlecenie, pomoc w testowaniu wierności mężczyzny, zbieranie materiałów do spraw rozwodowych i tym podobne. Nie było to w branży detektywistycznej zjawisko nowe, choć w kraju trudniły się nim zaledwie dwa biura. Novum, które Dominika przywiozła z Ameryki, polegało na czymś, co podobnie jak ona formalnie nie istniało – na usłudze, która w formie pisanej funkcjonowała jedynie jako sugestia. Zamieszczone na stronie internetowej hasła: „jesteśmy otwarci na potrzeby klientów”, „przekraczamy granice razem z tobą”, „do uzgodnienia”, nakierowywały ludzi w potrzebie na zadawanie właściwych pytań, z których rodziły się właściwe zlecenia. W dobie internetu wieść niesie się zresztą szybko i wkrótce wszystko było jasne. Agencja detektywistyczna Jana Blaka z Krakowa oferowała stosunki płciowe na zlecenie – prowokowany i wykonywany przez uwodzicielkę, rejestrowany za pomocą ukrytej kamery seks. Okazało się, że chętnych do nagrywania innych nie brakuje, i już w pierwszym roku działalności agencji liczba zleceń all inclusive przerosła najśmielsze oczekiwania Dominiki. A ponieważ były to najbardziej opłacalne i osockie preferowane przez uwodzicielkę zlecenia, zyskały one w agencji palmę pierwszeństwa.

W ten oto sposób Janek, formalny właściciel agencji, został kimś w rodzaju sutenera. Być może, gdyby pociągnięto go do odpowiedzialności za zorganizowanie płatnego uwodzenia i czerpanie z niego korzyści majątkowych, mógłby się powołać na wynikającą z zakochania niepoczytalność lub działanie w afekcie. Mężczyźni pożądamy wielokrotnie, za to kochają rzadko, a w przypadku Janka był to tylko ten jeden raz. Dlatego kiedy po ośmiu latach zobaczył Dominikę jako dorosłą kobietę, pięknieszszą niż kiedykolwiek, uczucia wróciły. Nie dziwi więc, że nie rozumiejąc nic, zgodził się na wszystko. Dlaczego jednak, kiedy zobaczył materiał z pierwszej sprawy – Dominikę uprawiającą seks z mężczyzną, którego miała uwieść, co w naiwnym przekonaniu Janka oznaczało w najgorszym razie skłonić mężczyznę do pocalunku – nie zerwał z nią współpracę? Dlaczego kiedy przekonał się, że uwodzenie w wydaniu agencji nie będzie testowaniem gotowości mężczyzny do stosunku, ale jego prowokowaniem, nie odszedł? Kiedy się nad tym zastanawiał, do głowy przychodziła mu tylko jedna myśl. Wstyd. Gdyby zakończył z nią współpracę, przyznałby się do rzeczy, do których nie chciał się przyznawać. A może mimo wszystko nie potrafił od niej odejść?

Oprócz tego, że pełnił funkcję właściciela firmy, Janek zajmował się techniczną stroną przedsięwzięcia. Materiały, które agencja zdobywała dla swoich klientów, nierzadko służyły szantażom, wyłudzeniu pieniędzy, rujnowaniu karier i małżeństw. Przyczyniając się do tragedii uwiedzionych mężczyzn, Dominika nie mogła pozwolić, żeby ktoś poznał jej prawdziwą tożsamość albo adres zamieszkania. Dlatego każdą sprawę finalizowała w innym mieszkaniu (nigdy nie

korzystała z hoteli) i nigdy nie wracała do miejsca, w którym raz oszukała figuranta. Zasada była prosta: po zakończeniu sprawy ślad po uwodzicielce ginął. To Janek wynajmował mieszkania, montował w nich kamery, a po zakończeniu spraw opracowywał nagrania, które trafiały do zleceniodawców. Wraz ze sprzętem nagrywającym z mieszkania do mieszkania wędrowały także meble, elementy zastawy, pościel, ubrania, środki czystości, ekspres do kawy i wiele innych przedmiotów, które tworzyły pożądaną dla danej sprawy scenografię albo które mogły się po prostu przydać. Janek Blak był technikiem, montażystą, fotografem, reasercherem, człowiekiem od czarnej roboty i jedynym mężczyzną w mieście, który nigdy nie przespał się z Dominiką Werner.

Po zakończeniu rozmowy zrobił więc to, co robił od wielu lat – wykonał polecenie przyjaciółki. Pojechał na Szwedzką, żeby zabrać rzeczy z mieszkania i przewieźć je do nowego lokum na Sławkowskiej.

\*

Dominika wyszła z mieszkania, żeby kupić kawę. W swoim życiu rzuciła papierosy, kokainę, cukier, gluten i tylko z tą jedną jedyną substancją nie umiała się rozstać. Będąc mistrzynią wyrzeczeń i samokontroli, do tego stopnia panowała nad ciałem, że potrafiła wytrzymać bez jedzenia kilkadziesiąt godzin, nie czując głodu, ale dzień bez trzech filiżanek czarnej kawy był dla niej spełnieniem koszmaru. Mówiąc językiem Dominiki, życie bez kawy nie robiło sensu. Tym bardziej nie robił sensu wysiłek intelektualny, a ponieważ przyjechała na Sławkowską, żeby rozpracować Roberta Machowskiego, potrzebowała kofeiny. Kupiła w Starbucksie duże americano na wynos i z kubkiem w rękę usiadła na ławeczce naprzeciwko Sukiennic.

Dochodziła dziewięta, tłumy turystów nie wyległy jeszcze na miasto. Co prawda Dominika lubiła zatłoczone klimaty wielkich miast, przez kilka lat mieszkała w centrum Nowego Jorku, ale akurat ten Rynek robił na niej największe wrażenie w jego mniej tłocznej wersji, bo tak zapamiętała go z czasów dzieciństwa. Nie było to wrażenie pozytywne, ale nie było ono także do końca negatywne, tak jak wspomnienia, które budziło w niej to miasto. Miała siedem lat, kiedy szlag trafił jej dzieciństwo. Najpierw zmarła jej matka, a niecały rok później ojciec wyjechał do Ameryki, zostawiając ją pod opieką znajomej starej panny, niejakiej Krystyny Madziarskiej. Mając piętnaście lat, Dominika przeżyła pierwszy i ostatni w swoim życiu zawód miłosny. Koszmar samotności, który zakończył się katastrofą w postaci złamanego serca – tak wyglądały lata, które spędziła w Krakowie pomiędzy siódmym a osiemnastym rokiem życia. Do Polski wróciła w wieku dwudziestu siedmiu lat, żeby po śmierci ojca uregulować kwestie spadkowe, a ponieważ w tamtym czasie narobiła sobie w Ameryce trochę problemów, postanowiła, że na jakiś czas zamieszka w Krakowie. Namówiła Janka do otwarcia agencji, a kiedy okazało się, że biznes wypalił, „jakiś czas” wydłużył się do kilku lat. Kraków nigdy nie był jednak miejscem, w którym planowała zostać na stałe. Pomimo sentymentu, jakim darzyła to miasto, było ono zbyt prowincjonalne, zbyt małe jak na światową osobowość Dominiki Werner. Bo jak na dłuższą metę można mieszkać w mieście, w którym nie ma butików Chanel? Świadomość, że wkrótce opuści to miejsce na zawsze, sprawiała jej przyjemność.

Dominika wróciła na Sławkowską. Usiadła na podłodze w pokoju z widokiem na ulicę, zakładając nogi jedna na drugą, i sięgnęła po czerwoną teczkę od Holy. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, żeby klient odmówił udzielenia wywiadu, nie mówiąc już o tym, że sam przygotował reaserch na temat figuranta. Odkąd Dominika otrzymała teczkę, zastanawiała się, czy informacje, które w niej znajdzie,

okażą się przydatne. Rzut oka na zawartość i miała odpowiedź – było tam wszystko, czego potrzebowała. Informacje, które normalnie zdobywała podczas wywiadu z klientem albo które nieco mniej wyrafinowanymi sposobami zdobywał Janek, leżały gotowe przed nią, w dodatku przejrzyście posegregowane. W teczce znajdowało się kilka kartek formatu A4, każda włożona do oddzielnej koszulki foliowej i opatrzona nagłówkiem: „Dane osobowe”, „Praca”, „Rodzina”, „Zainteresowania”, „Upodobania seksualne”, „Ciekawostki” i wreszcie „Zdjęcia”. Na samym spodzie znajdowała się wspomniana przez Holy Bitch wejściówka na bal charytatywny. Dominika rozłożyła kartki przed sobą i sięgnęła do folii ze zdjęciami Roberta Machowskiego. Był wysokim, dobrze zbudowanym facetem o szpakowatych włosach à la George Clooney. Z jakiegoś powodu wydawał się jej znajomy. Sięgnęła po kartkę z nagłówkiem „Praca”. No shit! Złapała za telefon, żeby podzielić się z Jankiem ekscytującą informacją.

– Co znowu?

– Zgadnij, kto jest naszym klientem.

– Jesteś jeszcze na Sławkowskiej?

– Aha.

– Zaraz tam będę, to pogadamy.

Kilka minut później Janek Blak wszedł do mieszkania, taszcząc kartonowe pudło. O Janku mówiło się zazwyczaj dwie rzeczy: że jest niski i ładny. Miał metr siedemdziesiąt cztery wzrostu i śliczną twarz cherubinka, co rekompensowała rozbudowana muskulatura.

– Tylko tyle? – Dominika zajrzała do kartonu, w którym znajdował się ekspres do kawy i jej ulubiony kubek z angielskiej porcelany.

– Domyślam się, że tego ci brakowało – wyjaśnił Blak. – Po południu przywiozłam łóżko i pozostałe graty, a kamerami zajmę się jutro, okej?

– Tylko na pewno, chcę to załatwić najszybciej, jak się da.

– Dlaczego?

– Bez powodu. – Wzruszyła ramionami. – No to zgadnij!

– Lokalny?

– Tak.

– Domyślam się, że gruba ryba...

Uwodzicielka uśmiechnęła się tajemniczo.

– Gruba ryba... gruba ryba.... Łosoś?

– Christ!

Dominika podniosła z podłogi zdjęcie i pokazała je mężczyźnie.

– Poznajesz?

– A więc nie łosoś, tylko gołąb – rzucił Janek na widok siwowłosego mężczyzny.

– Myślałeś kiedyś o tym, żeby wziąć klasy komedii? Jeśli koniecznie chcesz być zabawny, naucz się, jak to osiągać.

Tym razem to ona spojrzała na przyjaciela rozbawionym wzrokiem żartownisia.

– He, he, na pewno nie ty będziesz mi ich udzielać.

– To jest Robert Machowski.

– Kto to, kurwa, jest Robert Machowski?

Mężczyzna na zdjęciu musiał zrobić na Blaku wrażenie, bo w jego głosie pojawiła się typowa dla zazdrosnych mężczyzn nuta zniecierpliwienia, która nie uszła uwagi uwodzicielki.

– Ten od Budmachu.

Budmach był jednym z największych przedsiębiorstw budowlanych w regionie, remontował zabytki, budował bloki mieszkalne i osiedla domków jednorodzinnych, zajmował się działalnością deweloperską i administracją budynków. Robert Machowski uchodził zaś za lokalnego geniusza biznesu. Działalność założył, mając dziewiętnaście lat, i w ciągu kilku lat z małej firmy, która przyjmowała zlecenia na budowę prywatnych domów w podkrakowskich miejscowościach, stworzył potęgę. O charyzmie Roberta Machowskiego, jego smykałce do interesów oraz zaangażowaniu w działalność charytatywną krążyły po mieście legendy.

– To jest prezes Budmachu? Myślałem, że jest starszy.

– Trafiła nam się na koniec duża sprawa – wyrwało się Dominice.

Dominika nie poinformowała Janka o swoich planach zakończenia kariery ani o tym, że zamierza wrócić do Nowego Jorku. Nie miała ochoty na uczuciowy dramat, który przyjaciel mógłby jej z tej okazji urządzić.

– Na koniec?

– Na koniec wakacji – poprawiła się, ale mężczyzna i tak nie zwrócił na to większej uwagi.

– Kto chce go załatwić: żona, kochanka czy konkurencja? – zapytał Janek, wymieniając najczęstsze przypadki, z jakimi mieli do czynienia.

– Nie przedstawiła się, ale nie sądzę, żeby była jego żoną. Nie ten level, if you know what I mean. I mam wrażenie, że nie chodzi tu o interesy.

– Nie ten level?

– Mówiąc wprost, była brzydka.

– Jesteś okropna.

– Znalazł się obrońca brzydul.

Janek machnął ręką.

– Dowiemy się, kim ona jest, kiedy ją sprawdzisz.

Zawsze sprawdzali klientów, którzy zlecali sprawy all inclusive. Tę lekcję Dominika przywiozła z Ameryki – dla własnego bezpieczeństwa trzeba wiedzieć, z czyjego polecenia krzywdzi się ludzi.

– Fuck! – wyrwało się Dominice.

– Co?

– Widzisz to? – Wskazała leżące na podłodze kartki. – Brzydula sama zrobiła reaserch.

– Poważnie? – zdziwił się Janek. – Dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– Chcesz mi przez to powiedzieć, że więcej się z nią nie spotkasz? To jak mam ją, do kurwy nędzy, zlokalizować?!

– Nie wiem, kochanie, wymyśl coś. Mamy jej numer telefonu i e-mail.

Ostatnie słowo wypowiedziała z perfidnym amerykańskim akcentem. Janek nie wiedział, czy robiła to celowo, ale za każdym razem, gdy włączała ten akcent, z jakiegoś powodu czuł się tak, jakby był jej podwładnym.

– Ja pierdołę. Całe życie czarnym szlakiem – wyrzęził pod nosem. – Dobra, prześlij mi ten numer.



Janek wyszedł i Dominika wróciła do przeglądania teczek. Czegoś jej w tej układance brakowało. Dotarło to do niej dopiero po chwili – w teczce nie było zdjęcia pani Machowskiej. Czy osoba, która tak skrupulatnie dobrała informacje, mogła zapomnieć o tak ważnym elemencie? Przecież jeśli Machowski rzeczywiście ubóstwiał żonę, o czym przekonywała Holy, to oczywiste było, że kluczem do jego upodobań, a zatem do uwiedzenia go, jest właśnie ona. Chyba że... no way! Uwodzicielka uśmiechnęła się do siebie. Jakim cudem? Na wszelki wypadek sięgnęła do torebki po tablet. Nacisnęła ikonę Facebooka i w polu wyszukiwania wpisała imię i nazwisko figuranta. Żaden z Robertów Machowskich nie był tym właściwym. Otworzyła wyszukiwarke, wklepała słowa „robert machowski z żoną”, a następnie zaznaczyła wyszukiwanie grafiki. Machowski pojawił się na kilku zdjęciach: „prezes Budmachu odbiera nagrodę Ministra Gospodarki”, „nagroda dla Budmachu w Konkursie Budowa Roku”, „»Widoki na przyszłość« rozstrzygnięte”, „prezes Budmachu z laureatami »Widoków na przyszłość«” i tak dalej, na żadnym nie uwieczniono żony prezesa. Zaznaczyła opcję internet, wyskoczył jeden link zawierający słowa „machowski i żona”. Otworzyła odnośnik i jej oczom ukazał się wywiad, jakiego Robert Machowski i jego żona, Anna Prus, udzielili jakiemuś czasopismu. Rozmowa opatrzona była zdjęciami młodych ludzi, laureatów konkursu „Widoki na przyszłość”, zdjęcia małżeństwa nie było. Wpisała do wyszukiwarki obrazów hasło „Anna Prus”, ale zamiast żony Machowskiego na ekranie pojawiły się zdjęcia obrazów. Wróciła do wywiadu, tego samego, który niegdyś wpadł również w ręce Tomasza Kantereita, i przeczytała początek rozmowy:

***Proszę opowiedzieć o założeniach konkursu.***

*„Widoki na przyszłość” to konkurs skierowany do ludzi, którzy nie ukończyli jeszcze trzydziestego roku życia. Przedmiotem konkursu jest biznesplan, innymi słowy, pomysł na firmę, która będzie działać na jednym z osiedli Budmachu. Zarząd firmy co roku wybiera lokal, który na pięć lat oddamy w bezpłatną dzierżawę zwycięzcy konkursu. Wraz z tym do wygrania jest jeszcze sto tysięcy złotych na rozpoczęcie działalności.*

***Rozumiem, że uczestnik konkursu musi się wykazać pomysłowością nie tylko, jeśli chodzi o sam biznes, ale również o jego przydatność na danym osiedlu.***

*To prawda. Konkurs pomyślany jest w ten sposób, żeby z jednej strony umożliwić start młodym, z drugiej zaś rozwinąć infrastrukturę osiedla, na którym firma będzie funkcjonować, czyli polepszyć warunki życia jego mieszkańców. Tak więc pomysł na otwarcie przedszkola na naszym osiedlu Złotej Jesieni, gdzie przeważającą większość mieszkańców stanowią ludzie powyżej sześćdziesiątego roku życia, uznałbym za chybiony.*

***Ale w tym roku pojawił się jeszcze jeden czynnik.***

*Tak, w tym roku zaprosiliśmy do współpracy Galerię Art. A, ale może lepiej Ania coś o tym powie.*

*A: Chodzi o promowanie inicjatyw biznesowych związanych z szeroko pojętą kulturą. Będę wyszukiwać i wspierać te spośród pomysłów, które sprzyjają rozwojowi kultury.*

***To znaczy kino tak, ale sklep już niekoniecznie?***

*To znaczy sklep jak najbardziej, jeżeli na przykład wystrój został zaprojektowany przez artystę, a może sprzedaje się w nim także książki, a może z głośników puszczana jest muzyka i tak dalej... Liczy się kreatywność.*

Dominika przerwała czytanie i wpisała do wyszukiwarki hasło Art. A, mając nadzieję, że w ten sposób znajdzie zdjęcie Anny Prus, ale na stronie galerii niczego nie znalazła. Przeszła do zakładki z wywiadem i spojrzała na datę, wywiad pochodził sprzed trzech lat. Odłożyła tablet i zadzwoniła do Janka.

– Jeśli chodzi o naszą nową klientkę, to wydaje mnie się, że jest jego żoną.

– A myślałem, że milionerzy nie żenią się z brzydulami.

– Wyjątki się zdarzają. Zrób zdjęcie żony Machowskiego, to się przekonamy. Nazywa się Anna Prus.

– Okej.

Dominika zabrała się do właściwej pracy, to znaczy analizowania informacji z teczki. Cel – ustalić czas i miejsce pierwszego podejścia. Wzięła do ręki kartkę zatytułowaną „Ciekawostki”, jej wzrok mimowolnie uchwycił słowo „penis”. Ciekawostka na temat penisa Roberta Machowskiego brzmiała następująco: „penis w erekcji – 15,3 cm”. Rozbawiała ją ta dokładność pomiaru. Trzy milimetry po przecinku świadczyły o takiej determinacji, skrupulatności, wytrwałości i poświęceniu, na które mężczyzna stać chyba tylko podczas mierzenia sobie przyrodzenia. Piętnaście centymetrów i trzy milimetry, średnia krajowa (uczciwy standard, do którego Dominika zdążyła już przywyknąć po nieco innych, amerykańskich doświadczeniach), nie był to wynik, którym mężczyzna chwali się na lewo i prawo i z którego jest znany (patrz, to ten, co ma fiuta piętnaście centymetrów i trzy milimetry). Taką informacją mogła dysponować tylko żona Machowskiego, co na dobre utwierdziło Dominikę w przekonaniu, że jest nią Holy Bitch. Dlaczego Holy uznała, że chcąc uwieść faceta, należy znać długość jego penisa, tego uwodzicielka nie była jednak w stanie zrozumieć.

Spojrzała na dołączoną do teczki wejściówkę na Koniec Lata, bal miał się odbyć za sześć dni. Sześć dni... Nie będzie tak długo czekać, zwłaszcza że trafiła na coś ciekawszego. Z grafiku Roberta Machowskiego, sprytnie podzielonego przez Holy na zdarzenia stałe i okazjonalne, wynikało, że prezes w każdą środę spotyka się na mieście z przyjacielem. „Środy, ok. godz. 20 spotkanie z przyjacielem (Jerzy Jasieniak), przypadkowe knajpy z piwem, najczęściej Rynek Główny i okolice” – brzmiała notatka. Perfect!

# Modus operandi

Dominika Werner wypracowała przez lata szereg zasad, które skutecznie organizowały proceder uwodzenia i zaciągania mężczyzn do łóżka. Według jednej z nich podejście pierwsze służyło realizacji dwóch strategicznych celów: przyjrzeniu się figurantowi i zwróceniu na siebie jego uwagi. Jeśli udało się je osiągnąć, próba należała do pomyslnych. Oczywiście zdarzało się, że uwodzicielka kończyła pomyslnie sprawę już za pierwszym razem, ale zawsze było to związane z rozwojem sytuacji, a nie z ułożonym wcześniej planem. Pierwsze podejście pełniło funkcję rekonesansu i dlatego z zasady nie należało wiązać z nim wygórowanych oczekiwań.

Pracując nad Machowskim, Dominika zauważyła zresztą, że istnieją pewne niewiadome, które wykluczały optymizm nawet w stosunku do podstawowych założeń pierwszego podejścia. Po pierwsze, nie było pewne, gdzie Machowski spotyka się ze swoim przyjacielem. Co prawda notatka Holy mówiła o barach, ale czy można polegać całkowicie na wiedzy żony (o ile rzeczywiście nią była) na temat nocnych wypadów męża? Faceci mogli odwiedzać lokale go-go albo nocne kluby, miejsca, których atmosfera nie sprzyja działaniom uwodzicielki lub zupełnie je wyklucza. A może osoba, z którą spotykał się przenajświętszy Robert, wcale nie była przyjacielem? Może wcale nie była mężczyzną? Tego także nie mogła być pewna. Po drugie, jeśli nawet Machowski spotykał się w barze z przyjacielem płci męskiej, to, biorąc pod uwagę jej działania, w zależności od rozwoju sytuacji mogło to być atutem, ale mogło być też przeszkodą. Gdyby na przykład znajomy Machowskiego wypatrzył Dominikę jako pierwszy i tym samym zarezerwował sobie prawo „pierworywu”, uwodzicielka miałaby problem, żeby przedostać się na orbitę zainteresowań figuranta. Według męskiego kodeksu przyjaciele nie podrywają wzajemnie swoich dziewczyn, obecnych, przeszłych i przyszłych. Co prawda Dominika wykorzystywała w uwodzeniu obecność osób trzecich, grając między innymi na ambicji mężczyzny i ich skłonności do popisywania się, ale tego typu taktyka wymaga posiadania konkretnych informacji na temat relacji mężczyzn, między których wbija się swój tyłek. Tymczasem Dominika wiedziała jedynie, że Jasieniak jest przyjacielem Machowskiego, co w praktyce oznaczało tyle co nic.

Dane dotyczące figuranta, które zdobywała podczas wywiadu ze zleceniodawcą, a które w tym wypadku wyczytała z kartki, nigdy nie dorównywały tym, które zdobywała podczas podejścia, przyglądając się figurantowi osobiście. Dlatego pierwsze podejście było również okazją do zweryfikowania teorii. Na przykład informacja o tym, że mężczyzna ma mikroskopijnego penisa, byłaby dla uwodzicielki mniej istotna od obserwacji, czy ten mężczyzna zachowuje się tak, jakby ukrywał w spodniach mikroglisnę. Dominika Werner znała się na ludziach, potrzebowała chwili obserwacji, żeby stwierdzić, z jakim typem człowieka ma do czynienia, a co za tym idzie, żeby określić jego potrzeby. Sposób uwiedzenia mężczyzny zapisany jest w jego twarzy, dlatego dopóki nie przyjrzała się figurantowi na żywo, nigdy nie wybierała taktyki działania.

Średni czas pomiędzy pierwszym podejściem a zaciągnięciem faceta do łóżka, czyli zakończeniem sprawy, wynosił trzy tygodnie. Dwadzieścia jeden dni, około trzech spotkań i kilkanaście wiadomości tekstowych – tyle trwał męski opór. Żadna sprawa agencji nie trwała dłużej niż trzy miesiące, a i tak wynikało to najczęściej z przyczyn logistycznych. Wprawdzie uwodzicielka selekcjonowała zlecenia,

niwelując w ten sposób ryzyko porażki – za każdym razem oceniała swoje możliwości w kontekście mężczyzny, którym miała się zająć (nie przyjęłaby sprawy osoby z zaburzeniami preferencji seksualnych), ale fakt pozostawał faktem, działała ze stuprocentową skutecznością. Dziesięć lat, osiemdziesiąt osiem spraw typu all inclusive, osiemdziesięciu ośmiu uwiedzionych mężczyzn. Ani jednej porażki.

W świecie, w którym nie istnieją powszechne normy postępowania, gdy ludziom nie wykuwa się w duszach dziesięć przykazań i dlatego nie można przewidzieć reakcji drugiego człowieka, gdyż każdy ma swój własny kodeks moralny, w takim świecie wciąż jeszcze można liczyć na mężczyzn, na ich pożądlivość, na zdradliwość i nieuczciwość, na to, że najpewniej zniszczą wszystkich i wszystko, żeby zaspokoić swoje żądze. Tak uważała Dominika i w związku z tym odczuwała ulgę. Fakt, że mogła spodziewać się po mężczyznach najgorszego, dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Jako zawodowa uwodzicielka nie wierzyła w opowieści o wiernych i oddanych mężczyznach. Nie była jednak dogmatyczką. Przyjmowała do wiadomości, że tacy istnieją, ich istnienie tłumaczyła jednak tym, że los oszczędził im pokus, które zweryfikowałyby ich cnotliwość, na przykład spotkania z nią samą. Holy Bitch mogła układać peany na cześć wierności Roberta Machowskiego, a ona i tak zaliczyła już mężczyznę do mało zaszczytnego grona swoich ofiar, numer osiemdziesiąty dziewiąty, ostatni.

Wybrawszy termin, Dominika zajęła się opracowywaniem swojego wyglądu. Pierwsze podejście oznaczało także pierwsze objawienie się w świadomości figuranta i uwodzicielka pragnęła zadziałać na umysł mężczyzny jak pierwsza kreska białej damy na umysł przyszłego narkomana – spowodować eksplozję podniecenia i wywołać głód. Wygląd, jaki prezentowała podczas podejścia, miał być odzwierciedleniem preferowanego przez figuranta ideału kobiecości, jego fascynacji, upodobań i fetyszy. Dominika tworzyła wizerunek na podstawie zebranych w wywiadzie informacji. Jeśli facet był entuzjastą tyłków, ubierała się w obcisłe legginsy eksponujące tyłek, jeśli był entuzjastą piersi, eksponowała dekolt, jeśli najbardziej lubił nogi, wkładała krótką spódniczkę. Rozpuszczała włosy albo wiązała je w kucyk, robiła mocny makijaż albo bardzo delikatny, wkładała buty na wysokim obcasie albo płaskie pantofle z odsłoniętymi palcami i tak dalej. Oczywiście, gdyby nie podporządkowywała swojego wyglądu gustowi figuranta, prawdopodobnie i tak osiągnęłaby zamierzony efekt, facet był facetem i wystarczyło, że ubrała się seksownie w jakimkolwiek rozumieniu tego słowa (może poza muzułmańskim), a czuła na sobie obślinione męskie spojrzenia.

Jedynie, co mogło pokrzyżować jej plany, to obecność innej kobiety, która także odpowiadałaby upodobaniom figuranta. Nie mogąc dopuścić do takiej sytuacji, Dominika zapewniała sobie przewagę w postaci przynęty, czegoś wyjątkowego – rekwizytu, perfum, powiedzenia – przeznaczonego tylko dla oczu, uszu lub węchu danego mężczyzny, co nie mogło pozostawić go obojętnym. Do najbardziej spektakularnych przynęt w jej karierze należała broszka z chrabąszczem.

Była to sprawa sprzed wielu lat, która zdążyła się skomplikować, zanim jeszcze na dobre się zaczęła, jedno z pierwszych zleceń Blacka – mężczyzna, którego należało uwieść, został nieoczekiwanie wdowcem. Zszokowany i pogrążony w smutku figurant wydawał się ostatnią osobą na świecie gotową do seksualnych podbojów. Po kilku nieudanych próbach zawarcia znajomości Dominika zrozumiała, że jest tylko jeden sposób, żeby przedrzeć się do świadomości zrozpaczonego mężczyzny, i jest nim jego zmarła żona. Przeglądając zdjęcia kobiety, Dominika zauważyła, że miała ona w zwyczaju przypinać do ubrań charakterystyczną broszkę w kształcie chrabąszcza. Uwodzicielka zamówiła u jubilera identyczną ozdobę, którą założyła podczas podejścia. Przynęta chwyciła, mężczyzna od razu

zwrócił uwagę na piękność z chrabąszczem na bluzce, wcielenie jego zmarłej żony, w dodatku w wersji sprzed czterdziestu lat.

Szukając preferowanego przez Roberta Machowskiego typu kobiety, Dominika sięgnęła po arkusz z nagłówkiem „Upodobania seksualne”. Pod adnotacją „nie lubi eksperymentować w łóżku” (biedna Holy) napisane było coś, co w pierwszej chwili zbiło uwodzicielkę z tropu. „Podobają mu się wszystkie kobiety”. Bulshit! Żadnemu mężczyźnie nie podobają się wszystkie kobiety, bo kobiety bywają podobne do koni, komarów, a czasem do mężczyzn. Nie miewają zębów, włosów i kończyn, są grube jak małe słonie albo chude jak osy. Jeśli Machowskiemu podobają się wszystkie kobiety, dlatego że są kobietami, to znaczy posiadają żeńskie cechy płciowe, to jest cholernym seksistą. Dominika nie lubiła pieprzenia, a pogląd „nieważne, jak kobieta wygląda, ważne, żeby umiała mnie zainteresować”, uważała za jedno z największych pieprzeń w historii męskiego pieprzenia, zaraz obok „nieważne, co włożysz, i tak wyglądasz pięknie”. Sięgnęła po kartkę „Ciekawostki”. Poza informacją na temat długości penisa oraz uzależnienia figuranta od cukierków kokosowych napisane było, że imponują mu ludzie wykształceni, szczególnie artyści. W „Zainteresowaniach” znajdowały się z kolei następujące podpunkty: „motoryzacja, nekropolie, sztuka, w tym szczególnie malarstwo i literatura”, po czym w nawiasie widniała adnotacja, że w rozmowie przybiera pozę pilnego ucznia, lubi słuchać ludzi, którzy mają na ten temat coś do powiedzenia. Dominika zrozumiała nagle coś istotnego. Robert Machowski, który zakończył edukację na technikum budowlanym, cierpiał najprawdopodobniej na kompleks braku wykształcenia. Być może stąd wzięła się Holy Bitch? Wykształcona brzydula, która odgrywa w jego życiu rolę inspirującej mentorki...

Fakt, że Machowski szukał w kobiecie „nauczycielki”, nie stanowił dla Dominiki zagrożenia. To, że mężczyzna jest w stanie odrzucić Miss World na rzecz laureatki Nagrody Nobla, nie przekreśla jego podstawowych męskich zachowań, ale stanowi jak gdyby dodatkową moc (w którą brzydule całego świata chciałyby wyposażać mężczyzn, a jękający się miłośnicy starych winylów – kobiety). Nie wykluczała ona normalnej reakcji na piękną kobietę, nawet najgłupszą. Dominika była świadkiem sytuacji, w której tacy „wyjątkowi” mężczyźni, poszukiwacze ciekawych kobiet, reagowali w zupełnie „niewyjątkowy” sposób na seksowną idiotkę. W stosunkach damsko-męskich istnieje jedna podstawowa zasada – potrzeba seksualna, która w sytuacji braku wyboru wygrywa z większością upodobań. Innymi słowy, gdy się nie ma, co się lubi, polubi się i szczerbatą grubaszkę, a są i tacy, którzy nie pogardzą owcą, tak przynajmniej uważała Dominika Werner.

Zapisała w notatniku propozycje dwóch stylizacji na środowy wieczór, „bóstwo jawne” i „rozświetlona dziewczęcość”, w zależności od tego, gdzie Machowski spotka się z przyjacielem. Jeśli pójdą do restauracji lub hotelowego baru, miejsca o podwyższonym standardzie, włoży klasyczną małą czarną i szpilki od Valentino w kolorze tiffany, bez biżuterii. W makijażu postawi na kreskę i neutralne usta. Zastosuje scenariusz „wystawionej piękności”, który wielokrotnie już odgrywała. Jeśli pójdą do pubu, ubierze się w przylegające jeansy 7 for All Mankind i tunikę Gucciego, do tego tenisówki na koturnie, które podkreślą nogi. Włosy uczesze w koński ogon, a na twarzy wykona rozświetlający makijaż. Pozostawało wybrać przynętę.

W tej kwestii Dominika szukała inspiracji w zainteresowaniach figuranta, ale dziedziny, którymi interesował się Machowski, nie wydawały się przydatne do jej celów. Bo w jaki sposób powiązać swój wygląd z samochodem albo cmentarzem, żeby zwrócić na siebie uwagę miłośnika grobów i motoryzacji? Poza tym jak można interesować się cmentarzami? Miałyby przyjść do restauracji

z płytą nagrobną pod pachą? Ostatnim punktem na liście zainteresowań Machowskiego była sztuka. Wykorzystanie malarstwa podczas spotkania w barze wydawało się jednak równie karkołomne jak użycie nekropolii. Jeśli chodzi zaś o literaturę, drugą wymienioną przez Holy dziedzinę sztuki, którą pasjonował się Robert, problem leżał po stronie Dominiki. O literaturze wiedziała tyle ile przeciętny pisarz o uwodzeniu kobiet.

Regularnie chodziła do kina i teatru, mniej chętnie, choć wcale nie rzadziej, odwiedzała muzea, filharmonię i operę, mówiąc krótko, orientowała się w życiu kulturalnym miasta całkiem niezle. Miała do czynienia z ludźmi bogatymi, a ci zawsze trzymają się blisko kultury, dodając sobie za jej pomocą szlachetności. Literatura jest jednak tą dziedziną kultury, która ma mniejszą od innych moc otaczania ludzi nimbem elegancji. Literaturę trudniej przełożyć na prostą czynność o charakterze publicznym, jak snucie się po galerii z kieliszkiem wina czy oglądanie spektaklu. Demonstrowanie klasy i obycia przy użyciu książek byłoby po pierwsze bardziej pracochłonne (należałoby je czytać), po drugie trudniejsze (należałoby opowiadać o nich innym) niż robienie tego podczas otwarcia jakiejś wystawy albo na premierze sztuki. Dlatego Dominika sięgała po książki rzadko (wyjątek stanowiły poradniki psychologiczne), chyba że jakąś ekranizowano, jak na przykład *Pięćdziesiąt twarzy Greya*, i wtedy mówiła, że wprawdzie film jest niezły, ale nie uchwycił wszystkich subtelności literackiego pierwowzoru. Gdyby więc przyszło jej uwodzić mężczyznę z pomocą literatury, musiałaby się do tego odpowiednio przygotować, tak jak wkuła niegdyś historię Austro-Węgier, żeby uwieść pewnego znawcę tematu. Ale Robert Machowski nie był znawcą, był żądnym wiedzy adeptem... Z braku innych opcji Dominika postawiła więc na literaturę i zdecydowała, że podążając śladem Machowskiego, będzie mieć ze sobą książkę.

## Trudne rozmowy

W sobotę w związku z zapowiedzianą wizytą gości willę państwa Machowskich przejęła we władanie rezolutna gosposia. Cichy zazwyczaj dom od samego rana wypełnił się odgłosami sprzątania i kuchennej krzątaniny, która po południu przyniosła efekt w postaci zapachu świeżo upieczonego sernika. Waniliowy aromat rozchodził się po pomieszczeniach, tworząc mylne wrażenie panującego w domu szczęścia i harmonii. Za zamkniętymi drzwiami gabinetu domownicy prowadzili bowiem ożywioną rozmowę, balansując na granicy kłótni.

Ania oświadczyła Robertowi, że chce wycofać Art. A z udziału w konkursie „Widoki na przyszłość”. Decyzję podjęła już jakiś czas temu, ale dopiero teraz zebrała się na odwagę, żeby zakomunikować ją mężowi.

– Jesteś tego pewna? – zapytał troskliwie Robert, który wyglądał na zmartwionego.

– Oczywiście.

– Ale dlaczego? Nie bardzo rozumiem...

– Już ci mówiłam, nie mam ochoty się w to dłużej bawić.

Drażliwość w głosie Ani wystarczyła Robertowi, żeby nie kontynuować rozmowy, która groziła kłótnią, ale nie mógł tak po prostu zaakceptować tego, co usłyszał. Ania wykonywała kolejny krok wstecz. Najpierw niemal całkowicie zrezygnowała z zarządzania galerią, zostawiając ją na pastwę pracowników, teraz postanowiła wycofać się także z pracy w konkursie.

Robert przyglądał się żonie z podejrzliwością. Siedziała przed nim z naburmuszoną miną, którą w ostatnim czasie tak często u niej widywał, że powoli zaczynała go irytować. Czy to możliwe, że ta kobieta jest tą samą, z którą jeszcze do niedawna mógł spędzać długie godziny na oglądaniu serialu i trzymaniu jej za rękę, a teraz boi się z nią rozmawiać? Czy człowiek może się aż tak zmienić? I nagle przemknęło mu przez myśl pytanie: a jeśli nie chodzi o Bolonię? Ania zmieniła się po powrocie z bolońskich Targów Sztuki, a ponieważ Robert wiedział, ile wysiłku kosztowało ją zorganizowanie wystawy i jak wielkie nadzieje z nią wiązała, był przekonany, że jej dziwne zachowanie jest reakcją na to, co wydarzyło się we Włoszech. A skoro tak, był pewien, że pewnego dnia wszystko wróci do normy. Z doświadczenia wiedział, że tego typu rozczarowania nigdy nie trwają zbyt długo. Ale co, jeżeli się mylił – co, jeżeli wcale nie chodziło o Bolonię?

Na dobrą sprawę, skąd mógł to wiedzieć? Ania nie chciała z nim w ogóle na ten temat rozmawiać i pierwszy raz w życiu całkowicie go od siebie odcięła. Do targów odniosła się tylko raz. Po powrocie z Włoch stwierdziła, że w kwestiach sztuki nigdy niczego nie można przewidzieć – to, co nie podoba się teraz, może spodobać się później, a ona jest pewna, że wystawa Art. A była dobra i dlatego nie zamierza się przejmować. Robert przyjął jej słowa z ulgą, brzmiały rozsądnie, beztrzesko i bardzo w stylu Ani, która potrafiła rozdzielać w życiu rzeczy ważne od mniej ważnych. Uwierzył, że naprawdę tak myśli.

Niestety, szybko się przekonał, że nawet z najrozsądniejszych słów niewiele wynika, jeżeli wszystko im przeczy. Ania straciła zainteresowanie pracą, całe dni spędzała w domu albo na siłowni i nie wyglądała na kogoś, kto się nie przejmuje. Być może wróciła do malowania, ale tego Robert nie był do

końca pewien, bo ilekroć pytał ją, czy malowała, zachowywała się tak, jakby wtrącał się w nie swoje sprawy. Stała się chimeryczna, rozdrażniona i przewrażliwiona. W trakcie rozmowy przestawała się nagle odzywać lub odpowiadała półgębkiem, obrażała się bez powodu i często wybuchła gniewem. Gdyby tak bardzo jej nie kochał, z całą pewnością przestałby ją lubić. Najgorsze dla Roberta było to, że nic nie mógł zrobić. Kiedy tylko próbował na ten temat rozmawiać, natychmiast dostawał po głowie. Na każde jego pytanie: „czy coś się stało?”, Ania odpowiadała: „nic się nie stało, co się miało stać”, na każde jego: „czy mogę coś zrobić, żebyś poczuła się lepiej?”, dostawała jeszcze większego szału. Na propozycję wyjazdu na wakacje usłyszał pogardliwe: „chyba ci gorzej”. Nie naciskał, czekał, aż wszystko wróci do normy. Co więcej mógł zrobić? Nie potrafił rozwiązać problemu, skoro problem nie istniał. Wiedząc jednak, że Ania jest silną i ambitną osobą, był przekonany, że pewnego dnia wyjdzie z impasu – to pozwalało mu wytrwać. Od pewnego czasu liczył też na to, że praca nad „Widokami” będzie tym impulsem, który pomoże jej wrócić do działania, a przy okazji zbliży ich znowu do siebie. Dlatego to, co usłyszał, tak bardzo go rozczarowało.

– Słuchaj, oczywiście zrobisz tak, jak będziesz chciała... – powiedział, nie wiedząc nawet, że już samym tym sformułowaniem wprawił żonę we wściekłość.

Och, jaki jestem wielkoduszny, zakpiła w myślach Anka.

– ... ale namawiałam cię do tego, żebyś to jeszcze przemyślała. Czy coś się stało, co skłoniło cię do podjęcia takiej decyzji?

Tak stało się, nie mogę na ciebie patrzeć.

– Dlaczego ty zawsze zakładasz, że coś się stało? Czasami rzeczy dzieją się bez powodu. Straciłam zainteresowanie, mam ważniejsze rzeczy na głowie.

– Jakie? – zainteresował się i natychmiast tego pożałował.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że nic nie robisz?

– Skąd w ogóle ten pomysł?

– „Jakie rzeczy?!”, „co ty możesz w ogóle robić?!”, „przecież ty nic nie robisz!”.

– Niczego takiego nie powiedziałem – Robert próbował się bronić.

– Ale tak to zabrzmiało.

Postanowił, że nie da się sprowokować.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłem. Chciałem tylko wiedzieć, dlaczego podjęłaś taką decyzję. Bo jeżeli zrobiłaś to z jakiegoś określonego powodu, na przykład coś ci się nie podoba w formule konkursu albo w sposobie wyłaniania zwycięzcy, to może, wiesz, można by to naprawić i ...

– A więc to, że po prostu nie chcę w tym brać udziału, nie jest dla ciebie żadnym powodem? – rzuciła oskarżycielskim tonem.

– Przecież wiesz, że nie o to mi chodzi – starał się zabrzmieć lekko, żeby nie zaognić sytuacji. – Myślałem, że dobrze nam się razem pracowało, i stąd moje zaskoczenie.

To było dawno temu, pomyślała.

Milczała. Powędrowała myślami do zeszłego roku, który wydał jej się odległy jak zeszłe stulecie. Najsmutniejszy było to, że Robert miał rację.

– Tak, dobrze nam się pracowało – w jej głosie zabrzmiał smutek. – Ale czas na nowe wyzwania.

I znowu dał się nabrać.

– Masz coś konkretnego na myśli? – zapytał podekscytowany.



Ja pierdolę, znowu to samo!

– Tak tylko powiedziałam. Czemu ty ciągle chcesz mnie czymś zająć?

Znowu to samo, pomyślał także Robert i poczuł rezygnację. Uznał, że lepiej będzie, jeśli przełożą tę rozmowę na inny termin.

– Jak chcesz to rozegrać?

– Co masz na myśli?

– Nie możemy zmienić regulaminu w trakcie trwania konkursu...

... to byłoby nieuczciwe w stosunku do uczestników...

– ... to byłoby nieuczciwe w stosunku do uczestników. Jeżeli naprawdę nie chcesz się tym zająć, oddeleguj kogoś pracownika. Ktoś z galerii musi wziąć w tym wszystkim udział. Oficjalnie wycofamy galerię w następnej edycji – wyjaśnił, siląc się na uśmiech. – Czy takie rozwiązanie ci odpowiada?

Anna skinęła głową. Chodziło tylko o to, żeby nie pracować z Robertem, reszta nie miała dla niej znaczenia. Oboje odetchnęli.

– Co powiesz na to, żebyśmy uczcili nasze rozstanie kawałkiem sernika? – zaproponował Robert, bo zapach ciasta kusił go już od dłuższego czasu.

– Rozstanie?

– Zawodowe, w sensie.

– A, tak. – Ania uśmiechnęła się lekko. – Zapomnij. Myślisz, że pani Marysia pozwoli ci tknąć sernik przed przyjściem gości?

– Zobaczymy.

Robert wstał z fotela i chwycił żonę za koszulkę, żeby zaciągnąć ją do kuchni. Wciąż jeszcze łapał się na wykonywaniu w stosunku do niej tych śmiesznych gestów, które od zawsze były częścią ich związku, i dopiero po chwili zeszytniał z przerażenia, uświadamiając sobie, że Ania może nie być w nastroju do żartów.

Pani Marysia uległa urokowi pana prezesa i poczęstowała małżonków świeżo upieczonym sernikiem. Zjedli ciasto i była to najmiłsza chwila tego dnia, który i tak skończył się dla nich spięciem.

Tłumacząc się później ze swojego zachowania, Ania stwierdziła, że z równowagi wyprowadziła ją dziewczyna Jerzego. Robert miał jednak wrażenie, że to on przyczynił się do wybuchu żony. Co takiego zrobił? Tego nie wiedział, ale zaczynała kielkować w nim niepokojąca myśl, że sama jego obecność działa na Anię drażniąco.

– Czy ja wam już mówiłam, że macie szokująco piękny dom?! – zachwycała się Aleksandra, dziewczyna Jerzego, kiedy około siedemnastej usiedli na tarasie z tyłu domu.

Dziewczyna miała trzydzieści lat i było to jedyne osiągnięcie w jej życiu. Nawet romansu z Jerzym Jasieniakiem nikt o zdrowych zmysłach nie poczytałby jej za sukces, bo chociaż przyjaciel Roberta posiadał spory majątek, był wcieleniem skąpstwa, a ponadto przypominał krasnoluda Gimlego z filmowej z adaptacji *Władcy Pierścieni*.

– To szokujące, ale nie mówiłaś – odparła żartobliwie Ania, wywołując uśmiech na twarzy Roberta i zaniepokojenie na twarzy Jerzego, który bał się ciętego języka Anki.

– Robert mówił, że spodziewacie się twojej siostry – ni to spytał, ni zasugerował Jerzy, ale zanim zdążył usłyszeć odpowiedź, zza winkla domu wybiegła niespodziewanie Julia, trzyletnia siostrzenica

Anny.

– Uważaj, żebyś nie wpadła do basenu! – upomniął dziewczynkę głos, który po chwili przybrał postać Zuzanny Bubuli, starszej siostry Anki. I trzeba powiedzieć, że nie była to byle jaka postać.

Fenomen Zuzanny Bubuli polegał na tym, że chociaż kobieta nie była piękna, a mówiąc wprost, nie była nawet ładna, ludzie nadzwyczaj często ją komplementowali. „Wyjątkowa”, „piękna”, „zachwycająca” to tylko nieliczne spośród określeń, jakie padały pod jej adresem. Siostra Ani robiła duże wrażenie, czego zresztą była świadoma. Na pytanie, jak to robi, odpowiadała: „sekrety damy”, a ponieważ nie miała w zwyczaju opowiadać o tym, w jakim sklepie się ubiera, jakich kosmetyków używa i kto ją strzyże, określenie to zyskało w gronie jej znajomych nimb prawdziwej tajemnicy, którą wiele kobiet pragnęło poznać.

Zuzanna była gotowa zdradzić „sekrety damy” tylko jednej osobie, ale paradoks sytuacji polegał na tym, że tej jednej osoby zupełnie to nie interesowało. Ania, bo o niej mowa, należała do modowych i urodowych ignorantów. Fakt ubierania się traktowała w tych samych kategoriach co czynności fizjologiczne, jako konieczną stratę czasu, a zawód stylisty uważała za równie potrzebny jak zawód trenera sikania. Postawa Anki budziła niesmak Zuzanny, która z jednej strony wstydziła się za prezencję swojej młodszej siostry, z drugiej zaś odczuwała złość, że pomimo tej prezencji Anna jest żoną jednego z najprzystojniejszych facetów, jakich kiedykolwiek widziała. Uczucia Zuzanny, która szczerze kochała siostrę, nie wynikały bynajmniej z zazdrości, ale z poczucia „niewłaściwości” takiego stanu rzeczy. Powyższa rozbieżność godziła bowiem w światopogląd Zuzanny, w całą jej życiową filozofię opartą na przekonaniu, że kobieta musi dobrze wyglądać, żeby złapać i utrzymać przy sobie mężczyznę. Jakim prawem jej siostra nie spędza kilku godzin dziennie na malowaniu się i ubieraniu, na czytaniu o nowościach kosmetycznych i chodzeniu po sklepach, a mimo to jest żoną przystojnego milionera? Zuzanna poświęcała tym czynnościom niemal cały swój wolny czas, a efekt jej wysiłków sprowadzał się do zaledwie jednego byłego męża i dwóch obecnych kochanków, w tym jednego rudego. Poza tym Zuzanna bała się, że pewnego dnia jej szwagier przejrzy na oczy. Uważała, że jeśli Anka nie zacznie o siebie dbać, może w końcu stracić męża, o czym nie omieszczała siostrze przypominać. Nawet teraz, zlustrowawszy Anię od dołu do góry, zdołała wyszeptać jej do ucha, że ogrodniczki przestały być modne wraz ze zniesieniem niewolnictwa. Anka odparła pogardliwe „eee” i pobiegła uściśnąć Julkę, która piszcząc wniebogłose, uciekała właśnie przed bardzo złym Robertozaurem.

– Robert byłby wspaniałym tatą! – powiedziała Aleksandra, kiedy Ania wróciła do stołu.

– Rzeczywiście, uwielbia dzieci, a zwłaszcza moją Julkę – odparła Zuza.

– Powinniście mieć dzieci! – wykrzyknęła w zachwycie Aleksandra.

Ania zignorowała słowa dziewczyny, którą w tym momencie uznała za kretynkę.

– Robert! – zawołała, chcąc przywołać męża na pomoc, ale ryk dinozaura i pisk dziewczynki skutecznie zagłuszyły jej wołanie. – Chodź tu szybko, zajmij się gośćmi! – krzyknęła jeszcze głośniej i jakby rozpaczliwie, niestety wciąży bez odzewu.

– Daj mu spokój, sami się sobą zajmijmy. – Zuzanna chwyciła stojącą na stole butelkę wina i napełniła kieliszek.

– Ja też lubię dzieci – stwierdziła Ola, patrząc na Jurka.

– Robert! – Anka podjęła kolejną próbę. – Kurwa! – zakląła, ściągając na siebie zdziwione spojrzenia siedzącej przy stole trójki.

\*

Janek Blak ściszył radio i nadstawił ucha. Zza otaczającego willę muru dobiegał pisk dziecka. W ciągu ostatniej godziny na teren posiadłości wjechały dwa samochody, ale żaden nie był czarnym land roverem, którym, jak się dowiedział, jeździła żona prezesa. Usłyszawszy hałas, zwątpił w powodzenie swojej misji – wyglądało na to, że u Machowskich odbywa się impreza. Zrezygnowany sięgnął do schowka, w którym trzymał zapasy ulubionej białej czekolady. Wyciągnął jeden z charakterystycznych ostrosłupów, ale po otwarciu tektury przekonał się, że owinięta w sreberko czekolada przypomina w dotyku plastelinę. Po namyśle wrzucił ją z powrotem do schowka. Postanowił, że poczeka jeszcze pół godziny. W panującym upale – termometr wskazywał 35 stopni – siedzenie w samochodzie bez klimatyzacji nie było przyjemne, ale również z tego powodu nie chciał zbyt szybko zrezygnować. Nie zamierzał dawać argumentu tym, którzy twierdzili, że już dawno powinien wymienić samochód na nowszy. Janek jeździł dwudziestopięcioletnim oplem calibrą, który poza tym, że nie miał klimatyzacji, to palił jak SUV, rdzewiał i wymagał od niego coraz większych dowodów miłości. Mężczyzna spojrział na analogowy zegarek na desce rozdzielczej, po czym wrócił do obserwowania bramy wjazdowej.

\*

Robertozaur dopadł wreszcie swoją zdobycz.

– Wujek powiedział, że musimy zjeść sernik – oświadczyła Julia, gdy Robert postawił ją przy matce.

– Skoro musim, to musim.

Zuzanna usadowiła córkę na kolanach. Robert położył dłonie na ramionach Ani i poczuł jej delikatny ruch barków, jakby próbowała uwolnić się spod jego dotyku. Usiadł obok niej.

– Wszystko w porządku?

– Pewnie – odparła Ania, ale odwróciła się tak, by nie patrzeć Robertowi w oczy.

Mężczyzna pociągnął ją za koszulkę.

– Co tam ciekawego?

– Wołałam cię wcześniej – powiedziała.

Nie było w jej głosie pretensji, a mimo to Robert poczuł niepokój

– Ale nie słyszałeś...

– Trudno przebić się przez ryk prawdziwego Robertozaura, rrrrrr!!! – zaryczał, wywołując radość Julki.

– Przepraszam na chwilę. – Ania wstała od stołu i szybkim krokiem ruszyła w stronę domu.

Czuła, że do jej oczodołów napływa wielka fala łez, której zaraz nie będzie mogła powstrzymać.

Robert odczekał chwilę, po czym podniósł się z miejsca.

– Zaraz umrę z głodu! Pójdę sprawdzić, czy jedzenie jest już gotowe.

Znalazł Anię w sypialni. Zwinięta w kłębek leżała na łóżku.

– Co ci jest, Aniu?

– Nic.

– Przecież widzę, że coś się stało, powiedz.

Robert usiadł na łóżku i z czułością położył rękę na plecach żony.

– Zostawiłeś mnie z tą kretynką! – wybuchła nagle Anka.

Absurdalność zarzutu zabiła mężczyznę z tropu i przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Ale... ale... masz na myśli Aleksandrę?
- Tak! Mówiłam, że nie chcę się z nimi spotykać!
- Sądziłam, że powiedziałaś, żeby przyszli.
- A co miałam powiedzieć? Żeby nie przychodzili?

Robert wziął głęboki oddech.

- Andziu, musisz mi mówić o swoich uczuciach. Ja nie jestem Duchem Świętym i nie potrafię odczytywać twoich emocji. Skąd mam wiedzieć, że nie masz ochoty na spotkanie, jeśli mówisz mi coś przeciwnego?

Nieświadomie zabrał rękę z jej pleców, a ona odebrała ten gest jako napomnienie. Przestraszyła się, że tym razem przesadziła.

- Masz rację – przyznała. - Nie chciałam wyjść na żółcę, dlatego powiedziałam, żeby przyszli. Ale masz rację, powinnam była powiedzieć, że nie mam ochoty się z nimi widzieć. Możemy wracać. - Poderwała się z łóżka.

- Jeśli nie masz ochoty do nich wracać, powiem, że źle się czujesz. Wszyscy zrozumieją. Zostaniesz i odpoczniesz.

- Nie, nic mi nie jest. Tylko nie zostawiaj mnie już samej, nawet jak Julka miałaby się rozplakać.

- Nie opuszczę cię na krok, przysięgam! - Robert zmierzwił jej włosy.

- Przepraszam - powiedziała cicho, a on w odpowiedzi pocałował ją w usta.

Wrócili na taras, gdzie trwała ożywiona dyskusja.

- Ty będziesz złym dinozaurem. - Julka wskazała palcem na Roberta, który natychmiast przemienił się w Robertozaura. Dziewczynka umknęła pod stół.

- Znowu zachwycam się waszym domem. Na pewno sama go zaprojektowałaś, prawda, Aniu? - zaszczębiotała Aleksandra.

- Nie, zatrudniliśmy projektanta.

- Ale założył się, że wewnątrz dekorowałaś samodzielnie. Widać w tym wszystkim rękę artysty.

- Zatrudniliśmy projektanta.

Aleksandra posmutniała, reszta towarzystwa zaniosła się śmiechem.

- Myślałam po prostu, że jako artystka lubisz takie rzeczy, no, wiecie, projektowanie, zarządzanie.

- Znam się trochę na malowaniu i lubię to robić, pozostałe dziedziny zostawiam innym.

- O, tak? A ja myślałam, że prowadzisz też galerię sztuki.

- Jesteś złym dinozaurem i mnie gonisz! - Julka pociągnęła Roberta za nogawkę.

- Nie prowadzę galerii.

- Może jeszcze wina? - zaproponował Robert, mimo że kieliszki gości były jeszcze pełne.

- Gonisz mnie!

- Jak to? Przecież mówiłeś, że Ania ma galerię - Aleksandra spojrzała z oburzeniem na Jerzego - że byłaś z wystawą we Włoszech...

- Bycie właścicielem a zarządzanie instytucją to dwie różne rzeczy, prawda, Robert? - wtrąciła Zuzanna, chcąc zmienić temat.

Nikt ze znajomych nie omawiał w obecności Anki sprawy targów, a wiedząc, że Anka nie najlepiej znosi całą sytuację i że odsunęła się od zarządzania Art. A, nie pytano jej już nawet o samą galerię.

– Jesteś złym dinozaurem! – nalegał głos spod stołu.

– Wyobrażam sobie, że nie jest łatwo łączyć zajęcie artysty z zarządzaniem galerią – powiedziała Aleksandra, wywołując u pozostałych mocniejsze bicie serca.

Robert i Zuzanna uznali, że mają do czynienia z tępą idiotką.

– A ty czym się zajmujesz? – Zuzanna zwróciła się do Aleksandry.

– Na pewno nie mam galerii. – Dziewczyna się roześmiała.

– Jesteś złym dinozaurem! – wrzasnęła Julka.

– Jestem bardzo złym Robertozaurem, a to jest bardzo zły Aniozaur i zaraz cię złapiemy. – Chcąc oszczędzić żonie dalszych katuszy, Robert złapał ją za rękę i rzucił się w pogoń za dziewczynką, która o mały włos nie zemdląła z zachwyty, bo teraz goniły ją dwa straszne dinozaury.

Ania wcieliła się w rolę, ale jej zapal szybko się ulotnił. Stanęła w miejscu i patrzyła, jak Robert pędzi za dziewczynką.

– Aniozaurze, dlaczego się z nami nie bawisz? – zapytała Julka, przebiegając obok ciotki.

– Bo ta zabawa jest głupia! – wrzasnęła Anka i nie oglądając się na nikogo, pobiegła prosto do domu.

Robert odstawił zszokowaną dziewczynkę do nie mniej zszokowanej matki i pobiegł za żoną.

– Co się z tobą dzieje? – dorwał ją w kuchni. – Przecież to jeszcze dziecko.

– I co z tego? Stało się coś strasznego? Złamałam jej serce? Już do końca życia będzie musiała chodzić do psychiatry, bo ciotka nie chciała się z nią bawić? Nie przesadzaj.

– Ty powinnaś iść do psychiatry – wypalił ze złością.

W oczach Anki zaświeciły łzy. Porwała swoją torebkę i wybiegła z domu.

\*

Janek kończył właśnie wylizywać sreberko z czekolady, której dał ostatecznie szansę, kiedy obserwowana przez niego brama zaczęła się rozsuwać, a po chwili czarny land rover wyjechał z posesji. Kurwa, odrzucił papierek, wytarł usta brzegiem dłoni i sięgnął po aparat leżący na sąsiednim siedzeniu. Pstryknął kilka zdjęć i ruszył za land roverem. Samochód jechał szybko, a prowadząca go kobieta zaimponowała Blakowi swoją odwagą. Kiedy stali na światłach, do land rovera podbiegł chłopak ze szczotką i płynem do mycia szyb. Kobieta podziękowała za usługę, a kiedy chłopak mimo wszystko próbował dostać się do jej szyby, puściła w ruch wycieraczki.

– Pizda – wrzasnął gówniarz, który podszedł następnie do calibry.

Janek zawsze płacił tego typu oprychom, obawiając się, że jeśli postąpi jak kobieta przed nim, oberwie szczotką w zabytkową szybę. Odruchowo sięgnął po drobne, które trzymał w popielniczce, i wręczył je chłopakowi.

– Dzięki, stary – powiedział nastolatek. – A przy okazji, strasznego masz gruchota – dorzucił.

– Oddawaj kasę, skurwysynu! – wrzasnął Janek. Gdyby nie musiał śledzić kobiety, nie podarowałby gnojowi zniewagi.

Podróż za land roverem trwała niecałe piętnaście minut i zakończyła się na parkingu przed klubem fitness. Janek zaparkował w bezpiecznej odległości od SUV-a, przygotował aparat i czekał. Pech chciał, że wychodząc z samochodu, kobieta pochyliła głowę, szukając czegoś w torebce. Detektyw pstryknął kilka zdjęć, ale wiedział, że nie zdołał uchwycić twarzy. Zaklął siarczyście, bo wizja czekania, aż kobieta

wróci z siłowni, nie przypadła mu do gustu. Ale ona, zamiast iść w stronę wejścia, oparła się o maskę swojego samochodu i zapaliła papierosa, którego wygrzebała wreszcie z torebki. Blak rozejrział się wokół, szukając odpowiedniego miejsca do zrobienia zdjęcia. Wypatrzył jedno z rosnących wzdłuż parkingu drzew i wysiadł z samochodu. Po trzydziestu sekundach był już za drzewem. Ustawił obiektyw i strzelił kilka fotek. Sprawdził zdjęcia na podglądzie, tym razem wyszły idealnie. Już miał wracać, kiedy zauważył, że do land rovera podszedł ubrany na sportowo młody mężczyzna z torbą w rękę. Mężczyzna pocałował kobietę w usta. Co, do cholery? Czyżby brzydka żona zdradzała milionera? Pstryknął zdjęcie. Z całą pewnością nie był to pocałunek znajomych. Teraz ona, jakby było jej mało, pocałowała jego. Pstryk. Mężczyzna wrzucił sportową torbę na tylne siedzenie samochodu i wsiadł do środka. Pstryk. Po chwili odjechali. Janek wrócił do samochodu, zrobił telefonem zdjęcia zdjęciom w aparacie i wysłał Dominice snapa. „To ona” – otrzymał natychmiastową odpowiedź.

\*

Tym razem Anka nie zamierzała wylewać przed Tomkiem swoich żalów. Wartość kochanka polegała na tym, że przy nim nie czuła się tak winna jak przy Robercie i dlatego czasami odzyskiwała w jego towarzystwie spokój ducha. Tomek, który nie wiedział o jej problemach z galerią i małżeństwem, o tym, co wydarzyło się we Włoszech, potrafił sprawić, że galeria, małżeństwo i Włochy przestawały istnieć. Oczywiście nie trwało to nigdy zbyt długo, ale czasami wydawało jej się, że te krótkie chwile zapomnienia utrzymują ją przy zdrowych zmysłach. Dlatego żalowała, że powiedziała mu o wynajęciu uwodzicielki, bo dopóki trzymała go z daleka od swoich zmartwień, nie musiała się przed nim z niczego tłumaczyć. Teraz mogła mieć tylko nadzieję, że tak jak obiecał, zaufa jej w tej sprawie i nie będzie do niej wracać. Ostatnie, czego potrzebowała, to pouczeń i pretensji, które zrujnowałyby jedyny bastion jej spokoju.

Ale Tomek zamierzał wrócić do tematu. Zdążył już przemyśleć nową sytuację i wpadł na pomysł, jak zaadaptować ją do swoich celów. A kiedy już cała historia ułożyła mu się w głowie, uznał, że może lepiej się stało, bo teraz motywacja prośby, którą planował przedstawić kochance, brzmiała naprawdę przekonująco. Dlatego kiedy Anka zadzwoniła z pytaniem, czy mogliby się spotkać, zgodził się bez wahania, choć nigdy wcześniej dla nikogo nie przerwał prywatnego treningu.

– Hej, pięknie wyglądasz – powiedział na widok czarownicy i czule ją pocałował, czego nigdy dotąd nie robił, tym bardziej w miejscu publicznym. Wychodząc z klubu, przysięgł sobie, że ten wieczór rozegra idealnie, i z tego powodu powstrzymał się nawet od komentarza na temat papierosa.

– Cześć. – Anka wyrzuciła niedopałek na ziemię. – Pójdziemy na lody?

– Tłuszcz i cukry proste?

– Możesz patrzeć, jak ja jem.

– Pewnie – zgodził się bez dalszych protestów. Zaczynał już rozpoznawać nastroje Anki i wiedział, że jeszcze jedno jego niewłaściwe słowo i dziewczyna może stracić ochotę na cokolwiek.

Wsiedli do samochodu.

– „Let’s get loud, let’s get loud / Turn the music up, let’s do it”.

Tomek podkreślił głośnik, w którym wraz z odpaleniem silnika odezwała się cicho Jennifer Lopez. Podczas drogi śpiewał razem z J.Lo, tańcząc w fotelu. „If you want to live your life / Live it all the way and don’t waste it”.

– Kocham J.Lo! – krzyknął z przejęciem tak autentycznym, że Anka wybuchła śmiechem. – No co?!

– Nic, śpiewaj dalej.

– „You gotta do it, you gotta do it your way / You gotta prove it / You gotta mean what you say”.

Dokończył piosenkę, nie przestając tańczyć, aż doprowadził tym Anię do łez. Na szczęście dojechali do restauracji, zanim całkowicie straciła ostrość widzenia.

Usiedli w ogródku. Trener postanowił poczekać, aż kelner przyniesie zamówienie, i dopiero gdy Anka otrzymała gigantyczny puchar lodów, a on szklankę soku, przeszedł do rzeczy.

– Wiesz, myślałem trochę o tym, co mówiliśmy ostatnio. O tej uwodzicielce.

– Nie mówmy już o tym.

– Ale chciałbym ci powiedzieć coś ważnego.

Być może wyczuwając zdenerwowanie Tomka, Ania podniosła na niego wzrok.

– O co chodzi?

– Po naszej ostatniej rozmowie zrozumiałem, że zachowywałem się jak gówniarz. Chodzi mi o to, że popełniłem błąd, bo nie myślałem o przyszłości. Cieszyłem się teraźniejszością, bo teraźniejszość mi wystarczała, bo ty mi wystarczasz. Nikogo innego i niczego innego nie potrzebuję – mówił.

Tymczasem Anka, kiedy tylko wyłapała ton wypowiedzi i rozumiała, że trener znowu przeprasza ją za ostatnią rozmowę, skupiła się na jedzeniu lodów.

– Zrozumiałem, że wynajęłaś tę kobietę z myślą o przyszłości, i dlatego ja też zacząłem o tym myśleć. Zacząłem się zastanawiać: a co, jak sprawa nie wypali? A co, jak się wyda, jak to, jak tamto, rozumiesz? Cała seria pytań pod tytułem, że coś pójdzie nie tak i zostaniemy w czarnej dupie. Bo pomysł jest dobry, tylko ryzykowny. A dlaczego jest ryzykowny?

Wzruszyła ramionami, ładując do ust kolejną łyżeczkę.

– Jest ryzykowny, ponieważ możesz wszystko stracić, a ja nie jestem w stanie zapewnić ci godnej przyszłości. Tak, to prawda i proszę, nie zaprzeczaj.

Nie zamierzała niczemu przeczyć, więc mówił dalej:

– Jestem tylko skromnym trenerem fitness, mieszkam w wynajętym mieszkaniu i nie mam nawet stelaża pod materac...

– To akurat mi się podoba – wtrąciła Anka, próbując zbić podniosły nastrój rodem z piosenki disco polo.

Tomek sięgnął po stojącą przed nim szklankę. Wypił sok jednym haustem. Przechodził do ataku i mimo że uważał sprawę za wygraną, poczuł zdenerwowanie.

– Chcę, żebyś to dobrze skumała. Ja nigdy wcześniej o tym nie myślałem, bo nie było po co. Byłem sam i wystarczało mi to, co mam, ale teraz sytuacja się zmieniła. I w związku z tym wpadłem na pewien pomysł.

Anka spojrzała na Tomka z ciekawością, nigdy nie widziała go tak podenerwowanego.

– Otworzymy klub fitness! – wypalił Kantereit. – Profesjonalny sprzęt, najlepiej niemiecki, podział na strefę aktywności i strefę relaksu, kawiarnia z prawdziwą kawą, z podgrzewaczem do filiżanek – mówił szybko, zarysowując rękami podział na strefy, a potem odgrywając zaparzenie kawy. – Co o tym myślisz? – zapytał z udawanym połączeniem strachu i niepewności, które poprzedniego dnia ćwiczył przed lustrem.

– To wspaniały pomysł, jestem przekonana, że stworzysz najlepszy klub w mieście.

– Naprawdę tak uważasz? Taki klub zapewni nam środki na utrzymanie do końca życia. Będziemy razem, na poważnie, od zaraz.

– Nam?

– No, nam, a komu?

– Sądziłam, że mówisz o marzeniu, o dalekiej przyszłości. Otwarcie takiego klubu musi kosztować majątek, skąd weźmiesz na to pieniądze?

– Przemyslałem to dokładnie, każdą możliwość. Są dotacje, kredyty i tak dalej, ale jest jeden sposób, który przebija wszystkie inne, i o tym chciałbym z tobą poważnie porozmawiać. Nie prosiłbym cię o to, gdyby nie chodziło o naszą wspólną przyszłość, ale w tej sytuacji nie mam skrupułów. – Serce Tomasza zabiło jeszcze mocniej. – Uważam, że najlepiej będzie, jeśli wygram konkurs „Widoki na przyszłość”.

– Czekaj, czekaj, chodzi ci o konkurs Budmachu?

– Aha!

– Świetny pomysł. Jest tylko jeden problem: termin nadsyłania prac minął dawno temu. Wkrótce finał – niemal zadrwiła.

– Wiem o tym, wysłałem swoje zgłoszenie.

– Jak to? Kiedy?

– Jeszcze zanim zaczęliśmy się spotykać.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Bo nie chciałem. Nie chciałem cię stawiać w niezręcznej pozycji, że niby czegoś oczekuję czy coś. Ale teraz nie mam wyjścia i chciałbym cię oficjalnie prosić, żebyś wygrała dla nas ten konkurs.

– Ale ja nie biorę w tym udziału! Poza tym, naprawdę mówisz poważnie?

Tomek zbladł.

– No tak...

– To naprawdę jest dziwny zbieg okoliczności. – Anka pokręciła z niedowierzaniem głową. – Dzisiaj zrezygnowałam z pracy w konkursie.

– Zrezygnowałaś? Ale dlaczego? – ze wszystkich sił starał się nie zabrzmieć rozpaczliwie, choć czuł się tak, jakby ktoś przywalił go głazem.

– Jakie to ma znaczenie?! – Ciekawość Tomka wydała się Ance nie na miejscu. – Załóżmy nawet, że mogłabym to zrobić...

Serce trenera weszło na obroty, na które nie doprowadził go nigdy żaden trening cardio.

– A mogłabyś?

– Pewnie, że bym mogła – rzuciła lekceważąco.

Ktoś odsuwał głaz...

– Ale czy naprawdę chciałbyś, żebym to zrobiła?

– Jasne, inaczej bym przecież o tym nie mówił.

– Mówisz poważnie?

– A co w tym złego? Ktoś i tak wygra ten konkurs, dlaczego nie ja? W sensie my – poprawił się natychmiast. – Sama powiedziałaś, że stworzę najlepszy klub fitness w mieście. Nie wiem, dlaczego tak cię to dziwi. – I naprawdę nie wiedział. Tomek był równie zdziwiony niedowierzaniem Anki, jak ona jego prośbą. – To jest uczciwsze od napuszczania płatnej kochanki na męża.

Poczuła ukłucie. Miał rację, nie miała prawa go osądzać.



– Nieważne, i tak nie ma o czym mówić. Zrezygnowałam z konkursu, przecież nie zmienię nagle zdania!

Tomek poczuł, jak wzbiera w nim rozpacz.

– A co w tym dziwnego, że kobieta zmienia zdanie?! Zachowujesz się tak, jakbyśmy planowali morderstwo. Tak, jakbyś nie chciała od niego odejść! – postanowił uderzyć z tej strony, z której ona zaatakowała jego podczas ostatniej rozmowy.

– Co ty bredzisz, to ja wynajęłam uwodzicielkę!

– To dlaczego tak się opierasz? Nie rozumiem cię. Mój pomysł jest lepszy, pozbawiony ryzyka i uczciwy.

– Po chuju – syknęła Anka, ale rozpacz Tomka nie pozwoliła wybić go z torów.

– Ty wygrasz konkurs, ja się zajmę organizacją klubu. Odejdiesz od męża, a klub nas utrzyma. Czego nie rozumiesz? – w głosie mężczyzny zabrzmiała błagalna nuta. Gdyby poświęcenie, jakim był dla niego romans, okazało się daremne, chyba strzeliłby sobie w łeb.

Wbrew pozorom Anka rozumiała. Z logicznego punktu widzenia Tomek miał rację. Gdyby wygrał konkurs i otworzył klub, mieliby zapewnioną bezpieczną przyszłość, bez konieczności uciekania się do pomocy uwodzicielki. Problem polegał jednak na tym, że z jej punktu widzenia nie chodziło ani o Tomka, ani o ich wspólną przyszłość. Zatrudniając agencję, Anka nie myślała nawet o tym, żeby wyciągnąć od Roberta pieniądze, chociaż zgodnie z zapisami interczyzy tylko rozwód z jego winy gwarantował jej część majątku. Główna wartość jej pomysłu polegała na czymś, co ona sama rozumiała jedynie intuicyjnie, a o czym Tomek nie miał najmniejszego pojęcia – że jeżeli plan wypali, ona odejdzie od męża z jego winy. Jeżeli Robert dopuści się zdrady, będzie jej łatwiej od niego odejść, być może wreszcie będzie potrafiła to zrobić.

Ania spojrzała na oszołomionego Tomka, który czekał na odpowiedź, i właśnie rozumiała, że jego także oszukała.

– Zróbmy tak – powiedziała – skoro już ją wynajęłam, to dam jej szansę. Jeśli nie uda się zrobić tego po mojemu, to zrobimy tak, jak mówisz, dobrze? Jest jeszcze trochę czasu. A kto wie, może wygrasz konkurs bez żadnej pomocy? A teraz przepraszam cię, ale muszę iść do łazienki. – Uśmiechnęła się blade. – To wszystko nie jest takie proste – powiedziała, wstając od stolika.

Co, kurwa, nie jest proste? Trener Tomek miał mętlik w głowie. Nie rozumiał, dlaczego rozmowa potoczyła się tak, a nie inaczej, za nic w świecie nie potrafił tego zrozumieć. Zakochana kobieta powinna zgodzić się na wszystko! Pierdolona Anka Prus, artystka, która nie może się zachowywać jak normalna baba. Od zawsze gardził artystami, ale teraz poczuł do nich nienawiść. Znał tych ludzi na wylot, trenował ich od lat. Spośród wszystkich zawodów świata tylko jebani artyści spóźniali się na treningi albo w ogóle nie przychodzi, nikogo o tym nie uprzedzając. I tylko z jebanymi artystami nie było o czym gadać. Najnudniejsi ludzie świata. Tomek wstał i kilka razy przeszedł się wokół stolika. Na oparciu krzesła Anki wisiała torebka. Kurwa! Rozejrzył się wokół, otworzył torebkę i zaczął ją gorączkowo przeszukiwać. Telefon znajdował się w kieszonce. Wyciągnął go i w tej samej chwili usłyszał dobiegający zza drzwi głos Anki! Prosiła o rachunek. Usiadł z telefonem na swoim krześle, plecami do drzwi. Jak się to cholerstwo odblokowuje? Dzięki Bogu telefon nie był zabezpieczony hasłem. Kroki. Kontakty. Boże, jak ona może być zapisana? Przewinął listę. Jest! Uwodzicielka. 512318... Nie zapamięta. Trzęsąc się ręką sięgnął do kieszeni po smartfon, żeby zrobić zdjęcie. Pstryk.

– Co robisz? – usłyszał nagle za plecami.

– Zrobiłem zdjęcie twoim lodom, puszcze na fejsa – odparł. – Poczekaj – powiedział, wstał i jak przystało na dżentelmena, odsunął jej krzesło od stołu, wrzucając przy okazji komórkę z powrotem do torebki.

– Dobrze się czujesz? – zadrwiła Anka, bo żeby trener fitness odsuwał jej krzesło od stolika, to już naprawdę było niepoważne.

## Podejście pierwsze

Dni poprzedzające pierwsze spotkanie z Robertem Machowskim minęły uwodzicielce spokojnie. Dominika już dawno przestała odczuwać zawodową ekscytację. Praca, która z zewnątrz sprawia wrażenie ciekawej i pełnej wyzwań, jak choćby praca strażaka, z jej perspektywy była tylko ciągłym ratowaniem uwięzionego na drzewie kota. Niewarta przygotowań nuda. Z chwilą gdy Dominika odkryła zakres posiadanej nad mężczyznami władzy, trema, którą odczuwała na początku zawodowej kariery, minęła bezpowrotnie. Jedynym wyjątkiem był krótki okres po powrocie do Polski, kiedy wraz z Jankiem rozpoczęli działalność Blacka. Nie mając doświadczenia w uwodzeniu rodaków, będąc za to przekonaną, że w kraju nad Wisłą mieszkają jedynie honorowi i prawi mężczyźni, wzorowi ojcowie i wierni mężowie, na samą myśl o kuszeniu i deprawowaniu tych wspaniałych istot odczuwała strach połączony z ekscytacją. Dodatkowych emocji związanych z debiutem na polskim rynku dostarczało jej ciągle żywe wspomnienie miłosego zawodu, jaki wiele lat temu przeżyła w Krakowie. Szybko okazało się jednak, że nie ma wielkiej różnicy pomiędzy mężczyznami stąd i stamtąd, że ci i tamci ulegają jej wdziękowi z równą łatwością, i ekscytacja przepadała bez śladu.

Dlatego emocje, które odczuwała Dominika, wiązały się nie z samym uwodzeniem – skoro to nie było dla niej wyzwaniem – ale z jego efektem: ze świadomością posiadanej nad mężczyznami władzy, z powiększaniem katalogu ofiar, a na poziomie czysto praktycznym z przyjemnością zarabiania pieniędzy. W przypadku sprawy Roberta Machowskiego dochodził jeszcze jeden element – aura ostatniej sprawy, która powodowała w sercu uwodzicielki coś w rodzaju autobiograficznego wzruszenia.

Ale w tamtych dniach największą ekscytację w sercu Dominiki budziły jednak myśli o Nowym Jorku. Dominika wpadła bowiem na pomysł, żeby swój pobyt w najwspanialszym mieście świata rozpocząć od wydania hucznego przyjęcia urodzinowego. Zgromadzenie w jednym miejscu wszystkich znajomych, którzy mieli znajomych, wśród których był ktoś, kto zna męża Cindy Crawford (w Nowym Jorku zawsze poznaje się w końcu kogoś, kto zna męża Cindy Crawford), mogło jej pomóc w osiągnięciu celu. A cel był prosty: wkroczyć do świata bogatych jeleni i upolować środki na resztę życia. Planowanie imprezy zajęło Dominice dwa dni. Dla porównania sprawie Machowskiego od momentu opracowania podejścia poświęciła jeszcze trzy godziny – wybrała się do księgarni i przeczytała zakupioną tam książkę *Dzieje Tristana i Izoldy*.

Jedynym dziwnym i zastanawiającym wydarzeniem, które miało związek ze sprawą, był telefon, który Dominika odebrała w niedzielę.

– Dzień dobry, ja się nazywam Tomasz Kantereit i chciałbym się z panią spotkać – usłyszała w słuchawce męski głos.

Numer telefonu, na który zadzwonił mężczyzna, był jednorazowym numerem wykupionym specjalnie dla sprawy Roberta Machowskiego i jedyny głos, który miał prawo pojawić się w słuchawce, należał do Holy Bitch.

– Pomyłka.

Dominika miała się już rozłączyć, ale mężczyzna zdążył ją powstrzymać:

– Nie, proszę posłuchać, jestem przyjacielem Anny Prus...– zawahał się – chodzi o to, że muszę z panią porozmawiać.

– Dzwoni pan w jej imieniu? – zapytała Dominika, domyślając się, że tak nie jest. Holy Bitch nie przedstawiła się jako Anna Prus i Dominika wiedziała, że nie zrobiła tego przez nieuwagę.

– E... No właśnie... nie... i chciałbym prosić, żeby się o tym nie dowiedziała, rozumie pani?

– Staram się.

Westchnienie ulgi.

– Tylko widzi pani, to nie jest rozmowa na telefon, więc jeśli moglibyśmy się spotkać...

– To nie mój interes – odparła twardo. – O co chodzi albo do widzenia.

– No dobrze – zgodził się, wyraźnie niezadowolony. – Chodzi o Roberta Machowskiego. Wiem, że pani... to znaczy wiem, że Anna zatrudniła agencję... i właśnie w tej sprawie muszę z panią porozmawiać, mam propozycję. Obiecuję, że nie będzie pani żałować. Tylko że przez telefon to jest naprawdę trudne do wyjaśnienia.

Milczenie.

Mężczyzna jęknął i nabrał powietrza, jakby zamierzał podnieść stukilową sztangę.

– No dobrze. To generalnie chodziłoby o to, że zapłacę pani za to, żeby ta sprawa się nie udała – wydukał i przerwał, czekając na odpowiedź uwodzicielki. – Czy mam mówić dalej? – zapytał, nie doczekawszy się żadnej reakcji.

– Nie. Dziękuję za telefon, będziemy w kontakcie.

– Ale jak to? To znaczy, że jest pani zainteresowana? Znaczą dogadamy się?

– Nigdy nie lekceważę dobrych ofert. Jeżeli oferta jest dobra...

– Tak, tak! – zapewnił gorączkowo mężczyzna.

– Jak powiedziałam, będziemy w kontakcie.

– Ale to znaczy, że do tego czasu nic się nie wydarzy... znaczy mam na myśli, że Robert Machowski nie może...

– Zrozumiałam, o co chodzi, bye.

Rozmowa wywarła na Dominice dziwne wrażenie. Z jednej strony uwodzicielka była ciekawa, kim jest Tomasz Kantereit i jakie motywy nim kierują, choć nie aż tak ciekawa, jak zapewne życzyłby sobie tego trener, z drugiej zaś była przekonana, że człowiek, z którym rozmawiała, jest cwaniakiem, a z tymi nie wchodziła w układy. Mężczyznom nie wybaczała tylko dwóch rzeczy: skarpetek noszonych do sandałów i ubóstwa produkującego cwaniaków. Odgadła oczywiście podstawowe znaczenie sytuacji – Kantereit, który jest kochankiem żony Machowskiego, człowiekiem ze zdjęcia zrobionego przez Janka, próbuje powstrzymać rozwód Machowskich, do którego doprowadzi zamówiony przez Holy film. Dla Dominiki, przynajmniej teoretycznie, oznaczało to możliwość większego zysku i gdyby jej życiowe plany wyglądały inaczej, być może zareagowałaby na ofertę z większym entuzjazmem. Ponieważ jednak wiedziała, że żaden układ z żadnym Kantereitem nie dojdzie do skutku, bo ona nie ma czasu wikłać się w układy, pozwoliła sobie na bycie protekcyjną, choć rozsądek i wrodzona przezorność każały jej zarazem pozostawić Tomasza Kantereita w odmiennym przekonaniu.

Dlatego po rozmowie z Dominiką trener uznał, że osiągnął sukces (kobieta nie odrzuciła jego propozycji i obiecała się odezwać), i po nerwówce, jaką były dla niego ostatnie dni, w niedzielę poczuł wreszcie spokój.

Tymczasem Ania, odkąd zatrudniła uwodzicielkę, z każdym dniem czuła coraz większe zdenerwowanie, którego apogeum przypadło na środę. W środę rano otrzymała od uwodzicielki wiadomość, że tego dnia wieczorem odbędzie się pierwsze podejście. Dzień spędziła więc na wynajdywaniu sobie czynności, które miały zająć jej myśli i ukoić nerwy, ale kiedy Robert wyszedł wieczorem na spotkanie z Jerzym, dostała takiego ataku tachykardii, że jedynie Bóg albo pijaństwo mogło ją od tego uwolnić. Z dwojga złego wybrała opcję numer dwa.

Otworzyła butelkę wina i jak udręczeni smutkiem bohaterowie filmów postanowiła wypić ją podczas kąpieli. Wycisnęła do wanny zawartość torebki z napisem „Błoto z Morza Martwego” i puściła wodę. Podczas gdy wanna napełniała się herbatą o zapachu zdechłej ryby, włączyła w sypialni telewizor. Zanurzając się w herbacie, usłyszała czołówkę programu kulinarnego, który oglądała czasem, gdy Robert spotykał się z Jurkiem. Robert wracał do domu podczas przerwy na reklamy, tuż po ocenach jury. Wizja jego powrotu wywołała kolejny atak apopleksji.

Ania obawiała się dwóch, w dodatku sprzecznych ze sobą, rzeczy. Po pierwsze, że uwodzicielka nie potraktowała poważnie jej zapewnień o wyjątkowości Roberta i dlatego poniesie klęskę, po drugie, że zdoła go uwieść tak czy inaczej. Anna nie wierzyła, że jakaś baba jest w stanie zawrócić Robertowi w głowie, choćby była turbobabą z turbocycorami. Sądziła, że skoro uprzedziła o tym uwodzicielkę, ta zastosuje wyrafinowaną taktykę podrywu, której przygotowanie, jak przypuszczała, wymaga czasu. Tymczasem, odkąd złożyła zlecenie, minęło zaledwie kilka dni... Z drugiej strony jej mąż jest tylko mężczyzną i czy byłby nim naprawdę, gdyby nie ruszał go widok pięknej kobiety, czy raczej plastik-dziwki? Ewentualność, że Robert podda się urokowi silikonowej małpy (o tak, przezywanie babsztyla przynosiło Ani ulgę), nie dawała jej spokoju, tak samo jak możliwość przeciwna. Odkąd więc otrzymała wiadomość, targwały nią sprzeczne emocje. Pytanie „uda się czy się nie uda?” jak wahadło zegara uderzało w jej głowie, od lewej do prawej strony, za każdym razem powalając ją odpowiedzią.

Teraz na pręcie wahadła wisiało pytanie „wróci czy nie wróci?”. Przerwa reklamowa po ocenach jury wypadła mniej więcej dwadzieścia minut po dziesiątej. Wprawdzie Robert nigdy nie deklarował, że będzie w domu o określonej godzinie, ale istniała między nimi niepisana umowa, oparta na zwyczaju, że skoro kilka razy wracał o tej godzinie, to zawsze będzie o niej wracać. Dlatego Ania uznała, że jeśli Robert nie wróci do domu o zwykłej porze, będzie to oznaczać, że zatrzymała go uwodzicielka. Ania spojrzała na wyświetlacz telefonu, który wskazywał godzinę dwudziestą drugą jeden. Zaczęło się odliczanie. Dziewiętnaście minut do powrotu. Nienawidziła czekać. Nie znosiła tego tak bardzo jak komarów i sztuki konceptualnej i gdyby wiedziała, że uwodzicielka zamierza informować ją o swoich planach, nigdy by na to nie pozwoliła. Piętnaście minut do powrotu... Na chwilę udało jej się skupić na programie. Lektor poinformował, że ostatnim zadaniem uczestników jest danie z wołowiny. „Wróci” – wahadło przesunęło się z hukiem w lewo. Zobaczyła Roberta, który wchodzi do łazienki, całuje ją w usta, a potem pyta, jak jej minął wieczór i czy spędziła go na malowaniu. Jakże nienawidziła tego pytania, tej aprobaty w głosie męża, gdy odpowiadała, że owszem, malowała, tego niepisanego polecenia, które kryło się za pytaniem, że powinna się czymś zająć i do czegoś dążyć. Na samą myśl łzy wściekłości stanęły jej w oczach. „Nie wróci” – wahadło zmieniło pozycję, ale zamiast ukojenia Ania poczuła bolesne uklucie. Świadomość, że Robert ją zdradzi, złościła tak samo jak myśl, że tego nie zrobi. Wróci, nie wróci, wróci... Osiem minut do planowanego powrotu... Nie wróci. „To się powinno nazywać zawijasy głodowe z ogórkami! Wolałabym umrzeć z głodu niż to zjeść”. Siedem minut do planowanego powrotu... A jeśli wróci? „Zastanawiam się, czy ty widziałeś

kiedyś hamburgera”. A jeśli nie uda się go uwieść? Ani teraz, ani nigdy? Sześć minut do planowanego powrotu... „Czyje danie wybierze jury? Kto odpadnie z rywalizacji? Reklama”. Reklama! Pięć minut do planowanego powrotu...

– Oby nie wrócił – wyszeptała półgłosem i całym sercem zapragnęła, żeby jej mąż raz w życiu postąpił jak prawdziwy skurwiel i dał się uwieść zderzak-babie.

Telefon! Dzwoni, żeby powiedzieć, że nie przyjdzie, pomyślała z ulgą, ale na wyświetlaczu migają inicjały T.K. Nie odebrała. Nie miała teraz głowy do gadania z Tomkiem, mimo że po ich ostatniej rozmowie odczuwała w stosunku do kochanka lekkie wyrzuty sumienia. Pomysł z otwarciem klubu, cokolwiek by o nim myśleć, był przede wszystkim jawną deklaracją uczuć. On próbował jej pomóc, a ona potraktowała go tak niewdzięcznie.

Ani nie przyszło nawet do głowy, że Tomasz Kantereit działał interesownie. Manipulowanie, wykorzystywanie i knucie przebiegłych planów wymagało pełnej inteligencji, ona miała zaś kochanka za półinteligentnego, prostolinijnego i bezpretensjonalnego mięśniaka. Nie posądzała go także o nadmierne ambicje, uważając, że mężczyzna należy do przeuroczego odgałęzienia trenerów, dla których bycie trenerem fitness jest całkowicie satysfakcjonujące, bo ich przećwiczone głowy pojmują ten zawód w kategoriach misyjnych, jako rodzaj niesienia pomocy innym. Mówiąc krótko, Anna nie miała o Tomaszu pojęcia. W swojej wyobraźni wytworzyła obraz mężczyzny, którego potrzebowała, anty-Roberta, półkretyna, przy którym mogła być półkretynką, którą się czuła, i zrzutowała ten obraz na prawdziwego Tomasza. Mężczyzna z wyobraźni Anny był wcieleniem jej pragnień wywołanych serią życiowych niepowodzeń, w tym pragnienia najważniejszego: żeby przestano od niej czegokolwiek wymagać. Przebywanie z nim przynosiło jej ulgę, ale w gruncie rzeczy nie chodziło o niego, tę samą ulgę przyniosłoby jej przebywanie z lucznikiem bez oka albo pisarzem bez pomysłów. Gdyby tylko odważyła się uczciwie na siebie spojrzeć, być może dojrzałaby przy okazji nieuczciwość Tomasza. Trzy minuty do planowanego powrotu... dwie... „Wróci, wróci, wróci” – wahadło zacięło się. Robert wróci, oprze się uwodzicielce, pocałuje ją na powitanie i zapyta, jak minął wieczór. Będą żyć jak dotychczas, on niczego nieświadomy i coraz bardziej nieszczęśliwy, ona z poczuciem winy, samotna i zła.

\*

Podczas gdy Ania brała kąpiel, Robert i Jerzy dopijali swoje bezalkoholowe piwa, nędzną namiastkę przyjemności z dawno minionych czasów, gdy mieli jeszcze siły i chęci na całonocne imprezowanie. W lokalu nie było tłoku, kilka osób siedziało przy stolikach, krzesła wokół baru świeciły lakierowanymi siedziskami. W zawieszonym nad barem telewizorze leciał jakiś mecz piłki nożnej, zegarek na pasku informacyjnym wskazywał dwudziestą pierwszą trzydzieści.

– To kiedy zamykasz inwestycję?

– Do końca przyszłego tygodnia skończymy formalności – odparł Robert, nie kryjąc ulgi.

– Dobra wiadomość, bo mówiąc szczerze, stary, wyglądasz jak gówno. – Jasieniak-Gimli odczuwał przyjemność, kiedy mógł wytknąć komuś kiepski wygląd, tym bardziej zbyt ładnemu jak na faceta przyjacielowi.

– Dziękuję ci bardzo, dobrze wiedzieć.

– Anka chyba też daje ci popalić, co? O co to jej ostatnio poszło? – mężczyzna już wcześniej krążył wokół tematu, ale dopiero teraz odważył się zadać pytanie wprost.

– Ania ma za sobą trudny okres i wcale się jej nie dziwię, że ponoszą ją czasem nerwy. Jak nas wszystkich.

– Jasna sprawa – potwierdził Jerzy, zawiedziony lojalnością przyjaciela wobec żony.

– A ty jak sobie radzisz z Aleksandrą? – spytał Robert, ale zamiast usłyszeć odpowiedź, dostał kuksańca w ramię.

– Patrz. – Jasieniak wskazał na drzwi wejściowe.

Stała tam dziewczyna z książką w ręku, która rozglądała się wokół, szukając zapewne znajomej twarzy. Należała do kategorii osób, które zawsze i wszędzie ściągają na siebie spojrzenia innych. Była piękna, ale patrząc na nią, Robert pomyślał, że nie uroda jest prawdziwą przyczyną zainteresowania, jakie dziewczyna musi powszechnie wzbudzać. Również mężczyźni potrafią skupiać w ten sposób uwagę otoczenia. Niektóre osoby posiadają po prostu moc wypełniania sobą przestrzeni, jakby liczyły się tylko one, są gwiazdami, wokół których kręcą się pozostałe ciała. Wraz z pojawieniem się dziewczyny lokal wypełnił się blaskiem i zapachem lukrowanych pączków, ale może tak się tylko wydawało znajdującym się w nim mężczyznom.

Nie znalazłszy „znajomej twarzy”, Dominika zamówiła przy barze wodę i zajęła miejsce przy stoliku we wnęce okna, nieopodal stolika, przy którym siedział Machowski. Poznała go od razu.

– Doktorantka – skwitował półszepem Robert.

Od lat bawili się z Jurkiem w tę zabawę – na podstawie wyglądu człowieka odgadywali jego zawód. Między innymi z tego powodu przenieśli swoje cotygodniowe spotkania „na miasto”. Wcześniej spotykali się w hotelowych barach, gdzie przesiadywały tylko podstarzałe bizneswomani i napaleni biznesmeni na delegacjach, drogie prostytutki i dziewczyny szukające sponsorów, które na własny rachunek zamawiały jedynie wodę mineralną bez cytryny w obawie, że będą musiały za nią dodatkowo zapłacić.

– Moim zdaniem dziwka.

– W żadnym razie – zaprotestował Robert. – Po co jej książka?

– A co, dziwki nie potrafią czytać? To jedna z tych na specjalne zamówienie. Jakiś zbzikowany staruch płaci cztery stowy za pieprzenie jej w trakcie czytania.

– Wykluczone, nawet na nas nie spojrziała – upierał się Machowski. Dzięki doświadczeniu z hotelowych barów potrafili odróżnić ekskluzywne prostytutki, a przynajmniej tak im się wydawało. Rozpoznawali je po specyficznym spojrzeniu, jakby w oczach tych dziewczyn umieszczony był czerwony neon z napisem „Open”.

– Bo nie przyszła tutaj na polowanie, tylko na umówione spotkanie. Staruch zaraz dołączy, zobaczysz. – Jasieniak się uśmiechnął. – Tak czy inaczej, piękna dziewczyna – podsumował z żalem.

Robert rzucił okiem na zatopioną w lekturze piękność i pokiwał twierdząco głową.

– A pamiętasz, jak wzięłaś zakonnicę za dziwkę? – zapytał i głośno się roześmiał, na co krasnolud machnął ze złością ręką.

Nie lubił, kiedy przyjaciel wywlekał tamtą historię.

– Okej, przypuszczam, że wiesz więcej o intelektualistkach niż ja o prostytutkach.

– Ciekaw jestem, co czyta.

– Zaprośmy panią doktorantkę do stolika, to się przekonamy.

– Zwariowałaś! Straciłbym do niej szacunek, gdyby zainteresowała się takimi dziadami – powiedział na w pół serio Robert, ale owładnięty swoim pomysłem Jerzy już go nie słuchał.

Jerzy Jasieniak zdawał sobie sprawę, że wygląda jak podstarzały krasnolud. Miał pięćdziesiąt trzy lata, metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, okazały brzuch i rude kręcone włosy, które na złość nie chciały ani wypaść, ani posiwieć. Nigdy nie próbował zmienić swojego wyglądu, czy to za pomocą diety, czy golarki, przyjął natomiast taktykę jawnej samokrytyki i dystansu do siebie. W kontaktach z kobietami świadomie go demonstrował, uderzając do tych, u których nie miał szans. I trafiał w dziesiątkę. Podobieństwo do starego krasnoluda czyniło go w pewien sposób niepełnosprawnym i dlatego, w mniemaniu większości kobiet, zasługiwał na specjalne względy. Już przez sam fakt, że przypominał krasnoluda, swoim penisem parkował bliżej żeńskich organów rozrodczych niż inni mężczyźni. Pierwszy etap podrywu zaliczał więc celująco, kobiety dawały się zaprosić na kolację albo kawę. Potem bywało różnie i stary chytrus nierzadko zmuszony był sięgnąć do kieszeni po inne argumenty.

– Dzień dobry i od razu przepraszam, że przeszkadzam – powiedział Jasieniak, stawiając się przy stoliku Dominiki. – Ale zastanawialiśmy się z kolegą – wskazał ręką na Roberta, który ze wstydu ukrył twarz w dłoniach – czy nie zechciałaby pani przysiąść się do naszego stolika.

Dominika wykrzywiła twarz w uśmiechu przyjaznej wdzięczności za okazane zainteresowanie. Poszło szybciej, niż przypuszczała. Cel podejścia osiągnięty.

– Dziękuję za zaproszenie, ale czekam na kogoś – odparła.

Wiedząc jednak, że mężczyzna nie odpuści, zastanawiała się, czy powinna przyjąć zaproszenie. Co lepiej posłuży jej interesom? Odejść i zostawić po sobie wrażenie czy tu i teraz nawiązać kontakt? Odpowiedź kryła się w odpowiedzi na inne pytanie, które Dominika próbowała właśnie rozwikłać. Pytanie brzmiało: czy Robert Machowski jest mężczyzną z zaspokojonym instynktem śmierci?

Dominika Werner uważała, że w kontaktach z kobietami mężczyźni realizują dwa instynkty, popęd płciowy oraz instynkt zdobywcy (dlatego jedną z najskuteczniejszych metod uwiedzenia mężczyzny jest pozwolenie na uwiedzenie siebie). Jeśli prawdą jest, że w człowieku istnieją dwa przeciwstawne popędy, popęd życia i śmierci, to uwodząc kobietę, mężczyzna realizuje jeden i drugi. Z jednej strony podąża za swoim libido, życiową siłą, z drugiej zaś wystawia się na śmierć. Każdy podbój oznacza bowiem walkę, a ta niesie ze sobą ryzyko porażki i ryzyko śmierci. Uwodząc kobietę, mężczyzna podświadomie pragnie napotkać trudności – pragnie kobiet, o które musi stoczyć walkę, bez względu na to, czy będzie to walka z jej oporem, czy jej facetem. Mężczyzna jest myśliwym, dlatego kobieta, która chce go zdobyć, powinna stać się zwierzyną.

Podczas konfrontacji z figurantem uwodzicielka przeistaczała się więc w sarenkę, niewinne i zwinne leśne zwierzątko, które na dźwięk trzaskających badyli ucieka w popłochu, by po gonitwie dać się wreszcie ustrzelić. Różnica między poszczególnymi polowaniami polegała jedynie na trudności, na długości obławy, jaką fundowała myśliwym. Wychodząc z założenia, że Eros i Tanatos rozdziela się na różne sfery życia, uwodzicielka dzieliła mężczyzn na tych, którym mieli zaspokojoną potrzebę śmierci, i tych, którym jej brakowało. Ci pierwsi reprezentowali zawody, które wymagały wysiłku. Walcząc na froncie zawodowym, nie potrzebowali uganiać się za kobietami, popęd płciowy zaspokajali kupionym u prostytutek lub wyblaganym u żon seksem, szybko i bez większego wysiłku. Drudzy posiadali spokojne prace, które nie powodowały ryzyka ani zagrożenia, dlatego pragnęły kobiet niedostępnych, realizując instynkt zdobywcy w sferze uwodzenia. Jeśli Dominika trafiała na mężczyznę z grupy pierwszej, na przykład lekarza, ograniczała polowanie do niezbędnego minimum, pozwalając się



zdożyć po kilku drinkach. Jeśli trafiała na mężczyznę z grupy drugiej, na przykład hodowcę pomidorów, odgrywała rolę niedostępnej, tym bardziej nakręcając na siebie biedaka. Do której grupy należał Robert Machowski?

– Równie dobrze może pani czekać w jakimś miłym towarzystwie – powiedział Jasieniak, ścisząc pod koniec głos, jakby „jakieś miłe towarzystwo” było działką heroiny, którą oferował do sprzedaży. – Kolega bardzo chciałby się dowiedzieć, jaką książkę pani czyta. Robert, prawda, że chcesz wiedzieć, co pani czyta?! – krzyknął w stronę Machowskiego, który schował głowę pod stolik.

Dominika spojrzała na Roberta zaskoczona. Jeszcze nigdy nie spotkała półwiecznego faceta, który zachowywał się dziecinnie i nie wyglądał przy tym żałośnie. Robert Machowski miał w sobie coś młodzieńczego, dzięki czemu mógł sobie pozwolić na więcej niż mężczyźni w jego wieku. Nie wyglądał zresztą na czterdzieści dziewięć lat, raczej na, jak to się mówi, „po czterdziestce”, czym prawdopodobnie będzie się cieszyć długo po skończeniu pięćdziesiątki. Dominika rzadko czerpała przyjemność z seksu zawodowego, ale przyglądając się Machowskiemu, poczuła, że tym razem może być inaczej.

– Dobrze, czemu nie? – zgodziła się, wstając od stolika. Uznała, że mężczyzna, który zarządza milionowymi inwestycjami, jest zbyt zmęczony, żeby uganiać się za sarnami, i te woli dostawać gotowe do spożycia na talerzu.

– Świetnie, zawsze powtarzam, że należy poznawać nowych ludzi, bo najwięcej uczymy się od ludzi – skwitował refleksyjnie krasnolud.

Dominika podążyła za nim do stolika mężczyzn. Po drodze przemknęła jej myśl, że może tej nocy będzie już po wszystkim.

– Robert Machowski. – Mężczyzna wyciągnął rękę, to samo uczynił Jerzy Jasieniak.

– Kornelia Szostak – przedstawiła się Dominika. – Dziękuję za zaproszenie, ale mówiąc prawdę, czekam na kogoś – wyjaśniła, patrząc w oczy Robertowi, który pod wpływem jej spojrzenia poczuł dziwne łaskotanie w dolnej części brzucha.

I choćby napisano miliony stron na temat uwodzenia, setki reguł i wskazań, co robić, co mówić, jak wyglądać i czym pachnieć, wszystko sprowadza się do tego jednego błysku w oczach kobiety, który krzyżuje się z błyskiem w spojrzeniu mężczyzny.

– Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej – odparł Robert, wytrzymując spojrzenie dziewczyny.

Na twarzy Dominiki pojawił się mimowolny uśmiech. Dawno tego nie słyszała – stara szkoła flirtowania, o której nie mają pojęcia młodzi mężczyźni. Ci uwodzą kobiety, opowiadając o sobie, o swoich osiągnięciach, stanowiskach i tytułach, nie widząc nawet, że więcej zdziałają jednym komplementem niż nudnymi jak rozliczenia finansowe przechwałkami. Kobiety pragną, by się nimi zachwycano – nic więcej albo niewiele więcej.

– Czytasz dla przyjemności czy z obowiązku? – zapytał Robert, spoglądając porozumiewawczo na przyjaciela.

– Z obowiązku?

– Mówiąc szczerze, zastanawialiśmy się nad tym, czym się zajmujesz...

– O, to ciekawe. I na kogo waszym zdaniem wyglądam?

– Ja postawiłem na pracownika naukowego – powiedział Robert.

– A kolega?

– Szeroko pojęte usługi finansowe – rzucił Jasieniak. – Tylko proszę, powiedz, że mam rację. Dostaję depresji, kiedy się myślę.

– Już rozumiem, skąd to zaproszenie. – Dominika się uśmiechnęła. – Niestety, muszę cię zasmucić – zwróciła się do krasnoluda – nie zajmuję się szeroko ani nawet wąsko pojętymi usługami finansowymi. Ale niesamowite jest to – dziewczyna spojrzała na Roberta – że ty, Robercie – na dźwięk swojego imienia Robert poczuł jeszcze większe łaskotanie – zgadłeś.

– Bez jaj! – oburzył się Jasieniak.

– Naprawdę jesteś pracownikiem naukowym? – zapytał Robert.

– Naprawdę – potwierdziła Dominika, nie wdając się jednak w dalsze szczegóły na wypadek, gdyby ktoś chciał ją sprawdzić.

Na twarzy Roberta zajaśniał uśmiech dumy. Dominika wykorzystywała takie okazje w stu procentach. Mężczyźni kochają wygrywać i nie ma prostszego sposobu na zyskanie ich przychylności niż pozwolić im wygrać. Gdyby Robert zobaczył w niej fryzjerkę, Dominika podałaaby się za fryzjerkę\*.

– Czas na rewanż.

– Ja jestem kelnerem – zażartował Jasieniak i wstał od stolika, żeby złożyć przy barze zamówienie. – Coś dla ciebie?

– Dziękuję, mam wodę.

Robert zerknął na zegarek, powinien się niedługo zbierać.

– A ty, Robercie, zdradzisz mi swój zawód?

– Zgadnij – zaproponował Robert i wraz z krzesłem odsunął się do tyłu, jakby chciał się lepiej zaprezentować. – Na kogo wyglądam?

– Czy ja wiem...

Dominika spojrzała mu w oczy i z tego miejsca rozpoczęła wzrokową podróż po jego ciele. Metodycznie, wolno i dokładnie przejechała wzrokiem z góry do dołu. Oczy, usta, szyja, ramiona, dłonie, klatka piersiowa, brzuch, krocze, nogi, stopy i powrót do góry, włosy i znowu oczy. Robert czuł, jak narasta w nim ekscytacja, jakby wzrok dziewczyny wprawiał kolejne części jego ciała w lekkie drżenie. I nagle poczuł w sercu nieprzyjemne ukłucie. Strach. Przestraszył się, że dziewczyna zacznie się zaraz śmiać, i poczuł na siebie złość, bo przecież sam się wystawił.

Ale Dominika Werner była profesjonalistką.

– Jesteś tajnym agentem – oznajmiła.

Robert odetchnął bezgłośnie i natychmiast się wyprężył.

– Kiepski ze mnie szpieg, skoro tak szybko zostałem zdekonspirowany.

– Nikomu nie powiem.

– Na pewno? Bo inaczej będę musiał cię zabić.

Dominika wykonała gest milczenia.

– Zawsze przychodzisz do baru z książką? – zapytał Robert, pragnąc zmienić temat, bo instynktownie poczuł, że rozmowa z tą dziewczyną przybiera niepokojący klimat.

Zadaniem Dominiki było jednak ten nastrój podtrzymać. Nastrój, który nie wynikał bynajmniej z flirtu, bo flirtować można nawet z muszlą klozetową, zalotnie manewrując natężeniem moczu, i do niczego to nie prowadzi. To, co działo się między tym dwojgiem, było efektem deklaracji – złożonego spojrzeniem podpisu pod oświadczeniem o wzajemnym pożądanu. To była chemiczna reakcja

organizmów, która dotyczyła również Dominiki. Uwodzicielka nie musiała udawać, Robert Machowski po prostu się jej podobał.

– To na wypadek, gdybym się nudziła – powiedziała i otworzyła książkę, jakby zamierzała ją czytać.

Umieścić mężczyznę na tronie, a następnie lekko nim zachwiać, żeby nie poczuł się zbyt bezpiecznie. Robert przyjął żart z uśmiechem. Dominika rzuciła okiem na czekającego przy barze krasnoluda i zapragnęła się go pozbyć.

– Co to za książka? – Mężczyzna odchylił okładkę, żeby przeczytać tytuł. – Ktoś powiedział, że jeżeli chcesz kogoś poznać, wystarczy, że poznasz listę jego lektur.

– Mam przez to rozumieć, że chcesz mnie poznać?

Dominika odłożyła książkę i rzuciła Robertowi długie spojrzenie spod równie długich rzęs, a on poczuł, jak pierwszy raz, odkąd ożenił się z Anią, w jego spodniach dochodzi do powstania przeciwko niewoli małżeństwa.

– A jeśli powiem, że tak?

---

\* Rada dla wszystkich kobiet: stwórz sytuację rywalizacji, pozwól mężczyźnie zwyciężyć, zachwyć się sposobem, w jaki to zrobił, i możesz spokojnie jechać na zakupy 😊

## *Dzieje Tristana i Izoldy*

Ania przebudziła się w swoim łóżku, zegar wskazywał pierwszą piętnaście. Połowa łóżka Roberta była pusta, z łazienki nie dochodziły żadne dźwięki. Sięgnęła po leżącą na nocnej szafce komórkę, na wyświetlaczu migąła żółta koperta z jedną nieodebraną wiadomością. „Słodkich snów” – napisał trener Tomek. Zarzuciła na siebie szlafrok i z łomoczącym sercem zeszła na dół. Zapaliła światło w przedpokoju, potem w kuchni, włączyła w salonie telewizor. A zatem nie wrócił. Padła ciężko na kanapę. Czyżby tak bardzo się co do niego pomyliła? Tak łatwo dał się podejść? Robert, jej Robert? Z oczu Ani popłynęły łzy. Po chwili otarła je ze złością. Pieprzony skurwiel, pieprzony jak wszyscy inni... Zeszła do swojej pracowni.

Malowanie działało na nią uspokajająco. Kiedy brała do ręki pędzel i zamaczała go w farbie, a potem przykładła do płótna, wszystkie problemy nagle znikaly. Od ponad roku pracowała nad serią obrazów, którą zatytułowała *Zwierzęta na zwierzątkach*. Zapaliła światło w pracowni, na umieszczonym na sztalugach płótnie widniał czarny zarys słonia, który dźwigał na sobie odwrócony zarys innego zwierzęcia, prawdopodobnie lwa. Przygotowała farby i przystąpiła do pracy. Oczami wyobraźni zobaczyła gotowy obraz, błękitnego słonia i pomarańczowego lwa, skąpanych w różowo-zielonym niebie, kontrastujące, jaskrawe barwy. Nie zdążyła wypełnić kolorem nawet połowy słonia, kiedy usłyszała dźwięk podnoszących się drzwi garażowych i ręka odmówiła jej posłuszeństwa. Wrócił. Pierwsze, o czym pomyślała, to czy Robert zajrzy do pracowni. Ona sama, po tym jak zaczęła się spotykać z Tomkiem, unikała Roberta jak ognia, mimo że w pewnym sensie chciała zostać nakryta. Samochód wjechał do garażu, drzwi zaczęły na powrót opadać. Ania usłyszała kroki, a po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

– Nie śpisz jeszcze? – Robert wsunął głowę do środka.

– Jak widzisz.

– Jesteś zła?

Mężczyzna od razu wyczuł, że jego żona jest w złym nastroju, i wszedł do środka.

– Przepraszam Andziu, powinienem był cię uprzedzić, że przyjadę później. Miałem szalony wieczór, a kiedy wszystko się uspokoiło i chciałem zadzwonić, było już za późno.

– Za późno? Na co za późno? – Ania spojrzała Robertowi w oczy, jakby chciała wyczytać z nich prawdę, ale niczego nie zobaczyła.

– Właśnie, żeby dzwonić. Sądziłem, że już śpisz.

Podszedł do Andzi i nie zważając na jej złość, pocałował ją prosto w usta. Był jedynym człowiekiem na świecie, który potrafił wygrać z jej złością. Tak długo się jej narzucał, rozśmieszał ją i całował, niemal gwałcił swoją dobrocią, aż zaczynała z nim normalnie rozmawiać. Ale teraz, zamiast swoim zwyczajem kontynuować proceder wymuszania na żonie dobrego humoru, Robert oświadczył, że jest padnięty, i poszedł na górę.

Ania znieruchomiała. W następnej chwili poczuła, jak zalewa ją fala wściekłości. Nie dość, że ją zdradził, to jeszcze nie raczył nawet porządnie okłamać?! Skurwysyn. Ja ci dopiero pokażę szalony

wieczór! Wściekła ruszyła na górę. Robert zdążył już zrzucić z siebie ubranie i wskoczyć do łóżka. Ania wtargnęła do pokoju, zapalając światło.

– Może mi raczysz jednak wyjaśnić, co do tej pory robiłeś?!

– O co ci chodzi? Dlaczego krzyczysz?

– O nic mi nie chodzi. Tylko że przylazisz do domu w środku nocy i nawet nie raczysz mnie poinformować dlaczego. A ja się martwiłam jak jakaś idiotka! Czekałam na ciebie jak pies w tej budzie, którą dla mnie zbudowałeś!

– O czym ty mówisz? Nie mogłeś zadzwonić i zapytać, gdzie jestem? – Był mężczyzną i nie powiedział tego złośliwie. Był mężczyzną i nie wiedział, że NIE MOGŁA zadzwonić. Nie zamierzał się kłócić. Widząc nienaturalne wzburzenie żony, usiadł na łóżku. – Naprawdę tak bardzo się martwiłaś?

– Gdzie byłeś?

– Aniu, jestem już. Nic się nie stało.

– Chcę wiedzieć, gdzie byłeś.

– Naprawdę, zamiast iść spać, wolisz słuchać o moim spotkaniu z Jurkiem? – Spojrzał na nią błagalnie.

– Tak, tego właśnie chcę.

– Dobrze, jeśli to cię uspokoi. – Westchnął i sięgnął po stojącą na stoliku nocnym butelkę wody, po czym wypił kilka łyków.

Robert nie miał w zwyczaju oceniać zachowania Ani. Jeżeli Ania w środku nocy zamarzyłaby o zjedzeniu białej czekolady, Robert gotowy był wstać dla niej z łóżka i jechać po białą czekoladę, nie próbując nawet argumentować, że jest późno, że nie zdąży nawet jej zjeść albo że w kuchni mają zapas czarnej czekolady.

– Poszliśmy z Jurkiem do pubu na Rynku, musisz mi wybaczyć, ale nazwy nie pamiętam. – Robert uśmiechnął się złośliwie, a Ania, która wciąż stała nad łóżkiem jak sęp, posłała mu w odpowiedzi mordercze spojrzenie. – Rozmawialiśmy jak zwykle, trochę o rodzinie, trochę o pracy. Może usiądziesz?

Skinęła głową i usiadła na brzegu łóżka. Robert zamilkł, przez chwilę zastanawiał się, jak ułożyć w słowa to, co się wydarzyło. Sam nie był pewien, czy wydarzyło się to naprawdę.

– W pewnym momencie Jurek wypatrzył jakąś dziewczynę i zaprosił ją do naszego stolika. Możesz mi wierzyć albo nie, ale nie zapytał mnie wcześniej o zdanie.

– Ładna?

– Czy ja wiem... – Zawahał się. Normalnie nie obawiał się zazdrości Ani, która była najmniej zazdrosną kobietą, jaką znał, o co zresztą miał do niej czasem pretensje, ale skoro zachowywała się dziwnie, intuicja podpowiadała mu, żeby traktować ją jak normalną, to znaczy zazdrosną kobietę. – Taka sobie – użył określenia, które w języku związanych mężczyzn oznacza wcielenie piękna.

Ania poczuła ulgę, chociaż zdawała sobie sprawę z faktu, że uwodzicielka nie jest „taka sobie”, i Robert musiał to dostrzec. A może nie chodziło o nią?

– Jak wyglądała?

– Czy ja wiem... – Doskonale wiedział i nie chciał tego mówić. – Długie blond włosy, brązowe oczy... taka zwykła...

– Dobra, nieważne – przerwała Ania, nie chcąc tego słuchać.

– Dziewczyna czekała na kogoś, na mężczyznę, jak sądzę, ale zgodziła się do nas przysiąść. Rozmawialiśmy chwilę. Zainteresowała mnie, bo czekając na tego kogoś, czytała książkę.

– Jaką?

– Jakie to ma znaczenie? *Dzieje Tristana i Izoldy*.

– Nie czytałam – stwierdziła Ania. – Przyszła do baru z książką?

– No tak, ale to nie jest przecież ważne. – Robert wziął oddech. – Chciałem wrócić do domu tak jak zawsze, ale skoro zaprosiliśmy tę dziewczynę, nie wypadało jej zostawić.

– Mówiłeś, że to Jurek ją zaprosił.

– Tak, ale ja też tam byłem. Chyba rozumiesz, że nie mogłem zostawić dziewczyny na pastwę tego zboczeńca.

– Nie powiesz mi, że siedzieliście z nią pół nocy?

– Nie, wcale nie. Coś się stało – powiedział tajemniczo Robert.

Anna uniosła brwi.

– Do naszego stolika podchodzi nagle facet. Dresiarz jakiś, nie wiem, może przed czterdziestkę, w dodatku niski, chociaż trzeba przyznać, że dobrze zbudowany. – Robert wskazał ręką wysokość od ziemi, z której wynikałoby, że do stolika podszedł krasnoludek. – I on, nie uwierzysz, co zrobił... – Przerwał, jakby sam zastanawiał się, czy w to wierzy.

– No co?

– Podszedł do naszego stolika, stanął przed dziewczyną i bez ostrzeżenia przy wszystkich uderzył ją w twarz!

– Co?!

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale tak właśnie było – ożywił się nagle. – Gnój walnął dziewczynę w policzek. My z Jurkiem na równe nogi, żeby dorwać szmacciarza, ale ten zdążył uciec. Dziewczyna w nerwach, cała się trzęsie, my stoimy, nie wiemy, co jest grane...

Ania patrzyła na męża z niedowierzaniem. Albo on był najlepszym kłamcą, jakiego w życiu poznała, albo ona zatrudniła najgorszą uwodzicielkę świata.

– Barman przyniósł szklanekę wody. Zaczęliśmy ją uspokajać. Kiedy się wreszcie ogarnęła, Jurek zaproponował, że odwiezie ją do domu. Zgodziła się, więc odprowadziłem ich na parking, i tyle. Oto cała historia.

Intuicja podpowiadała Ani, że Robert mówi prawdę. Historia była tak nieprawdopodobna, że jedyne, co ją ratowało, to fakt, że wydarzyła się naprawdę. Gdyby chciał ją okłamać, wymyśliłby coś bardziej sensownego, coś, w co mogłaby uwierzyć. A jeśli było tak, jak mówił, nie zdradził jej. Nie przespał się z inną kobietą. Ania poczuła niespodziewaną ulgę. Łzy radości napłynęły jej do oczu i rzuciła się Robertowi na szyję.

– A to za co? – zapytał uradowany. – A ty jak spędziłaś wieczór, przez cały czas malowałaś?

Słyszac pytanie, poczuła w klatce piersiowej nagły skurcz, jakby ktoś zacisnął na niej gorset. Radość przysła.

– Nie mogłeś zapytać o nic innego?! Ten jeden raz?! – wykrzyzczała, a potem wybiegła z pokoju.

Robert wstał z łóżka, zgasił światło i położył się z powrotem. Był zmęczony, tak bardzo zmęczony, że zdążył jeszcze tylko pomyśleć o Kornelii Szostak, po czym natychmiast zasnął.

Ania spędziła noc na malowaniu. Rano, wyczerpana fizycznie, była już w lepszym nastroju. Przemysłała wszystko i doszła do wniosku, że ostatecznie dobrze się stało. Miała tę odrobinę satysfakcji, że uwodzicielka nie zdołała uwieść Roberta tak od razu, i nie miało dla niej znaczenia, że stało się tak, ponieważ ktoś jej w tym przeszkodził. Bo sytuacja, o której opowiedział Robert, nie mogła być chyba częścią uwodzenia? Ale nad tym, co się stało i dlaczego ktoś uderzył uwodzicielkę w twarz, nie zamierzała się głowić. Po prostu się nie udało, nie tym razem. Ponieważ jednak sądziła przez chwilę, że było inaczej, emocjonalnie przeżyła już zdradę i kiedy rzeczywiście do niej dojdzie, będzie jej łatwiej się z nią pogodzić.

Robert zszedł do kuchni równo o ósmej. Ogolony „na dwudniowy zarost”, zakropiony francuską wodą toaletową i ubrany w dopasowany garnitur z krawatem, który oznaczał, że tego dnia ma ważne spotkanie, prezentował się jak model. Na jego widok Ania poczuła ścisk w podbrzuszu, który spowodował mimowolne rozwarcie się szczęki w zalotnym i pełnym podziwu uśmiechu. Jak to możliwe, że po tylu latach wciąż tak samo na nią działał? Męczyzna odwzajemnił uśmiech, który sprawił mu przyjemność. Niedługo za sprawą takich uśmiechów regularnie spóźniał się do pracy, ale dzisiaj nie miałby śmiałości niczego zaczynać, nie po jej wczorajszym wybuchu. Nawet nie próbował się zastanawiać, co go spowodowało. Sam nie zdając sobie z tego sprawy, powoli przyjmował ekscesy Ani z obojętnością, a to nie była dobra wróżba. Kiedy ukochana osoba przestaje cię już nawet denerwować, czas omówić warunki rozwodu.

– Niedawno zaparzyłam, masz ochotę? – zapytała Ania, sięgając do szafki po kubek.

Była w dobrym nastroju, więc uznał, że może z nią chwilę posiedzieć.

– Już wstałaś czy jeszcze nie spałaś?

– Malowałam całą noc.

Uśmiechnął się tylko w odpowiedzi, nie chcąc poruszać tematu malowania. Wyczuła ten strach. Po tylu latach odczytywali bezbłędnie swoje emocje i zrobiło jej się głupio. Zapragnęła wynagrodzić Robertowi swoje wczorajsze zachowanie.

– Nie zapomniałaś o czymś?

– To znaczy? – W pierwszej chwili przestraszył się, że naprawdę o czymś zapomniał, ale widząc na twarzy Andzi znajomy uśmiech, pojął, w czym rzecz, i pocałował ją w usta, a następnie przygarnął do siebie i przytulił.

Poczuł od niej zapach farb, który tak bardzo lubił, bo kojarzył mu się z nią, ona poczuła jego perfumy, te same, których używał od lat, i zaciągnęła się nimi, jakby jego samego chciała wpuścić do płuc. Jak to możliwe, że nie potrafili się ze sobą dogadać, skoro ich ciała wciąż odnajdywały przy sobie ten sam spokój i to samo szczęście co kiedyś? Czy naprawdę można się kochać i nie móc ze sobą być?

– Zjesz coś?

– Chętnie. – Usiadł przy kuchennej wyspie. – Müsli raz – złożył zamówienie, a Ania przygotowała dwie miski płatków oraz karton mleka.

– Uważam, że jedzenie płatków śniadaniowych jest niemęskie.

– Nie mogłaś mi powiedzieć tego wcześniej? Teraz czuję się jak mięczak.

– Przepraszam.

– Czym się żywią prawdziwi mężczyźni?

– Sercem dzika, które popijają moczem dziewczycy, oczywiście.

– Ze zdobyciem tego drugiego mógłbym mieć pewien problem.

Roześmiała się.

– A ja myślałam, że dziewczęta sikają na twój widok.

– To prawda, ale częściej te po sześćdziesiątce.

Robert pochłonął miskę w tempie reklamowym.

– Muszę już iść, Andziu, mamy dzisiaj inspektora budowlanego.

– Odprowadzę cię do samochodu. Idę do pracowni.

– Nie kładziesz się spać?

– Muszę jeszcze coś domalować, a potem odwiozę twój frak do pralni.

– To już w sobotę? – zapytał z żalem w głosie. Nie zachwycała go perspektywa pójścia na bal, ale Koniec Lata było najważniejszą imprezą charytatywną w roku i musiał wziąć w niej udział. – Zupełnie wyleciało mi to z głowy. Na pewno nie chcesz iść? – Uśmiechnął się zachęcająco.

– Sto procent.

Weszli do garażu.

– Dobranoc, Andziu.

– Miłego dnia.

Ania nacisnęła przycisk, drzwi garażowe rozpoczęły swój skrzypliwy koncert i do pomieszczenia zaczęło się wkradać słońce. Wycofując samochód, Robert zatrzymał się na wysokości żony i otworzył szybę.

– Nie zapomniałaś o czymś?

– Ale ze mnie gapa!

Ania podeszła do samochodu, żeby pocałować Roberta. Zbliżając twarz do jego twarzy, dostrzegła leżącą na fotelu pasażera cienką książkę. *Dzieje Tristana i Izoldy* – odczytała tytuł i zamarła. A więc okłamał ją.



# Fatalne skutki jednej decyzji

W pierwszym, na wpół jeszcze świadomym odruchu po przebudzeniu Dominika wyciągnęła rękę w stronę nocnej szafki, szukając pilota do wieży stereo – powtarzała ten gest każdego poranka, włączając zawsze tę samą składankę z hitami amerykańskiego hip-hopu, fantazjując przy tym czasem o Robercie Fitzgeraldzie Diggisie – ale natknąwszy się jedynie na telefon komórkowy, uświadomiła sobie, że pokój, w którym się znajduje, nie jest jej sypialnią, lecz pokojem w mieszkaniu na ulicy Szwedzkiej. W nocy przywiózł ją tutaj Robert Machowski. Sięgnęła po telefon, włączyła ikonę aparatu i pstryknęła zdjęcie swojej twarzy. Musiała się upewnić, że uderzenie, mimo że zamarkowane, nie pozostawiło na niej śladu. Autopsję przerwał dźwięk domofonu. Pobiegła do przedpokoju, zahaczając po drodze o pusty karton, pozostałość po przeprowadzce.

– Tak? – podniosła zawieszoną na ścianie białą słuchawkę. – Tak? – powtórzyła, ale nikt się nie odezwał.

Odłożyła słuchawkę i przez chwilę stała w miejscu, rozglądając się po opustoszałym mieszkaniu, w którym kilka tygodni wcześniej zakończyła sprawę pewnego bankiera i do którego nie powinna była wracać.

Poprzedniego wieczoru Dominika Werner zachowała się nieprofesjonalnie. Zamiast w stosownym momencie zakończyć podejście, dopuściła do głosu emocje, które kazały jej przedłużyć zabawę. Być może podzielał na nią urok Roberta Machowskiego albo aura ostatniej sprawy, ostatniej szansy sprawdzenia swoich możliwości, w każdym razie z jakiegoś powodu zapragnęła pozbyć się Jasieniaka i pozostać z Machowskim sam na sam. A ponieważ wpadła na pomysł, jak do tego doprowadzić, zdecydowała się wcielić go w życie, mimo że wymagał on użycia mieszkania na Szwedzkiej, a więc złamania zasady bezpieczeństwa. Dominika nie działała jednak w amoku. Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy dopuszczeniem do głosu emocji a działaniem pod ich wpływem. Nie kontynuowałaby podejścia tylko dlatego, że miała taki kaprys, nie oceniając wcześniej związanego z tym ryzyka. A ryzyko powrotu na Szwedzką wydawało się czysto teoretyczne. Andrzej Wieczorek, mężczyzna, którego nagrała w mieszkaniu na Szwedzkiej, sprawiał wrażenie człowieka spokojnego i nie wyglądał na kogoś, kto szukając zemsty, chciałby wystawać pod blokiem z siekierą w ręku. Od zakończenia jego sprawy minął już zresztą pewien czas i gdyby Wieczorek chciał coś zrobić, najprawdopodobniej zdążyłby wrócić na Szwedzką i odkryć, że Dominika tam nie mieszka. Sprawa Roberta Machowskiego zapowiadała się na krótką, więc czas spędzony na Szwedzkiej zostanie zminimalizowany, a ona po wszystkim i tak wyjedzie z Polski. Konkluzja? Nie ma się czego obawiać.

Pomysł na pozbycie się Jerzego Jasieniaka bazował na tak zwanym scenariuszu ofiary, który Dominika i Janek kilka razy odgrywali w przeszłości. Kiedy więc pod pozorem pójścia do łazienki Dominika zadzwoniła do partnera z informacją, że zamierza kontynuować podejście i rzuciła hasło „scenariusz ofiary”, Janek wiedział, co robić. Miał do wykonania trzy zadania: unieruchomić samochód Jasieniaka, podrzucić Dominice klucz do mieszkania na Szwedzkiej i dzielić ją po twarzy. Tak też się stało. Do tego miejsca, opowiadając Ani o wydarzeniach poprzedniej nocy, Robert nie mijał się z prawdą – dziewczyna została zaatakowana przez mężczyznę, który walnął ją w twarz – choć

oczywiście Robert nie mógł wiedzieć, że zdarzenie było tylko odegranym przedstawieniem, którego prawdziwą ofiarą był on sam.

Scenariusz ofiary opierał się na przekonaniu, że skrzywdzona kobieta wzbudza w mężczyźnie instynkt obrońcy, a zatem „prawdziwego mężczyzny”. A kiedy mężczyzna poczuje się prawdziwym mężczyzną, natychmiast rośnie mu fiut, a co za tym idzie, chęć, żeby go gdzieś wsadzić, najlepiej do ciała skrzywdzonej kobiety – tak uważała Dominika. Warto zaznaczyć, że Janek miał na ten temat inne zdanie. Koncepcję Dominiki uważał za idiotyczną, a sukces scenariusza – fakt, że odegranie wymyślonej przez uwodzicielkę scenki doprowadziło kilka spraw do radosnego finału – tłumaczył nie jakąś absurdalną potrzebą zaspokojenia absurdalnie wywołanego poczucia męskości, ale tym, że scenariusz stawiał mężczyznę w bardzo konkretnej sytuacji, która musiała wywołać jego reakcję. Będąc świadkiem czyjejś krzywdy, zwłaszcza pięknej kobiety, normalny facet reaguje chęcią niesienia pomocy, a to pociąga za sobą kolejne wydarzenia. Tak czy inaczej, scenariusz działał i zadziałał również poprzedniego wieczora. Jasieniak i Machowski zachowali się dokładnie tak, jak zostało to przewidziane – zaproponowali Kornelii eskortę do domu.

Zgodnie z wersją, którą usłyszała Ania, we trójkę opuścili lokal i ruszyli na parking, ale kiedy na miejscu okazało się, że ktoś wybił szybę w samochodzie Jasieniaka, to Robert zmuszony był odwieźć dziewczynę do domu. Chcąc nie chcąc, krasnolud został na parking, czekając na policję.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Robert, kiedy wraz z Kornelią wsiedli do samochodu.

– Szwedzka 7.

Przygotowane do sprawy mieszkanie na Sławkowskiej znajdowało się zbyt blisko centrum, żeby podwożenie – esencja całego pomysłu, która gwarantowała Dominice sam na sam z Robertem – miało sens.

– Naprawdę mogłam wziąć taksówkę, nie rozumiem, po co to całe zamieszanie.

– Nie wygłupiaj się i pozwól mi stanąć na wysokości zadania – powiedział Robert, lekko się uśmiechając. – Wszystko w porządku? – zapytał, dostrzegając, że Kornelia trzyma się za policzek.

– Tak, nic mi nie jest.

– Przepraszam, że zapytam...

– Chcesz wiedzieć, kto to był?

– Nie musisz nic mówić, nie chcę być wścibski.

– Sądziłam, że umówiłam się z przyjaciółką. To był jej brat. Jest chory psychicznie – dodała po chwili.

– Domyślałam się. Miałś już z nim problemy?

– Zdarzało się, ale nigdy wcześniej nie podniósł na mnie ręki.

– Ten człowiek jest niebezpieczny. Nie powinien być zamknięty?

– Jest pod stałą opieką i z tego, co wiem, dopóki bierze leki, nie sprawia problemów. Najwidoczniej ktoś czegoś nie dopilnował. To długa historia, pomówmy lepiej o czymś innym – zaproponowała Dominika, bo atmosfera zaczynała być zbyt poważna jak na standardy uwodzenia. – Zobaczmy, czego słuchają tajni agenci – powiedziała i nie pytając Roberta o zdanie, włączyła radio, a potem nacisnęła na wyświetlaczu napis CD i zagrali Stonesi.

Dominika włączyła tylko płytę, ale Robert miał wrażenie, że było w tym geście coś bardzo intymnego. Czuł się tak, jakby dziewczyna ściągnęła z niego koszulkę, a fakt, że nie zapytała, czy może

to zrobić, był w tym najbardziej podniecający. Dlaczego?

Droga do mieszkania upłynęła im na rozmowie o muzyce. Przyjemna konwersacja dla zabicia czasu, która sprawiła, że Robert zapomniał niemal o tym, co wydarzyło się w barze. W obecności Kornelii czuł się tak swobodnie, jakby znał ją od lat. Jednocześnie świadrujące spojrzenie spod długich rzęs wywoływało w nim typowy dla nowych znajomości dreszcz podniecenia. Po kilku minutach byli już na miejscu. Wsiadając z samochodu, Dominika zostawiła na fotelu *Dzieje Tristana i Izoldy*. Robert odprowadził ją pod drzwi budynku.

– Dziękuję za podwiezienie.

– Na pewno nie chcesz, żebym odprowadził cię do mieszkania?

– Nie ma takiej potrzeby – odparła Dominika, przesuwając włosy na jedno ramię i kilkakrotnie przeczesując je dłonią z góry do dołu. Gest wypadł tak naturalnie, że można by przysiąc, że zrobiła go nieświadomie.

W świetle umieszczonej nad klatką latarenki blond włosy lśniły wyjątkowym blaskiem i Robert, który już wcześniej zwrócił na nie uwagę, nie mógł oprzeć się myśli, że nigdy w życiu nie widział tak pięknych włosów. Dominika była świadoma mocy oddziaływania fryzury na męską wyobraźnię, ale pomimo całego swojego doświadczenia nigdy nie poznała odpowiedzi na pytanie, dlaczego akurat włosy. Czuli, że pierwsza nasuwająca się odpowiedź: długie włosy jako atrybut kobiecości, nie jest prawdziwa. A może chodziło o gest ich przeczesywania? O jednostajne, miarowe ruchy, wywołujące określone skojarzenie?

– Miło było cię poznać, Robertcie. – Wyciągnęła rękę i znowu spojrzała na mężczyznę w ten znaczący sposób, dokładając do gestu dodatkową treść, której znaczenie było tak szerokie, że niejeden mężczyzna pomieściłby w nim zaproszenie na górę.

– Wzajemnie. – Ucisnął wyciągniętą dłoń, czując, jak przechodzi go dreszcz, i wrócił do samochodu.

Podejście pierwsze dobiegło końca. Tej nocy nic więcej nie miało prawa się wydarzyć i poza niepokojącym snem Roberta nic więcej się nie wydarzyło. Dominika wiedziała o tym w chwili, gdy wybrała scenariusz ofiary, który w przypadku dżentelmenów nie gwarantował niczego więcej poza czystą pomocą. Robert Machowski był dżentelmenem i nie wykorzystałby kobiety niecałą godzinę po tym, jak została napadnięta. Ale decydując się na ten, a nie inny wariant przedłużenia podejścia, Dominice nie chodziło o to, żeby jeszcze tej nocy zakończyć sprawę (co i tak nie byłoby możliwe, bo Janek zdążył pozbyć się z mieszkania kamer). Dominika pragnęła pobyc z Robertem Machowskim sam na sam, dodać kilka pierwiastków do chemii, jaka się między nimi wytworzyła, a kiedy, jadąc już na Szwedzką, wpadła na pomysł, że zostawi w samochodzie książkę, zrozumiała, że znalazła także naturalne przejście do kolejnego spotkania. Wiedziała, że kiedy Robert odkryje zgubę, zjawi się na Szwedzkiej, żeby ją zwrócić.

Dominika wróciła do łóżka. Sprawdziła w smartfonie pocztę elektroniczną, przejrzała wiadomości dnia i wreszcie zadzwoniła do Janka z instrukcjami. Spodziewała się, że Machowski przyjedzie do niej wieczorem. W biały dzień zdradzają tylko uczciwi mężczyźni – ci naprawdę zakochani lub chorzy na seksoholizm. Prawdziwi, dławieni pożądaniem zdrajcy działają po zmroku. Do tego czasu należało zainstalować w mieszkaniu kamery.

Janek obiecał, że zaraz przyjedzie. Czekać na przyjaciela, Dominika wyszła na pobliską stację benzynową, żeby kupić kawę. Nie wiedziała, że ktoś za nią idzie.

Mężczyzna w czapce rozpoznał ją po włosach. Takich włosów nie widział u żadnej innej kobiety. Naciągnął bejsbolówkę nisko na czoło, spuścił głowę i ruszył za nią. Co jakiś czas podnosił jednak wzrok i wpatrywał się w kroczące przed nim blond fale, które kojarzyły mu się z syreną. Czuł jeszcze to nieprzyjemne wrażenie nierealności, które towarzyszyło mu od chwili, gdy usłyszał w domofonie jej głos. Od dwóch tygodni przychodził pod klatkę, czasami kilka razy dziennie, i wciskał numer mieszkania. Nigdy nie doczekał się odpowiedzi i zaczynał podejrzewać, że lokatorka mieszkania musiała gdzieś wyjechać. Zdarzało się, że siadał na ławeczce naprzeciwko klatki i nagrywał aparatem wchodzących i wychodzących ludzi. Nie wiedział, dlaczego to robi, dlaczego wciąż tu wraca. Dzisiaj wcisnął numer mieszkania i niemal jednocześnie odszedł od drzwi, pierwszego „tak” prawie nie usłyszał, drugie wypełniło go do szpiku tym niemiłym uczuciem nierealności. Z odległości kilku kroków czuł jej zapach, wydawało mu się, że słyszy jej oddech. Rzucając okiem na rozkołysane biodra i podskakujące nad tyłkiem włosy, które kobieta związała w koński ogon, zaczynał rozumieć słabość niektórych mężczyzn. Sprawilo mu to przykrość. Nigdy wcześniej nikogo nie śledził i kiedy kobieta weszła do sklepu na stacji benzynowej, nie wiedział, jak się zachować. Wejść do środka czy zaczekać na zewnątrz? Zdecydował, że poczeka. Obserwował ją zza szyby. Podeszła do automatu z kawą, ale ponieważ kilku nieprzytomnych klientów czekało w kolejce, podeszła do stoiska z gazetami, wyciągnęła jakieś czasopismo i zaczęła je przeglądać. Mężczyzna krążył niespokojnie wzdłuż frontowej ściany sklepu, aż wreszcie zaczął go pracownik stacji.

– W czymś pomóc?

– Nie trzeba – odparł przestraszony.

Spojrzał na kobietę, która w dalszym ciągu pochylała się nad czasopismem. Po namyśle ruszył z powrotem do zaparkowanego pod blokiem samochodu. Postanowił, że tam na nią zaczeka.

Zaliczywszy pierwsze tego dnia spotkanie, Robert Machowski wracał do swojego biura. Miał przed sobą jeszcze trzy spotkania, a to oznaczało, że niebieska smycz w poprzeczne prążki będzie mu towarzyszyć do samego wieczoru. Nienawidził krawatów. Gdyby istniało Muzeum Torturowania Mężczyzn, oddałby do jego zbiorów wszystkie krawaty, sugerując, aby umieszczono je na honorowym miejscu, tuż obok penisa Rasputina. W trzeciej gablocie umieściłby zdjęcie Kornelii Szostak.

Żałował, że poznał tę dziewczynę, naprawdę tego żałował. Wczoraj za jej sprawą pomyślał bowiem coś, co rozpętało w jego głowie prawdziwą burzę. Pomyślał, że chciałby ją przelecieć. Inaczej niż dla większości męskiej populacji, dla Roberta była to myśl zaskakująca, dziwna i ostatecznie rzecz biorąc, nieprzyjemna. Może gdyby chodziło tylko o tę jedną myśl, jeden impuls, krótki atak pożądania, nie czułby żalu, ale dziewczyna krążyła w jego głowie przez resztę wczorajszego wieczoru, w nocy śnił o tym, że ją rozbiera, i pomyślał o niej zaraz po przebudzeniu. Na chwilę dała mu spokój podczas śniadania, ale kiedy w drodze do pracy zauważył na siedzeniu pasażera jej książkę, dręczące myśli powróciły ze zdwojoną siłą.

Robert Machowski był mężczyzną starej daty, a przynajmniej, po dokładniejszym zapoznaniu się z materiałem na jego temat, za takiego uznałaby go Dominika. Mężczyzna starej daty to coraz rzadziej występujący okaz faceta, który czeka na miłość swojego życia, a potem jest jej wierny – koniec definicji. Robert poślubił Anię, bo przy niej, mając czterdzieści lat, po raz pierwszy w życiu poczuł się szczęśliwy.

Uwielbiał w niej wszystko. Radość, energię, pasję, pracowitość, humor, serdeczność, delikatność, zadziorność. Wszystko. Lubił słuchać jej wymądrzań o sztuce, lubił, kiedy opowiadała mu o malarzach i historiach obrazów. Lubił, gdy roztaczała przed nim wizję swojej świetlanej artystycznej przyszłości i gdy przechwalała się swoim talentem jak mała dziewczynka. Była jego przewodniczką po świecie sztuki i literatury, kochał kupować dla niej książki, a potem słuchać, jak o nich rozprawia. Lubił opowiadać jej o swoich nowych projektach budowlanych, lubił, gdy doradzała mu w kwestiach zawodowych. Lubił ich rozmowy, wspólne spacerować, podróże, wspólne oglądanie filmów, każdą spędzoną z nią chwilę. Kochał ją od momentu, gdy się poznali. I chociaż nie była najpiękniejszą kobietą na świecie, nie miało to znaczenia, bo dla niego to ona była światem.

Po dziewięciu latach małżeństwa wciąż mógł powiedzieć, że nikogo innego nie kocha bardziej od swojej żony, ale chcąc być całkowicie szczerym, nie mógłby już powiedzieć, że lubi ją równie mocno jak kiedyś. Anka dała mu się we znaki i mimo że starał się być cierpliwy i wiele rozumiał, coś między nimi zdążyło się zmienić. Także w nim nastąpiła pewna zmiana.

Robert zaczął zwracać uwagę na inne kobiety, a nawet porównywać je do swojej żony. Im bardziej Ania oddalała się od niego duchowo, tym bardziej dostrzegał jej fizyczność, tak jakby wraz ze znikającą między nimi więzią znikał również pryzmat wyższości, przez który patrzył dotychczas na ukochaną Andzię. Anna stała w jednym szeregu z przedstawicielkami swojej płci, a dla kobiety o aparycji czarownicy nie mogło to być korzystne. Robert odkrył, że Ania źle się ubiera, i nie mógł zrozumieć, jakim cudem kobieta obdarzona takim wyczuciem piękna codziennie wkłada na siebie rozciągnięty, bezbarwny sweter i bawełniane majtkowory w kolorze kapusty. Zauważył też, że Ania nigdy się nie maluje, a jej włosy kolorem i fakturą przypominają zużytego mopa. Obserwując kobiety, doszedł do wniosku, że we współczesnej modzie damskiej najbardziej kręca go gumowe spodnie (czytaj: legginsy) i wszelkiego rodzaju chomąta (czytaj: apaszki), a w makijażu jaskółki na oczach (czytaj: wyciągnięte ku górze kreski) oraz czerwone usta (czytaj: czerwone usta). Żadnej z tych rzeczy nigdy nie widział u swojej żony.

Obserwacje, które prowadził, nie miały podtekstu seksualnego. Robert przyglądał się kobietom niczym dziełom sztuki, podziwiał ich urodę, wdzięk i delikatność. Zachwycał się różnorodnością kobiecych strojów, sposobów malowania twarzy, upinania włosów, pomysłowością w doborzeniu dodatków. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby któreś z tych arcydzieł poderwać, nie mówiąc już o pójściu z arcydziełem do łóżka. I nie dlatego, że jako jeden z nielicznych mężczyzn na świecie umiał się oprzeć pokusie albo wymodlił dla siebie dar wierności. Po prostu, odkąd poślubił Anię, inne kobiety przestały istnieć. Ale tak było do wczoraj.

Wczoraj po raz pierwszy od wielu lat Robert zapragnął przelecieć inną kobietę. Po raz pierwszy od chwili, gdy przysiągł Ani miłość, wierność i uczciwość, zapragnął złamać przysięgę. I dlatego możliwość ponownego spotkania Kornelii, która pojawiła się, kiedy znalazł w samochodzie należącą do niej książkę, spowodowała w jego głowie mętlik. Pragnął zobaczyć dziewczynę i zarazem wolałby jej nigdy więcej nie oglądać. Pragnął o niej zapomnieć i wciąż łapał się na tym, że o niej myśli. Chciał odwieźć jej książkę i wiedział, że nie powinien tego robić.

\*

Zanim Dominika wróciła z kawą, Janek przyjechał na Szwedzką. Czekał przed budynkiem jak zawsze z jedzeniem w ręku, tym razem była to spocona lukrem drożdżówka, która przypominała kok

księżniczki Leili z polewą od Hana Solo.

– Oto i ona, największa uwodzicielka po tej stronie oceanu!

– Tylko po tej?

Dominika cmoknęła przyjaciela w policzek.

– Proszę przytrzymać! – Wchodząc do budynku, usłyszeli głos nadbiegającego listonosza. – Dziękuję – wysapał mężczyzna. – Państwo spod jakiego numeru?

– Piętnaście.

– Dzisiaj nie mam nic pod piętnastkę, ale doskonale się składa, że państwa widzę. Czy mogę prosić o opróżnienie skrzynki? Jest pełna!

– Proszę pogadać z...– zaczął Janek, ale nagle stracił ochotę na wyjaśnienia i zamiast tłumaczyć, że wynajmują tylko mieszkanie, zapewnił, że zaraz opróżni skrzynkę. – Masz klucz? – zwrócił się do Dominiki, która podała mu pęk. Otworzył skrzynkę najmniejszym kluczykiem w zestawie i wyciągnął z niej plik pomiętych listów.

– Zaśmiecają skrzynki tym dziadostwem – skomentował listonosz, ale nikt go nie słuchał.

– Ty założysz kamery, ja wypiję tylko kawę i pojedę do domu się przygotować.

– Teoretycznie Machowski może tu być w każdej chwili, choć praktycznie nie spodziewałabym się go przed szóstą – oznajmiła Dominika, gdy weszli do mieszkania. – Jeśli chodzi o mieszkanie, to nie ma czasu na urządzenie – rozejrzała się wokół. Oprócz kartonu, o który zahaczyła w drodze do domofonu, wszędzie było pusto. – Jak skończysz, możesz zostawić to pudło obok tamtego – wskazała na karton, w którym Janek przyniósł sprzęt. – Powiem, że jestem w trakcie przeprowadzki. Z domu przywiozę wino i kieliszki.

– Zapowiada się romantyczny wieczór, co? – zapytał Janek na wpół zgnębionym, na wpół ironicznym głosem. – Skąd w ogóle pewność, że facet przyjdzie?

– Ty byś nie przyszedł? – odparła Dominika flirtującym tonem, który doprowadzał Janka do szału, bo wiedział, że nic się za nim nie kryje.

– Do ciebie? W życiu!

– Na szczęście Robert Machowski jest od ciebie mądrzejszy.

\*

Robert zamknął za sobą drzwi gabinetu i rzucił nieszczęsną książkę w stronę biurka. *Dzieje Tristana i Izoldy* rozcapierzyły się nad stolikiem niczym przestraszona kura i spomiędzy kartek wypadło zdjęcie. Kwadracik z twarzą Kornelii Szostak wylądował na biurku prezesa. Robert wziął do ręki fotografię, którą Dominika przezornie włożyła do książki, i usiadł za biurkiem. Przyglądał się zdjęciu z uwagą i krytycznie, tak jak żonaty mężczyzna powinien spoglądać na obcą kobietę – szukając wad i niedoskonałości. Chciał, żeby pod jego baczny spojrzeniem widniejąca na fotografii piękność przemieniła się w ropuchę. Niestety, ani ciemne oczy, ani wystające kości policzkowe, ani pełne usta nie zaczęły przypominać żabich organów. Dziewczyna była piękna, jeszcze piękniejsza niż wczoraj. Najbardziej zachwycały go włosy, długie, gęste i lśniące, zupełnie inne niż bezbarwny mop, który oglądał na co dzień na głowie Ani. Miał ochotę zanurzyć w nich dłonie i przelewać między palcami niczym jedwabne nici, a potem powędrowałby dłonią wzdłuż pleców i zakradł się pod zwiewną tunikę, którą Kornelia miała wczoraj na sobie. Nagle uświadomił sobie, że w stroju dziewczyny nie było

niczego wyzywającego i w swojej naiwności pomyślał, że skromność działa na mężczyzn bardziej niż wyuzdanie. Biedakowi nie przyszło do głowy, że stał się ofiarą manipulacji, że tunika byłaby tylko tuniką podobną od rozciągniętych habitów Ani, gdyby Dominika nie włożyła do niej obcisłych spodni i butów na koturnie. To nogi, wydłużone platformą i obcisnięte jeansem, sprawiały, że chciał zaglądać pod habit. Przyglądając się zdjęciu, zrozumiał, że nie jest w stanie obrzydzić sobie Kornelii. Ale czy naprawdę chodziło tylko o jej wygląd? Zamknął oczy i przywołał w myślach wczorajszy wieczór. Kornelia była towarzyska, ufna, otwarta, zabawna, inteligentna i pełna życia, była Anną z dawnych czasów. Zafascynowała go tak jak niegdyś pewna młoda malarka podczas aukcji dzieł sztuki, a tego nie da się sprowadzić tylko i wyłącznie do wyglądu. Czy dlatego okłamał wczoraj żonę? Bo dziewczyna, którą odwiózł do domu, nie była tylko zwykłą dziewczyną o niezwykłej urodzie? Była dziewczyną, w której mógłby się zakochać.

\*

Janek rzucił koperty na blat w kuchni.

– Nie wyglądają na reklamy – stwierdziła Dominika, patrząc na plik białych kopert z nadrukowanym motywem czarnej róży.

– Całe szczęście, że nie zdążyłem zamontować kamer na Sławkowskiej, oszczędziłem sobie roboty – powiedział żartobliwie Janek, zabierając się do odpakowywania kartonu ze sprzętem.

– Nie zamontowałeś kamer?! – krzyknęła Dominika, otwierając jednocześnie jedną z kopert.

– Jezu, kobieto, nie masz za grosz poczucia humoru, żartuję – stwierdził, wykładając z kartonu kolejne rzeczy.

Odpowiedź Dominiki dotarła do niego, gdy pochyłał się nad pudłem:

– Zabiję cię, dziwko.

– I to ma być śmieszne?

Janek podniósł głowę i spojrzał na Dominikę, która trzymała w dłoniach otwartą kopertę.

– Zabiję cię, dziwko – przeczytała ponownie.

– Co to, list od wielbiiciela? – Dосkoczył do przyjaciółki i wyrwał jej list z dłoni.

Na białym ozdobnym kartoniku widniało czarne odręczne wykaligrafowane zdanie: *Zabiję cię, dziwko.*

– Co to jest?

– List z groźbą.

Dominika poczuła dreszcz na plecach. Nie potrafiłaby powiedzieć, co przerażało ją bardziej: treść listu czy sposób, w jaki został napisany. Szyk i elegancja zawijanych liter na białym kartoniku przypominały zaproszenie na jakieś ekskluzywne wydarzenie – na jej własną śmierć. Autor musiał spędzić nad kartką trochę czasu. Pomyślała, że ktoś, kto ma cierpliwość do kaligrafowania, z całą pewnością potrafi także zaplanować zbrodnię. Podobna myśl przeszła przez głowę Jankowi.

– I co teraz?

– Ktoś cię zabije – powiedział Janek, zabierając się do otwierania pozostałych listów.

– Pokaż. – Wyrwała mu kartoniki. – *Zginiesz dziwko, Zabiję cię, dziwko, Zdechniesz dziwko, Będziesz zdychać powoli* – przeczytała wiadomości, każda z nich była starannie wykaligrafowana czarnym atramentem na eleganckim białym kartoniku. – Co to jest?! – spanikowała. – What the fuck?

– Nic takiego – powiedział Janek i tym razem był poważny. – Ja chciałem być kosmonautą, ktoś chce cię zabić, i co z tego? Nie wszystkie marzenia się spełniają. Nie traktuj tego zbyt poważnie. Wkurwiłaś jakiegoś koleśia, który w ten sposób odreagowuje złość. Jak to się teraz modnie mówi? Przepracowuje traumę. Zapewniam cię, że prawdziwy morderca nie uprzedza swojej ofiary, chyba że jest totalnym kretynem. Koleś nabazgroli jeszcze dwie skrzynki podobnego gówna, a potem mu przejdzie. To wszystko, nie ma się czym przejmować. Nic ci nie grozi – starał się zbagatelizować sytuację, choć sam nie do końca wierzył w to, co mówi.

– Jak to: jakiegoś koleśia? Przecież wiem, kto to napisał!

Janek spojrział pytająco.

– Bankier z poprzedniej sprawy, to chyba oczywiste! Nikt inny nie zna tego adresu! Shit! Shit, shit, shit!

– Po pierwsze, równie dobrze list mógł napisać ktoś mieszkający w tym bloku, świr, któremu wpadłaś w oko i nie odpowiedziałaś na „dzień dobry”, albo jakieś znużone wakacjami dzieciaki – powiedział Janek po chwili namysłu. – Po drugie, to mógł być każdy inny klient z przeszłości. Umówmy się, jeżeli ktoś będzie chciał cię znaleźć, to znajdzie cię, mimo że zmieniasz mieszkania, telefony i nazwiska. Na placu przed klubem świeci wielki różowy neon z napisem „Uwodzenie”! I wreszcie po trzecie, masz rację, to jest facet z poprzedniej sprawy.

– Co?

– To jest najbardziej prawdopodobne. Dobra wiadomość jest taka, że skoro wysyłała listy tutaj...

– Raczej wrzuca do skrzynki. – Dominika zauważyła, że na kopercie nie ma znaczków.

– Nieważne, chodzi o to, że nie zna twojego prawdziwego adresu. Co nie zmienia faktu, że trzeba temu panu złożyć wizytę. Co o nim wiemy?

– Wszystko. W domu mam jego teczkę.

– Masz w domu jego teczkę? – powtórzył Janek.

– Mam wszystkie teczki.

– Masz wszystkie teczki?

– Co z tobą?

Nagle rozległ się dźwięk domofonu.

– Och, to pewnie tylko morderca – rzuciła Dominika i ku zdziwieniu Janka podeszła do domofonu. – Tak?

„Mam dla pani przesyłkę” – usłyszała w słuchawce, po czym nacisnęła guzik.

– Przesyłka – wyjaśniła spokojnie, a Janek zrozumiał, że dziewczyna nie uświadomiła sobie jeszcze pewnego przerażającego faktu.

– Robert Machowski?

– Nie, dlaczego?

– Bo poza nim i tym – Janek złapał garść kopert – nikt nie wie, że tu mieszkasz!

Janek uchwycił tylko przerażone spojrzenie Dominiki, po czym usłyszeli „ping”, a potem dźwięk otwierającej się windy. To na pewno nie był głos Machowskiego, pomyślała Dominika. Rozległo się pukanie do drzwi. Dominika rozejrzała się bezradnie po mieszkaniu, szukając drogi wyjścia, ale jedyne, co zobaczyła, to leżące na blacie listy i wykaligrafowane zdanie: „Zginiesz, dziwko”. Człowiek za drzwiami szarpnął klamkę. Janek wskazał Dominice sypialnię, a sam podeszedł do drzwi. Zbliżył



twarz do wizjera. W tym samym momencie mężczyzna nacisnął dzwonek i Janek odskoczył przestraszony. Uświadamiając sobie, że przestraszył się dzwonka, poczuł złość i bez zastanowienia otworzył gwałtownie drzwi. W progu stał młody, najwyżej dwudziestoletni chłopak.

– Dzień dobry, mam przesyłkę dla pani... – chłopak spojrział na kopertę, na której widniało imię i nazwisko – Kornelii Szostak?

– W porządku. Gdzie mam podpisać?

– E... – zająkał się chłopak – nigdzie, to przesyłka prywatna z biura Budmachu.

– Okej, dzięki, przekażę. – Janek odebrał kopertę, w której znajdowały się *Dzieje Tristana i Izoldy*.

\*

Sekretarka uchyliła drzwi i wsunęła głowę do pomieszczenia.

– Tak jak pan prezes prosił, informuję, że przesyłka została doręczona.

– Okej, dzięki.

Robert odetchnął z ulgą. Postanowił, że jeszcze dziś porozmawia z Anią. Spotkanie z Kornelią Szostak uświadomiło mu jedną rzecz: w jego małżeństwie nie działa się dobrze. Nadszedł czas, żeby coś z tym wreszcie zrobić.

## Rozmowa w kamienicy

Ania odkryła kłamstwo Roberta i w ciemności pustego garażu zaświeciły jej wilgotne oczy. Postanowiła jednak, że nie będzie płakać. Zaciśnęła zęby i wróciła do kuchni. Włożyła do zmywarki brudne naczynia, wyczyściła ekspres, uzupełniła zbiornik świeżymi ziarenkami kawy. Odkładając płatki na miejsce, doszła do wniosku, że szafki i półki wymagają nowego planu zagospodarowania. Opróżniła większość z nich i zabrała się do porządkowania. Talerze powędrowały na miejsce szklanek, szklanki na miejsce makaronów i ryżu, makarony i ryż zajęły półkę pieczywa. Kiedy okazało się, że zabrakło miejsca na przetwory, Ania wybuchła histerycznym, trudnym do opanowania płaczem. Płakała kilka minut, aż wreszcie poczuła, że ma dosyć. Wydmuchała nos, otarła oczy, umyła twarz i już spokojna spokojem wydrążonego człowieka wyszła z domu. Wsiadła do samochodu i zadzwoniła do Tomka. Skurwiel nie odebrał.

Zapaliła papierosa i pojechała w stronę klubu, w którym pracował Tomek. Po drodze zatrzymała się w barze dla szczęśliwych ludzi, jednym z tych miejsc, gdzie kanapki sprzedaje się opakowane w ideologię, i kupiła jakieś wegańskie, nietestowane na zwierzętach tortille. Parkując przed klubem, dostała esemesa. Tomek napisał, że nie może teraz rozmawiać i że zadzwoni za chwilę. Ania miała nadzieję, że „za chwilę” oznacza zbliżającą się przerwę, podczas której zjedzą razem wege-dziadostwo. Nie czekając więc na telefon, wyszła z samochodu i ruszyła do klubu.

„Raz i dwa, i raz, i dwa”, „i do ośmiu, energicznie”, „i jeszcze raz, i jeszcze raz”, „nie poddajemy się, mamy siłę” – dało się słyszeć w korytarzu, ale żaden z głosów nie należał do trenera Tomka. Ania zerknęła do kilku sal, po czym skierowała się do pokoju dla personelu, gdzie kilku trenerów odpoczywało po swoich zajęciach.

– Dzień dobry, szukam Tomka Kantereita.

– Tomek ma dzisiaj wolne – powiedziała jakaś dziewczyna.

Ania wycofała się na korytarz. Zadzwoniła ponownie do Tomka, ale ten znowu nie odebrał. Wysłał za to kolejną wiadomość: „Pracuję”. Co, do cholery?! Dziewczyna przeczytała esemesa kilkakrotnie, ale za każdym razem wynikało z niego coś, co nie było prawdą. Dlaczego kłamie? Wróciła do samochodu i bez zastanowienia obrała kierunek w stronę centrum. „Pracuję” nie jest jednoznaczne z „jestem w pracy”, pomyślała, odpalając kolejnego papierosa. Miał jakiegos indywidualnego klienta, sprzątał mieszkanie albo planował swój wymarzony klub? Kto wie, może rzeczywiście otworzą razem klub, kiedy ona będzie już po rozwodzie i dostanie od Roberta pieniądze? W końcu dlaczego nie miałyby poświęcić życia krzewieniu kultury fizycznej? Zajęcie dobre jak każde inne. Droga pod kamienicę, w której mieszkał Tomek, zajęła kilka minut, ale miejsca parkingowe przed budynkiem jak zwykle były zajęte. Ania musiała zaparkować kilkaset metrów od kamienicy, na parkingu jakiegoś hotelu. Wzięła cuchnące zdrowiem tortille i spacerowym krokiem ruszyła na spotkanie ze swoją przyszłością. Robert kłamał, Robert kłamał, Robert kłamał, z każdym krokiem powtarzała w myślach to zdanie, jakby próbowała się nim samobiczować. Stała przed drzwiami do kamienicy i wcisnęła na domofonie numer mieszkania. Cisza. Spróbowała pięć razy, po czym sięgnęła po telefon, żeby napisać esemesa,

ale po namyśle schowała go z powrotem do kieszeni. Już miała wracać, kiedy drzwi zaczęły się nagle otwierać i z budynku wyszła biała staruszka o wyglądzie wampira.

– Wchodzi?

Ania skinęła głową i bez przekonania weszła do środka. Wchodzenie na piąte piętro nie miało większego sensu, ale skoro już tu była, poczołgała się na górę. Zajęcie dobre jak każde inne. Kilka minut później stanęła przed mieszkaniem Tomka i zaczęła nasłuchiwać. Wewnątrz panowała grobowa cisza. Żadnych kobiecych jęków, żadnego skrzypienia sprężyn, które logika melodramatów nakazywałaby teraz usłyszeć. I znowu pomyślała o Robercie. Czy wczorajszej nocy wydarzyło się coś więcej? Czy Robert ją zdradził, czy tylko okłamał? A może tylko zapomniał wspomnieć, że dziewczyna ofiarowała mu książkę?

Ania odwróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem do wyjścia. Będąc w połowie drogi, usłyszała otwierające się na dole drzwi, a potem głos Tomka. Stanęła jak wryta.

– Nie mam nic do żarcia. Trzeba było zjeść na mieście.

– Daj spokój, nie mam czasu na żarcie – odparł męski głos.

Ania odwróciła się i poszła z powrotem do góry. Minęła mieszkanie kochanka, pokonała jeszcze półpiętro i usiadła na schodach. Nasłuchiwała.

– A gdzie się tak spieszysz, misiu?

Misiu?!

– Muszę dokończyć ten projekt, o którym ci mówiłem.

– Nie możesz popracować u mnie? Ej, nie rób mi tego. Mam dzisiaj wolne, chcę spędzić z tobą trochę czasu. Ostatnio w ogóle się nie widzimy – zaczął głos Tomka.

– Sam tego chciałeś.

– Ej, tylko bez takich. Zgodziłeś się, wiesz dobrze, że się zgodziłeś.

– Wiem, wiem, sorry – przyznał ten drugi.

– Jesteś zazdrosny?

Głosy stanęły przed drzwiami mieszkania. Ania wstrzymała oddech, ale ciekawość nie pozwoliła jej zostać w miejscu. Przesunęła się ostrożnie w stronę metalowej balustrady i wychyliła głowę, żeby zobaczyć rozmawiających mężczyzn.

– Że co? Chyba cię podarło – oburzył się ten drugi, tleniony blondyn.

– Relaks, to był żart – uspokoił go Tomek i blondynowi zrobiło się głupio.

Złapał trenera za przyrodzenie.

Jęknęła bezgłośnie.

– Nikt w całym mieście nie obciągnie ci lepiej ode mnie – powiedział blondyn.

Mężczyźni weszli do mieszkania.

Minęło kilka minut, zanim Ania zdołała się podnieść i zejść na dół.

# Śledztwo

Janek nie miał pojęcia o istnieniu archiwum Dominiki. Na myśl o tym, że dziewczyna kolekcjonuje teczki uwiedzionych mężczyzn, że być może przechowuje również kopie sekstaśm, poczuł coś w rodzaju obrzydzenia połączonego ze smutkiem. Potrafił sobie wytłumaczyć, że Dominika uwodzi mężczyzn dla pieniędzy, ale kolekcjonowanie facetów niczym zwierzęcych skór nie mieściło mu się w głowie. Gdyby miał wybór, wolałby na to nie patrzeć, ale nie miał wyboru. Musiał pojechać z Dominiką do jej domu i zająć się teczką Andrzeja Wieczorka. Początkowo skłonny był uznać, że listy są tylko głupim żartem i jedyne, co należy zrobić, to wyjść z mieszkania i nigdy więcej do niego nie wracać. Kurier Machowskiego uświadomił mu jednak, że dopóki nie wyjaśni tej sprawy i nie będzie mieć pewności, kto i dlaczego wysłał pogroźki, ani on, ani Dominika nie zaznają spokoju.

– Zostaniesz w hotelu do czasu, aż wszystko się wyjaśni – oznajmił w samochodzie w drodze na ulicę Kasztanową.

– On nie wie, gdzie mieszkam. Sam tak powiedziałeś.

– Powiedziałem, że wiele na to wskazuje. Nie możemy być tego pewni, niczego nie możemy być pewni. Może właśnie nas śledzi.

Dominika spojrzała za siebie.

– Tylko żartowałem. – Nie żartował, obserwował w lusterku jadące za nimi samochody. Większość zniknęła gdzieś po drodze, ale kilka towarzyszyło im od dłuższego czasu. Postanowił, że zanim dotrze na Kasztanową, na wszelki wypadek pokłuczy po okolicy. – Ale jak to mówią, ostrożności nigdy za wiele. Albo wiesz co – przyszedł mu do głowy lepszy pomysł – najlepiej będzie, jeśli na jakiś czas znikniesz.

– Odbiło ci?

– Uważam, że powinnaś wyjechać – powtórzył.

– Zapomniałeś, że jesteśmy w trakcie sprawy?! Nie ma mowy, nigdzie nie jadę.

– To hotel.

– Żaden facet nie będzie decydować o moim życiu – wyszczała wściekle Dominika. – Nie będę się nigdzie ukrywać. Mam sprawę i zamierzam doprowadzić ją do końca.

– Bardzo nieprofesjonalne – skomentował Janek.

– O co ci chodzi?

– Nie jesteś zła z powodu listów, złości cię to, że budowlaniec odesłał książkę. Nie przyszedł – powiedział niemal radośnie, choć także z pewnym zdziwieniem, bo Dominika prawie nigdy nie myliła się w swoich przewidywaniach co do mężczyzn.

– Jesteś śmieszny. Mogę podać tysiąc powodów, dla których nie przyszedł – rzuciła pogardliwie, nie potrafiąc ukryć zdenerwowania.

Janek miał rację, fakt, że Robert Machowski odesłał książkę, przyprawiał Dominikę o mocniejsze bicie serca. Nie lubiła, kiedy sprawy szły nie po jej myśli. Fakt, że Machowski postąpił wbrew jej oczekiwaniom, drażnił ją bardziej niż to, że ktoś chce ją zabić.

– Podaj jeden.

– Co chcesz osiągnąć? Nie przyszedł, bo z jakiegoś powodu nie mógł, ale zapewniam cię, że jeszcze w tym tygodniu wyliże mnie patelnię. – Wypowiadając te słowa, wiedziała, że wbija kły w serce przyjaciela, i sprawiło jej to przyjemność. Była wulgarna i to też sprawiło jej przyjemność.

– Oby tak było – odparł z krwawiącym sercem Janek, starając się nie okazać emocji.

W samochodzie zapadła cisza.

– Wprowadź się do mnie – powiedziała nagle Dominika.

Wiedziała, że Janek ma rację i że do czasu wyjaśnienia sprawy pogroźek powinna zniknąć. Skoro jednak ta opcja nie wchodziła w grę z powodu Roberta Machowskiego, inna polegała na załatwieniu sobie ochrony.

– Słucham?

– You heard me, jeśli tak bardzo zależy ci na moim bezpieczeństwie, to feel free, możesz mnie pilnować.

– To chyba najlepsze wyjście – wyjąkał po dłuższej chwili.

Janek sprawiał wrażenie zawstydzonego i zarazem zachwyconego, co najmniej jakby usłyszał propozycję matrymonialną. Z wrażenia zapomniał, że ktoś może ich śledzić, i bez zbędnej ostrożności zajechał wprost pod dom przyjaciółki.

Była to budowla z początku dwudziestego wieku, coś pomiędzy przerośniętym domem jednorodzinny a skarlałym dworkiem, do której prowadziły szerokie kamienne schodki. Wokół budynku rosły stare drzewa kasztanowe, a że nie był on ogrodzony, jesienią kręciło się pod nimi mnóstwo szukających kasztanów dzieciaków.

Janek i Dominika weszli do domu, w którym w przeciwieństwie do samochodu panował przyjemny chłód.

– Kiedy wreszcie pozbędziesz się tego rzęcha? Jestem cała mokra!

– A ty kiedy pozbędziesz się tego bydłęcia? – zapytał Janek, mając na myśli nadbiegającą z wnętrza domu Vivien.

Czarny mops skoczył mu na nogę, odbił się od niej, spadł na grzbiet, po czym uciekł, skąd przyszedł.

– Precz, zarazo!

– Nie stresuj jej!

– To ona mnie stresuje. To nawet koło psa nie stało. Wyglądasz jak świnią, słyszysz? – rzucił za Vivien.

– Nie słuchaj go, kochanie.

Korytarz, w którym stali, miał kilka metrów długości i prowadził do strefy dziennej domu, przestronnego i przeskolonego salonu z wyjściem na taras oraz ogród. Po drodze do salonu znajdowały się jeszcze dwa pomieszczenia, biblioteka oraz łazienka. Dominika weszła do biblioteki, Janek poszedł za nią. Podobnie jak reszta domu pomieszczenie urządzone było w stylu stanowiącym mieszaninę klasyki oraz nowoczesności. Znajdowały się tu drewniane regały i tapicerowane fotele, obrazy w złotych ramach i kryształowe lampy. Na środku stało antyczne biurko, w którym, jak przypuszczał Janek, mieściły się teczki.

Ku zdziwieniu mężczyzny Dominika podeszła jednak do regału z książkami, wyciągnęła jeden z wielu tak samo wyglądających pozłacanych tomów i wróciła do biurka. Janek dostrzegł, że wolumin opatrzony jest na grzbiecie rzymskimi cyframi LXXXVIII. Dominika otworzyła książkę, która, jak się okazało, nie była książką, ale pudełkiem. W środku znajdowała się złota teczka. Janek wziął teczkę do ręki i dopiero z bliska dostrzegł wytłoczony na niej napis: „Andrzej Wieczorek”. Kiedy zajrzał do środka, zobaczył znajomą twarz bankiera.

– Niewiele ładniejszy od Vivien.

Janek nie mógł się pochwalić dobrą pamięcią, a już w szczególności nie zapamiętywał spraw Blacka, ale twarz Andrzeja Wieczorka siłą rzeczy odświeżyła mu szczegóły poprzedniej sprawy.

– To dziwne, taki paskudny chłop, a taka ładna żona – stwierdził, po czym wyszukał w pliku z fotografiami zdjęcie Edyty Wieczorek i podsunął je Dominice pod nos. – Pamiętasz ją?

– Jej uroda nie sprawi, że moja zniknie – odparła dziewczyna, odczytując to, co tak głęboko zalegało w duszy jej przyjaciela.

– Ale może cię wkurzy.

Mówiąc to, Janek poczuł dreszcz podniecenia, bo nigdy wcześniej nie rozmawiali z Dominiką w tak bezpośredni sposób.

– Nie znasz kobiet, jeżeli uważasz, że rywalizujemy ze sobą na urodę.

– Nie, a na co?

– Na mężczyzn.

– To ona nawet nie wie, że przegrała – powiedział Janek, chowając zdjęcie do teczki.

– A ja myślę, że wie. – Dominika uśmiechnęła się tajemniczo.

Janek przejrzał pozostałe papiery, przepisał do telefonu informacje, których potrzebował, schował do kieszeni kilka zdjęć i zamknął pudełko.

– Zamknij się i nigdzie nie wylaż, rozumiesz? Wkrótce do ciebie wrócę, na pewno przed zmrokiem. Nikt normalny nie morduje w biały dzień, przynajmniej ja wolałbym poczekać do nocy. A ty, brzydaku – Janek zwrócił się do Vivien – pilnij pani.

Dominika zamknęła drzwi i poszła do salonu. Usiadła na kanapie, a po krótkim namyśle sięgnęła po telefon i połączyła się z Tomaszem Kantereitem.

\*

Janek wpisał do nawigacji adres Andrzeja Wieczorka, ale uświadomił sobie, że o tej godzinie nie ma tam czego szukać, bo mężczyzna jest zapewne w pracy. Mógłby spróbować włamać się do jego domu, żeby poszukać dowodów winy, ale to także nie miało większego sensu. Z doświadczenia wiedział, że takie sprawy wymagają osobistego kontaktu z podejrzanym. Zignorował nawigację i zamiast do domu obrał drogę do banku, w którym pracował Wieczorek. Dotarcie na miejsce zajęło mu ponad godzinę i wychodząc z samochodu, oczekiwał potem.

– Wykończysz mnie – szepnął do calibry, po czym ruszył na tyły budynku, chcąc sprawdzić, czy na parkingu dla pracowników stoi samochód Wieczorka. Nie oglądając się na stróżówkę, przemknął pod szlabanem.

– Ej, gdzie pan, tu nie wolno! – krzyknął starszy mężczyzna, wyłoniwszy się nagle z budki.

Właściwy człowiek na właściwym miejscu, pomyślał Janek, bo staruszek wyglądał na tak schorowanego, jakby nie był w stanie upilnować nawet własnego moczu.

– Nie wolno? A tym skurwielom wszystko wolno! Biedaka zawsze wyruchają.

– Co pan?! – zdziwił się ochroniarz.

– Skurwiel wjechał mi w dupę i nawet się nie zatrzymał. Pół roku go szukałem. Patrz pan – Janek pokazał mężczyźnie zdjęcie, na którym Andrzej Wieczorek wychodził z samochodu – wiem, że tu pracuje.

– Ech, panie! – Starzec machnął ręką. – Nie pracuje!

– Co pan opowiada? Cały tył do klepania, a skurwiel zwiął. – Rzucił mężczyźnie podejrzliwe spojrzenie.

– Jak Boga kocham. Wywalili go albo odszedł, ale chyba wywalili, bo na prezesa się szykował, to sam by chyba nie rezygnował, bo ja wiem? – Mężczyzna się zasepił. – Na pewno jego pan szukasz? To porządny człowiek, takiego świństwa, żeby uciec, to chyba by nie zrobił...

– Oni wszyscy są porządni... I co ja teraz zrobię? Wie pan, gdzie mogą go znaleźć?

– A skąd ja mam to wiedzieć? – obruszył się mężczyzna. – Ale chyba nie w domu, bo słyszałem, że żona też go wykopała.

– Co pan powie?

– Tak mówią. Patrz pan, jak to jest... Miał chłop wszystko i nagle bach, nie ma nic. – Ochroniarz pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Rzeczywiście, pech. Ale trudno, ma za swoje. Dziękuję panu. – Janek podał mężczyźnie rękę i odszedł.

W obliczu nowych informacji jedynym punktem zaczepienia pozostawał dom Andrzeja Wieczorka. Blak musiał więc wrócić do zarzuconego wcześniej pomysłu, a skoro tak, postanowił się do tego przygotować. W tym celu pojechał najpierw do Fightera. Po drodze zastanawiał się nad tym, co usłyszał od ochroniarza. Wieczorek stracił pracę. W tym nie było niczego zaskakującego, po to w końcu ktoś zlecił nagranie, żeby szantażem pozbawić bankiera stanowiska. Ale dlaczego stracił również żonę? Przypadek? Ochroniarz powiedział, że Andrzej Wieczorek był porządnym gościem, i Janek miał przeczucie, że tak było. Pamiętał sektaśmę bankiera, to była pierwsza rzecz, którą przypomniał sobie, patrząc na zdjęcie mężczyzny. Andrzej Wieczorek kochał się z Dominiką ze łzami w oczach, wykrzykując imię swojej żony. Liczysz się tylko ty, Edytko, tylko ty... To było żałosne i zarazem wzruszające, było jasne, że ten facet nigdy wcześniej nie zdradził żony. Ale czy to oznaczało, że nie był zdolny do napisania listów? Ilu takich zapracowanych i oddanych rodzinie mężczyzn wiedzie podwójne życie? Nigdy nie wiadomo, kto jest kim i do czego jest zdolny, a Wieczorek – oprócz tego, że sprawiał wrażenie dupy wołowej, zwanej przez niektórych porządnym człowiekiem – był także trochę dziwny. A jeśli rozstał się z ukochaną żoną z powodu Dominiki? Jeśli Edyta Wieczorek zobaczyła film?

Janek dotarł do klubu po godzinie i chociaż się spieszył, nie mógł tak po prostu przemknąć do swojego gabinetu, nie zatrzymując się przy biurku pani Basi.

– Jesteś wreszcie, ileż można! – krzyknęła na jego widok sekretarka.

– Wpadłem tylko na chwilę, zaraz wychodzę.

– Na jaką chwilę?! – oburzyła się kobieta, która uważała, że Janek Blak jest przede wszystkim właścicielem klubu sportów walki i w związku z tym powinien spędzać czas w klubie. Nie pochwałała

drugiego zajęcia swojego szefa, choć kiedy Janek otwierał agencję, zgodziła się pełnić funkcję podwójnej sekretarki. Teraz chętnie oddałaby część swojej pensji, żeby wrócić do tego, co było kiedyś, do czasów przed pojawieniem się tej demonicznej kobiety, kiedy Janek był szczęśliwy i nie wólczył się całymi dniami Bóg wie gdzie, a przed budynkiem nie wisiał idiotyczny neon z kretyńskim napisem. – Chodź no tu natychmiast.

Podszedł pokornie.

– Gdzie się tak spieszysz, co?

– Pracuję, pani Basiu.

– E tam, pracuję. – Kobieta machnęła ręką.

– Ma pani coś dobrego?

– Ja cię tylko ostrzegam, Jasiu, będziesz szerszy niż dłuższy, zobaczysz – powiedziała pani Basia, która sama nie była chudziną, a potem sięgnęła do szuflady swojego biurka, z której wyjęła garść krówek. I mówiąc prawdę, byłoby jej bardzo smutno, gdyby Janek nie zapytał o cukierki, bo kupowała je przede wszystkim dla niego i tylko trochę dla siebie.

– Danke.

Mężczyzna rozwinął kilka krówek, wpakował wszystkie naraz do ust i uciekł do siebie. Przebrał się w garnitur, do kieszeni spodni włożył kilka identyfikatorów, które znalazł w biurku, a wychodząc z gabinetu, zabrał czarną aktówkę. Następnie poszedł na salę treningową, żeby odszukać Sylwię. Nie było to trudne, bo w świetle dnia włosy trenerki, farbowane na intensywną czerwień, świeciły niczym rasa.

– Sylwia! Mogę cię prosić na chwilę?

Dziewczyna podeszła.

– Słuchaj, nie pożyczylabyś mi samochodu?

– Calibra się zepsuła?

– Nie, skąd. Tylko muszę coś załatwić i przydałby mi się... – zawahał się – no wiesz...

– Lepszy wizerunek?

Skinął głową, a Sylwia z uśmiechem na ustach pobiegła do szatni po kluczyki. Dwadzieścia minut później srebrny ford mondeo zaparkował pod domem Andrzeja Wieczorka. Licencjonowany detektyw jak zawsze zaczął od rekonesansu wśród sąsiadów. Dowiedział się, że Wieczorek wyprowadził się z domu, a Wieczorkowa potwornie przytyła. Po więcej informacji udał się do samego źródła.

– Kto tam? – zapytał kobiecy głos po tym, gdy Janek nacisnął przycisk wideofonu.

– Arkadiusz Konieczny, jestem przedstawicielem firmy ubezpieczeniowej Gold Future. Chciałbym rozmawiać z panem Andrzejem Wieczorkiem.

– Wieczorek tu nie mieszka.

– Czy pani jest żoną pana Andrzeja?

– Teoretycznie, a o co chodzi?

– Czy mógłbym zabrać pani chwilę? Mam do państwa ważną sprawę, chodzi o ubezpieczenie, które wykupił u nas pan Andrzej. – Janek sięgnął do kieszeni po jeden z identyfikatorów i pokazał go do kamery.

– Dobrze, ale naprawdę tylko chwilę, jestem zajęta.



Metalowa furtka zabręczala i Janek wszedł na teren posesji. Edyta Wieczorek czekała przy uchylonych drzwiach. Rzeczywiście przytęła, co nie zmieniało faktu, że wciąż była piękna. Reprezentowała rzadko spotykany w Polsce śródziemnomorski typ urody z ciemną karnacją i ciemnymi włosami. Na żywo wyglądała jeszcze ładniej niż na zdjęciu, a Janek złapał się na tym, że patwienie na nią sprawia mu przyjemność. Pani Wieczorek była dowodem na to, że kobiece piękno nie kończy się na Dominice Werner.

– Arkadiusz Konieczny, bardzo mi miło. – Podał kobiecie legitymację, ale ta machnęła na nią ręką.

– Proszę wejść. – Edyta Wieczorek wprowadziła gościa do przestronnego salonu. – Jesteśmy z Wieczorkiem w trakcie rozwodu, nie wiem, czy będę mogła panu pomóc.

– Dopóki jesteście państwo małżeństwem, jestem upoważniony także do rozmów z panią. Jak pani z pewnością wie, pan Andrzej wykupił u nas diamentową polisę.

Kobieta skinęła niemrawo głową.

– Minał kolejny rok i pan Andrzej powinien podpisać kilka papierów. To zwykła formalność, ale przy tego typu polisach niezbędna, tymczasem nie możemy się z nim skontaktować. Wysłaliśmy stosowne pismo na adres korespondencyjny, o ile pamiętam, jest to adres banku, ale pozostało bez odpowiedzi. Komórka pana Andrzeja również nie odpowiada.

– Wieczorek nie pracuje już w banku.

– Och!

– Pewnie dziwi pana, że nazywam męża Wieczorek? – Spojrzała na gościa badawczo, sondując, czy może mu zaufać. – Moja terapeutka powiedziała, że nazywając go w ten sposób, nauczę się emocjonalnego dystansu.

– I co, działa?

– Pewnie, że działa. Wieczorek? Brzmi jak nazwisko policjanta, posterunkowy Wieczorek. Nie sądzi pan?

Janek się roześmiał.

– Może napije się pan czegoś? Gorąco dzisiaj – zaproponowała Edyta, bo Arkadiusz przypadł jej do gustu. Był podobny do Toma Cruise'a i zarazem tak bardzo niepodobny do jej prawie byłego męża.

– Chętnie, jeśli to nie problem.

– Ależ skąd!

Wyszła z salonu i wróciła po chwili z butelką wody oraz szklankami.

– Dobrze, że państwa syn nie jest już dzieckiem – powiedział Janek, spoglądając na ustawioną nad kominkiem rodzinną galerię zdjęć, na których przewijał się młody chłopak – mam na myśli w kontekście rozwodu. Moi rodzice rozwiedli się, kiedy miałem osiem lat, i wiem, że nie jest to łatwe przeżycie.

– Osiem, osiemnaście, co za różnica, jeżeli ktoś jest wrażliwy, a Matti jest bardzo wrażliwy. Pan nie wygląda... – Na policzku kobiety pojawił się rumieniec.

– Chciała pani powiedzieć, że nie wyglądam na kogoś wrażliwego? – Uśmiechnęła się. – To tylko pozory, pod tymi mięśniami kryje się bardzo delikatne serce.

Edyta Wieczorek roześmiała się.

– W takich sytuacjach trzeba się czymś zająć. Mnie pomógł sport.

Kobieta westchnęła.

– Ten idiota wziął Mattiego na jogę. Rozumie pan? Zniszczyć dziecku życie i wziąć go na jogę? Zresztą to nie koniec jego wybitnych pomysłów... Ale po co ja o tym w ogóle mówię? – Kobieta uśmiechnęła się smutno. – Moja terapeutka uważa, że nie powinnam nawet o tym za dużo myśleć.

– Przykro mi – powiedział Janek, bo autentycznie zrobiło mu się przykro z powodu nieszczęścia tej kobiety.

Słońce powoli zachodziło i salon w domu Wieczorków przybierał różowopomarańczową barwę. Janek musiał się spieszyć.

– Przepraszam, zasiedziałem się. Czy mógłbym panią prosić o aktualny adres pana Andrzeja?

– Oczywiście, zapiszę panu.

Chwilę później Arkadiusz Konieczny odebrał karteczkę z adresem, podziękował i wyszedł z domu, zostawiając Edytę Wieczorek w dziwnym stanie melancholii spowodowanej myślą, że znowu jest wolną kobietą.

Andrzej Wieczorek miał powody, żeby nienawidzić Dominiki, tym bardziej jeśli przez nią stracił nie tylko pracę. Ale sam motyw nie przesądzał o winie, kilkudziesięciu innych mężczyzn w kraju i wielu za granicą miało nie mniejsze powody, żeby grozić Dominice śmiercią. Jeśli jednak nie on, to kto?

Nowe miejsce pobytu Andrzeja Wieczorka oddalone było o jakieś pięćdziesiąt minut drogi, a ponieważ Janek musiał pojechać jeszcze do Fightera, żeby oddać Sylwii samochód, uznał, że najlepiej będzie, jeśli odłoży sprawę do jutra. Tak naprawdę obawiał się, że wizyta u bankiera rozwiąże problem pogroźek i tym samym zniknie powód, dla którego zgodził się spędzić noc pod jednym dachem z Dominiką. Pojechał więc do klubu, a potem prosto na Kasztanową. Wcześniej umówił się z przyjaciółką, że pójdą razem na kolację. Po drodze kupił nowy T-shirt, który włożył, pozbywając się mokrej koszuli, wołał nie testować prawdziwości twierdzenia o erotycznym działaniu potu na kobiety.

Dominika zaproponowała Jankowi wyjście na kolację, ponieważ miała do niego interes (na tyle poważny, że nawet biorąc pod uwagę zwyczajowe oddanie przyjaciela, nie była pewna jego zgody), a interesy najlepiej załatwia się w miłych włoskich restauracjach.

– Fuck it! – powiedziała, odkładając na stół kartę z menu. – Wezmę ragoût i wino.

– Świętujemy coś? – Janek zdziwił się wyborem dziewczyny, której do życia wystarczała zazwyczaj filiżanka kawy.

– Tak, jutrzejszy sukces.

– To za wcześnie – zaprotestował, sądząc, że Dominika mówi o sprawie listów. – Nawet nie wiemy, czy to on, i jutro może się okazać, że jesteście dokładnie w tym samym miejscu.

– Ach, nie chodzi mnie o tamto! Mówiłam o Robercie Machowskim. – Uśmiechnęła się tajemniczo jednym z tych czarujących uśmiechów, które zawsze Janka zastanawiały, bo nie mógł rozgryźć, na ile są wyuczone i obliczone na afekt.

– Coś się wydarzyło pod moją nieobecność?

– Wiem, jak zakończyć sprawę.

– I zamierzasz zrobić to jutro?

– A dlaczego nie?

Rozmowę przerwał im kelner. Złożyli zamówienie, po czym wrócili do przerwanej wątku.

– No to dajesz.

– Wypadek samochodowy! – oznajmiła niemal triumfalnie.

– Co takiego?!

– Och, wiem, jak dramatycznie to brzmi, ale uwierz mnie, kochanie, że nie ma w tym żadnej dramy. Plan jest prosty. Robert Machowski będzie mieć jutro stłuczkę. Thats it!

– No i co z tego?

– Ja uderzę w jego samochód i mój samochód nie będzie dalej jechać. To jest tragedia – Dominika przybrała smutną minę – bo jadę załatwić ważną sprawę. On proponuje, że mnie zawiezie i trafiami do domku w lesie. Mówiłam, simple as that! – Klasnęła w dłonie.

Dominika była pobudzona i jej zachowanie wydało się Jankowi nienaturalne. Ale powiedzieć o niej, że zachowuje się nienaturalnie, samo w sobie nie było naturalne. Urok tej dziewczyny polegał bowiem na tym, że nigdy nie była taka sama. Wciąż się zmieniała, jakby każdego poranka wraz z ubraniami wkładała na siebie osobowość, na którą miała właśnie ochotę. Była dziewczyną o stu twarzach i tysiącach osobowości, zaskakującą, tajemniczą, niezbadaną. Ale i to nie stanowiło absolutnej prawdy na jej temat, bo w jej zachowaniu przewijał się także pewien stały wzorec, a im dłużej przebywało się w jej towarzystwie, tym większa istniała szansa na jego pojawienie się. Ta Dominika była Dominiką bez maski, radosną, zabawną, bezpośrednią dziewczyną, taką, jaką Janek zapamiętał z początku ich znajomości i w jakiej się zakochał.

– Dlaczego nie zrobisz tego jak zawsze? Wpaść na gościa w restauracji czy coś... Po co od razu rozwaląć samochody?

– Jeśli uda mi się zaciągnąć go do domku w lesie, jutro będzie po wszystkim.

– Daj spokój. Jutro załatwimy Wieczorka, a potem...

– Hej! – weszła mu w słowo. – Chcę to zrobić jutro.

Janek wyczuł w słowach Dominiki stanowczość, która miała również lekki posmak rozpacz, i nagle uświadomił sobie, że powodem jej dziwnego zachowania są zapewne listy z pogróżkami. Jego przyjaciółka nie należała do osób, które okazują strach, a przecież jak każdy normalny człowiek musiała się ich przestraszyć. Jeśli zajęła się sprawą, żeby nie myśleć o groźbach, to nie mógł jej nie pomóc.

Dominika wyczytała z twarzy Janka zmianę nastawienia i intuicja podpowiedziała jej, co powinna zrobić. W jej oczach zaszklily się łzy.

– Chcę to zrobić jutro – powtórzyła.

– Nie ma sprawy, zrobimy, jak chcesz.

– Dziękuję. – Otarła oczy z udawaną, niedyskretną dyskrecją.

Kelner przyniósł zamówienie. Kiedy byli już w połowie posiłku, Dominika niespodziewanie zapytała:

– Mogę wziąć jutro twój samochód?

– Pewnie, po co?

– No wiesz... ta stłuczka. – Sięgnęła po wino, jakby chcąc tym gestem zaabsorbować uwagę przyjaciela.

– Nie ma mowy!

– Janek, proszę.

Spojrzała na niego błagalno-figlarnym spojrzeniem, od którego zakręciło mu się w żołądku.

– Nie! Weź swój!

– Bądź rozsądny. Mój samochód jest za dobry.

– Że co?!

– Nie to miałam na myśli. Chciałam powiedzieć, że mój samochód jest za dobry do roli, jaką odgrywam przed Machowskim. On myśli, że pracuję w szkole. Który nauczyciel jeździ sportowym nissanem? Poza tym koszty będą nieporównywalnie niższe w przypadku twojego samochodu, a po wszystkim nie straci na wartości. Myślisz, że nie wiem, jak bardzo go kochasz? – zapytała z wyrzutem, który sprawił Jankowi przyjemność. – Wiem i ciężko mnie o to prosić...

– Okej – wysyczał po chwili.

– Naprawdę?

– Przecież powiedziałem.

– Dziękuję, kochanie, wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Ty jeden nigdy mnie nie zawiodłeś – powiedziała, ponieważ tak należało powiedzieć.

Bo chociaż Dominika była przekonana, że Janek oddałby za nią życie, nie potrafiła czuć z tego powodu nadmiernej wdzięczności. Skoro uważał się za jej przyjaciela, jego oddanie po prostu jej się należało.

Reszta wieczoru minęła im w przyjemnej atmosferze. Osiągnąwszy cel, Dominika rozluźniła się na tyle, że zaczęła nadawać na wyjątkowo przyjaznych falach, tych, które Janek określał jako zrzucenie maski i które również jego wprawiły w świetny humor. Po kolacji pojechali pod siedzibę Budmachu, żeby poczynić pewne ustalenia. Wybrali miejsce stłuczki, a potem Janek zabawił się w demolowanie znaków.

## Widok na miasto nocą

Kiedy Dominika i Janek krążyli wokół biurowca Budmachu, Roberta już dawno w nim nie było. Wyszedł z pracy o godzinie szóstej wieczorem pod eskortą troskliwego – „ten chłop się wykończy” – ale nie pozbawionego pożądania – „a bym mu pocymała” – wzroku pań sprzątaczek. Zanim wsiadł do samochodu, zdjął marynarkę – „Maryśka, chodź no tu” – krawat oraz koszulę – „Matko Bosko, Maryśka, no chodźże prendzy!” – i wrzucił je na tylne siedzenie, następnie na obcisłą koszulkę włożył sportową rozpinaną bluzę z kapturem. Wreszcie! Odetchnął z ulgą, ale uczucie nie trwało długo. Coś nadal ścisnęło go za gardło. Kurwa mać, zaklął w myślach, bo zrozumiał, że tym, co go uwiera, jest perspektywa powrotu do domu i zmierzenia się ze swoim małżeństwem, zmierzenia się z Anią.

\*

Nie mógł wiedzieć, że w tamtej chwili żona kochała go bardziej niż kiedykolwiek. Ania zawsze wiedziała, że Robert jest wspaniałym człowiekiem, jednym z tych rzadkich okazji uczciwego, dobrego faceta, ale na tle tego, co odkryła na temat Tomka, dobroć Roberta stała się niemal odczuwalna. Czym innym jest bowiem doświadczać czyjejś dobroci, jeśli doświadcza się tylko i wyłącznie dobroci, a czym innym jest jej doświadczać, kiedy człowiek zetknie się z podłością. Oszukana przez Tomka Ania poczuła wartość miłości Roberta i kiedy wracała z centrum miasta do domu, wśród nawałnicy uczuć, jaka się przez nią przetaczała, jedno dawało jej się szczególnie we znaki – pragnienie, żeby doświadczyć tej miłości po raz ostatni. Żeby zanim wszystko się skończy, było przez chwilę jak dawniej.

Rozmowa trenera i jego chłopaka, którą podsłuchiwała, nie wywołała w niej smutku ani nawet większej złości. Ania czuła wstyd, żrące jak kwas poczucie hańby, które powodowało palący ból. Paradoks sytuacji polegał na tym, że odkrywając kłamstwo kochanka, nie odkryła niczego nowego. Że był oszustem? Skurwysynem? Homoseksualistą? Uświadomiła sobie, że to wszystko było w nim zawsze, jak biały kwadrat na białym tle. Dlaczego dała się nabrać? Została oszukana, a może pozwoliła się oszukać? Nagle i niespodziewanie przed Anią ujawniła się skala jej własnego upadku. Dotąd sądziła, że ma na sumieniu tylko jeden śmiertelny grzech, jedno prawdziwe przewinienie, którego finał rozegrał się w Bolonii. Teraz zrozumiała, że to był tylko początek, że zaślepiła ją jej własna wina. Sądząc, że zrobiła coś najgorszego, nic gorszego nie mogła już zrobić i w ten sposób stoczyła się na dno. Zatrula Robertowi życie, wdała się w romans, wynajęła uwodzicielkę, pozwoliła się wykorzystać... Czy istniało dla niej usprawiedliwienie? Czy tłumaczył ją fakt, że kochała Roberta i że wszystko to – romans, uwodzicielka – było tylko planem awaryjnym na życie po katastrofie, sposobem na przetrwanie bez męża, którego zawiodła? A może tamtego straszego dnia we Włoszech po prostu postradała zmysły? Może, począwszy od tamtej chwili, każdy jej czyn był czynem wariackim?

Może, gdyby wtedy postąpiła inaczej, gdyby na samym początku wyznała Robertowi prawdę, sprawy potoczyłyby się inaczej? Uczucie, które przepelniało serce Ani, nie było jednak tym płomiennym żalem, który wznieca w człowieku chęć naprawienia błędów i wolę walki. Dla niej nie było ratunku, dlatego jej żal był tylko zawodem żalobnej płaczki. Nie miała odwagi opowiedzieć mężowi o tym,

co się stało w Bolonii, ani wtedy, ani teraz. A nawet jeśli jakimś cudem potrafiłaby to z siebie wydusić, i tak nie zasługiwała na przebaczenie. Bo jak powiedzieć ukochanej osobie, że z własnego egoizmu pozbawiło się ją szczęścia? I jakim prawem żądać za to wybaczenia? Niczego bardziej nie pragnęła niż uwolnić się od ciężaru, który rozsądzał jej związek z Robertem, ale to nie było możliwe. Ich małżeństwo musiało się skończyć. Jedyne, na co mogła jeszcze liczyć, to krótka chwila zapomnienia.

Dlatego Ania czekała, aż Robert wróci z pracy, a kiedy usłyszała warkot jego samochodu, wybiegła z domu i rzuciła mu się na szyję.

– Coś się stało? – zapytał mężczyzna, zaskoczony tym dziwnym zachowaniem żony.

– Chciałam się z tobą przywitać.

– To miło.

Robert sięgnął do kieszeni po pilota od drzwi garażowych.

– Nie zamykaj, jedziemy – zakomenderowała radośnie Ania, ale niemal w tej samej chwili straciła zapal. Przypomniała sobie, że Robert może być umówiony z uwodzicielką. – Chyba że gdzieś wychodzisz?

– Nigdzie się nie wybieram. Dokąd chcesz pojechać?

– Jestem śmiertelnie głodna. Jedźmy coś zjeść, już dawno nigdzie nie byliśmy. – Nie czekając na odpowiedź, Ania wsiadła do samochodu męża. Mimowolnie rozejrzała się po wnętrzu, ale nigdzie nie dostrzegła przekłętej książki. Co się z nią stało? Została zwrócona właścicielce? Jeśli ten wieczór miał się udać, nie mogła o tym myśleć.

Chcąc nie chcąc, bardziej jednak chcąc, bo również był głodny, Robert zajął miejsce za kierownicą.

– Dokąd sobie pani życzy?

– No cóż, nie jestem wybredna.

Uśmiechnął się porozumiewawczo i nie pytając o nic więcej, ruszył do miejsca, w którym panierowano kurczaki i smażyono frytki w głębokim oleju. Ania włączyła radio ze starymi przebojami, w samochodzie rozbrzmiała ballada U2, na którą zareagowała jękiem wzruszenia. W świetle zachodzącego słońca i w perspektywie końca ich małżeństwa wysiłki Bono rozczuliły ją bardziej niż zwykle. Gdyby usłyszała piosenkę '74-'75 zespołu The Connells, popełniłaby chyba samobójstwo.

– Wchodzimy do środka czy bierzemy na wynos? – zapytał Robert, podjeżdżając pod budynek fast foodu.

– Na pewno nigdzie się dzisiaj nie wybierasz?

– Już drugi raz mnie o to pytasz, dlaczego?

– Tak tylko. – Wzruszyła ramionami. – Weźmy na wynos, pokażę ci fajne miejsce.

Robert złożył i odebrał zamówienie, a potem zatrzymał się na parkingu, żeby zamienić się z Anią miejscami. W trakcie jazdy sięgął po frytki i karmił nimi żonę. Nie odzywali się do siebie, ale nie było to męczące milczenie obcych sobie ludzi, którym wypada rozmawiać, choć nie mają o czym. Każde zanurzyło się we własnych myślach. Ania wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby zdradziła Robertowi swoje sekrety, Robert zastanawiał się, jak zacząć poważną rozmowę na temat ich związku. Ona wiedziała, że nie zdołają się na odwagę, on miał nadzieję, że zmusi ją wreszcie do szczerzej rozmowy. Zaraz za miastem zjechali z zakopianki i przejeżdżając przez kolejne wioski, wznosili się krętą drogą ku górze. Kiedy osiągnęli najwyższy punkt wzniesienia, Ania skręciła w polną drogę, która na pierwszy rzut oka prowadziła do lasu.

– Zamierzasz mnie zabić i zakopać zwłoki w lesie?

– Zabić tak, ale kopanie grobu nie wchodzi w grę. Będziesz musiał zgnić na widoku, ukochany.

– Dobrze w takim razie, że nie jestem wstydlivy.

Drzewa okazały się tylko zasłoną dla otwartej polanki na skarpie, skąd rozciągał się widok na oświetlone miasto. Ania zatrzymała samochód. Wyłączyła silnik, zostawiając grające radio. Spuścili szyby, żeby pachnące letnie powietrze przedostało się do środka.

– Pięknie tu, prawda?

Robert przytaknął. Naszło go to dziwne, ale przyjemne uczucie, które dopada czasem człowieka, kiedy w znajomym krajobrazie odkryje nagle enklawę jakiegoś obcego, odległego miejsca, gdy na przykład wiejska droga w Koziej Dupce latem wygląda tak, jakby była drogą biegnącą do Hawany. Widok z góry na Kraków skojarzył mu się z obrazem Kalifornii, choć nie jest wykluczone, że stało się tak za sprawą Roya Orbisona, który śpiewał właśnie w radiu *California Blue*.

– Skąd znasz to miejsce?

– Odkryłam kiedyś przez przypadek.

Ania sięgnęła do papierowej torby z jedzeniem i rozdzieliła porcje.

– O nie – jęknął Robert, gdy po Orbisonie zabrzmiały charakterystyczne dźwięki *Kokomo Beach Boysów*.

– Ja ją lubię.

Ania zakotyssała się w rytm przeboju.

– Wiem i uważam, że powinnaś się wstydzić.

– Ty lubisz meksykańskie telenowe!e!

– Por favor!

Jedli, słuchając *Kokomo*. Kiedy piosenka dobiegła końca, włączył się spiker z mętnymi rozważaniami na temat końca lata i ostatnich ciepłych wieczorów, po których zabrzmiała gitara zapowiadająca *Wish You Were Here* Floydów.

– Czy ty mnie jeszcze kochasz? – odezwał się Robert.

Pytanie zaskoczyło go tak samo jak Anię, bo wcale nie planował go zadać. Wątpliwość niczym trujący gaz ulotniła się z jego podświadomości i oboje poczuli, jak pod jej wpływem powietrze w samochodzie nagle stężało.

Robert mógł się wycofać, obrócić pytanie w żart, zapytać o coś innego, ale nie zrobił tego. Zrozumiał, że ta jedna odpowiedź wystarczy mu za wszystkie inne. Robert kochał bowiem tak, jak jeszcze czasem potrafią kochać tylko mężczyźni, prostolinijnie wierzył, że miłość potrafi pokonać wszelkie trudności. Nigdy nie przekroczył przy tym granicy naiwności, za którą wierzy się w miłość do grobowej deski. Wręcz przeciwnie. Uważał, że nawet najgorętsze uczucie może się pewnego dnia wypalić, ale dopóki ono jest, ludzie są w stanie się dogadać. Wszystko, co niepokoiło go od chwili, gdy zapragnął przelecieć Kornelię Szostak, sprowadzało się do tej jednej zasadniczej obawy – lęku, który właśnie się przed nim ujawnił – czy między nim a Anią istnieje jeszcze miłość.

Dziewczyna zanurkowała w papierowej torbie po jedzeniu, jakby wierząc, że radość z odnalezienia zawieruszonej frytki albo kawałka kurczaka uratuje ją przed koniecznością udzielenia odpowiedzi. Gdyby zapytał: „kochasz mnie?”, byłoby to tylko niewiele znaczące pytanie, element gry miłosnej, jaką prowadzą ze sobą zakochani. Odpowiedziałyby wtedy: „oczywiście”, „no pewnie, że cię kocham” lub

w podobny sposób. Ale w pytaniu Roberta było jeszcze jedno słowo, z pozoru niewiele znaczące, owo przeklęte „jeszcze”, które nadawało mu dodatkowe znaczenie i sprawiało, że nie mogła tak po prostu go zbagatelizować.

– Tak.

Było w tonie Ani coś tak szczerego i wzruszającego, że Robertowi zaszkliły się oczy ze wzruszenia.

– Ale myślę, że nie mam do tego prawa – dodała cicho.

– A to niby dlaczego? – zapytał z uśmiechem, sądząc, że znowu żartują.

– Jestem zła.

– Co ty opowiadasz, jesteś najcudowniejszą osobą na świecie.

Spojrzał na Anię z niepokojem. Zrozumiał, że nie żartowała.

– To nieprawda.

– Jesteś dobra, kochana, wspaniała i cudowna.

– Przestań! Zrobiłam coś złego! – wykrzyknęła i odwróciła twarz do okna, żeby ukryć łzy.

– Andziu. – Mężczyzna wysunął się z fotela i chociaż nie znał mądrości Kantereita, według której należy przytulać płaczące niewiasty, objął żonę. – Jesteś najwspanialszą kobietą, jaką znam... – Powiedział to i kilka jeszcze innych komplementów. Nie zastanawiał się nad tym, co mówi, myślał o czymś innym. Zrozumiał, że Ania skrywała jakąś tajemnicę i właśnie uchyliła drzwiczki do jej poznania. Przestraszył się, że jeśli źle poprowadzi rozmowę, ona na powrót je zatrząśnie.

– Nie wiesz, co zrobiłam.

– Nie mogłaś zrobić nic złego. Powiedz mi, a udowodnię ci, że to nic strasznego.

Po wpływem łagodnego głosu Roberta i jego czulego spojrzenia Ania poczuła się bezpiecznie, na tyle bezpiecznie, że przez chwilę wydało jej się, że może to z siebie wyrzucić.

– Ja... ja... Nie, nic...

– Powiedz mi, co cię dręczy, bo inaczej nie będę mógł ci pomóc.

– To naprawdę nic. – Spojrzała na męża oczami pełnymi smutku. – Po prostu pomyślałam sobie, że zawiodłam swoich pracowników. – Wyprostowała się. – Mówię o galerii. Obiecałam im wielką wystawę i nic z tego nie wyszło. Skompromitowałam się.

Robert poczuł na twarzy powiew wiatru z zatrzaskujących się przed nosem drzwi.

– Z drugiej strony, w tym zawodzie nigdy nie ma pewności. Zrobiłam, co mogłam... – Ania nakręciła się na gadanie, ale Robert stanowczo jej przerwał:

– Wracamy.

– Ale dlaczego? Przecież rozmawiamy.

– Odpalaj.

– Chcę dokończyć.

– Odpalaj, mówię!

– Co ci się stało? Dlaczego się tak zachowujesz?

– Chcę wracać do domu.

– Przestań! – Ania szarpnęła Roberta za ramię.

– Chcesz, żebym prowadził?

– Nie rób tak! – Szarpnęła go ponownie. – Słyszysz, nie rób tak!



– Jak?!

Robert wiedział, że zachowuje się okrutnie, ale skoro przez tyle czasu nie potrafił dotrzeć do niej po dobroci, postanowił spróbować czegoś innego.

– Nie odcinaj się ode mnie.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Dobrze wiesz, o czym mówię! Opowiadam ci o swoich uczuciach, a ty zachowujesz się jak ostatni palant. Dlaczego mnie nie pocieszasz?

– Ha, ha, to dobre! Dlaczego cię nie pocieszam, kiedy jesteś smutna, bo... no właśnie, z jakiego powodu? Ach tak, bo zawiodłaś pracowników galerii! Anka, czy ty mnie masz za idiotę? Jeśli nie chcesz rozmawiać, w porządku, nie rozmawiajmy, ale przestań pieprzyć. Naprawdę uważasz, że nic o tobie nie wiem?

Ania patrzyła na Roberta wielkimi oczami, które przypominały tafle zamrażonego jeziora, i czuła, jak rozpacz przesywa ją aż do szpiku kości.

– Straciłam nasze dziecko – powiedziała.

Jak na złość w radiu wybuchła *Labamba*. Robert nacisnął mute.

– Co powiedziałaś?

– Straciłam dziecko.

– Nie rozumiem.

– Byłam w ciąży... – zaczęła, ale łzy nie pozwoliły jej dokończyć.

Resztki rozsądku nakazały Robertowi sięgnąć do papierowej torby, z której wyciągnął chusteczkę i drżącą ręką podał ją Ani.

– Rok temu byłam w ciąży i poroniłam.

– Aniu, ja... ja... Dlaczego nie powiedziałaś?

– Jestem zła.

– Przestań to powtarzać! – Objął ją najmocniej, jak potrafił. – Ale dlaczego mi nie powiedziałaś? Moja kochana. Już rozumiem... już wszystko rozumiem... Nie możesz tak myśleć, słyszysz? To nie jest twoja wina.

– Nieprawda!

Ania wyrwała się z objęć Roberta.

Wiedziała, jak bardzo pragnął dziecka, i nie sądziła, że kiedykolwiek zdobędzie się na odwagę, żeby powiedzieć mu: „byłam w ciąży”. A jednak to zrobiła. Powiedziała prawdę, a teraz zamierzała wyznać ją do końca.

– Nie rozumiesz, to była moja wina.

Cisza.

– Powiedzieli mi, że ciąża jest zagrożona i że jeżeli nie chcę poronić, to muszę odpoczywać. Kazali mi unikać stresów. Wiedziałam o tym, wiedziałam, co się może stać, i wmawiałam sobie, że wszystko będzie dobrze. Wybrałam galerię. Chciałam osiągnąć sukces, tak mi się wydaje... – zaczęła bełkotać. – Chciałam coś osiągnąć, wybrałam galerię. – Zalała się łzami. – Myślałam, że wszystko będzie dobrze, nie chciałam, żeby tak się stało. Myślałam, że będzie dobrze – powtarzała we łzach, zachłystując się powietrzem.

Robert nie odpowiedział. Otworzył drzwi i wyszedł z samochodu. Potrzebował więcej powietrza. Podszedł na skraj polany, gdzie grunt zaczynał się już lekko osypywać. Co się robi w sytuacji, w której nic nie można zrobić? Czuł się tak, jakby oglądał film z własnego życia, grał główną rolę, ale nie miał wpływu na to, co dzieje się na ekranie. Oczywiście wiedział, że nie zrobiła tego celowo, znał ją na tyle dobrze, żeby nie mieć co do tego wątpliwości. Ale dlaczego to przed nim ukryła? Dlaczego mu nie powiedziała?

– Powiedz, że mnie nienawidzisz – usłyszał za plecami głos.

Odwrócił się i przytulił ją do siebie.

– Powiedz, że mnie nienawidzisz.

– Wiesz, że to nieprawda.

Spojrzała mu w oczy.

– Ja wiedziałam i myślałam, że nic się nie stanie. Jestem zła.

– Nie jesteś zła. – Objął ją jeszcze mocniej, jakby chciał wydusić nagromadzoną w tym chudym ciele rozpacz. – To tak nie działa, nie zrobiłaś tego celowo. Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego nie powiedziałaś, że jesteś w ciąży? I jak mogłaś pomyśleć, że mógłbym cię znienawidzić? – Potrząsnął nią. – Nie rozumiem, dlaczego o niczym mi nie powiedziałaś.

– Nie wiem, nie wiem... – Łzy napłynęły jej znowu do oczu. – Lekarz powiedział, żebym jeszcze nie mówiła. Czekałam, pracowałam, a potem była wystawa i było już za późno. To się stało w Bolonii, dzień przed otwarciem wystawy. Byłam przepracowana, podenerwowana i wieczorem...

– Nie musisz...

– Potem było już za późno, żeby ci powiedzieć. Wiem, jak bardzo chcesz mieć dzieci, a ja... a ja nawet się wtedy nie ucieszyłam. Pomyślałam, że jeszcze nie czas, że muszę... że galeria... a potem... To była moja wina. Gdybym się ucieszyła, gdybym tego chciała, wszystko byłoby inaczej.

– Zabraniam ci w ten sposób myśleć.

– Czy myślałabym tak samo, gdyby wystawa odniosła sukces? – zapytała bardziej siebie niż jego i Robert zrozumiał, że Ania zastawiła na siebie sieć emocjonalnych pułapek, z których niełatwo będzie jej się wyplątać. – Może gdyby odniosła sukces, smutek trwałby tylko jeden dzień? – powiedziała z tym zimnym okrucieństwem, do którego stała się zdolna. – Może wcale nie byłoby mi przykro. Nawet przez wzgląd na ciebie.

– Niech ci nie będzie przykro z mojego powodu. Powinnaś wiedzieć, że jeśli nie chcesz mieć dzieci, to nie będziemy ich mieli.

Kilka godzin wcześniej słyszała te słowa w marzeniach. Pełne miłości i zrozumienia, wypowiedziane głosem ukochanego mężczyzny, były tym, co pragnęła usłyszeć. Teraz, kiedy stały się realne, zamiast spodziewanej ulgi poczuła jednak wewnętrzną zgrzyt, jakby maszyna w jej duszy nagle się zacięła. Bo jeżeli to było takie proste, to skąd miesiące rozpacz, skąd bezsenne noce i popełnione szaleństwa?

– Dlaczego jesteś taki wyrozumiały? – zapytała z pretensją. – Twoje potrzeby się nie liczą?

– Złości cię, że jestem wyrozumiały?

– Po prostu odpowiedz na pytanie: czy twoje potrzeby się nie liczą?

– Liczą się, oczywiście, że się liczą, ale co mam zrobić, jeśli ty nie chcesz mieć dzieci? Sam sobie z tym nie poradzę.

– Jeśli naprawdę chciałbyś dziecka, to nie uzależniałbyś wszystkiego ode mnie. „Jeśli nie chcesz mieć dzieci, to nie będziemy ich mieli”, jakie to proste – rzuciła kpiąco.

– Nie nadążam, chcesz mi wmówić, że tak naprawdę nie chcę mieć dzieci?

– Jak można być takim, takim...

– No jakim?

– Takim usłużnym! – wydukała wreszcie, z jakiegoś powodu nie chcąc powiedzieć wyrozumiałym.

– Czego ty ode mnie chcesz?

– Żebyś przyznał wprost, że chcesz mieć dziecko, że uwielbiasz Julkę, że będziesz szczęśliwy jako ojciec!

– Chcę mieć dziecko, uwielbiam Julkę i będę szczęśliwy jako ojciec! – wykrzyczał jej w twarz. – Ale to nie oznacza, że teraz jestem nieszczęśliwy. Czy tak trudno to zrozumieć?! – w głosie Roberta słychać było narastającą irytację. – A może chodzi o coś innego? Chcesz, żebym zmusił cię do posiadania dzieci, bo wtedy nie musiałabyś odnosić sukcesu, czy tak? Chcesz zwalić na mnie odpowiedzialność za porażkę galerii, o to ci chodzi? Być ofiarą mężczyzny, który zrobił z ciebie kurę domową! – powiedział to, choć wcale nie był pewien, czy takie zachowanie pasuje do Anki.

– Tak, masz rację, chcę być twoją ofiarą! Mam już dosyć twojej dobroci, twojego zrozumienia i miłości! Brzydzą się zachwytem w twoich oczach, gdy na mnie patrzysz, nie chcę ci się podobać, słyszysz? Nie chcę! Co mam jeszcze zrobić, żebyś przestał mnie kochać? Nie chcę twojej wyrozumiałości, nie chcę, nie chcę!

– Wystarczy – powiedział Robert spokojnie.

Jej słowa były ohydne i bolesne, ale mógł w nie uwierzyć tylko pod jednym warunkiem – musiałby uznać, że stojąca przed nim kobieta jest sadystyczną, głupią pizdą. Czy kilka zdań jest w stanie przekreślić kilka lat małżeństwa? Postawił ją przed podobnym wyborem.

– Przekonałaś mnie. I nawiasem mówiąc, przesadziłaś z tym zachwytem. Jesteś brzydka. Twoja wstrętą gęba już dawno przestała mi się nie podobać. W ogóle nigdy mi się nie podobała. Ożeniłem się z tobą, bo żonaty facet jest poważniejszy, no i chciałem mieć dzieci. A te spodnie, które masz na sobie, wcześniej lub później zaprowadziłyby nas do tego miejsca. Jestem zmęczony udawaniem miłości, naprawdę zmęczony.

Ania znieruchomiała. Przez chwilę wpatrywała się w Roberta przerażona, aż w końcu wybuchała śmiechem, który przerodził się w rzewny płacz.

– Przepraszam – wydukała przez łzy.

– Ja też.

Przyciągnął ją do siebie i mocno objął.

– Jesteś dobra. Wiem, co mówię, i albo mi uwierzysz, albo cię zamorduję.

– Postaram się.

Ania wtuliła się w Roberta i nie zamierzała go puszczać. Czują, jak przechodzi na nią jego ciepło, i niemal słyszała pękający pod jego wpływem lód, którym była dotychczas skuta.

– Wszystko się ułoży, zobaczysz. Powoli to sobie poukładasz. I jeśli będziesz chciała, będziemy mieli dziecko. Ale najpierw musisz odpocząć.

Głaskał ją po mopowatych włosach. Na sekundę pomyślał o gładkich włosach Kornelii, ale, co dziwne, nie przeszedł go dreszcz podniecenia, z którym zmagął się dzisiejszego przedpołudnia,

trzymając w ręku zdjęcie dziewczyny. Poczul ulgę. I ogromną radość. Odzyskał Andzię. Znękaną i nieszczęśliwą, ale to była ona, jego Andzia.

## Ostatnia sprawa

Tej nocy Ania nie zmrzyła prawie oka. Najpierw cieszyli się z Robertem odzyskaną bliskością, potem jeszcze długo rozmawiali w łóżku, a na koniec on zasnął, a ona nie mogła. Miała na głowie kilka problemów, które musiała rozwiązać, w tym dwa najważniejsze: uwodzicielkę i trenera. Robert jej nie zdradził, tego była pewna, ale z jakiegoś powodu nie powiedział całej prawdy na temat wieczoru, kiedy poznał dziewczynę z książką, a to nie świadczyło o niczym dobrym. Postanowiła, że z samego rana zadzwoni do uwodzicielki i odwoła zlecenie. Rozwiązanie drugiego problemu nie było takie proste. Najchętniej zerwałaby z trenerem bez słowa, na samą myśl o kontakcie z nim dostawała mdłości, ale intuicja podpowiadała jej, że dopóki nie wyzna Robertowi całej prawdy, nie może tak po prostu odstawić Tomka na boczny tor. Musi na niego uważać.

Okolo czwartej rano Ania wyszła do ogrodu. Usiadła w fotelu przed basenem, gdzie kilka dni wcześniej widok Roberta bawiącego się z Julką doprowadził ją do ataku hysterii, i zapaliła papierosa. Noc była ciepła, powietrze pachniało skoszoną trawą, a z otwartego na piętrze okna dobiegało pochrapywanie Roberta. I nagle, kolejny raz tego dnia, z jej z oczu popłynęły łzy. Łkając cicho, paliła wilgotnego papierosa i powtarzała sobie w duchu, że już nigdy nie wystawi miłości na taką próbę. Już nigdy nie będzie taka głupia.

Niestety, było za późno. Za trzy godziny Ania zadzwoni do uwodzicielki, która nie odbierze telefonu i będzie to pierwsza oznaka czekających ją problemów. Zamiast cieszyć się odzyskanym szczęściem, będzie musiała stoczyć o niego walkę. Tego dnia pożałuje, że wpuściła do swojego życia uwodzicielkę z agencji Black.

\*

Przechesując kuchnię Dominiki w poszukiwaniu śniadania, Janek znalazł w lodówce karton mleka oraz kilka słoiczków i tubek z kremami. Głodny jak diabli wyszedł z domu, kiedy Dominika przygotowywała się na umówione spotkanie, i pojechał do najbliższego fast foodu. Noc spędził w salonie na kanapie i wbrew jego pragnieniu jedyną istotą płci żeńskiej, która mu towarzyszyła, była charcząca Vivien.

Janek nie pragnął Dominiki świadomie, w każdym razie nie bardziej niż każdy inny zdrowy mężczyzna. To coś krążyło na granicy jego świadomości, w dodatku splątane z całą masą nagromadzonych przez lata, jasnych i mniej jasnych, uczuć. Wspomnienie dawnej miłości, zbyt czystej, żeby sprowadzić ją do jednorazowego seksu, przekonanie, że prywatne relacje nie służą wspólnej pracy, strach przed doświadczeniem Dominiki, a może nawet złość na to, kim ona jest i czym się zajmuje, żal, że nie odczytała jego uczuć – wszystko istniało gdzieś w jego umyśle i tylko psycholog potrafiłby stwierdzić, że podstawą tej góry uczuć, ukrytą w zakamarkach mózgu jak góra lodowa pod powierzchnią wody, jest miłość – ta sama od kilkunastu lat. A ponieważ Janek Blak nie był psychologiem, poprzestawał jedynie na tym, co widoczne, na wierzchołku góry lodowej, i uważał, że kocha Dominikę jak przyjaciółkę. Ten rodzaj miłości wyjaśniał wszystko, począwszy od zazdrości (bo przyjaciel bywa zazdrośny o przyjaciela), a skończywszy na poświęceniu (bo przyjaciel oddaje swoje

auto przyjacielowi na rozwałkę), nie wywołując nadmiernej frustracji. Tylko czasami uczucia spod powierzchni, poruszone jakimś zdarzeniem, dawały o sobie znać, tak jak dzisiaj, kiedy opuszczając dom przyjaciółki po nocy spędzonej z najbrzydszym psem świata, Janek czuł przygnębienie, choć nie wiedział dlaczego.

Wrócił z jedzeniem na Kasztanową, ale nie wchodził już do domu, tylko pochłaniając zestaw z bigmakiem, czekał, aż Dominika wyjedzie z garażu. Postanowił, że pojedzie za nią do centrum handlowego, gdzie miała się spotkać z kochankiem żony Machowskiego.

Dochodziła jedenasta, kiedy oboje zaparkowali przed sklepem i wyszli z samochodów.

– Możesz jechać, poradzę sobie – powiedziała Dominika.

Była ubrana w czerwoną krótką sukienkę i sandały na wysokiej platformie. Wyglądała tak seksownie, że Janek zatęsknił do zimy, która skutecznie eliminowała z krajobrazu tego typu dręczące widoki.

– Nie, czerwony kapturku. Odprowadzę cię do środka i zaczekam, aż skończysz, a potem pojedę za tobą do domu.

Dominika westchnęła.

– Whatever.

Kiedy weszli do kawiarni, Tomasz Kantereit czekał już przy stoliku. Janek zobaczył go jako pierwszy i wskazał Dominice palcem.

– Chyba nic ci tu nie grozi. Poczekam w samochodzie.

– Dobrze, kochanie.

Po sposobie, w jaki to powiedziała, Janek wywnioskował, że Dominika włączyła już w siebie oprogramowanie zawodowe. Dziewczyny, z którą spędził wczoraj miły wieczór, już w niej nie było.

Dominika umówiła się z Kantereitem, ponieważ Machowski odesłał jej książkę. Nie oznacza to, że straciła wiarę w uwiedzenie mężczyzny (tak absurdalny pomysł nie przyszedł jej nawet do głowy), ale coś i tak kazało jej sięgnąć wczoraj po telefon i wybrać numer, z którego otrzymała ofertę porzucenia sprawy. Tym czymś był zdrowy rozsądek. Uwodzicielka zrozumiała, że sprawa może się przedłużyć, i wołała mieć zabezpieczenie na wypadek, gdyby nie zdążyła jej sfinalizować przed wyjazdem do Ameryki. Ale czy naprawdę chodziło o rozsądek, czy tylko Dominika próbowała to sobie wmówić? Bo może to intuicja kazała jej wysłuchać propozycji Tomasza Kantereita? Być może już w tamtej chwili szósty zmysł uwodzicielki przeczuwał coś, czego jej rozum nie potrafił jeszcze nawet pomyśleć? Być może Dominika szukała zabezpieczenia na wypadek porażki.

– To ja może od razu przejdę do rzeczy – powiedział lekko drżącym głosem Tomasz Kantereit, kiedy Dominika dosiadła się do stolika. Nie spodziewał się kobiety z taką klasą, sądził, że uwodzicielka jest kimś w rodzaju prostytutki, a przedstawicielki tego fachu kojarzyły mu się z brzydkimi babidlami, które widywał czasem w okolicy dworca. Nawet on wyczuwał jej seksapil, a to oznaczało, że nie miał co liczyć na wierność Roberta Machowskiego, gdyby to spotkanie zakończyło się fiaskiem.

– Małą czarną – powiedziała Dominika.

– Słucham?

– Kawę, małą czarną.

– A tak – Tomek pojął wreszcie, że kobieta odpowiada na pytanie, którego nie zadał.

Nie mając innego wyjścia, powlókł się do baru złożyć zamówienie.

– Zaraz będzie – poinformował i usiadł z powrotem przy stoliku. – Czy już mogę?

– Bądź moim gościem.

– Co takiego?

– Słucham.

– A, no tak. – Wytrzeł dłonie o pochłaniające wilgoć spodenki. – Jak już mówiłem przez telefon, chodzi o Roberta Machowskiego – zniżył konspiracyjnie głos. – Chciałbym, żeby porzuciła pani to zlecenie.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

Tomek poprawił się na krześle i zaczął nawijać. Mówił o konkursie „Widoki na przyszłość” i o planie otwarcia klubu, o swoim romansie z Anną Prus i tym, że jej rozwód pokrzyżuje mu plany. Na końcu zaoferował Dominice dziesięć tysięcy złotych oraz formalne zobowiązanie, że przekaże jej pieniądze z chwilą, gdy jego projekt zwycięży w konkursie. Uwodzicielka słuchała w milczeniu, nie odezwała się także, gdy skończył.

– No i? Co pani o tym myśli? – zapytał wreszcie, zniecierpliwiony brakiem jej reakcji.

– Pięćdziesiąt procent.

– Co?

– Chcę być udziałowcem w twoim klubie i chcę pięćdziesięciu procent.

– Ale chwileczkę – zaprotestował mężczyzna. Wyglądał jak dziecko w piaskownicy, któremu zabrano łopatkę, zdziwienie i rozpacz malowały się na jego twarzy. – Pani musi tylko zrezygnować ze sprawy, nic więcej. Oferuję dziesięć tysięcy za nic nierobienie! Dziesięć tysięcy – powtórzył rozpaczliwie.

– Ciebie się wydaje, kochanie, że jedyne, co muszę, to nic nie robić. Nie bierzesz pod uwagę, że rezygnując z tej sprawy, narażam swój prestiż, na który przez lata ciężko pracowałam. Dziesięć tysięcy to jest nic za porażkę. Pięćdziesiąt procent albo zapomnij o naszej rozmowie. – Dominika wstała od stolika, pozostawiając nienaruszoną kawę, za którą Kantereit zapłacił dziesięć złotych. – Prześpij się z tym.

– Ale chwileczkę. – Trener ruszył za kobietą, próbując przekonać ją do zmiany decyzji. – Ja nie wziąłem pod uwagę tego z tym prestiżem, ale przecież możemy się dogadać. Na pewno znajdziemy jakiś... konformizm. – Tomek szedł obok, a raczej wokół Dominiki, nie przestając nawijać.

\*

Czekając na Dominikę, Janek przeglądał internet. Co jakiś czas zerkał w stronę wejścia do sklepu. Automatyczne drzwi otwierały się rzadko, wpuszczając lub wypuszczając pojedynczych klientów. O tej godzinie w galerii nie było ruchu, parking, w weekendy zapelniony po brzegi, teraz świecił pustkami. A i tak niektórym kretynom brakuje miejsca, pomyślał Janek na widok czerwonego jeepa, który zamiast zaparkować na przeznaczonym do tego miejscu, ustawił się wzdłuż drogi biegnącej pomiędzy parkingiem a wejściem do sklepu.

– Jest! – Zobaczył wychodzącą przyjaciółkę, wokół której, żywo gestykułując, krążył osiłek z kawiarni.

I wtedy to się stało. Szybko i niespodziewanie. Tak szybko, że niemal nie miało prawa się wydarzyć. W jednej chwili Janek patrzył na Dominikę i osiłka, w następnej zobaczył przejeżdżającego jeepa

i osiłek leżał już na ulicy. Godzinę później trąbiły o tym niemal wszystkie lokalne stacje radiowe: „Przed centrum handlowym doszło do wypadku, samochód potrącił mężczyznę, sprawca uciekł”.

Nie zastanawiając się ani chwili, Janek ruszył za czerwonym samochodem. Z piskiem opon wyjechał na drogę wewnętrzną rozdzielającą części parkingu, ale zamiast ruszyć z kopyta, kilkanaście metrów dalej nieoczekiwanie stanął. Na pasy przed pobliskim kinem wtargnęła wycieczka dzieci. Ciągące się bez końca maluchy przechodziły przez jezdnię, machając przyjaźnie panu w granatowym samochodzie, który bardzo poważnie rozważał opcję ich przejechania. Kiedy kilkadziesiąt sekund później przedostał się wreszcie do głównej drogi, czerwony samochód zniknął już z horyzontu. Mógł pojechać w lewo, w prawo albo prosto, dalszy pościg nie miał sensu. Janek wrócił na parking. Dominika wsiadła właśnie do swojego samochodu. Mężczyzna podjechał pod lewe drzwi nissana i otworzył szybę.

– Nic ci nie jest?

Pokręciła przecząco głową. Była spokojna, zbyt spokojna jak na kogoś, kto był przed chwilą świadkiem wypadku, a może nawet jego niedoszłą ofiarą.

– Mocno oberwał?

– Nie wiem, możliwe. Nie przyglądałam się.

– Czego on w ogóle chciał? – zapytał Janek, sprawdzając, czy może to mieć związek z wypadkiem.

– Żona Machowskiego obiecała mu kasę z jakiegoś konkursu, jeśli nie dostarczę filmu.

Zaproponował układ.

Usłyszeli sygnał nadjeżdżającej karetki.

– Ty wezwałaś pomoc?

Dominika zaprzeczyła. Uświadomiła sobie nagle, że Janek skądś przyjechał.

– Gdzie byłeś?

– Pojechałem za nim, ale mi uciekł. Widziałaś twarz?

– Nie. Czy to był on? – zapytała.

– Nie wiem.

– I co teraz?

– Musisz wyjechać.

Nie odpowiedziała.

– Najpierw dokończę sprawę – powiedziała po dłuższej chwili.

– Zwariowałaś?!

Janek wiedział, że Dominika jest uparta, ale miał ją za osobę racjonalną. Wczoraj, kiedy istniało spore prawdopodobieństwo, że listy są tylko czczymi pogroźkami, mogła odstawić bohaterkę, ale po tym, co się właśnie stało, jej upór był absurdalny.

– Nie widziałaś, co się stało?

– A jak myślisz?

– I co, chcesz mu dać jeszcze jedną szansę? Natychmiast odwołaj zlecenie!

– Nie chcę.

– Kurwa! – Miał ochotę nią potrząsnąć. – Możesz mi podać choć jeden racjonalny powód, dlaczego chcesz ryzykować?

– Nie chcę ryzykować. Ale to jest moja ostatnia sprawa i muszę ją dokończyć.



– Ostatnia sprawa? – zdziwił się Janek. – Jak to: ostatnia?  
– Normalnie, kończę z uwodzeniem.  
– Kiedy to postanowiłaś?  
– Czy to ważne?  
– Zamierzałaś mi powiedzieć?  
– Właśnie ci mówię.  
– A potem?  
– Co: potem?  
– Co będzie potem?  
– Nie wiem, skąd mam wiedzieć? – skłamała. – Może wyjadę. Janek... – Spojrzała na niego tak samo jak wczoraj, w ten czuły i słodki sposób, przed którym nie umiał się bronić. – Chcę to zakończyć. Jeden wieczór. – I znowu to spojrzenie. – Pomożesz mi? Ten ostatni raz?

## Koniec sprawy

Janek uległ Dominice i zgodził się przeprowadzić podejście zgodnie z planem, który ustalili poprzedniego dnia. To było do przewidzenia. Jedyna sytuacja, kiedy Dominika na serio obawiała się negatywnej reakcji Janka, miała miejsce podczas wczorajszej kolacji. On uwielbiał swój samochód, a ona wiedziała z doświadczenia, że nie należy lekceważyć miłości mężczyzn do samochodów, które nierzadko odgrywają w ich życiu rolę partnerek na kółkach. Ale skoro wygrała w tej kwestii, mogła być pewna, że wygra w każdej innej, Janek nie potrafił się jej sprzeciwić. Dominika wróciła więc na Kasztanową i zaczęła szykować się do podejścia. Co prawda do spotkania z Robertem pozostało jeszcze kilka godzin, ale ona musiała zająć czymś myśli, które krążyły wokół zdarzenia sprzed sklepu, wywołując w niej wściekłość. Gdyby dopadła kierowcę czerwonego samochodu, wsadziłaby mu w dupę gorącą lokówkę. Czy był nim Andrzej Wieczorek? To właśnie najbardziej nie dawało jej spokoju. Spośród wszystkich mężczyzn, których uwiodła i oszukała, akurat ten próbował się zemścić? Pocięszny grubasek o przyjemnej twarzy i nienagannych manierach? Ta zapracowana ciamajda? Coś tu nie grało. Zarazem to odstająca od wizerunku mordercy ciamajdowatość sprawiała, że wyobrażenie Andrzeja Wieczorka w tej roli naprawdę przerażało. Bo o ile więcej trudu musiał sobie zadać, żeby zejść tak daleko, a w związku z tym jak wielka była jego determinacja? Ale o tym wszystkim Dominika starała się właśnie nie myśleć.

Przygotowania do podejścia rozpoczęła od relaksacyjnej kąpieli w drobinkach złota, podczas której pozbyła się z ciała zbędnego owłosienia. Pozostała wierna tradycyjnej maszynie do golenia, bo ze względów zawodowych nie mogła sobie pozwolić na trwałą depilację (a nuż dostałaby zlecenie na jakiegoś entuzjastę małp), a poza tym tylko taka metoda gwarantowała spektakularny efekt nóg gładkich jak tafla lodu. Sunąc maszynką po piszczeli, przypomniała sobie wpadkę z początków swojej kariery, kiedy dziwnym trafem zapomniała przed podejściem ogolić jedną nogę. Figurant zapytał ją wtedy, czy ta owłosiona noga jest wyrazem jakiegoś protestu. Innym razem usłyszała od mężczyzny: „nie trzeba było!”, gdy omyłkowo zamiast odświeżającą mgiełką spryskała okolice intymne brokatem. Wtedy każda wpadka urastała do rangi życiowej tragedii, ale z czasem wszystkie stały się częścią cennego doświadczenia, które nauczyło uwodzicielkę fachu. Teraz wspominała je z rozrzewnieniem, tym bardziej że drugie podejście w sprawie Roberta Machowskiego miało być ostatnim w jej karierze. Myśl o tym wprawiła Dominikę w nostalgiczny i zarazem podniosły nastrój. Nie posiadała konta na żadnym z portali społecznościowych, mimo to przejawiała tendencję do nadmiernego celebrowania wydarzeń z własnego życia (czego dowodem było przecież założenie archiwum własnych dokonań), jakby ciągle musiały dostarczać swoim obserwatorom interesujących treści. Odtąd każdą czynność wykonywała więc staranniej niż kiedykolwiek, w poczuciu, że jakiś etap jej życia dobiega końca, tworząc w głowie wydarzenie o nazwie „moje ostatnie podejście”.

Po kąpieli przyszedł czas na ułożenie włosów i wykonanie makijażu. Dominika przeszła w tym celu do beauty roomu. Było to pomieszczenie przepełnione kosmetykami i perfumami, których intensywne zapachy mieszały się i unosiły w powietrzu, tworząc klimat jakiegoś luksusowego spa. W pokoju znajdowały się dwie toaletki, jedna do stylizacji włosów – był to prosty drewniany blat, nad którym

wisiał drewniane lustro, oraz druga do malowania twarzy, z wielkim lustrem naszpikowanym wokół żarówkami. Kosmetyki, poukładane do pudeł, pudełek, koszów i koszyczków, zapełniały sporej wielkości regał. Dominika uporządkowała je według ogólnego schematu: włosy – twarz (lewą stronę regału zapełniały kosmetyki do włosów, prawą kosmetyki do twarzy), przy czym włosy dzieliły się na funkcje (nawilżanie, nabyśzczenie, prostowanie, kręcenie, zwiększanie objętości i utrwalanie), zaś twarz na części twarzy: cerę (bazy, podkłady, pudry), oczy (między innymi cienie, kredki, tusze), policzki (róże, rozświetlacze, bronzery), usta (pomadki, błyszczki, kredki). Osobną półkę na dziale twarzy zajmowały produkty przygotowujące do makijażu, różnego rodzaju kremy i sera, a także kosmetyki przeznaczone do demakijażu. Dominika zajęła miejsce przy toaletce fryzjerskiej i sięgnęła po krem wygładzający do włosów. Wycisnęła na dłoń ilość odpowiadającą wielkości orzecha włoskiego i rozprowadziła ją na mokrych jeszcze włosach, następnie powtórzyła czynność z użyciem musu zwiększającego objętość. Na koniec spryskała włosy eliksirem chroniącym przed działaniem wysokiej temperatury oraz promieniami UV i włączyła suszarkę jonową. Po kilku minutach jej włosy przypominały rozwichrzone siano, które domagało się podjęcia natychmiastowej decyzji – co dalej? Zazwyczaj wybierała pomiędzy czterema opcjami:

1. zmierzwiona naturalna – efekt naturalnego rozwichrzenia z użyciem kropli olejku, żelu do kręcenia oraz dłoni,
2. poskręcana romantyczna – grube fale z użyciem gorących wałków lub lokówki, lakieru oraz szczotki,
3. szyk prostoty – włosy wyprasowane z użyciem sprayu do prostowania oraz prostownicy,
4. upięcia – jedna z trzech opcji jako baza plus upięcie: kok, kucyk i tak dalej.

Dominika najrzadziej wybierała opcję trzecią, uważając, wbrew lansowanej przez Kim Kardashian modzie, że wyprasowane włosy upodabniają kobietę do długowłosej świnki morskiej. Niezbyt często kręciła także włosy, sądząc z kolei, że w lokach wygląda jak Ludwik XIV, a odkąd pewien figurant pociągnął ją w akcie namiętności za włosy i został ze sporym puklem w ręku, nie doczepiała także sztucznych pasm. Najczęściej decydowała się na rozwiązanie numer dwa. I tym razem postawiła na fale, które zamierzała związać następnie w niezwykle dziewczęcy, choć z nazwy koński, ogon.

Stylizacja włosów zajmowała około godziny, wykonanie makijażu od trzydziestu minut do półtorej godziny, w zależności od rodzaju make-upu i dnia (posiadania bądź nieposiadania dnia na malowanie, przy czym drugi przypadek wykluczał zastosowanie pewnych rozwiązań, na przykład namalowania kreski żelowym eyelinerem, bo jak powszechnie wiadomo, w dzień nieposiadania dnia na malowanie jest to po prostu niemożliwe). Dominika włączyła muzykę – pomiędzy toaletkami znajdowała się wieża – i w rytmie piosenki *I'm Every Women* przeszła do toaletki makijażowej, gdzie wykonała serię siedmiu podstawowych czynności składających się na efekt, który na cześć gwiazd przyłapanych bez makijażu nazywała „przyłapaną bez makijażu”. Aby nie mieć makijażu, należy:

1. nawilżyć twarz,
2. nałożyć podkład, czasami wystarczy krem BB,

3. nałożyć korektor pod oczy,
4. nałożyć korektor miejscowo na przebarwienia,
5. przypudrować korektor pod oczami,
6. pomalować brwi,
7. wzmocnić linię rzęs niewidoczną kreską, wypełniając przestrzeń pomiędzy rzęsami ciemnym cieniem lub zamalowując górną linię wodną czarną kredką.

Po wszystkim spojrzała w lustro. Po chwili namysłu dokleiła jeszcze połówki sztucznych rzęs, na policzki naniosła róż o nazwie „orgasm”\*, a usta pomalowała błyszczkiem. Po wszystkim przeszła do garderoby, żeby włożyć stylizację.

Garderoba na Kasztanowej przypominała sklep odzieżowy, wszystkie ubrania, wyprane i wyprasowane, wisiały na wieszakach. Spośród czynności domowych, których Dominika unikała, najbardziej nie lubiła prasować, dlatego ubrania w jej garderobie musiały być gotowe do włożenia. Decyzję dotyczącą stroju podjęła już wczoraj, bez zastanawiania sięgnęła więc po stylizację „swobodny letni wieczór” – krótką rozkloszowaną spódniczkę z jeansu i biały podkoszulek z nadrukiem zespołu rockowego. Dopełnieniem stylizacji były ćwiekowane balerinki od Valentino oraz listonoszka od Prady. Dominika przepakowała zawartość torebki, którą miała na spotkaniu z Kanteritem, i na koniec wrzuciła do torebki metalowy szpikulec.

Gotowa stanęła przed lustrem. Była piękna i patrzenie na siebie sprawiało jej przyjemność. Wyglądała jak milion dolarów, w przeliczeniu jak niemal cztery miliony złotych, jak 896 850 euro. Pomyślała jednak o zbliżających się urodzinach i poczuła strach. Jak długo jeszcze? Ile czasu zostało do chwili, w której zauważy u siebie pierwsze oznaki starzenia się? Którą część ciała brzydota zainfekuje jako pierwszą? Czym się posłuży: przebarwieniami, zmarszczkami? Na początek pojawią się płytkie zmarszczki na czole i głębokie zmarszczki wokół ust. A może jako pierwsze zaatakują kurze łapki? Potem przyjdzie czas na przebarwienia, delikatne kropeczki na twarzy i większe plamy na dłoniach, które nie będą chciały zejść, i podobnie jak zmarszczek będzie ich z czasem coraz więcej. W pewnym momencie opadną cycki, sflaczeją ramiona, metabolizm zwolni i zacznie się tycie. Dlaczego piękne kobiety żyją tak krótko? I chociaż w następnej chwili mózg Dominiki przystąpił do kontraktaku, zalewając ją falą pocieszających myśli na temat istnienia chirurgii estetycznej, to w głębi serca czuła, że jej czas dobiega końca.

Z dołu rozległ się dźwięk telefonu. Po raz kolejny tego dnia dzwoniła Holy Bitch.

\*

– Wreszcie! – westchnęła z ulgą Ania, usłyszawszy w słuchawce głos uwodzicielki. – Już myślałam, że nigdy się nie dodzwonię. Dzwoniłam nawet do agencji, ale ta pani powiedziała, że w sprawie zlecenia mogę rozmawiać tylko z panią.

– Aha...

Dominika nie odebrała wcześniejszych telefonów, domyślając się ich powodu. Holy dzwoniła, żeby zapytać o przebieg podejścia, a ponieważ Dominika nie miała jej do przekazania żadnej konkretnej

wiadomości, zamierzała oddzwonić dopiero wieczorem, kiedy jak sądziła, będzie po sprawie. Nieustępliwość Holy była jednak na tyle zastanawiająca, że Dominika zdecydowała się odebrać.

– Muszę pani coś powiedzieć.

– Mhm...

– Otóż chciałam poinformować – Ania wzięła oddech, w jej głosie słychać było podniecenie – że... że odwołuję zlecenie – zakomunikowała i uświadomiła sobie, że nie ma nic więcej do dodania. Zdanie wydało jej się jednak za krótkie i jakby niewspółmierne do wagi zawartego w nim oświadczenia, dlatego dodała: – Chyba nie muszę tłumaczyć powodów. Po prostu odwołuję zlecenie. Ale rozumiem, że nasza wcześniejsza umowa nie ma teraz sensu, dlatego pokryję koszty dotychczasowych działań agencji, tego... jak to pani nazwała... pierwszego podejścia.

– Mam zrezygnować z drugiego podejścia? – zdziwiła się Dominika.

– Z drugiego, trzeciego i każdego innego. Tak, proszę porzucić sprawę Roberta Machowskiego – oznajmiła Ania stanowczo. – Proszę podać kwotę, prześlę pieniądze natychmiast.

W słuchawce zapadła cisza. Ania uznała, że uwodzicielka dokonuje obliczeń, ale Dominika próbowała zrozumieć znaczenie tego, co usłyszała.

– Rozumiem – powiedziała w końcu.

– Okej. – Ania westchnęła. – To może wyśle mi pani kwotę esemesem?

– W porządku.

– Do widzenia – powiedziała żona Roberta i zakończyła połączenie.

Ania poczuła ulgę. Załatwiła jedną sprawę i teraz mogła skupić się na drugiej, dużo trudniejszej. Wczoraj w przypływie szczęścia i głupoty obiecała Robertowi, że pójdzie z nim na bal. Nigdy nie towarzyszyła mężowi podczas tego typu imprez – raz, że uważała to za stratę czasu, dwa, że nie chciała kompromitować Roberta swoją ignorancją w sprawach obowiązujących zasad prezencji – dlatego przygotowanie się do najważniejszej uroczystości charytatywnej w mieście napawało ją przerażeniem. Ubierała się według własnych wymysłów i jako tak zwana artystyczna dusza mogła sobie na to pozwolić, nawet na organizowanych przez Art. A oficjalnych imprezach. Koniec Lata rządził się jednak innymi prawami, tu nie było miejsca na obyczajową awangardę i przebrane w artyzm bezguście. Stojąc bezradnie przed szafą, Ania doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Jedyną rzeczą spośród wiszących w szafie ubrań, która nadawała się na bal, była zielona garsonkowa sukienka. Ania kupiła ją na zesłoroczne Boże Narodzenie, inspirując się kreacją Kate Middleton. Sukienka wyglądała wystarczająco elegancko. Co dalej? Chyba nie włoży do niej zimowych butów? A może? Dziewczyna spojrzała na ukochane gumofilce w panterkowy wzór, wyłożone w środku owczą skórą, i zrozumiała, że sama nie da rady. Schowała sukienkę do torebki, pomachała gumofilcom i lekko spanikowana wybiegła z domu.

---

\* Dla wielu kobiet dostępny tylko w tym wydaniu.

## „Sekret damy”

Zuzanna Bubula mieszkała na Grzegórzeckiej, jednej z najbardziej zakorkowanych ulic w mieście, i z tego powodu w piątki, najbardziej zakorkowane dni roku, rzadko ktoś ją odwiedzał. Dlatego kiedy wczesnym piątkowym popołudniem rozległ się w mieszkaniu dźwięk dzwonka, Zuzanna pomyślała, że wariatka z dołu znowu zapomniała kupić na czas tamponów. Jakież było jej zdziwienie, kiedy zamiast wariatki z okresem zobaczyła przed drzwiami swoją siostrę.

– Co ty tu robisz?

– Jesteś sama?

– Julka jest u ojca. Wejź.

– Co robisz? Jesteś zajęta? Nie przeszkadzam ci?

Ania wdarła się do przestronnego salonu, wystylizowanego jak jego właścicielka, i zaczęła krążyć wokół sofy, próbując zebrać myśli. Zuza, zdziwiona niespotykanym zachowaniem siostry, w milczeniu czekała na wyjaśnienia.

– Potrzebuję twojej pomocy... – zaczęła wreszcie Ania, ale wypowiedź przerwał jej dźwięk wiadomości – ... przepraszam cię na chwilę – powiedziała do siostry, spoglądając na telefon.

„Potracił mnie samochód, chyba mam złamaną nogę. Jestem w szpitalu” – napisał Tomek. Ania poczuła ulgę i chociaż zrobiło jej się z tego powodu wstyd, nie mogła zaprzeczyć, że sytuacja była dla niej wygodna. Wciąż nie wiedziała, jak rozegrać sprawę z kochankiem, potrzebowała czasu do namysłu. Tymczasem odpisała: „Przykro mi, trzymaj się. Odezwę się później”.

– Trochę głupio mi o tym mówić... – wróciła do rozmowy z siostrą. – Tylko że ja sama naprawdę nie umiem sobie poradzić. Nie znam się na tym, po prostu się nie znam. Chyba z braku czasu albo... czy ja wiem? Pamiętasz, jak zawsze ci powtarzałam, że muszę być bogata, bo jeśli nie będę mieć pieniędzy na opłacenie tych wszystkich pożeraczy czasu, to umrę z głodu i brudu?

– O czym ty mówisz?

– No o tym, że nie potrafię się ubrać!

– Ach tak, to prawda – potwierdziła Zuza.

– Pomożesz mi?

– Ale w czym? – Zuza w dalszym ciągu nie rozumiała, o co chodzi.

– Jutro jest Koniec Lata! Pomożesz mi się ubrać na ten cholerny bal?

– O Boże, Robert cię zdradza?!

– Co? Zwariowałaś? Skąd ten pomysł?

– No to co jest grane?

– Jak: co? Nic.

– Tyle lat bezskutecznie próbuję cię namówić na metamorfozę i nagle sama przychodzisz, przerażona, bo chcesz dobrze wyglądać. Coś musiało się stać.

– Przecież mówię, że nic. Jeśli będziesz mnie dręczyć, to sobie pójdę.

– Dobrze, już dobrze!

Zuza wycofała się pospiesznie w obawie, że Anka naprawdę od niej wyjdzie i już na zawsze zostanie brzydkim kaczątkiem. Nie uwierzyła jednak siostrze w jej zapewnienia, już od dawna wyczuwała unosząca się nad nią aurę smutku.

– Powiem ci tylko tyle: trafiłaś pod właściwy adres!

Zuza złapała siostrę za rękę i zaprowadziła ją do sypialni, w której znajdowała się kilkumetrowa szklana szafa. Zamaszystym gestem magika odsunęła drzwi i oczom Ani ukazały się półki i wieszaki po brzegi wypełnione koszulkami, spodniami, swetrami, koszulami i sukienkami. Wszystko perfekcyjnie posegregowane i poukładane. Żywy dowód choroby psychicznej, pomyślała Ania, która nie miała nawet połowy tych ubrań.

– Zaraz ci coś wybierzemy.

Zuza podeszła do wiszącej części garderoby, ale po chwili zreflektowała się, że zamiast pożyczyć Ani coś swojego, lepiej będzie wyciągnąć ją do galerii i zmusić do kupna kilku dodatkowych rzeczy. To była okazja do przeprowadzenia na siostrze przymusowej metamorfozy, nie mogła jej zmarnować.

– Wiesz co, chyba jednak nie mam dla ciebie niczego odpowiedniego. Chodźmy do galerii.

– W zasadzie sukienkę to mam – oznajmiła nieśmiało Ania. – Myślałam bardziej, że pomożesz mi z dodatkami.

– O, tak? Co to za sukienka?

– Zaraz ci pokażę.

Ania pobiegła do salonu, skąd przyniosła swoją torebkę. Ku przerażeniu Zuzanny zamiast komórkę wyciągnęła z niej materiałowe zielone zawiniątko.

– O Boże! – zawyła Zuzanna na widok świętokradztwa.

Natychmiast znalazła wieszak i powiesiła na nim sukienkę, gładząc ją dłonią, jakby chciała przywrócić biedacze krążenie. Udzieliwszy sukience pierwszej pomocy, powiesiła wieszak na drzwiach i odsunęła się do tyłu, żeby spojrzeć na kreację z właściwej perspektywy. Na drzwiach wisiała Elżbieta II bez głowy, sięgająca hydek zielona garsonka z długimi rękawami. Zuza zdjęła sukienkę z wieszaka i wcisnęła Ani do ręki.

– Kupiłam ją na tamte święta. I co myślisz?

– Myślę, że będą do niej pasować ogniste dodatki.

– Tak? Masz coś konkretnego na myśli? Jakiś pomarańczowy naszyjnik?

– Mam na myśli ogień!

Ania spuściła głowę.

– Ale przecież Kate Middleton miała podobną!

– Katarzyna Middleton ubiera się jak stara baba – zawyrokowała Zuza. – Wzięła sobie do serca rolę królowej i paraduje w garsonkach, jakby w niczym innym nie można było wyglądać z klasą. A jej mąż jest łysy! – rzuciła z pogardą Bubula.

– I co z tego?!

– Przecież on wygląda niedorzecznie! Powiedz mi, co jest złego w przeszczepie włosów? Nie myśl, że ja nie wiem, o co w tym chodzi. Ja wiem, że w tym chodzi o PR. Gdyby łysy biedak przeszczepił sobie włosy, zostałby oskarżony o próżność, o brak autentyzmu i Bóg wie o co jeszcze. Ale ja ci coś powiem: w dwudziestym pierwszym wieku nieautentyczne jest udawanie, że nie zależy nam na wyglądzie i że – kobieta podniosła głos – łysina u trzydziestoparoletniego faceta jest w porządku! Otóż nie jest

w porządku, jest bardzo nie w porządku, jest nie na miejscu. Angielski książe ma łysą pałę i czerwoną mordę jak podrzędny pijaczyna z małopolskiej wsi! – Zuza zakończyła tyradę.

Siostry spojrzały na siebie i po chwili obie wybuchły śmiechem.

– Dobra, to co teraz?

– Jest gorzej, niż myślałam. Musimy zacząć od początku.

Anka wzruszyła pytająco ramionami.

– Siadaj. – Zuza wskazała siostrze miejsce przy toalecie, po czym zaczęła wykład. – Jeśli chcesz się dobrze ubierać, musisz poznać kilka podstawowych zasad. Przede wszystkim test starej baby. Test starej baby pozwala ocenić, czy ubranie jest odpowiednio dobrane do twojego wieku. Niestety, na ciuchach nie ma adnotacji, że są przeznaczone dla konkretnego wieku, że przed czterdziestką albo do osiemnastki. A szkoda, naprawdę szkoda... Ostatnio na przykład widziałam kobietę, na oko pięćdziesiątka, w legginsach. A nogi jak u wieprza! Mniejsza z tym. Zanim kupisz ciuch, musisz dokonać dwóch wizualizacji. Po pierwsze, wyobraź sobie dziewczynę w twoim wieku ubraną w to, co zamierzasz kupić, po drugie, wyobraź sobie kobietę o trzydzieści lat od ciebie starszą w tym samym ubraniu. Rozumiesz? Dziewczyna w twoim wieku, stara baba. – Rozłożyła dłonie, jakby miały się na nich wyświetlić hologramy omawianych postaci. – Jeśli ubranie lepiej wygląda na starej babie, masz odpowiedź. Odkładasz na wieszak, wychodzisz ze sklepu, zapominasz. Zapewniam cię, że test jest niezawodny. W dodatku obsługuje jeszcze jeden dylemat. Jeśli masz problem z oceną, czy ubranie jest na pewno ładne, wizualizacja rozwieje twoje wątpliwości. Na innych od razu widać, czy coś jest paskudne. Nie uważasz?

Anka skinęła głową, choć nie miała pojęcia, czy tak jest, bo nigdy nie zwracała uwagi na to, jak się ludzie ubierają.

– Kolejna ważna rzecz – Zuza podjęła nowy wątek. – Musimy skomponować dla ciebie żelazny zestaw.

– To znaczy?

– Osoby takie jak ty, modowi dyletanci, a mówiąc wprost: modowe kołki, nie bójmy się tego określenia, które nie potrafią się ubrać i nie dysponują wyczuciem w kwestii mody, powinny mieć w szafie gotowe zestawy ubrań, o których wiedzą z pewnego źródła, że wyglądają w nich dobrze. Dysponując żelaznym zestawem, modowy kolek wie, co włożyć w sytuacji, kiedy musi dobrze wyglądać. Żelazny zestaw przydaje się również podczas zakupów jako wzorzec. Ale tym zajmiemy się innym razem – zdecydowała Zuzanna. – Dzisiaj skupimy się na balu.

Ania nie zdążyła jeszcze odetchnąć, a Zuza wyskoczyła z nowym pomysłem:

– Musimy cię zbadać, nie ruszaj się! – zakomenderowała i wyszła z pokoju.

Wróciła, trzymając w ręku kosz pełen kolorowych apaszek. Wyciągnęła z niego zieloną apaszkę i owinęła ją siostrze wokół głowy.

– Mogę wiedzieć, co robisz?

– Nie! – Zuza ściągnęła chustkę z niesmakiem, wzięła do ręki niebieską i zrobiła to samo.

– Mogę wiedzieć, co robisz?

– Popatrz w lustro. Jeśli oczy zaświecą się w obecności jakiegoś koloru, oznacza to, że to jest twój kolor, jasne?

Zuzanna uformowała na głowie siostry kolejny, tym razem różowy, turban.



– Świecą się?

– Nie jestem pewna, o co chodzi z tym świeceniem – wyjąkała Ania.

– A teraz? – Zuza zmieniła apaszkę na czerwoną i ku zdziwieniu Ani jej oczy nabrały blasku, a twarz, nie wiedzieć czemu, zrobiła się nagle ładniejsza i bardziej promienna.

Zuzanna powróciła z różową apaszką.

– Świecą się?

– Ach, o to chodzi! – Ania odetchnęła. – To banalnie proste – powiedziała i wybrała z kosza pięć apaszek, które wręczyła siostrze. – Ten powinien być zimny – wskazała na fioletową.

– Zgłupiałaś? Tego nie robi się w ten sposób. Przykładasz jedną po drugiej i sprawdzasz po kolei.

– Proszę bardzo, sprawdź.

– Daj spokój.

– No, sprawdź – nalegała Ania.

Zuza przewróciła oczami i założyła siostrze jedną z wybranych przez nią chust. Kolor pasował doskonale. Sięgnęła po następną i efekt był ten sam. Trzy pozostałe również pasowały.

– Jak to zrobiłaś?

– Chyba zapomniałaś, że znam się na kolorach.

– No tak, malarka! – krzyknęła Zuza w zachwycie. – Czekaj, czekaj, wydaje mi się, że mam sukienkę w tym kolorze – powiedziała nagle, pokazując czerwoną apaszkę, po czym zanurkowała w szafie. – Jest! – Wyciągnęła wieszak z prostą, dopasowaną minisukienką bez ramion. – Rozbieraj się!

– W życiu! – zaprotestowała Ania.

– Dlaczego?

– Nie włożę tego!

– Włóżysz!

– Równie dobrze mogłabym się oblepić czerwoną plasteliną. Całą dupę w tym widać! I gdzie są rękawy?

– Jest środek lata, po cholere! ci rękawy?

– Nie włożę tego.

– Chcesz wyglądać jak człowiek czy jak zwykle?!

– Jak człowiek?! Chyba jak gumowy stwór.

– Do jasnej cholery! Albo mi zaufasz, albo droga wolna, możesz się przebrać za Elżbietę II! – Zuza spojrzała na rzuconą na łóżku zieloną garsonkę, w której Ania rozpoznała już angielską królową bez głowy.

Zrezygnowana, zaczęła się rozbierać.

– O Boże! – jęknęła Zuza kolejny raz tego popołudnia.

Bawełniane majtki w zielono-różowe kwiatuszki – tego było za wiele dla kobiety z jej klasą.

– Co znowu?

– Kupujesz majtki w Biedronce?

– O co ci znowu chodzi? Majtki jak majtki.

– Anka, jak możesz chodzić w czymś takim! Od jak dawna nie uprawiacie seksu?

– Może czegoś nie rozumiem, ale bielizna jest chyba ostatnią rzeczą, która uczestniczy w życiu seksualnym – odcięła się Anka. – A poza tym, dziękuję, nie narzekam.

– Bielizna ma zachęcić mężczyznę do tego, żeby chciał ją z siebie ściągnąć, a jeśli już nie zachęca, to niech przynajmniej nie odstrasza, a to coś... brak mi słów.

Ania spojrzała na swoje majtki, które tak bardzo lubiła. Były miękkie, niewyczuwalne pod spodniami i... brzydkie. O Boże! Te majtki były straszne! Jak to się stało, że będąc tak wyczuloną na piękno, zupełnie pominęła w tym względzie swój wygląd?

– Chcesz zapalić? – zapytała Zuza, dostrzegając na twarzy siostry przygnębienie.

Ania włożyła T-shirt i obie wyszły na taras, z którego rozciągał się widok na pobliska galerię handlową.

– Na czym polega ten twój sekret, o którym zawsze mówisz? – zapytała nieoczekiwanie Ania. – Jest w ogóle jakiś sekret?

– Pewnie, że jest. Odkryłam go dawno temu.

– Zdradzisz mi?

– Myślałam, że dojdziemy do tego na końcu, ale jeśli chcesz, to mogę ci powiedzieć już teraz.

– No, dawaj!

– Perfumy z feromonami.

– Co?! Chyba żartujesz? – Ania wydawała się zawiedziona. – Nie ma dowodów, że feromony u ludzi w ogóle istnieją.

– Jakie to ma znaczenie, skoro działają? – Zuza się uśmiechnęła. – Spryskuję się rano i czuję się atrakcyjna, pewna siebie i świat stoi przede mną otworem.

– Czy zatem nie wystarczy czuć się atrakcyjnie i być pewnym siebie? – zakpiła Anka.

– A co ja właśnie powiedziałam?

Ania zaciągnęła się papierosem. Cholerna pewność siebie, cholerna miłość własna, cholerna poczucie własnej wartości. Czy to one, albo raczej ich brak, były prawdziwym źródłem tej chorej ambicji, która doprowadziła ją do katastrofy?

– To co, naprawdę mi nie powiesz? Ja zdradziłam ci swój sekret.

– Co mam powiedzieć?

– Powiedz mi, co się stało.

– Dlaczego uważasz, że coś się stało?

– Ania, nikt bez powodu nie pragnie się nagle zmienić, a już na pewno nie ty. Uwierzyłam, kiedy zaczęłaś chodzić na fitness. Wystawa w Bolonii, to musiało być stresujące, rozumiem, kupuję, ale w to nie uwierzę.

– Uważasz, że Robert mnie zdradza?

– Facet to facet.

– Myślisz, że byłby do tego zdolny?

– Facet to facet.

– A ja myślałam, że tego akurat nie muszę się obawiać – powiedziała Ania bardziej do siebie niż do siostry.

– To czego musisz się obawiać?

– Że przestanie mnie podziwiać.

– Że co?

– Nieważne.

Ania spojrzała na siostrę.

– Mylisz się, to ja go zdradziłam.

– Proszę cię. – Na twarzy Zuzy zagościła jawna kpina.

– To prawda, zdradziłam Roberta.

Zuzanna zawiesiła wzrok na siostrze, aż dotarło do niej, że to, co usłyszała, nie było żartem.

– Jak to? Dlaczego? Z kim?

– Tak wyszło, po prostu. To było głupie i się skończyło.

– Naprawdę ciężko mi w to uwierzyć, to tak bardzo nie w twoim stylu... Nie jesteś szczęśliwa?

Zawsze chwaliłaś Roberta pod niebiosa...

– Może jest zbyt wspaniały! – Ania podniosła głos.

Jej sumienie znowu próbowało tej samej sztuczki: zwalić winę na Roberta, żeby odciążyć siebie. Ale to nie była jego wina, on naprawdę był wspaniały. To z nią było coś nie tak.

– Nie rozumiem cię.

– To był błąd i bardzo tego żałuję. Coś mnie opętało, nie wiem co...

Nie chciała mówić o Bolonii.

– Czy on wie? – zapytała Zuzanna i sama udzieliła sobie odpowiedzi. – Oczywiście, że nie wie.

– Nie – przyznała Ania.

– To stąd ta nagła potrzeba, żeby zrobić się na bóstwo? Skoro ty jesteś zdolna do zdrady, to on również może cię zdradzić? A może wpadłaś na pomysł, żeby mu o wszystkim powiedzieć? Chcesz być tak ładna, żeby nie chciał od ciebie odejść? – Zuzanna się zaśmiała.

– Wkrótce mu powiem.

– Chcesz od niego odejść?

– No co ty! Wiesz, że go kocham.

– To po co chcesz mu mówić?

– Jak to: po co? – zdziwiła się Ania. – Bo tak trzeba.

– Gdzie to jest napisane?

– Na litość boską, Zuza, nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię!

Ania zapaliła drugiego papierosa.

– Rozumiem, że chcesz się zachować uczciwie, ale wiesz, co ci powiem? Na to jest już za późno. Jeśli chcesz być z Robertem, to zachowaj to dla siebie. Popełniłaś błąd, każdy popełnia błędy, Robert nie musi o niczym wiedzieć. Do czego jest mu ta wiedza potrzebna? Możesz mi powiedzieć? Żebyś ty mogła się poczuć lepiej, żeby przestało cię gnębić sumienie? Straciłaś swoją szansę na bycie uczciwą, przykro mi, ale taka jest prawda. Jedynie, co możesz jeszcze zrobić, to wykazać się siłą charakteru, ścierpieć wyrzuty sumienia i życie w kłamstwie, żeby ochronić jego i wasze małżeństwo. Jeżeli cię kocha i niczego nie podejrzewa, to dobrze ci radzę, nie niszczyć waszego szczęścia w imię jakiegś, chuj wie skąd wziętej, zasady, że trzeba wywalać przed sobą wszystkie brudy. O swoich kupach mu chyba nie opowiadasz.

Zuza podniosła się z miejsca. Poglaskała siostrę po głowie i wróciła do mieszkania.

– Kończ szybko, bo sukienka czeka! – zawołała ze środka.

Kilka minut później Ania włożyła na siebie czerwoną plastelinę i ku własnemu zdziwieniu odkryła, że sukienka leży na niej doskonale. Wyglądała dobrze, być może nawet bardzo dobrze, w każdym razie inaczej niż zwykle, i to ją przekonało. Pragnęła odciąć się od przeszłości, zostawić za sobą frustrację i smutek i razem z Robertem zacząć nowy rozdział starej opowieści o kochającym się małżeństwie. A czy istnieje łatwiejszy sposób na nowy początek niż zmiana wyglądu? Zrzucenie starej skóry. Nie chodziło już o przygotowanie się do jednej imprezy, chodziło o przygotowanie się do nowego życia. Patrząc na siebie w lustrze, Ania miała wrażenie, jakby zdobyła dostęp do tajemnej mocy wszystkich kobiet sukcesu. I nie miało znaczenia, że jej źródło kryło się w pięknej sukience i czerwonej szmince. Byłaby głupia, odrzucając działające rozwiązanie tylko dlatego, że uważała je za banalne. Poza tym nie była naiwna i nie oczekiwała, że czerwona szminka rozwiąże jej problemy. Ale może z czerwoną szminką będzie miała więcej siły, żeby je rozwiązać?

\*

Trochę wcześniej, w innym zakątku miasta, inna kobieta również spojrzała w lustro i zobaczyła w nim swoją przyszłość. Po rozmowie z Anią Dominika wróciła do garderoby, żeby się przebrać. Zdjęła ćwiekowane balerinki, które z impetem poleciały w kąt, następnie T-shirt i spódniczkę, a także bieliznę, która była zbyt cenna, żeby pokazywać ją tylko przestworowi muszli klozetowej. Dominika czuła złość. Holy Bitch zabrała jej możliwość udowodnienia, że wszyscy faceci są tacy sami, i odegrania się na Robercie za odesłanie książki. W dodatku, stojąc przed lustrem, jak ją pan Bóg stworzył (z niewielką pomocą pewnego nowojorskiego chirurga), uwodzicielka czuła znajomy strach. Demon trzydziestych piątych urodzin coraz wyraźniej wyglądał z lustrzanej tafli. Dominika wytężyła wzrok, próbując dostrzec w lustrze swoją świetlaną przyszłość u boku nowojorskiego milionera, bo tylko taka wizja potrafiła złagodzić upiorność upływającego czasu. Z jakiegoś powodu obraz nie chciał się jednak pojawić. Spróbowała ponownie. Wzięła głęboki wdech i zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, zobaczyła w lustrze siebie w towarzystwie Roberta Machowskiego. Ubrani byli w stroje wieczorowe, on we fraku, ona w długiej sukni od Oscara de la Renty, znajdowali się w pomieszczeniu wyłożonym marmurem, we foyer jakiegoś hotelu. Dubaj? Nowy Jork? Warszawa? Tak, to był właściwy obraz, widziała go wyraźnie.

# Zaproszenie

Rewelacje Dominiki o tym, że kończy z uwodzeniem i być może wyjedzie z kraju, podziałały na Janka jak góra lodowa na Titanica. Pod wpływem uderzenia dziadowskie nitowanie historii o przyjaźni nie wytrzymało i fala prawdziwych uczuć załaziła serce mężczyzny. Kochał Dominikę i nie chciał jej stracić. Dlaczego przez tyle lat nie dał jej tego do zrozumienia? Dlaczego nie zdobył się na odwagę, żeby wyznać jej swoje uczucia? Debil! Czy potrafi zrobić to teraz, zanim zakończą sprawę Roberta Machowskiego?

Takie mniej więcej myśli krążyły Blakowi po głowie, kiedy jechał na spotkanie z Andrzejem Wieczorkiem. Upał i dręczące myśli wycisnęły z niego siódme poty i na miejsce dotarł mokry jak szczur. Zaparkował samochód przed blokiem i z walizką w rękę ruszył w stronę klatki. Odnalazł numer mieszkania, po czym nacisnął guzik.

– To ty? – Głos należał do mężczyzny.

– Pogotowie gazowe, była awaria, musimy sprawdzić szczelność instalacji w mieszkaniu – powiedział Janek. Nie miał przygotowanego planu działania. Najważniejsze to dostać się do mieszkania, a potem się zobaczy.

– Aha... proszę.

Wszedł do budynku. W środku panował zaduch, który po chwili wycisnął z Blaka ósme i dziewiąte poty. Kiedy na drugim piętrze minął ubranego w skórzane spodnie oraz głany młodego metalowca, mimowolnie krzyknął:

– Co to, trening przed piekłem? Na zewnątrz jest trzydzieści stopni!

– Spierdaj! – usłyszał w odpowiedzi.

Andrzej Wieczorek czekał przy otwartych drzwiach do mieszkania. Był to mężczyzna w średnim wieku, przy kości, z często spotykanym u bankowców zmulonym wyrazem twarzy, jakby jego system percepcji przestał reagować na otoczenie. Drugiej takiej żony jak Edyta na pewno już nie znajdzie, pomyślał Janek. I znowu przyszło mu do głowy to samo pytanie: dlaczego Wieczorkowie się rozwodzą? A może piękna Edyta jest równie piękną materialistką i kiedy jej mąż stracił intratne stanowisko, zażądała rozwodu?

– Długo to potrwa?

– Parę minut. Gdzie jest kuchnia?

– Proszę za mną.

– Napije się pan czegoś? – zaproponował po chwili Wieczorek.

– Chętnie.

Bankier wyciągnął z lodówki butelkę wody i wręczył ją Jankowi, po czym usiadł przed komputerem. W zachowaniu mężczyzny można było dostrzec pewną nerwowość, za małą jednak jak na kogoś, kto kilkadziesiąt minut wcześniej potrafił człowieka i zbiegł z miejsca wypadku. Albo Wieczorek był psychopatą, albo Janek marnował właśnie czas, a prawdziwy przestępca szykował się gdzieś na Dominikę. Zmotywowany tą myślą detektyw zabrał się do działania. Otworzył walizkę, w której

znajdowały się sznurki, haczyki, druty, wytrychy, gumowe przewody, rękawiczki, dwa opakowania kabanosów, mały pistolet gazowy, a także nawigacja GPS oraz kilkadziesiąt papierków po cukierkach. Detektora gazu niestety nie było. Janek rzucił okiem na bankiera, ale ten, pochłonięty komputerem, nie zwracał na niego uwagi. Bez wahania wyciągnął więc z walizki pistolet gazowy, który umieścił w kieszeni, następnie sięgnął po GPS i skontrolował nim poziom gazu w pomieszczeniu.

– Tutaj w porządku – powiedział na głos. – Sprawdźę jeszcze w łazience i spadam.

Wieczorek nie zareagował, więc Janek wyszedł na korytarz i otworzył drzwi do pierwszego pokoju, była to niewielka sypialnia. Na podłodze leżały otwarte walizki z rozgrzebanymi ubraniami, które Janek pobieżnie przejrzał. Nic szczególnego nie zwróciło jego uwagi.

– Tutaj też w porządku! – krzyknął, zanim wszedł do następnego pokoju.

W pomieszczeniu znajdowały się zaledwie dwa meble: szafa oraz biurko. Janek otworzył odruchowo szafę, nie spodziewając się, że zawiasy wydadzą z siebie wściekły zgrzyt. Kurwa! Wstrzymał oddech i nadstawił uszu. Z kuchni nie dochodziły jednak żadne dźwięki. Szafa okazała się pusta. Również biurko wyglądało na nieużywane, ale i tak należało do niego zajrzeć. Tym razem Janek zabrał się do otwierania z wielką ostrożnością. Milimetr po milimetrze odsuwał szufladę, odkrywając stopniowo jej zawartość. W pewnym momencie zobaczył coś, co przyprawilo go o szybsze bicie serca. W szufladzie znajdowały się akcesoria do kaligrafii – kartki, plik białych kopert, kałamarz, etui na pióro i pudełko z zapasem stalówek. Wyciągnął jedną kopertę, na odwrotnej stronie wytłoczone były czarne róże, takie same jak na kopertach, które trafiły do Dominiki.

– Co pan robi?! – Andrzej Wieczorek objawił się nagle w pokoju.

Janek podbiegł do mężczyzny i wymierzył mu prosty sierpowy. Wieczorek zawył z bólu i złapał się za nos, z którego trysnęła krew.

– Ty skurwysynu! – krzyknął Janek. Wyciągnął z kieszeni pistolet na gaz i przyłożył bankierowi łufę do potylicy.

– O Jezu, o Jezu! Pieniądze są w portfelu, nie mam więcej, przysięgam! Jestem bankrutem! Nie rób mi krzywdy, błagam...

– Nie chcę twoich zasranych pieniędzy. Wysyłałeś listy mojej znajomej? Groziłeś jej? Chciałeś ją zabić? Próbowałeś przejechać ją samochodem, idioto jeden?! – Janek docisnął pistolet. – Mów!

– Błagam, nie rób mi krzywdy, o Boże! Błagam, zrobię wszystko, dlaczego ja?! Czego ode mnie chcesz?!

Janek poczuł zapach moczu.

– No, kurwa, bez jaj!

Niepojęte, że taka pierdoła groziła komuś śmiercią!

– Gadaj! Wysyłałeś listy z pogroźkami? Próbowałeś...

– To nie ja, ja nic nie zrobiłem, przysięgam, to nie ja!

Janek wykręcił bankierowi ucho.

– To jakim, kurwa, sposobem dostała te same koperty, które trzymasz w biurku, co?!

– Przepraszam, przepraszam... tak, to ja napisałem... przepraszam, ja nie chciałem...

– Czego, kurwa, nie chciałeś?!

– Nie chciałem jej skrzywdzić, tylko postraszyć. – Wieczorek zapłakał. – Przysięgam, że nic bym jej nie zrobił, przepraszam!

– Skurwysyn!

– Proszę, ja mam rodzinę, mam...

– Gówno masz.

Janek wymierzył mężczyźnie kopniaka w tyłek. Zastanawiał się, jak postąpić. Intuicja podpowiadała mu, że Wieczorek zrobił już wszystko, co w jego mocy, żeby zemścić się na Dominice.

– Mam dwa wyjścia – powiedział – albo rozwalę ci łeb i w ten sposób będę mieć pewność, że mojej znajomej nic się nie stanie...

– Nie, błagam!

– ... albo poproszę cię, żebyś dał jej spokój, i wtedy nie rozwalę ci łeba... Łba! – poprawił się po chwili.

– Tak, tak! Dam jej spokój, przysięgam!

– Jeśli wybiorę opcję numer dwa, nie zgrzeszę przeciwko piątemu przykazaniu, a musisz wiedzieć, że jestem bardzo religijny. Z drugiej jednak strony nie będę mieć pewności, że mojej przyjaciółce nic się nie stanie, a musisz też wiedzieć, że bardzo mi na niej zależy.

– Przysięgam, że nic się jej nie stanie!

– Na pewno?

– Możesz mi zaufać! – zakwilił żałośnie Wieczorek.

– Wszyscy tak mówicie. – Janek przyłożył pistolet z powrotem do potylicy i bankier znowu się zmoczył. – Czy ty masz problem z nietrzymaniem moczu?

– Przysięgam na wszystko! Wyjadę z miasta, zniknę, tylko nie rób mi krzywdy!

– Hm, skoro obiecujesz, to zgoda. Dam ci szansę. – Janek odsunął pistolet. – Muszę to mówić?

– Co?! – Zdezorientowany bankier odważył się spojrzeć na swojego kata.

– Że jeśli mnie oszukasz...

– Nie, nie!

– No to sprawa załatwiona! A teraz popatrz tam. – Janek wskazał ręką kierunek.

Wieczorek spojrział i w tym momencie dostał rękojęścią w tył głowy. Janek opuścił mieszkanie. Był przekonany, że bankier dotrzyma danego słowa i zniknie z miasta, i – jak się okazało – nie mylił się. Będąc już w samochodzie, zadzwonił do Dominiki z informacją, że zagrożenie minęło.

Do spotkania z przyjaciółką pozostawały jeszcze dwie godziny, więc postanowił zjeść zasłużony obiad. Obrął drogę do najbliższego McDonalda, ale po chwili stracił apetyt. Cała radość, jaką dało mu załatwienie sprawy listów, nagle zniknęła. Przypomniał sobie, że nawet jeśli nikt nie zabije Dominiki, ona i tak zniknie z jego życia. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, pojechał do Fightera.

Kiedy tylko przekroczył próg budynku, natknął się na zainstalowany w oczach sekretarki system wykrywania afer.

– Coś ty taki marmotny, Jasiu? – zapytała pani Basia.

– Ja? Wydaje się pani, nic mi nie jest.

– Już na pewno nic ci nie jest! Przecież widzę, że coś się stało.

Na szczęście dla Janka przesłuchanie przerwało pojawienie się w holu Sylwii i Mirka, którzy po skończonej pracy wychodzili do domu.

– Jak poszło? – rzucił do swoich pracowników Janek.

Sylwia zatrzymała się przy stanowisku sekretarki, tymczasem towarzyszący jej Mirek podniósł rękę na znak pożegnania i wyszedł.

– Gdybyś był na miejscu, wiedziałbyś, jak poszło – wtrąciła pani Basia, jak zwykle niezadowolona z nieobecności Janka w klubie.

– Dzień jak co dzień, nic szczególnego się nie działo – odparła Sylwia. – Za to wieczorem wybieramy się wszyscy na piwo. Może chciałbyś dołączyć?

– Wszyscy, to znaczy kto?

– No, cała ekipa Fightera. Trenerzy w sensie. – Dziewczyna jakby się zawstydziała. – Jeśli nie przyjdiesz, to zajmimy się obgadywaniem szefa.

– Wiesz co... – zaczął Janek w ten charakterystyczny dla wymówek, przeciągły sposób – pracuję dzisiaj nad sprawą i nie jestem pewien, o której będę wolny.

Sylwia spuściła wzrok.

– Na pewno znajdziesz czas – wtrąciła znowu pani Basia.

– Tak zaproponowałam, jakbyś nie miał akurat planów – wytłumaczyła się Sylwia. – Jak coś, to daj znać, będziemy gdzieś w centrum.

– Dzięki za zaproszenie!

– No to na razie. Do widzenia, pani Basiu!

Gdy tylko czerwonowłosa trenerka zamknęła za sobą drzwi, sekretarka spiorunowała Janka wzrokiem.

– Co ja znowu zrobiłem?

– Co ci się w niej nie podoba, nie lubisz czerwonego?

– O co pani chodzi?

– Ładna dziewczyna próbuje się z tobą umówić, a ty mówisz: „och, nie wiem, nie zdążę”?!

– Jak to: umówić? – zdziwił się Janek.

– Normalnie, na randkę!

– Sylwia zaprosiła mnie na randkę?! Przecież powiedziała, że idą całą ekipą...

– Litości! – Pani Basia przewróciła oczami. – Ty naprawdę jesteś osłem, Jasiu! Jakie to ma znaczenie, gdzie cię zaprosiła i ile osób tam będzie, najważniejsze, że zaprosiła. Ona tak na ciebie patrzy...

W tym momencie zadzwonił telefon i Janek wykorzystał okazję, żeby się ulotnić. Usłyszał już wystarczająco dużo i potrzebował czasu, żeby to przemyśleć. Sylwia próbowała się z nim umówić? Umówić? W taki sposób? Dlaczego on na to nie wpadł? Prostota pomysłu wydawała się wręcz genialna. Wystarczy zaproszenie. Na kawę, na piwo, na cokolwiek... Nie trzeba niczego wyjaśniać ani deklarować, wyznawać uczuć ani się z nich tłumaczyć. Można zaprosić dziewczynę na randkę! Genialne!



# To nie będzie możliwe

Tego dnia Zuzanna upajała się rolą nauczycielki i znawczyni tematu, wprowadzając Anię do świata kobiecych przyjemności. Siostry poszły na zakupy, z których wróciły obładowane torbami. Ania kupiła sporo ciuchów, kilka par butów, poza tym nową bieliznę oraz kosmetyki. Szybko okazało się, że poruszanie się po nowym uniwersum nie stanowi dla niej tak wielkiego problemu, jak mogłoby się początkowo wydawać. Wystarczyło, że włączyła filtr, przez który oceniała dotychczas sztukę, a wybieranie ubrań i dopasowywanie do nich dodatków stało się nagle banalnie proste. W ostatecznym rozrachunku w obu przypadkach chodziło przecież o to samo – o piękno. Opuszczając mieszkanie na Grzegórzeckiej, Ania czuła więc spokój. Dzięki Zuzannie perspektywa pójścia na bal przestała ją przerażać i zamiast martwić się jutrem, mogła cieszyć się na myśl o nadchodzącym wieczorze, który zamierzali spędzić z Robertem na oglądaniu filmów. I chociaż większość ludzi uznałaby to za mało porywający pomysł na rozpoczęcie weekendu, dla Ani był to symboliczny powrót do normalnego życia i czekała na niego z radością.

I wtedy, wracając do domu, dostała telefon.

– Chcę ci powiedzieć, że nie mogę przesłać rachunku, o którym rozmawialiśmy – powiedziała uwodzicielka.

W jej głosie pojawiła się jakaś beczelna nuta, która zdziwiła Anię bardziej od faktu, że kobieta zwróciła się do niej w tak bezpośredni sposób.

– To znaczy?

– To nie będzie możliwe.

– Och, to nie musi być koniecznie dzisiaj – stwierdziła Ania, sądząc, że powodem, dla którego uwodzicielka nie jest w stanie przesłać jej rachunku, jest brak czasu albo możliwości zrobienia podsumowania. – Proszę policzyć wszystko na spokojnie i przesłać mi mejla.

– To nie będzie możliwe – powtórzyła Dominika.

– Może być esemes, jest mi wszystko jedno – zirytowała się Ania.

– Nie zrozumiałaś mnie, odwołanie zlecenia nie będzie możliwe.

– Musiała mnie pani źle zrozumieć – powiedziała Ania po chwili, próbując zrationalizować absurdalną sytuację. – Nie zapłacę za film ani zdjęcia, ani za nic innego. Zrywam naszą umowę. Czy to jasne? – narastające poirytowanie kazało jej wyłożyć sprawę dobitniej. – Niech się pani trzyma od Roberta z daleka!

– To ty mnie nie zrozumiałaś, kochanie. Uwiodę twojego męża. Uwiodę go dla siebie – powiedziała Dominika zimnym, wyzbytym emocji tonem.

Męża? Skąd ona wie? Anię przeszedł dreszcz.

– Czego ty ode mnie chcesz?!

– Od ciebie? Niczego.

– To się odpięprz ode mnie i od Roberta. – Serce Ani waliło jak oszalałe. – I tak nie masz u niego szans! – krzyknęła jak bezradne dziecko, które nie mając argumentu, ratuje się złośliwościami.

– Jesteś tego pewna?

Bezradność i rozpacz w głosie Ani rozbawiły Dominikę, która poczuła chęć, żeby dokuczyć Holi jeszcze bardziej.

– Mąż opowiedział ci o naszym ostatnim spotkaniu?

– Chyba niewiele udało ci się ugrać, co? – rzuciła trzeźwo Ania.

– Wystarczająco – uwaga zaboliała, ale Dominika nie dała tego po sobie poznać. – Życzę miłego dnia – powiedziała przyjaźnie, po czym się rozłączyła.

\*

Anna Prus nie była typem histeryczki, którą łatwo można wyprowadzić z równowagi, ale tym razem dała się ponieść emocjom i z wściekłości rzuciła telefonem, który odbił się od deski rozdzielczej i wpadł pod siedzenie. To, co się wydarzyło, było tak niedorzeczne, że mogłoby zakrawać na żart. Tylko że to nie był żart, z czego Ania doskonale zdawała sobie sprawę. Uwodzicielka rzuciła jej wyzwanie. Na jakimś metafizycznym poziomie konflikt z nią był dla Ani czymś oczywistym. Już podczas pierwszego spotkania obie wyczuły istniejącą między nimi, niemożliwą do pogodzenia, naturalną sprzeczność. Wrodzoną awersję, jak między kotem i myszą, która znosi możliwość wspólnego egzystowania i skazuje dwie istoty na odwieczną walkę. Czy nie świadczyła o tym różnica zdań, do której między nimi doszło? A zaproponowany przez uwodzicielkę zakład nie był formą rywalizacji, namiastką konfliktu w sytuacji, w której nie mogło do niego dojść, bo relacja miała charakter biznesowy?

Ania zatrzymała się na poboczu, w tym stanie nie mogła dalej prowadzić. „Uwiodę twojego męża” – te słowa przeszywały ją niepokojem aż do szpiku kości. Zapaliła papierosa. Każda porcja wydychanej z płuc smolistej chmury stopniowo przywracała jej jasność myślenia. Odzyskawszy rozsądek, doszła do wniosku, że ostatecznie rzecz biorąc, groźba uwodzicielki jest tylko obietnicą bez pokrycia. Straszne słowa nie miały prawa się ziścić. Jeśli wątpiła w sukces uwodzicielki, kiedy między nią a Robertem nie działo się najlepiej, tym bardziej powinna wątpić teraz, kiedy znowu była z mężem szczęśliwa. Uznała, że jedyne, co musi zrobić, to po prostu przypilnować Roberta.

Spokojniejsza, wyjęła telefon spod siedzenia i wybrała numer męża, ale Robert nie odebrał.

## Podejście drugie

– To jest tutaj. – Janek włożył rękę w zagłębienie pod popielniczką. Znajdował się tam specjalny wyłącznik, który odcinał w calibrze prąd, antywłamaniowy patent zaprzyjaźnionego elektryka. – Masz?

Dominika włożyła rękę we wskazane miejsce i skinęła głową.

– Wystarczy to włączyć i nie odpalisz silnika. Spróbuj.

Dziewczyna wsunęła rękę z powrotem pod popielniczkę i nacisnęła przycisk.

– A teraz spróbuj odpalić.

Przekręciła kluczyk i zgodnie ze słowami Janka samochód nie odpalił.

– Niezłe, co?

– Pomysłowe – przyznała. – Jest tylko jeden problem: kto chciałby go ukraść? – Uśmiechnęła się złośliwie.

– Idź w cholere!

Janek pogłaskał calibrę po kierownicy, jakby chciał jej zrekompensować podle słowa wstrętnej kobiety. Dominika ponownie nacisnęła przełącznik i przekręciła kluczyk. Tym razem samochód odpalił.

– Poradzisz sobie?

– Tak.

– No to do dzieła!

Janek przesiadł się do samochodu Dominiki i pojechali pod biurowiec Budmachu. Dominika zatrzymała się na poboczu, tuż przed skrzyżowaniem, gdzie jeszcze wczoraj stał znak „ustąp pierwszeństwa przejazdu”. Janek pojechał dalej i zaparkował przed bramą wjazdową do Budmachu. Umówili się na telefon, kiedy Robert Machowski wyjdzie z budynku.

Do szóstej pozostawało pół godziny. Dominika wykorzystała ten czas, żeby zadzwonić do Holy Bitch. Potrzebowała bezpośredniego zwarcia, żeby jeszcze bardziej napędzić się adrenaliną do działania. Teraz pracowała na własną rękę i dla pieniędzy nieporównywalnie większych od tych, które zapłaciłaby jej Holy Bitch za odstąpienie od umowy. Zresztą w tej grze nie chodziło już o pieniądze, w każdym razie nie o jednorazową sumę. Stawką był cały majątek Roberta Machowskiego i przyszłość Dominiki Werner. Chęć odegrania się na Machowskim za odesłanie książki, złość na arogancję jego żony, która ośmieliła się odwołać zlecenie, i pragnienie, żeby jej dokopać, to wszystko złożyło się na decyzję zawartą w zdaniu: „uwiodę twojego męża”.

Ale był też drugi aspekt tej decyzji, o wiele ważniejszy. Sytuacja objawiła się Dominice w całej oczywistej prostocie, porażającej jak odpowiedź na pytanie: jaki jest sens szukać nieznanego milionera w Nowym Jorku, jeżeli znajomy milioner z Krakowa jest na wyciągnięcie ręki? Życie, które Dominika zaplanowała dla siebie w Ameryce, istniało jedynie w formie projektów i wstępnych przygotowań do imprezy urodzinowej. Uwodzicielka nie miała żadnej gwarancji, że wydarzenia potoczą się zgodnie z jej marzeniami i że okręci sobie wokół palca jakiegoś bogacza. Tymczasem Robert Machowski istniał naprawdę, był milionerem, był przystojny, a kilka dni wcześniej Kornelia

Szostak zobaczyła w jego oczach tak wściekle pożądanie, że ją samą zaczynało ono kręcić. Inną sprawą było to, że realizacja nowojorskich planów wymagałaby sporego nakładu pracy. Wprawdzie Dominika nie była osobą leniwą, ale czuła się zmęczona. Podjęcie decyzji o przejściu na emeryturę stanowiło dla niej wysiłek porównywalny z tym, jakim dla większości kobiet jest przyznanie się do wieku, a dla mężczyzny odpowiedź na pytanie o liczbę partnerek seksualnych, jeśli wynosi ona mniej niż dwie. To było obciążenie natury psychicznej. W takiej sytuacji możliwość ustawienia się na wiele lat do przodu przy minimalnym nakładzie pracy kusiła podwójnie. Jedyne minus pomysłu polegał na tym, że Dominika na dłuższy czas wiązałyby się z Polską i miastem bez butików Chanel. Być może z czasem namówiłaby męża na zamieszkanie w innym kraju, tego nie mogła wykluczyć, ale wzięwszy pod uwagę interesy Roberta Machowskiego, raczej nie stanie się to zbyt prędko. Na szczęście Dominika potrafiła znieść trudności, o ile nie trwały zbyt długo i były środkiem do osiągnięcia większego celu.

Zadzwonił Janek. Tak szybko? Do szóstej pozostawało jeszcze piętnaście minut.

– Będzie lepiej, jeśli będziemy na linii – powiedział.

– You're right – zgodziła się Dominika, przypominając sobie sprawę, w której zawalili podejście, bo w kluczowym momencie nie mogli się do siebie dodzwonić.

– A więc mówisz, że postanowiłaś oszczędzić resztę mężczyzn w tym biednym mieście? – zagaił Blak, skoro i tak byli na linii.

– Mhm.

– To ilu ich było?

Ten będzie pierwszy, pomyślała Dominika i odparła:

– Ten będzie osiemdziesiąty dziewiąty.

– Nie chciałybyś dociągnąć do setki? – zapytał, zastanawiając się jednocześnie, jak z tak rozpoczętego wątku przejść do zaproszenia na randkę. – Mógłbym być twoją ostatnią ofiarą?

– Wiesz, że nie lubię banałów.

Wiesz, co byłoby niebanalne? Gdybym to ja został twoją ostatnią ofiarą. Kurwa!

Jakim cudem Sylwii udało się to zrobić tak naturalnie i niezobowiązująco? Może zbyt naturalnie, bo gdyby nie pani Basia, nigdy nie wpadłby na to, że zaproszenie miało dodatkowy podtekst. Przemyslenia przerwał Jankowi widok wychodzącego z budynku Roberta Machowskiego.

– Siwy gołąb wsiada do samochodu – zameldował.

– Okej, wish me luck.

Dominika wrzuciła jedynie i spojrzała w lewo, skąd miało nadjechać czarne audi. Widocznie tylko prezes pracował do osiemnastej, bo na drodze nie zatoczyło się od samochodów. Nie minęło pół minuty, kiedy go zobaczyła. Powoli ruszyła do przodu. Najważniejsze to wyczuć właściwy moment, nie za wcześniej i nie za późno. Raz... dwa... trzy! Dodała gazu i nie patrząc w lewo, wyjechała na główną drogę, zahaczając lewym nadkołem o czarne audi. Biedne maleństwo, pomyślał Janek, który usłyszał dobiegający z oddali huk. Siła uderzenia rzuciła Dominikę do przodu, na szczęście niezbyt mocno.

– Kurwa!

Robert zatrzymał się na poboczu i spojrzał we wsteczne lustro. Na środku skrzyżowania stał granatowy sportowy samochód. Machowski wyszedł na zewnątrz. Wnosząc po hałasie, był pewien, że zobaczy w karoserii potężne wgniecenie, tymczasem oprócz kilku rys samochód był cały. Zauważył, że

kierowca, który w niego wjechał, nie wyszedł ze swojego samochodu. Coś mu się stało? Robert podbiegł w stronę granatowej calibry i bez zastanowienia otworzył drzwi od strony pasażera.

Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to krótka spódniczka dziewczyny, która w niego wjechała.

– Nic się pani nie stało? – zapytał przejętym głosem. – Kornelia?!

– Dzień dobry, Robercie. Miło cię znowu widzieć. – Uśmiechnęła się słodko. – Nic mi nie jest, a tobie?

– Wszystko okej.

– Zaczynam podejrzewać, że przynosisz mi pecha – powiedziała, wychodząc z samochodu.

Noga, druga noga, dwie nogi, spódniczka.

– Bardzo mi przykro. – Robert się uśmiechnął. – Żeby być jednak zupełnie szczerym, to ty we mnie wjechałaś.

– Ja w ciebie?! To ja mam pierwszeństwo – mówiąc to, dziewczyna pochyliła się nad rozbitą lampą swojego samochodu, co nie uszło uwagi Roberta.

Więcej nogi, więcej drugiej nogi, gdzie są majtki?! Tam powinny być majtki!

– Przykro mi, Kornelio, że nie mogłem zachować się jak dżentelmen, ale niestety, w tym wypadku to ty powinnaś mi ustąpić – w tonie jego głosu pojawiła się stanowczość, granicząca z irytacją.

Robert dołączył do oględzin samochodu.

– Lampa i błotnik do wymiany.

– Przykro mi, Robercie, ale to ja miałam pierwszeństwo – podobna irytacja zadźwięczała w słowach dziewczyny.

– Niestety, będę się upierać przy swoim.

– Twój upór nic nie da – syknęła Dominika.

Robert uśmiechnął się protekcyjnie i już chciał pokazać Kornelii znak, który nakazywał jej ustąpić pierwszeństwa, kiedy zorientował się, że żadnego znaku nie ma.

– Ale numer! Jeżdżę tą drogą od lat i byłem przekonany, że ta jest główna. – Wskazał kierunek, z którego przyjechał. – Ale czekaj, coś tu jest nie tak. Od mojej strony nie ma znaku, że drogi są równorzędne. – Wybiegł na główną drogę, chcąc się upewnić, czy czegoś nie przeoczył, ale uznał, że to nie ma sensu, i wrócił.

– Sam rozumiesz...

– Miałas rację, to była moja wina. Przepraszam, że nie ustąpiłem ci pierwszeństwa.

– Ja również przepraszam. Nie wiem, jakim cudem nie zauważyłam tak dużego samochodu.

– Najważniejsze, że nic ci się nie stało.

Z oddali nadjeżdżał samochód.

– Chyba bezpieczniej będzie, jeśli zaparkujesz gdzieś na boku – powiedział Robert. – Musimy załatwić formalności.

– Która jest godzina? – Kornelia zrobiła zaniepokojoną minę, godną nominacji do mini Oscara.

– Szósta dwanaście.

– Nie mam czasu, Robercie! Czy możemy załatwić tę sprawę innym razem?

– Oczywiście. Czy jesteś pewna, że możesz prowadzić?

– Nic mi nie jest, samochód też wygląda w porządku.

– Jeśli nie brać pod uwagę lampy – dodał Robert.

Przejechał jakiś samochód, a potem następny. Ktoś gwizdnał, ktoś inny krzyknął, żeby usunęli auto z drogi.

– Proszę, tu jest mój numer telefonu. – Robert wręczył Dominice wizytówkę. – Możesz dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

– Tylko nie uciekaj z kraju! Do widzenia.

Kornelia wsiadła do samochodu, zostawiając Roberta w stanie dziwnego upojenia. Nigdy nie sądził, że stłuczka może być przyjemnym doświadczeniem. Począł, aż granatowy samochód odjedzie, ale z jakiegoś powodu nie odjeżdżał. Robert otworzył drzwi od strony kierowcy i zajrzał do środka.

– Co się dzieje?

– Nie chce odpalić. – Dominika przekręciła kluczyk kilka razy, ale silnik nie odpowiadał. – Cholera jasna!

– Wezwać pomoc?

– Ale ja muszę jechać! – powiedziała rozpaczliwie, na miarę kolejnej ministatuetki.

– Mogę cię podwieźć, jeśli chcesz – zaproponował nieśmiało. – Na razie zepchniemy samochód na bok. Może tam? – Wskazał parking przed dyskontem spożywczym. – Nic mu się tam nie stanie. Pomoc można wezwać potem.

– Naprawdę mógłbyś to zrobić? – zapytała pełnym nadziei głosem. – Tylko że ja muszę się dostać poza miasto – dodała zmartwiona. – Daleko poza miasto...

Robert poczuł w brzuchu znajome łaskotanie.

– Jeśli nie poza Polskę, to damy radę. A tak poważnie, to chętnie służę pomocą, zwłaszcza że to wszystko z mojej winy.

– Naprawdę?

– No pewnie.

– Ratujesz mnie życie!

Zepchnęli calibrę na parking i wsiadli do samochodu Roberta. Zapinając pasy, Dominika poczuła ulgę. Najtrudniejszą część planu miała za sobą. Do tego momentu sukces planu zależał od szczęśliwego zrządzenia losu, od czynników, na które ani ona, ani Janek nie mieli wpływu. Od teraz zaczynało się prawdziwe uwodzenie, a o to Dominika była spokojna.

– Dokąd jedziemy?

– Kalwaria Zebrzydowska. Znasz drogę?

Robert potwierdził skinieniem głowy. Ruszyli.

– Dostałaś książkę?

– Tak, dziękuję, że zadałeś sobie trud, żeby mi ją odesłać.

– Żaden problem. Mówiąc szczerze, zastanawiałem się nawet, czy nie zwrócić ci jej osobiście.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Nie chciałem, żebyś uznała, że nachodzę cię w domu. I popatrz – dodał po chwili – i tak wpadliśmy na siebie, jakby nie można było tego spotkania uniknąć.

– Przeznaczenie?

– Często jeździsz tamtą drogą?

– Jeżeli próbujesz wy badać, jak bardzo przypadkowe było nasze spotkanie, to ja bym stawiała na cud. – Uśmiechnęła się. – W ogóle tamtędy nie jeżdżę.

Robert również się uśmiechnął. To było naprawdę dziwne. Tyle wysiłku włożył w to, żeby nie spotkać jej nigdy więcej, i spośród wszystkich osób, z którymi po trzydziestu latach bezkolizyjnej jazdy mógł się zderzyć, w dodatku na mało ruchliwym osiedlowym skrzyżowaniu, padło na nią.

– Mogę zapytać, w jakim celu jedziemy do Kalwarii?

– Muszę coś zabrać z pewnego miejsca.

– No to wszystko jasne. – Uśmiechnął się.

Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu. Dominika obserwowała przetaczający się za szybą krajobraz.

– Jesteś z Krakowa? – spytała nagle, mimo że doskonale знаła odpowiedź. Szukała tematu, który zbliżyłby ich do siebie, jakiejś wspólnej emocjonalnej płaszczyzny.

– To zabawne, że pytasz, bo będziemy przejeżdżać przez moją rodzinną wioskę.

– Twoi rodzice wciąż tam mieszkają?

Robert pokręcił głową.

– Moi rodzice już nie żyją. A ty jesteś krakuską z urodzenia?

– Nie – skłamała. – Tak jak ty pochodzę ze wsi.

– Witaj w klubie.

– A twój rodzinny dom?

– Jeszcze stoi. Mieszka w nim mój wujek, brat mamy. Swoją drogą świetny facet. Uprzedzając twoje pytanie, nie odwiedzam go zbyt często – w głosie Roberta zabrzmiał smutek.

Radar Dominiki natychmiast to wylapał. Tam, gdzie istniały prawdziwe emocje, otwierała się przestrzeń do manipulacji, którą Dominika starała się wykorzystać. Każdy człowiek ma emocjonalny haczyk, za który można go chwycić, a potem owinąć wokół palca.

– Sama wiesz, jak jest, brak czasu...

– No to świetnie się składa. Właśnie zyskałeś okazję, żeby odwiedzić wujka.

– Nie mówisz chyba poważnie?

Robert spojrzał na Kornelię zmieszany, nie będąc pewnym, czy dziewczyna nie robi sobie z niego żartów.

– Oczywiście, że mówię poważnie! I nie masz żadnej wymówki, bo będziemy tamtędy przejeżdżać. – Oczy Kornelii iskrzyły od entuzjazmu.

– Czy nie spieszymy się, żeby coś zabrać?

– Ani trochę! – odparła kategorycznie. – Zgódź się, Robercie, tak bardzo chciałabym poznać twojego wujka.

Robert zaniósł się śmiechem.

– No dobrze, w sumie czemu nie – powiedział, nie wiedząc, dlaczego godzi się na coś tak absurdalnego. Podchwycił entuzjazm Kornelii, a może nie chciał wyjść przed nią na sztywniaka? To popołudnie stawało się coraz dziwniejsze, ale Robert nie mógłby powiedzieć, że nie znajduje w tym przyjemności.

W miejscowości o dziwnej nazwie zjechali z drogi numer 52 w kierunku Skawiny i kilkaset metrów dalej skręcili w ubitą dróżkę prowadzącą do dawnego domu Roberta. Był to murowano-drewniany,

stary, ale zadbane domek, za którym znajdowały się jeszcze dwa inne budynki gospodarcze.

– Oto mój dom – oznajmił Robert, zajeżdżając pod bramę.

Z domu wyszedł starszy mężczyzna.

– A oto wujek Leon.

– No to trzeba się przywitać.

Nie czekając na Roberta, Dominika wyszła z samochodu.

– Niech będzie pochwalony! – zawołała w stronę starszka, machając do niego ręką i kolejny raz wprawiając Roberta w osłupienie.

Wujek Leon podszedł do gości.

– Dzień dobry. Poznaje mnie wujek? To ja, Robert.

Starszek przyglądał się przez chwilę Robertowi, po czym na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Jezus Maria, Robuś! O mało, a bym cię nie poznał.

– Mam na imię Dominika. – Dziewczyna podała mężczyźnie rękę, na której spoczął soczysty pocałunek.

– Dominika? – zdziwił się Robert.

– Długa historia, której puenta jest taka, że wolę być Dominiką – odparła z tajemniczym uśmiechem.

Robert przyjął tłumaczenie z westchnieniem, w którym dało się wyczuć nutkę zachwytu nad zdolnością Kornelii vel Dominiki do wprawiania go w osłupienie.

– Piękna jak malina.

Leon zapatrzył się w Dominikę tak, że Robert musiał nim potrząsnąć.

– Chodźcie do domu, chodźcie, chodźcie. Mam sok z malin. Bardzo zdrowy, bardzo. I zimną wodę ze studni. Pamiętasz, Robuś, jak lubiłeś naciągać wodę ze studni? – Starzec wymachiwał ramionami do przodu, jakby zaganiał kury do kurnika.

– A może usiądziemy przed domem? Taka piękna pogoda – zaproponowała Dominika w obawie przed tym, co zastaną w domu. Starczy zapach Leona był już dla niej wystarczająco odstręczający.

– E... – obruszył się starszek, dla którego przebywanie na zewnątrz nie było żadną atrakcją, poza tym na polu to mógł przyjmować Majcherczyka, a nie takich gości!

– Dziewczyna z miasta chciałaby powdychać trochę świeżego powietrza. Pozwól jej – wtrącił się Robert.

– Racja, racja – zgodził się Leon, przekonany przez siostrzeńca, że może zaoferować gościom coś, czego nie mają. – Wdychajcie, wdychajcie – poczęstował ich powietrzem i udał się do domu po sok.

Robert zaoferował tymczasem, że naciągnie wody.

– Piłaś kiedyś coś takiego?

– W mojej wsi była kanalizacja – rzuciła żartobliwie Dominika, a Robert zareagował żywiołowym śmiechem, który nie umknął uwadze uwodzicielki.

Dominika poznawała Roberta coraz lepiej i w jej głowie zaczynał się układać nowy obraz jego osoby, trochę inny od tego, który wyabstrahowała na podstawie informacji z czerwonej teczki.

Robert naciągnął wodę, którą przelali do dzbanka. W tym czasie starszek przyniósł z domu napełnione sokiem szklanki. Dominika dołała do nich wody i z napojami w dłoniach usiedli na ławce. Delektując się zapachem letniego wieczoru na wsi, przepelnionego wonią skoszonej trawy



i zwierzęcych odchodów, słuchali opowieści Leona o żniwach i jego problemach ze zdrowiem. Kiedy pół godziny później zegnali się, stojąc przed bramą, Leon szepnął siostrzeńcowi na ucho, że cieszy się, iż rzucił tamtą babę w cholere. Uwaga sprawiła Robertowi przykrość, ale zostawił ją bez odpowiedzi. Nie było sensu wdawać się w tłumaczenia. Robert uprzytomnił sobie jednak, że powinien skontaktować się z Anią i wytłumaczyć jej swoją nieobecność. Kiedy wziął do ręki telefon, zobaczył, że ma jedno nieodebrane połączenie. Nie chciał jednak rozmawiać z żoną w obecności Dominiki i tylko napisał esemesa, że coś mu wyskoczyło i wróci do domu później.

Pomysł z odwiedzinami u wuja okazał się strzałem w dziesiątkę. Czasami, żeby zdobyć mężczyźnię, wystarczy odsłonić dekolt, innym razem trzeba sprawić, żeby mężczyzna poczuł się wyjątkowy. Wyjątkowo dobry, wyjątkowo szczodry, wyjątkowo odważny. Mężczyzna, jak żadne inne stworzenie, potrafi uwieść samego siebie – zakochać się we własnym wizerunku i chłonąć swoją wspaniałość. Kobiecie pozostaje tylko ten wizerunek stworzyć. I chociaż uczucia, które towarzyszyły Robertowi po spotkaniu z wujem Leonem, nie miały wiele wspólnego z zachwytem nad sobą, to mieściły się w spektrum dobrego samopoczucia na swój własny temat. Odwiedzając staruszkę, Robert sprawił sobie i jemu przyjemność i miał poczucie, że zrobił coś dobrego, za co był wdzięczny osobie, która go do tego skłoniła. Innymi słowy, Machowski coraz bardziej wikłał się w zastawioną na niego sieć.

W Kalwarii Zebrzydowskiej Dominika przejęła rolę pilota. Miejsce, do którego zmierzali, znajdowało się na skraju lasu, nieopodal słynnego klasztoru Bernardynów. Wyjechali na drogę prowadzącą w górę do klasztoru, a kiedy ich oczom ukazał się kościół, skręcili w polną, wyboistą ścieżkę w głąb lasu. Wkrótce zobaczyli należący do Janka Blaka drewniany domek. Dominika przyjeżdżała tu co kilka miesięcy, żeby przebyć kilkudniową głodówkę i pomedytować. Mogłoby się wydawać, że regularne eskapady na łono przyrody służą doładowaniu baterii, nadmiernie zużywanych na szybkie życie w wielkim mieście, ale w przypadku Dominiki było odwrotnie. W porównaniu z samotnią w lesie Kraków stawał się wreszcie prawdziwą metropolią i po kilku dniach na zesłaniu dziewczyna przez jakiś czas mogła w nim normalnie funkcjonować. Łącznie z regularnymi podróżami po świecie, co najmniej dwoma rocznie, stwarzało to warunki do przetrwania w mieście bez Chanel.

- Piękne miejsce! – widok ukrytej pośród drzew chatki zachwycił Roberta.
- Możesz wejść ze mną, jeśli chcesz, ale nie zajmie to długo. Muszę tylko zabrać stąd dysk.
- Chętnie zajrzę do środka.

Otworzyli drzwi samochodu, a kiedy Robert wyszedł na zewnątrz, Dominika wyciągnęła z torebki szpikulec. Wyszła z samochodu i wprawnym ruchem przebiła przednią, a następnie tylną oponę.

Klucz do domku znajdował się pod wycieraczką. Weszli do środka. Był to typowy jednopiętrowy drewniany domek letniskowy z antresolą przysposobioną do spania. Już na pierwszy rzut oka można było odgadnąć zainteresowania jego właściciela. Pod jedną z belek podtrzymujących strop zamontowany był projektor filmowy, pod nim znajdowała się rozłożysta kanapa, a na przeciwległej ścianie wisiał zwinięty ekran. Półki ugięły się pod ciężarem filmów. Drewniana podłoga wyłożona była miękkim dywanem, a wrażenia przytulności dopełniał kominek.

- Miło tu.
- Tak, chociaż czasami strasznie.
- Strasznie?
- Kiedy jestem sama.
- Na pewno sprowadzasz tu tysiące kochanków – palnął Robert.

– A myślisz, że co tutaj robisz?

– Nie mam aż takiego szczęścia – odparł Robert, żeby ukryć zawstydzenie wywołane słowami Dominiki.

Dziewczyna rozglądała się po pomieszczeniu.

– Czego dokładnie szukamy?

– Czarnego dysku wymiennego.

Robert przyłączył się do poszukiwań.

– Lubisz gubić rzeczy, co? – Uśmiechnął się złośliwie.

Po kilku minutach rozglądania się po kątach oboje dali za wygraną.

– Byłam pewna, że tutaj go zostawiłam. – Dominika wzruszyła bezradnie ramionami. – Trudno, możemy wracać.

– Chętnie bym tu został – stwierdził Robert, kiedy wychodzili z domku – albo gdziekolwiek indziej, byle daleko od biura.

– Jeśli bardzo ci zależy, możemy zostać.

Dominika uśmiechnęła się zalotnie. Kiedy się uśmiechała, cała jej twarz promieniła seksownie blaskiem, który wprawiał żołądek Roberta w drganie.

– Przypominam ci tylko, że jestem żonaty.

– To nic, najważniejsze, że ci to nie przeszkadza.

Tą nową rzeczą, którą Dominika odkryła u Roberta, było poczucie humoru. I rzeczywiście, tworząc tęczkę Roberta, Ania celowo pominęła tę cechę swojego męża, jakby chcąc zachować jego cząstkę tylko dla siebie. A może, wiedząc, że poczucie humoru ułatwia kontakty, podświadomie próbowała utrudnić uwodzicielce zadanie? Doświadczenie Dominiki istotnie wskazywało na to, że mężczyzn z poczuciem humoru uwodzi się szybciej. Coś tak niepoważnego jak wetknięcie jednego organu w inny, znajdujący się w dodatku w ciele obcego człowieka, wymaga odpowiedniego, luźnego podejścia. Poza tym poczucie humoru jest cechą flirciarzy i Robert Machowski był flirciarzem. Dokonawszy tego odkrycia, Dominika zmieniła zasady gry. Zamiast gestów, zalotnych uśmiechów i przypadkowych dotknięć wprowadziła do ich rozmów to, co flirciarze lubią najbardziej – słowa. Złośliwość i prowokacja, jawna zachęta i sprzeczne z nią zachowanie, które tym bardziej działa na wyobraźnię mężczyzny. Prowokujące słowa i niewinne gesty, brudne myśli i czyste zachowania, rozpusta i świętość, dziwka w przebraniu zakonnicy, czyli kobieta wymarzona.

– O nie! – wykrzyknęła Dominika, podchodząc do samochodu.

– Co się stało?

– Opona jest przebita. Druga też!

– O cholera.

– Musiałeś na coś wjechać.

– Musimy zadzwonić po pomoc.

– Mój znajomy prowadzi w okolicy zakład wulkanizacyjny. Zadzwonię do niego.

Nie czekając na reakcję Roberta, Dominika sięgnęła po telefon.

Janek Blak poszedł na spotkanie z trenerami Fightera i kiedy odebrał umówiony telefon, był już lekko wstawiony. Na szczęście nie na tyle, żeby nie móc wykonać swojego zadania. Wysłuchał prośby Dominiki, powyglądał się do słuchawki, na koniec porozmawiał z Robertem Machowskim, po czym wrócił do picia.

– Będzie za godzinę – oznajmił Robert, oddając telefon. – Czy mi się wydawało, czy ten twój znajomy brzmiał jakoś dziwnie?

– Jakby był pijany? Zawsze się tak zachowuje, kiedy jest zdenerwowany. A ma powód, bo jego żona urodzi niedługo ich pierwsze dziecko.

– Och, rozumiem.

– W takiej sytuacji może pójdziemy na spacer?

Robert przystał na propozycję i ruszyli ścieżką pomiędzy drzewami. Rozmawiali o dzieciństwie spędzonym na wsi, o wspinaniu się po drzewach i chodzeniu na grandy, o żniwach i kąpaniu się w rzece, o pieczeniu ziemniaków w ogniskach i wiejskich festynach, o wszystkim, o czym Dominika nie miała pojęcia, bo dzieciństwo spędziła w piaskownicy pomiędzy betonowymi blokami. Kiedy tak rozmawiali, zadzwonił telefon Roberta. Mężczyzna wysunął z kieszeni komórkę, zobaczył na wyświetlaczu imię „Andzia” i odrzucił połączenie. Dominika uśmiechnęła się triumfalnie. Zwycięstwo nad Holy Bitch przyszło jej tak łatwo, że niemal współczuła kobiecie, co w przypadku kogoś takiego jak Dominika oznacza, że rozumiała skalę poniżenia swojej byłej klientki. Te gorliwe zapewnienia o wierności Roberta, ten drżący głos Holy, gdy mówiła o jego wyjątkowości, to oburzenie na stereotypowe traktowanie mężczyzn, jakie to wszystko było teraz żalosalne! Mężczyźni tacy już są – Dominika lubiła ten wyświechtany frazes, który podsumowywał rzeczywistość bez zbędnych emocji i który pasował również do tej sytuacji. Mężczyźni tacy już są, droga Anno Prus, że wołą piękniejsze.

Jeśli chodzi o samego Roberta, to trzeba przyznać, że zachował godny podziwu spokój sumienia. Był pewny, że logika wydarzeń jest po jego stronie i że postępuje właściwie. Podwiózł dziewczynę do domku w lesie, bo przez niego nie mogła się tam dostać, poszedł z nią na spacer, bo musieli spędzić jakoś czas do przyjazdu wulkanizatora, odrzucił połączenie od Ani, bo nie chciał wdawać się w tłumaczenia przy obcej osobie, tym bardziej kłamać, flirtował z Dominiką, bo cóż złego jest w żartach?

Wrócili do domku, a ponieważ znajomy Dominiki jeszcze nie przyjechał, weszli do środka na herbatę. Według planu Janek miał zadzwonić mniej więcej półtorej godziny po pierwszej rozmowie. Zadzwonił, kiedy Dominika przygotowywała herbatę.

– Dzwonię – powiedział, wyraźnie już pijany.

– Ale jak to? – zmartwiła się.

– Tak to. Może pójdziemy razem na kolację? Co ty na to? Pójdziesz ze mną na randkę? A potem weźmiemy ślub. Co na to powiesz?

– Rozumiem. W ogóle się mną nie przejmuj, jedź do niej jak najszybciej.

– Kocham cię – powiedział Janek pijackim, pełnym emocji głosem, kilkanaście lat po tym, jak po raz pierwszy odkrył, że zakochał się w Dominice.

– Mówię poważnie. Nie martw się. Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Dominika odłożyła telefon. Robert, który przysłuchiwał się rozmowie, domyślił się, co się stało.

– Zaczęła rodzić?

– Powiedział, że przyjedzie, kiedy tylko będzie mógł, nawet w środku nocy. Najpóźniej przyśle kogoś rano. Albo możemy szukać dalej.

– To co robimy?

– Jak to się mówi? Uważaj, czego sobie życzysz, bo może się spełnić? – Uśmiechnęła się zalotnie.

– Nie chciałbym nadużywać twojej gościnności – odparł Robert, sam do końca nie rozumiejąc, dlaczego to mówi, zamiast po prostu zadzwonić do ubezpieczyciela i wezwać pomoc. Być może włączył się w nim pierwiastek odpowiedzialny za stwierdzenie: „mężczyźni tacy już są”, który nakazuje mężczyźnie „uwięzionemu” w drewnianym domku z seksowną dziewczyną nie szukać na siłę dróg wyjścia, ale z pokorą przyjąć swój los. Tym razem Robert nie próbował mydlić sobie oczu logiką (choć gdyby musiał zrelacjonować ciąg wydarzeń, który doprowadził go do spędzenia nocy z Dominiką, stwierdziłby zapewne, że opony są gumowe i mogą się przebić, a na serwisy się czeka) i rozumiał dwuznaczność sytuacji. Rzecz w tym, że to właśnie owa dwuznaczność była tym, co zachęcało go do biernego czekania. A ponieważ w głębi serca Robert miał pewność co do swoich zasad, wystawienie się na próbę nie było dla niego prawdziwą próbą, lecz jedynie sprawdzeniem, jak mogłaby ona wyglądać. Był zresztą przekonany, że oboje z Dominiką grają w tę samą grę. Znając dokładnie granice gry – punkt, którego nie można przekroczyć – mogli posuwać się daleko, nie narażając się na utratę kontroli.

– Jeśli moja gościnność jest jedynym przeciwskazaniem, to uważam, że najprościej będzie poczekać – stwierdziła Dominika. – Powstaje tylko pytanie, czy znajdziemy tu coś do jedzenia i czy lubisz oglądać filmy.

– Mogę coś dla nas wybrać – zaproponował Robert, przeglądając regał z filmami.

– W takim razie ja rozejrzę się w kuchni.

– Załatwione. Tylko najpierw muszę zadzwonić.

Dominika znalazła spory zapas słodczy (typowe dla Janka) i kilka butelek wina. Otworzyła krakersy oraz butelkę czerwonego wina i zabrała się do rozpalania ognia w kominku.

Robert wyszedł tymczasem na zewnątrz. Poza pohukiwaniami sowy wokół panował niemal martwy spokój. Było w tej ciszy i ciemności coś niepokojącego. Człowiek w białej masce wyłoni się zza drzewa albo w ciemności zaświecą czerwone oczy wilka, a może Robert Machowski zdradzi żonę? Coś na pewno się stanie. Mężczyzna wybrał numer.

– Halo.

– Nie śpisz jeszcze?

– Nie.

– Słuchaj, Aniu, mam pewien problem.

– Co się stało?

– Musiałem pojechać do wujka Leona i wygląda na to, że będę tu nocować.

– Och – jęknęła.

Poczuła w klatce piersiowej ścisk, a potem jakby coś w niej pękło i jej ciało wypełnił smutek oraz intuicyjne przekonanie, że nigdy nie zdoła się go pozbyć. Pomyślała, że Zuza miała rację. Nie ma sensu fundować Robertowi takiego bólu.

– Nie wrócisz do domu? – zapytała cicho.

– Wrócę rano.

To nie była wina Roberta, że jakieś dziecko postanowiło się urodzić akurat teraz, ale i tak czuł się nieswojo.

– Nie gniewasz się?

– Nie, skąd – odparła smutno.

– Jutro odbijemy sobie ten wieczór.

– Jutro jest bal – syknęła ze złością, której nie potrafiła zahamować, choć obiecała sobie, że nie da się ponieść emocjom. Chciała wierzyć, że Robert mówi prawdę. Musiała w to wierzyć, żeby mieć siłę o niego walczyć.

– To pojutrze.

– Dobrze, muszę kończyć – oświadczyła, wiedząc, że jeśli teraz nie skończy rozmowy, nie uda jej się wytrzymać i zaraz wyleje na niego całą wściekłość. Wykrzyczy, że zna prawdę, zwzywa go od zdrajców i kłamców.

– Okej, kocham cię.

– Mocno? – zapytała.

– Najmocniej na świecie.

# Konsekwencje

Andrzej Wieczorek wyrzucił mokre ubranie do kosza, włożył suche i stał z podłogi plamy moczu. Potem usiadł za stołem i obracając telefon w rękę, próbował zebrać się na odwagę, żeby zadzwonić. Nie zebrał się. Wstał więc z miejsca, podszedł do lodówki, wyjął butelkę z piwem i wychylił kilka sporych łyków. Wrócił na miejsce. Znowu obracał komórkę w rękę i znowu przegrał z własnym strachem. Wstał więc z krzesła, podszedł do lodówki, wychylił resztę piwa, wrócił na miejsce i się rozplakał.

„Wiem, że nie chcesz ze mną rozmawiać, ale proszę, odbierz. Coś się stało, musimy porozmawiać”. Wysłał wiadomość, odczekał kilkanaście sekund, a potem wybrał numer.

– Czego chcesz? – usłyszał w słuchawce wściekły głos Edytki, za którym tak bardzo tęsknił.

## Właściwa chwila

– Dzisiaj na kolację krakersy i wino. Niestety, niczego innego nie znalazłam – oznajmiła Dominika, kiedy Robert wrócił do środka.

– Nic więcej nam nie potrzeba – stwierdził, dobierając się do talerza. – Ty nie jesz?

– Gluten i cukier to nie moja cup of tea, ale nie przejmuj się, nie jestem głodna. I mam silną wolę.

Robert pomyślał o Ani, która często zajadała się słodyczami, i jakby wbrew sobie (bo przecież uważał jej słabość za uroczą) poczuł nagle wstręt do tych ciąglych „ostatni raz” i „od jutra”. Czyżby jego podświadomość szukała usprawiedliwienia dla tego, co mogło się zaraz wydarzyć?

– Muszę cię uprzedzić, że znajomi nie cierpią oglądać ze mną filmów – wyznał. – Lubię komentować przebieg akcji i co jakiś czas odwracam wzrok od ekranu, żeby sprawdzić, czy na pewno wszyscy reagują na film tak samo jak ja.

– To może lepiej posłuchajmy muzyki. – Dominika się roześmiała i podeszła do wieży stereo. – Ciekawe, co tu mamy... – Westchnęła, doskonale wiedząc, że w środku znajduje się *Kind of Blue*, ulubieniec wszech czasów, jeśli chodzi o tworzenie namiętnych nastrojów. Wcisnęła play.

– Ty nie masz żadnych głupich przyzwyczajzeń?

– Ja? Czy nie widzisz, że jestem idealna?

I znowu ten uśmiech.

– No tak – potwierdził. – Mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Najwyżej nie odpowiem.

– Jesteś piękną i mądrą kobietą. Fakt, że nie jesteś w związku, zupełnie do tego nie pasuje...

– To jest twoje pytanie? Dlaczego nie mam faceta?

– No cóż, obawiam się, że to właśnie chciałbym wiedzieć.

Robert sięgnął po kolejny kieliszek wina, a Dominika zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

– Tak się złożyło. Po pierwsze, praca. Chcąc osiągnąć sukces w moim zawodzie, trzeba się poświęcić w stu procentach, tu nie ma miejsca na miłość. A po drugie, myślę, że się boję.

– Czego?

– Że nie wyjdzie i że przegram, a ja nie lubię przegrywać – powiedziała i co dziwne, nie skłamała.

Dominika poczuła, że rozmowa zmierza w złym kierunku. Jeśli wejdą na ścieżkę zwierzeń, nici z seksu. Niestety, smutna prawda na temat mężczyzn jest taka, że bardziej od seksu lubią tylko użalać się nad sobą i słuchać pocieszeń.

– Że przegrasz? Miłość to nie zawody – stwierdził Robert i natychmiast sobie uświadomił, że zabrzmiał protekcyjnie. Nie chcąc wyjść na starego moralizatora, dodał: – Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa.

– A jeśli gra nie jest tego warta? Dlaczego trzeba z kimś być? Skąd ten przymus? Skąd to przekonanie, że nie można być szczęśliwym samemu?

– Ty tak nie uważasz?

– Moim zdaniem miłość jest przereklamowana, podobnie zresztą jak seks – powiedziała, planując skierować rozmowę na właściwy tor. – Nuda, nuda, nuda.

Robert poczuł na twarzy uderzenie gorąca i sięgnął po kieliszek.

– Chyba sypiałas z niewłaściwymi mężczyznami. Ze mną nigdy nie jest nudno.

Dominika wiedziała, że większość mężczyzn uruchamia się pod wpływem wyzwania, a mimo to pewność, z jaką ten mężczyzna odpowiedział na zaczepkę, podziałała na nią podniecająco. Robert Machowski miał to, co pociągało ją w mężczyznach najbardziej: męskie ciało i pieniądze. Pieniądze zaczynały się dla niej od miliona dolarów, męskie ciało oznaczało co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i tors w kształcie litery „V” – szerokie barki, nieco węższa klatka piersiowa i jeszcze węższy pas. Uwielbiała mięśniaków z siłowni o dobrze ukształtowanych torsach, na których można było prowadzić lekcję anatomii, ale akceptowała również ciała, które zachowywały dobrą formę bez wyrabiania muskulatury. Najważniejszy był kształt, nie kłoc i nie koło, ale odwrócony trójkąt i jego wielkość. Interesowali ją mężczyźni o dużych, ponadstucyntymentrowych klatkach piersiowych, dla niej rozmiar penisa zaczynał się liczyć od barów.

– Myślisz, że tak po prostu uwierzę ci na słowo?

– Myślę, że musiałbym to udowodnić.

Robert spojrzął na należące do Dominiki nogi, tym razem nie próbując udawać, że tego nie robi, i znowu zadał sobie do dręczące pytanie: czy pod spódniczką znajdują się majtki? Miał ochotę włożyć tam rękę i sprawdzić, miał ochotę odwrócić dziewczynę na brzuch i zadrzeć spódnicę do góry. Miał erekcję, a co najgorsze, czuł się inaczej niż w podobnych sytuacjach z Anią. Ania nie działała na jego penisa bezpośrednio. Ania poruszała jego serce, które wysyłało następnie wiadomość do penisa: wspaniale jest się kochać z ukochaną osobą. I to była prawda, seks z nią był wspaniały. Ciepły i przytulny jak futrzane skarpetki, które wkładała zimą do spania. Ale nie pamiętał, żeby Ania doprowadziła go ostatnio do takiego stanu, no, może poza wczorajszym wieczorem. I znowu podświadomość podsunęła mu wspomnienie, tym razem był to obraz poszarpanych majtek z kwiatuskowym wzorem.

Dominika czekała. To był ten moment, właściwa chwila. Robert powinien zacząć ją całować. Teraz!

Osiemdziesiąt procent mężczyzn potrafi rozpoznać moment, gdy moc słów ulega wyczerpaniu, gdy nie można już nic więcej powiedzieć. Osiemdziesiąt procent mężczyzn wie, kiedy należy się zamknąć i zacząć działać. Osiemdziesiąt procent mężczyzn rozumie, że właściwa chwila nie jest metaforą, że długość jej trwania wynosi zaledwie chwilę i że potem nastrój pryska, i sytuacja wraca do punktu wyjścia. I dlatego, kiedy następuje właściwy moment, osiemdziesiąt procent mężczyzn rzuca się do działania.

Robert Machowski należał do osiemdziesięciu procent mężczyzn. Potrafił wyczuć właściwą chwilę i wiedział, jak ją wykorzystać, a jednak siedział nieruchomo na kanapie, pozwalając chwili przeminąć.

Jest nieśmiały? Dominika westchnęła w duchu zawiedziona. Nie kręcili jej wstydlivi chłopcy. Liczyła na ostre, bezkompleksowe rżnięcie dojrzałego faceta. Dlaczego nigdy nie można mieć wszystkiego? A zatem to ona musi podjąć inicjatywę.

Nie zwlekała. Położyła dłoń na jego dłoni. Nie odsunął jej. Przynęła się do niego. Nie drgnął. Zbliżyła twarz do jego twarzy. Zastygł w bezruchu. Zaczęła go całować. Cierpki, winny oddech, połączony z orzeźwiającym zapachem kobiecych perfum i mieszaniną kosmetyków, których nigdy nie czuł od Ani, sprawiły, że Robertowi zakręciło się w głowie. O Boże, pomyślał i zaczął oddawać



pocałunek, jednocześnie wsunął rękę pod jeansową spódniczkę. Wyczuł coś, czego nie znał, dużo nagich pośladek, trochę śliskiego materiału, który nie był jednak typowym dla stringów paskiem, jakieś wiązania i dziura. O Boże, chciałby to zobaczyć, ale nagle uświadomił sobie, że to nie jest sen. To się dzieje naprawdę, a on posunął się za daleko. Odsunął od siebie Dominikę.

– Przepraszam, nie mogę – wymamrotał.

Poczuła rozlewające się po policzkach gorąco, zupełnie jakby dostała płonącym polanem w twarz.

– Come on – wyszeptwała.

Przysunęła się i położyła rękę na wybrzuszeniu spodni Roberta.

– Przepraszam – powiedział pewniejszym już głosem i sam się odsunął. – Nie chcę – dodał ostro, żeby nie przedłużać tej krępującej sytuacji.

Teraz to ona znieruchomiała. „Robert jest inny” – słowa Holy Bitch niczym diabelski chichot zabrzmiały w jej głowie.

A więc to prawda. On istnieje. Jeden na milion, wyjątkowy, wierny, kochający. Ma na imię Robert. Przez ułamek sekundy poczuła do niego mimowolny szacunek. Ułamek sekundy, a potem zalała ją fala wściekłości i upokorzenia, którą mogły zamaskować jedynie lzy.

– Przepraszam. Przepraszam cię, Dominiko, zachowałem się jak kompletny dureń. To moja wina. – Robert położył dłoń na jej ramieniu i natychmiast zabrał ją z powrotem. Nie wiedział, jak ją pocieszyć. – Nie powinienem był dopuścić do takiej sytuacji, nie zdawałem sobie sprawy, że tak się skończy. Naprawdę, uwierz mi, nie chciałem, żeby tak wyszło. Myślałem, że to tylko żarty, że... Sam nie wiem, co myślałem. Jesteś najbardziej seksowną dziewczyną, z którą nie uprawiałem seksu – próbował ratować się humorem. – Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale gdybym mógł... Boże, co ja gadam. Ja mam żonę i bardzo ją kocham.

Dominika wstała i nie mówiąc ani słowa, wyszła z domku.

## Rok 1999

Pomimo dobiegających zewsząd odgłosów dzikich zwierząt szła dalej ścieżką w głąb lasu. Nie czuła strachu, wręcz przeciwnie. Chciała, aby na jej drodze pojawił się nagle jakiś wilk, którego mogłaby roznieść w strzępy. Pulsująca w jej żyłach krew wzywała ochotników do walki – dźwięk uderzającej o ścianki naczyń metalicznej cieczy niósł się wokół niczym bokierski gong. Nie potrafiła opanować wściekłości. Musiała ją z siebie wyrzucić, wypocić szybkim marszem. Gdyby tylko miała odpowiednie obuwie, rzuciłaby się biegiem przed siebie. Idąc, myślała tylko o jednym – o historii sprzed kilkunastu lat. Wspomnienie tamtych wydarzeń znów było w niej żywe. Robert Machowski przywołał zjawę.

Zacząło się w zadymionym wnętrzu baru Smok, w którym Dominika Werner spędziła większość pierwszej klasy technikum. Stawiała się w barze wraz z pierwszym dzwonkiem, zamawiała kulki ziemniaczane i sok porzeczkowy, siadała w ulubionej łoży z widokiem na dworzec autobusowy i marzyła o przyszłości. Chciała zostać projektantką mody. Niestety, szybko zrozumiała, że technikum odzieżowe, które miało jej pomóc w osiągnięciu celu, nie ma wiele wspólnego z modą. Do szkoły uczęszczały głównie córki wiejskich krawcowych, dziewczęta obdarzone wyobraźnią guzika, a nie przyszłe kreatorki trendów. Dominika wolała więc spędzać czas w pobliskim barze, czego w przeciwieństwie do większości uczniów nie bała się robić, bo jej opiekunką była Krystyna Madziarska, stara panna z dowodu i usposobienia, którą obchodziło jedynie gotowanie.

– Jutro będzie zupa pomidorowa z lanym ciastem, a na drugie kluski śląskie – oznajmiła pewnego wieczoru Madziarska, gdy Dominika leżała już w łóżku.

– Nie lubię klusek śląskich.

– Twoja matka przewraca się w grobie! – zachnęła się kobieta, która sama przypominała wyglądem okrągłą i chropowatą kluskę.

– Bo nie lubię klusek?

– Bo jesteś niewdzięcznicą! To ja, stara baba, cały dzień przy garach stoję, żebyś miała co do gęby włożyć, a ta ci powie, że klusek nie lubi!

– Nikt pani nie każe cały dzień przy garach stać. W ogóle nie musi mi pani gotować!

– Co? Nikt mi nie każe? A co byś, gówniario, jadła, jakbym ci nie zrobiła, co?! Ja się pytam!

– W mieście jest dużo restauracji.

– Taa... restauracji... A ciekawa jestem, kto będzie płacił za te restauracje, co? Ona myśli, że za darmo jej dadzą!

– Tata przysyła chyba jakieś pieniądze, co nie? Zresztą, niech mi pani odda rentę po mamie i przysięgam, że więcej się nie zobaczymy – wystrzeliła Dominika. – I nie będzie pani musiała więcej gotować!

– Coś ty powiedziała? – Serce Madziarskiej załomotało. Oczami wyobraźni zobaczyła siebie w wielkim domu, jak dawniej stojącą nad małym rondelkiem z dwoma ziemniakami. – Czy ja co złego mówię, czy ja dla ciebie źle chcę? Czy mnie co obchodzi? – Z oczu kobiety popłynęły łzy. – Masz gdzie

spać, masz co jeść. Czego ci jeszcze brakuje? Że śląskie niedobre? O Boże, wielka rzecz, mogę zrobić pierogów ze śliwkami. Lubisz pierogi ze śliwkami? – zapytała podekscytowana nowym pomysłem.

– Mogą być z truskawkami.

– A skąd ja ci truskawek wezmę? – zdenerwowała się. – To może z jagodami? Mam zamrożone... – Spojrzała na dziewczynę niepewnie.

– Obojętnie.

– I dobrze! – ucieszyła się. – Będzie zupa pomidorowa i pierogi z jagodami, śmietanką i cukrem. Albo z roztopionym masłem i cukrem – powiedziała, wychodząc z pokoju.

Jeśli Dominika zataiła przed Krystyną Madziarską, że szkoła odzieżowa okazała się złym wyborem, to nie ze strachu przed jej gniewem. Co najwyżej obawiała się, że opiekunka zechce wysłać ją do pracy albo, nie daj Boże, na jakiś kurs gotowania. A ona lubiła przesiadywać w Smoku. Spędzała tam codziennie kilka godzin, obserwując klientów, grając w rzutki albo układając pasjansa, gapiąc się w okno i szkicuując w zeszyte projekty ubrań. Czasami, gdy nie było ruchu, pan Emil, właściciel i barman, wychodził z za swojej lady, siadał naprzeciwko niej i razem grali w pokera. Zdarzało się to jednak rzadko, bo ze względu na położenie blisko dworca Smok na brak gości nie narzekał. Przychodzili tu zapracowani dilerzy narkotyków, podróżni i niedoszłe koleżanki Dominiki, wagarowiczki z technikum odzieżowego, które mogły kupić u Emila papierosy bez konieczności pokazywania dowodu osobistego.

Dominika najbardziej lubiła przyglądać się podróżnym. Byli wśród nich elegancko ubrani mężczyźni z neseserami, byli studenci z wielkimi plecakami, zdarzały się kobiety z dziećmi, były niewielkie reklamówki i wielkie walizki. Dziewczyna zgadywała, co mają w bagażu i dokąd jadą, czy wyjeżdżają na stałe, czy tylko na chwilę, a może opuszczają kogoś na zawsze, tak jak ją opuścił ojciec. Wyobrażała sobie, że i ona ciągnie za sobą walizkę, a potem wsiada do pociągu i odjeżdża. O tych, którzy wchodzili do baru, nie musiała snuć wyobrażeń. Przysłuchiwała się ich rozmowom, obserwowała zachowania i wkrótce знаła człowieka na wylot. Z biegiem czasu nie musiała już nawet słuchać, wystarczył sam widok. Nauczyła się rozpoznawać twarz człowieka, któremu nie poszło w pracy, który zaliczył trudny egzamin, który uwolnił się wreszcie od żony i liczy na „tutejsze atrakcje”, który załatwił firmie ważny kontrakt, który musi czekać na pociąg dwie godziny, który jedzie na pogrzeb i tak dalej. To właśnie wtedy posiadała umiejętności, dzięki którym kilka lat później została mistrzynią uwodzenia. To w Smoku nauczyła się odczytywać osobowość człowieka z jego wyglądu, historię z mimiki i gestów, pragnienia ze strzępów rozmów.

Każdego dnia przez bar przewijało się kilkadziesiąt osób, niektóre pojawiały się regularnie, inne wpadały tylko z jednorazowymi wizytami. W pewnym momencie jeden ze stałych klientów wpadł Dominice w oko. Mężczyzna mógł mieć trzydzieści, czterdzieści, a może więcej lat, w oczach piętnastolatki, jak wszyscy powyżej dwudziestego roku życia, i tak był starym dziadem. Większość dziewczyn w wieku Dominiki nie zwróciłaby na niego uwagi, ale ona nie miała do czynienia z rówieśnikami, więc siłą rzeczy i młodzięcych hormonów zainteresowała się dużo starszym od siebie mężczyzną. Mężczyzna przychodził do Smoka w każdą środę o tej samej godzinie. Siadał przy barze, zamawiał dwa drinki, wypijał jednego, czytał gazetę, a potem działo się to, czego Dominika nie rozumiała. Do baru wchodziła dziewczyna, farbowana blondynka z czarnymi pasemkami, ubrana w minisukienkę w panterkę i białe kozaki. Dziewczyna zajmowała miejsce obok mężczyzny, wypijała przygotowanego dla niej drinka, a potem razem wychodzili.

Dominika próbowała rozmawiać na ten temat z panem Emilem.

– Widział go pan? – pewnego dnia wskazała na drzwi, za którymi zniknął mężczyzna i jego towarzyszka.

– Przede mną siedział, to chyba widziałem, a bo co? Zakochałaś się?

– Ale pan to jest, o nic nie można już zapytać!

– Zakochanie to nie grzech. – Barman się uśmiechnął. – To co z tym gościem?

– Wygląda na bogatego, prawda?

– A bo ja wiem, chyba tak.

– I przystojny jest?

– A co to ja pedał jestem, żeby mówić, czy przystojny, czy jaki, chłop jak chłop! O co ci chodzi, dziewczyno?

– Bo nie rozumiem, po co bogaty i przystojny facet musi za to płacić?

Pan Emil uśmiechnął się tajemniczo.

– A ile ty masz w ogóle lat? – podniósł nagle głos.

– Piętnaście.

– A, to swoje lata masz – stwierdził na wpół ze zdziwieniem, na wpół z uznaniem, po czym dał Dominice znak, żeby się przybliżyła. – Bo widzisz – zaczął, a dziewczyna poczerwieniała z wrażenia, gdyż nikt nigdy nie rozmawiał z nią jeszcze na poważne tematy. – Wiesz, że facet ma fujarę, nie?

– W sensie penisa?

– Jaki tam penis, fujara!

Skinęła głową.

– To z fujarą trzeba się odpowiednio obchodzić, rozumisz?

Zaprzeczyła.

– Baby to tylko najwyżej tego tego... – Emil wsadził palec wskazujący prawej ręki do dziurki, którą utworzył z kciuka i palca wskazującego lewej ręki. Dominika zrozumiała, że chodzi o seks. – A to wcale nie o to chodzi. Czasami trzeba inaczej, rozumisz? Tak żeby pomiętosić fujarę, rozumisz? A w tych naszych kobitach to za grosz fantazji. – Westchnął z żalem. – Tylko ten tego, a miętosić to żadna nie chce. A chłopcy, proszę ja ciebie, lubią baby z fantazją. A już taki, co może mieć każdą, to na pewno szuka czegoś więcej. Apetyt rośnie w miarę jedzenia! A ta łaciata zna się na rzeczy, umie sprawić przyjemność.

W wyobraźni Dominiki prostytutka urosła nagle do rangi superbohaterki. Umiejętność sprawienia mężczyźnie przyjemności czyniła z niej posiadaczkę szczególnej, tajemnej niemal wiedzy, której nie posiadały praworzędne kobiety. Dominika, która nigdy nie zastanawiała się nad życiem prostytutek – ot, widywała je często w okolicy dworca, czasami zwracała uwagę na ich stroje – mimowolnie zaczęła je darzyć szacunkiem. W dodatku jedna z nich spotykała się z najpiękniejszym mężczyzną świata...

Trudno powiedzieć, dlaczego Dominika zainteresowała się właśnie tamtym mężczyzną. Czy chodziło o jej potrzeby, czy o jego wyjątkowość? Możliwe, że przemówiły przez nią hormony i nastoletnia skłonność do zakochiwania się, której ofiarą z braku laku padł właśnie on, a może powodem były jego intensywnie niebieskie, niemal świecące oczy. Bez względu na przyczynę przelotne zainteresowanie przerodziło się wkrótce w prawdziwą obsesję. Dominika myślała o mężczyźnie niemal bez przerwy, jego wyobrażenie towarzyszyło jej w każdej sekundzie dnia i nocy. Bez względu na

to, czy robiła zakupy, sprzątała, oglądała telewizję, czy włączyła się po mieście, niebieskooki mężczyzna był zawsze przy niej. To ze względu na niego zaczęła studiować słownik i postanowiła lepiej się wysławiać, dla niego odstawiła także papierosy. Najbardziej lubiła myśleć o nim przed zaśnięciem. Leżąc w łóżku, snuła miłosne historie z niebieskookim mężczyzną w roli głównej. Przerobiła w myślach dziesiątki scenariuszy ich pierwszego spotkania, ułożyła setki wariantów rozmów, a dla każdego scenariusza zaplanowała zakończenie w postaci namiętnego pocałunku. W jej opowieściach główną rolę odgrywał zawsze cudowny zbieg okoliczności, za sprawą którego on i ona wpadali gdzieś na siebie i odtąd nie mogli już bez siebie żyć. Jeden scenariusz powtarzała w myślach wyjątkowo często.

Jesienne deszczowe popołudnie, strugi deszczu utrudniają kierowcom widoczność, piesi chowają się przed deszczem w kamienicach i witrynach sklepów. Ale ona nie boi się deszczu, kroczy radośnie przez miasto. Jakaś kobieta krzyczy za nią: „przeziębisz się, dziewczyno!”, ale dziewczyna odwraca tylko głowę i posyła kobiecie radosny uśmiech. Kilka metrów dalej zatrzymuje się na światłach. Po chwili zapala się zielony przechodzień, dziewczyna wkracza na jezdnię i wtedy dzieje się coś straszego. „Nieeeee!” – krzyczy kobieta, która chwilę wcześniej ostrzegła dziewczynę przed chorobą. „Jezus Maria!”, „o Boże!”, „niech ktoś wezwie karetkę!”. Z otwartego samochodu dochodzą dźwięki piosenki *Nothing Else Matters*, kierowca pochyla się nad swoją ofiarą, leżącą na drodze pięknoscią. Strugi deszczu skapują mu z twarzy, a może są to łzy. Wstyd mu, bo pierwsze, o czym pomyślał, to uroda dziewczyny. Karetka zabiera dziewczynę do szpitala, on jedzie za nią. Postanowił, że będzie przy niej czuwać i nie opuści jej aż do końca. Tak zaczynała się ulubiona opowieść Dominiki, której nigdy nie zdołała jednak domarzyć do końca. Zasnęła, zanim mężczyzna zdążył powiedzieć, że zakochał się w niej do szaleństwa, i zanim położył dłoń na jej twarzy, żeby następnie zbliżyć ją do swojej i pocałować.

Ale kiedy nastawał świt, Dominika przychodziła po rozum do głowy, a ten podpowiadał jej, że w prawdziwym życiu cudowne spotkania się nie zdarzają, że w prawdziwym życiu trzeba umieć miętosić fujare. Tylko co to znaczy? W potocznym rozumieniu „miętosić” oznaczało ugniatać coś, a nawet uporczywie coś ugniatać, ale co takiego mogłaby ugniatać kobieta, żeby sprawić mężczyźnie przyjemność? Dominika nie miała śmiałości, żeby zapytać pana Emila o szczegóły miętoszenia, poza tym nie chciała wyjść przed barmanem na kompletną dyletantkę. Rozmowa z Madziarską również nie wchodziła w grę. Kobieta i tak nie miała o tych sprawach pojęcia, możliwe też, że sam dźwięk wyrażenia „miętosić fujare” mógłby przyprowadzić ją o zawał serca, co stanowiło dla dziewczyny niemalą pokusę. Dominika postanowiła poszukać odpowiedzi w książkach.

Założyła kartę w Bibliotece Miejskiej i wypożyczyła *Słownik języka polskiego*, którego nigdy zresztą nie oddała. Fioletowe tomiszczce stało się odtąd jej ulubioną książką, w ciągu kilku miesięcy przeczytała ją kilkanaście razy. Zaglądała do słownika codziennie, za każdym razem przyjmując inny wariant czytania – sprawdzała znaczenie słów, które przychodziły jej do głowy, albo puszczała kartki w ruch, a następnie czytała hasła ze strony, na której przypadkowo je zatrzymała. Cieszyła się, gdy trafiała na słowa, których nie знаła, albo takie, które obily się jej o uszy, ale których nie rozumiała. „Spuneryzm”, „imponderabilia”, „tromtadracja” albo „defenestracja” (to szczególnie przypadło jej do gustu) wywoływały w niej dreszcz podniecenia. Czuła się, jakby zyskiwała dostęp do jakiejś magicznej wiedzy, bo nikt poza nią nie znał znaczenia tych słów. Nie mniej magiczne było to, co słownik robił z prostymi słowami. Według słownika „biegać” to poruszać się pospiesznie w różnych kierunkach, a „zupa” to potrawa, najczęściej z wody gotowanej z jarzynami, mięsem, owocami, z kolei „jabłko” oznacza owoc

jabłoni. Dominikę fascynowało to, że słowo nie kończy się na sobie, że można o nim opowiedzieć innymi słowami i że za prostym słowem kryje się czasem cała historia. „Zupa” zawierała opowieść o jej przygotowaniu, wlewaniu wody do garnka, krojeniu warzyw i mięsa, podczas gdy słowo, które na pierwszy rzut oka wydaje się skomplikowane, sprowadzone jest do lakonicznej definicji. Tak było w przypadku „ojca”, który według słownika był tylko mężczyzną mającym własne dziecko. W znaczeniu słowa nie krył się obowiązek kochania swojego dziecka ani zakaz przekazania go pod opiekę starej panny. Według *Słownika języka polskiego* ojciec Dominiki był jej ojcem, takim jak każdy inny, a ona była dzieckiem, które ma rodzica. To była prawdziwa magia.

Niestety, w przypadku miętoszenia słownik okazał się mniej przydatny. „Miętosić – gnieść, ugniatać, ścisnąć w rękach” – brzmiała definicja, z której nic nie wynikało. Nie zmieniało to jednak faktu, że mówiąc o „miętoszeniu fujary”, pan Emil miał na myśli jakąś konkretną czynność. Na czym ona polegała? Kwestia rozwiązała się przypadkowo, kiedy Dominika sprawdziła definicję słowa „seks”, oznaczającego ogół spraw i czynności związanych z zaspokajaniem popędu płciowego (definicja nie wniosła niczego do jej wyobrażeń na ten temat). Pod seksem znajdowało się hasło „seks oralny” i to ono wyjaśniło zagadkę. Pieszczenie narządów płciowych partnera ustami lub językiem – brzmiała definicja. Po przeczytaniu jej Dominika nie miała wątpliwości, że znalazła definicję miętoszenia fujary.

Seks oralny brzmiał poważnie i specjalistycznie. Seks oralny zakładał wzięcie penisa do buzi, a to wyjaśniało, dlaczego tylko wybrane kobiety są do niego zdolne. Dominika nigdy nie widziała żywego penisa. Może dwa razy zdarzyło jej się trafić na męskie przyrodzenie w telewizji, za to doskonale przyjrzała się jego zdjęciom we wszelkiego rodzaju albumach anatomii i medycyny. Kilka dni spędziła w bibliotece na analizowaniu penisa i mówiąc szczerze, nie bardzo jej się ten narząd podobał. W zasadzie wołałaby, żeby mężczyzna był go pozbawiony. Penis przypominał małą glistę leżącą na dwóch bezach, czasami sterczącego tasiemca. Wzięcie do buzi glisty, która w dodatku służy mężczyźnie do sikania, musi być czymś niezwykłym, rodzajem najwyższego poświęcenia, do którego nie każdy jest zdolny. Dominika pomimo odczuwanego obrzydzenia pragnęła być do tego zdolna.

Odtąd wydarzenia potoczyły się szybko, a ich konsekwencje zaważyły na całym dorosłym życiu Dominiki. Skoro wiedziała, o co chodzi, postanowiła działać. W środy zamiast w swojej ulubionej łóż z widokiem na dworzec zaczęła siadać przy stoliku naprzeciwko baru. Kiedy niebieskooki mężczyzna zajmował swoje miejsce, dziewczyna wbijała w niego wzrok, aż mężczyzna zwrócił na nią uwagę. Wtedy z miną niewiniątka odwracała głowę. Spojrzenia przerodziły się wkrótce w świadomą grę. On wpatrywał się w niego, gdy na nią nie patrzył, on próbował złapać jej wzrok na gorącym uczynku. W efekcie dziewczyna zakochała się w mężczyźnie jeszcze bardziej, a wizje, które snuła przed zaśnieciem, zyskały nagle realistyczny wymiar i każda zaczynała się od gry w spojrzenia.

Dominika tak bardzo przywykła do tego rytuału, że pewnego dnia, kiedy mężczyzna zmienił schemat i po prostu do niej podszedł, na chwilę odebrało jej mowę.

– Cześć – powiedział.

Powinna była odpowiedzieć „cześć”, ale serce waliło jej tak mocno, że nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego mi się przyglądasz.

– Ja?

– Tak, ty.

– Wcale się nie przyglądam.

– Czyżby?

– Aha.

– Ile masz lat?

– Siedemnaście.

Tego samego dnia, po tym jak pantera w białych kozakach wyprowadziła mężczyznę z baru, pan Emil przysiadł się do Dominiki.

– Zagramy?

– Możesz rozdać – odparł mężczyzna, ale kiedy karty znalazły się przed nim, złożył je z powrotem do kupy. – Zakochałeś się? – zapytał nieoczekiwanie.

Dominika spojrzała na niego z uwagą i również złożyła karty.

– A jeśli tak, to co?

– Daj sobie z nim spokój, to nie jest człowiek dla ciebie.

– Dlaczego?

– Po prostu nie jest dla ciebie, rozumiesz? – barman podniósł głos.

– Nie, nie rozumiem!

– Masz dać sobie z nim spokój, inaczej zakażę ci tu przyłazić! Koniec z siedzeniem przy stoliku, gapieniem się na niego i koniec z rozmowami. Wracasz pod okno albo nie chcę cię tu więcej widzieć. – Nie patrzył dziewczynie w oczy, nie umiał załatwiać takich spraw.

Ze łzami w oczach wybiegła z baru. Pan Emil, jedyny przyjaciel, jakiego miała, jedyny człowiek, któremu ufała, zniszczył najpiękniejszy dzień jej życia. Dlaczego? Na wspomnienie rozmowy z ukochanym serce Dominiki wznosiło się w górę, aby zaraz na wspomnienie groźby barmana spaść z hukiem na samo dno piekła. Nie rozumiała motywów, które kierowały właścicielem Smoka. „To nie jest człowiek dla ciebie” – słyszała w myślach to zdanie, które można było interpretować na wiele sposobów, ale dla niej oznaczało ono tylko jedno: nie jesteś dla niego wystarczająco dobra. Ale to, że Emil nie akceptował jej wyboru, było niczym wobec groźby, że zakaże jej przychodzić do baru. A ona wiedziała, że groźba nie jest tylko czczym gadaniem stukniętego starca. Znała ten ton w głosie Emila, słyszała go nieraz, gdy wyrzucał z baru bezdomnych. Albo posłucha barmana, albo nigdy więcej nie zobaczy ukochanego. Jakże ciężko było jej na sercu tego dnia i w dniach następnych, aż do momentu, gdy wpadła na pomysł, co powinna zrobić.

Od rozmowy z barmanem Dominika nie pojawiła się w barze przez kolejnych sześć dni, aż do następnej środy. W środę poszła do Smoka, ale nie weszła do środka, tylko kręciła się przed barem, czekając na przyjazd ukochanego. Z kołaczącym sercem, przestraszona i podekscytowana myślała o swoim planie. A jeśli się nie powiedzie? A jeśli niebieskooki nie zareaguje? Nie, tego nie mógł zrobić, był przecież jej ukochanym. I to on zainicjował ich kontakt, on do niej podszedł i zaczął rozmawiać. Musiał być nią zainteresowany, tak samo jak ona nim. A nawet jeśli nie, to ona kochała go tak bardzo, że miała wrażenie, że mocą swojego uczucia jest w stanie pokierować jego krokami.

Przyjechał! Zaparkował samochód i wszedł do baru. Zastanawiała się, jak zareaguje, gdy zauważy jej nieobecność. Czy poczuje ukłucie zawodu, czy zapyta o nią barmana? Odczekała pięć minut i weszła do środka. Siedział tam gdzie zwykle, pan Emil jak zwykle stał za barem. Na widok Dominiki jęknął żałośnie. Dziewczyna przekroczyła próg lokalu i wtedy przestała się denerwować. Stało się, a skoro nie było odwrotu, nie było też sensu się denerwować. Zgodnie ze swoim planem podeszła do baru, na

którym czekał już przeznaczony dla pantery czerwono-niebieski drink. Obaj mężczyźni nie spuszczaali z niej oczu. Piętnastolatka wychyliła drinka, dokładnie tak, jak robiła to pantera, i spojrzała wymownie na mężczyznę, po czym ruszyła z powrotem do wyjścia. Serce znowu zaczęło walić w jej piersi jak oszalałe. To był ten moment, chwila prawdy. Pojdzie za nią czy nie? Cisza. Jeden krok... drugi, trzeci. Dźwięk przesuwanego krzesła, kilka szybkich kroków, a potem czyjś oddech na jej plecach. Dzięki, Boże!

– Mam na imię Dominika – powiedziała, gdy wyszli z baru.

Mężczyzna skinął głową.

Wsiedli do samochodu, który pachniał skórą i luksusem. Ruszyli. Dlaczego nic nie mówi? Może tak jest lepiej, bardziej tajemniczo, pomyślała i sama zrezygnowała z nawiązywania rozmowy. Najważniejsze, że za nią poszedł. Dopiero teraz dotarło do niej, jak bardzo ryzykowne było to, co zrobiła, i jak wiele zależało od tego, jak postąpi mężczyzna. Udało się. Siedziała w samochodzie ukochanego i razem jechali w nieznanym kierunku. Wreszcie się przekona, dokąd zabierał panterę. Patrzyła na jego dłoń na przekładni skrzyni biegów. Była duża, silna, męska i wywoływała w jej żołądku przyjemny ścisk. Droga nie była długa, choć dla niej każda sekunda trwała w nieskończoność, w cudowną i zarazem przerażającą nieskończoność. Mogłaby tak spędzić całe życie, siedząc obok ukochanego. Z drugiej strony chyba wolałaby, żeby jednak coś powiedział. Może wtedy, zajęta rozmową, nie myślałaby o tych wszystkich niepokojących rzeczach, które miały się zaraz wydarzyć. Wkroczyła w miejsce pantery i musiała zrobić to co ona. Była gotowa na wszystko, tylko nie do końca wiedziała na co, i to był problem. Czy powinna najpierw pójść do łazienki? Przemycić usta? Czy pojedą do hotelu?

Skręcili na podziemny parking przy jakimś bloku. Idą do jego mieszkania? Samochód się zatrzymał, mężczyzna zgasił silnik.

– Gdzie jesteśmy?

– Chyba widzisz.

– Tak, ale dokąd pojedziemy?

– Zostaniemy tutaj.

Rozpiął rozpiorek, z którego wysliznęła się czerwonosina glista. Dominika wzdrygnęła się mimowolnie. Dotykał glisty, aż urosły jej niewidzialne nóżki i mogła już stać samodzielnie. Teraz była tasiemcem.

– Tego chciałaś? Przyssać się do mojego kutasa?

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Dominika uśmiechnęła się delikatnie, tak jak wyobrażała to sobie przed snem.

– Odpowiedz! – warknął niespodziewanie.

– Tak – odparła przestraszona.

– Jeśli chcesz się tak zabawiać, to zacznij malować pysk.

Poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

– Co?

– Gówno, wyglądasz jak dziecko.

Po chwili warknął znowu:

– Powiedz to głośno!



– Co?

– Że chcesz mojego kutasa.

Zrobiło jej się niedobrze.

– Chcę...

Nie była w stanie.

– Mów! – Złapał ją za szyję i mocno ścisnął.

– Chcę twojego...

Ścisnął jeszcze mocniej, aż zaczęła się dusić. Przez głowę przeszła jej tylko jedna myśl: a więc tak wygląda śmierć, i wtedy poczuła dziwny spokój.

– ... kutasa – wyjąkała.

Zwolnił uścisk.

– To teraz zapamiętaj, co ci powiem. – Uśmiechnął się. – Jestem mężczyzną i to ja decyduję. A teraz won – powiedział mężczyzna ze snów.

# Kac

Impreza pracowników Fightera zakończyła się nad ranem i była tak udana, jak nieudane było samopoczucie jej uczestników dnia następnego. Dlatego kiedy około dziewiątej rano Janek odczytał wysłaną przez Dominikę wiadomość, żeby przyjechał po nią do Kalwarii, zawył z rozpacz. Podróż na kacu nie stanowiła przyjemnej perspektywy, ale i tak była niczym w porównaniu z koniecznością spotkania się z przyjaciółką po tym, co jej wyznał. Nie mając jednak innego wyjścia, wsiadł do nissana i z pękającą głową ruszył do domku w lesie. Weźmiemy ślub, noż kurwa mać! Jeśli tak wygląda niezobowiązujące zaproszenie na randkę, to ciekawe, jak wygląda zobowiązujące? Idziesz ze mną, suko, albo strzelę ci w łeb? I to zasrane „kocham cię”. Potrzebne to było jak chuj dupie.

Janek Blak miał czterdzieści dwa lata w papierach i osiem w okazywaniu uczuć. Był zakochany trzy razy w życiu i nigdy nie zdobył się na to, żeby wyznać dziewczynie swoje uczucia. Ale za każdym razem, kiedy robił to w marzeniach, wyrastały mu skrzydła i wznosił się do nieba. Tego poranka przekonał się, jak bardzo rozczarowująca potrafi być rzeczywistość. Dzięki alkoholowi pokonał przekleństwo nieśmiałości i czuł się z tego powodu gorzej niż kiedykolwiek. To nie było niebo, to było smoliste bajoro wstydu. I jak na złość pamiętał każde swoje słowo. Będąc już w drodze do Kalwarii, odkrył jednak coś dziwnego. Zamiast czuć coraz większy wstyd, z każdym kilometrem odczuwał coraz większą ekscytację.

Zajeżdżał pod domek. Dominika czekała na werandzie z telefonem w ręku i butelką wina między nogami. Wyglądała jakoś dziwnie zawadiacko, być może przez włosy, które związała na czubku głowy, jak za czasów, kiedy wspólnie trenowali, a może przez butelkę, którą wzięła ze sobą do samochodu.

– Hi – powiedziała, nie spojrzawszy nawet na przyjaciela, który wziął to za przejaw skrępowania po tym, co między nimi zaszło, i znowu zaczął się denerwować.

– Iść po nagranie? – zapytał, rozpinając pas.

– Już wzięłam, jedź.

Jechali w milczeniu, aż głos Janka przerwał ciszę.

– Byłem wczoraj pijany.

– Możesz się zamknąć?

Dominika wychyliła spory łyk wina. Do Blaka dotarło nagle, że jest wstawiona. Czuł od niej woń alkoholu i, co wydawało się wręcz nierealne, kwaśny zapach potu.

– Co cię ugryzło?

Spojrzał na nią i przestraszył się, że jest na niego obrażona, bo wyznał jej miłość po pijaku. Zaprzagnął się wytłumaczyć.

– Jeśli chodzi o to, co powiedziałem wczoraj – zaczął niepewnie – to jak by to powiedzieć...

– Gównu mnie obchodzi, co powiedziałeś.

Nie miała ochoty na uczucia Janka Blaka, ani teraz, ani wcześniej, ani nigdy.

– Po prostu jedź i się nie odzywaj.

Przelknął ślinę i pojął, o co chodzi.

– Co, nie udało się?  
– Nie twoja sprawa.  
– Chyba jednak moja, skoro dostaję kasę za to... – Urwał w pół słowa.  
– Tym razem nic nie dostaniesz i to nie dlatego, że nie dałam dupy. – Wyczuła, co chciał powiedzieć. – Żona Machowskiego wycofała zlecenie.

– Co?!

– To, co słyszałeś.

– Kiedy?

– Wczoraj.

– Wczoraj? – zdziwił się. – To dlaczego tam zostałeś?

– Wczoraj rano.

– Co, wczoraj rano?

– Wycofała się wczoraj rano.

Janek zamyslił się.

– Jak to: wczoraj rano?! To po co...

– Nie mam ochoty z tobą rozmawiać.

– ... wzięłaś mój samochód! – Dotarło do niego, że został wykorzystany.

– Histeryzujesz. I tak byś mnie go dał.

– Chuja bym cię dał.

– Jaki ty jesteś naiwny – rzuciła zmęczonym, protekcyjnym tonem. – Naprawdę nie mam racji? Naprawdę nie zrobiłbyś dla mnie wszystkiego? Czy nie powiedziałaś, że mnie kochasz?

– Byłem pijany.

– Kogo ty, Jasiu, próbujesz oszukać?

Od tego „Jasia” ścisnęło go w żołądku.

– Tak bardzo gardzisz mną czy miłością, o której nie masz pojęcia?

– Czy zadałeś sobie pytanie, co jesteś mnie w stanie zaoferować? – W oczach Dominiki zapłonął ogień. Mały, biedny, żaloszny czterdziestoletni idiota, który czeka na miłość swojego życia. Czas otworzyć idiotcie oczy. – Czy chociaż przez sekundę pomyślałeś o moich potrzebach? O tym, kim jestem, jaka jestem i do czego jestem przyzwyczajona?

– Lepiej się nie odzywaj, jesteś nawalona.

– Pomyśl logicznie – brnęła dalej – nie stać cię na mnie, nigdy nie będzie cię na mnie stać. Moja torebka jest więcej warta od twojego samochodu, moje okulary są więcej warte.

– Taka jesteś płytka? Liczy się tylko kasa?

– Skąd to zdziwienie, kochanie? Czy ja kiedykolwiek ukrywałam, że poniżej pewnego poziomu nie schodzę? I nie mówię tylko o pieniądzach.

– Tak, wiem! – krzyknął, czując napływającą rozpacz.

Wiedział, co miała na myśli, zawsze podejrzewał, że nie jest dla niej wystarczająco dobry. W tym wypadku rzeczywiście nie chodziło o pieniądze, bo tych miał przecież pod dostatkiem, czego ona nie potrafiła nawet dostrzec, ponieważ nie wyglądał na milionera. I prawdą było, że gdyby chciał to zmienić, nie wiedziałby jak. Nie wszystko, co drogie, jest luksusowe, a on nie miał wycucia, które

pozwalaloby te dwie rzeczy rozróżnić. Janek Blak nie był luksusowy, tak jak luksusowy nie jest Donald Trump, a taki człowiek, choćby nie wiadomo jak był bogaty, zawsze będzie dla kogoś obciachem.

– Problem polega na tym – powiedział po chwili – że z wiekiem trudno będzie ci ten wysoki poziom utrzymać. Starość nie jest elegancka, jeśli stoją za nią tylko pieniądze. Co zrobisz, kiedy nikt nie będzie chciał już na ciebie patrzeć?

– A ty myślisz, że miłość jest lekarstwem na wszystko? Że na starość będziemy trzymać się za ręce, siedząc w ogródku? Ja tego nie potrzebuję i ciebie też nie chcę. I radzę ci zmienić priorytety. Sam widzisz, do czego cię ta twoja miłość doprowadziła. Od kilkunastu lat kochasz kogoś, komu zależy jedynie na pieniądzach. Czekasz, aż łaskawie zwrócę na ciebie uwagę, i służysz mnie jak niewolnik, zawsze gotowy do pomocy, zawsze na rozkaz. Tyle ci przyszło z tej wspaniałej, szlachetnej miłości, głupi Jasiu.

To były ostatnie słowa, jakie padły między tymi dwójkiem na długi czas, i – wbrew pozorom – stanowiły one przejaw największej troski, jaką Dominika Werner kiedykolwiek okazała drugiemu człowiekowi.

# Koniec lata

Po tym jak Dominika wybiegła z chatki, Robert zastanawiał się, co powinien zrobić. W pierwszym odruchu chciał za nią pobiec, ale szybko dał sobie spokój. Zrozumiał, że w takich sytuacjach lepiej odpuścić. Najchętniej wezwałby taksówkę i po prostu odjechał, ale również to rozwiązanie nie wchodziło w grę. Nie mógł przecież zostawić dziewczyny samej w lesie. Ostatecznie postanowił, że zamiast czekać na znajomego wulkanizatora, zorganizuje naprawę samochodu. Zadzwonił pod numer alarmowy ubezpieczyciela, który wysłał do niego natychmiastową pomoc. Dwie godziny później samochód nadawał się już do jazdy, ale ku przerażeniu Roberta Dominika wciąż jeszcze nie wróciła. Dopiero o szóstej rano dostał esemesa podpisanego jej imieniem: „Wróciłam do Krakowa”. Skasował wiadomość i sam udał się w drogę powrotną do miasta.

Czuł się paskudnie. Równie dobrze mógł się z nią przespać, przynajmniej coś by z tego miał. Tylko mężczyzna potrafi zachować się jak bohater (bo odrzucenie zalotów Dominiki Werner należy uznać za czyn bohaterski), a potem żałować tego jak ostatnia łajza. Na szczęście w przypadku Roberta nie chodziło o żal z powodu niewykorzystanej okazji (choć dręczyło go poczucie, że wyszedł przed dziewczyną na frajera). Robert żałował, że w ogóle do niej doprowadził. Przez swoją głupotę skrzywdził Dominikę, zniszczył dobrze się zapowiadającą znajomość i w dodatku okłamał żonę. Co prawda kłamstwo to nie to samo co zdrada, ale tak czy inaczej nie czuł się z tym najlepiej. Ania potrzebowała go teraz bardziej niż kiedykolwiek, a on tak po prostu spędził noc poza domem. Wczoraj nie przyszło mu to jakoś do głowy, wczoraj wydawało mu się, że postępuje właściwie.

Kiedy wrócił do domu, Ania jeszcze spała. Leżała w salonie, wokół sofy wały się puste opakowania po lodach – obraz prawdziwej węglowodanowej libacji, jakich dopuszczają się zapewne trzydziestoletnie modelki na emeryturze.

– Miałaś tu niezłą imprezę – powiedział, przykucając przed śpiącą twarzą żony.

– Wróciłeś... – wymamrotała na wpół przytomna.

– Przepraszam, że tak wyszło. – Poglaskał ją czule po włosach.

– Daj spokój, przecież to nie twoja wina. – Ania przymknęła powieki, żeby Robert nie dostrzegł w nich łez, które napłynęły jej do oczu wraz z odzyskaną świadomością, że została zdradzona. Pomimo żalu, jaki czuła do Roberta o to, że nie wrócił do domu, chciała o niego walczyć. Jedna noc nie oznacza przecież całego życia, a jeden seks nie czyni romansu. Nawet jeśli wielkie cycory pokonały ją w bitwie, to nie mogły wygrać wojny, bo w wojnie o Roberta cycki to za mało. Dlatego postanowiła, że wyстрои się wedle wskazówek Zuzy i pójdzie na bal, tak jak zaplanowała, a jeśli trzeba będzie, zmierzy się z uwodzicielką. Musi tylko przełknąć jego kłamstwo. Zebrała w sobie wystarczająco siły, żeby spojrzeć na męża bez urazy, i otworzyła oczy.

– O nie! – wykrzyknęła na widok opakowań po lodach. – Nie zmieszczę się do sukienki!

– Do sukienki?

– Dzisiaj jest bal, zapomniałeś?

– No tak.

Robert wyobraził sobie Anię w jednej z jej fantastycznych sukien w kolorze prezerwatywy, do których wkładała czarne rajstopy, przez co wyglądała jak gumka na czarnym penisie, i pomyślał o spódniczce Dominiki.

– Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia!

Ania poderwała się z sofy, pocałowała Roberta w policzek i pobiegła na górę wziąć prysznic. Kilkanaście minut później wyszła z domu. Robert, zmęczony po przygodach ostatniej nocy, natychmiast zasnął.

Poprzedniego dnia Zuzanna zaplanowała dla Ani pielgrzymkę po świątyniach urody, będącą ostatnim etapem przygotowań do balu. Okazało się, że wizyty u kosmetyczki, fryzjerki, makijażystki i wizażystki podziały zabiwiennie nie tylko na wygląd Ani, ale również na jej psychikę. Pomimo postanowienia, że nie będzie myśleć o nocnych poczynaniach Roberta, odkąd wyszła z domu, na niczym innym nie mogła się skupić. Coraz to bardziej wynaturzone i przerażające wizje przychodziły jej do głowy, począwszy od prymitywnych obrazków kopulującej pary, a skończywszy na demonicznych wizjach nagiego Roberta z głową pomiędzy węzowymi udami kobiety gada. Każda myśl o zdradzie sprawiała jej ból, który rozrywał serce. Na szczęście ból fizyczny potrafił uśmierzyć każdą psychiczną dolegliwość. Podczas pierwszego w swoim życiu zabiegu depilacji woskiem Ania straciła wszelkie zdolności umysłowe (poza generowaniem gróźb pod adresem Zuzy) i wraz z włosami z ciała z jej głowy zniknęły także bolesne myśli. Pozostałe wizyty okazały się mniej drastyczne, za to bardziej absorbujące i Ania całkowicie dała się pochłonąć odwiecznym dylematom urody – jak krótko przyciąć włosy, na jaki kolor pomalować paznokcie i czy kosmetyczkom zostawia się napiwki?

Zakończywszy pielgrzymkę, pojechała na Grzegórzecką.

– O kurwa! – tymi słowami Zuzanna zareagowała na nowy wygląd siostry. Kilka minut krążyła wokół Ani, zachwycając się metamorfozą.

– Chyba powinnam się obrazić!

– Dlaczego?

– Bo im bardziej się zachwycasz, tym bardziej czuję, jak źle musiałam wyglądać wcześniej.

– Zawsze ci to powtarzałam.

– Jeśli będę chciała, żebyś była ze mną szczerą, to cię o tym uprzedzę.

Ale Ania rozumiała już, że Zuza miała rację. Kobieta, na którą patrzyła w lustrze, wciąż była Anną Prus, tyle tylko że w zafarbowanych i ułożonych włosach, w makijażu i w czerwonej sukience nie wyglądała jak bezdomna czarownica. Wyglądała ładnie, tak ładnie, że patrzenie na siebie sprawiało jej przyjemność. Zawsze uważała, że przesadne dbanie o siebie jest wyrazem próżności, ale teraz zaczynała do niej docierać, że nie mniej próżna była jej postawa – całkowite lekceważenie wyglądu. Bo czy swoją prezencją nie wysyłała światu komunikatu, że prowadzi zbyt głębokie życie wewnętrzne, żeby stosować maskarę?

– Napisz do Roberta, że spotkacie się na miejscu – zaproponowała Zuza, kiedy Ania włożyła sukienkę i buty.

– Co?

– Jeszcze nigdy nie widział cię w takim stroju... Będzie fajnie, jak weźmiesz go z zaskoczenia.

– Ale po co?

Zbyt bogate życie wewnętrzne pozwalało Ani zrozumieć idei kryjącej się za pomysłem Zuzy.

– To takie romantyczne.

– Czy ty wiesz, że zbiórka z tegorocznego balu będzie przekazana na walkę z rakiem odwytu?

– Co z tego, bal to bal. – Zuza wzruszyła ramionami. – Proszę, zrób to dla mnie, i tak nic cię to nie kosztuje. Co za różnica, czy wejdziecie tam razem, czy osobno?

– Poza tym, że bez Roberta na pewno się w tym zabiję – Ania uniosła stopę, pokazując siedmiocentymetrowy obcas.

– Siedem centymetrów? Proszę cię, żadna kobieta nie jest w stanie tego poczuć.

– I tak nie mogę spełnić twojej prośby, bo nie mam osobnej wejściówki.

– To jest akurat najmniejszy problem. – Zuza wybiegła z pokoju i wróciła z zaproszeniem, które wręczyła siostrze. – Ja przecież nie idę.

Ania westchnęła głośno, a potem napisała do Roberta, żeby spotkali się na miejscu.

Bal charytatywny Koniec Lata odbywał się rokrocznie na dziedzińcu Zamku Królewskiego na Wawelu. Była to jedyna impreza tego typu w otoczeniu zamkowych murów, z czym zapewne wiązał się jej prestiż, przyciągający na bal największe nazwiska w mieście. Ania poczuła jej rangę dopiero, kiedy w kolumnie luksusowych samochodów wjeżdżała traktem pod zamek. Nagle obleciał ją strach. Miała ochotę napisać do Roberta, że zmieniła zdanie i jednak nie przyjdzie, i gdyby tylko mogła zawrócić jakoś samochód, na pewno by to zrobiła. Sznur samochodów zapchał ją jednak na samą górę. Zaparkowała na wskazanym miejscu, odpięła pas i zastygła w bezruchu. Obserwowała gości, którzy wychodzili z samochodów i szli w stronę dziedzińca. Mężczyźni ubrani byli w smokingi, kobiety w suknie wieczorowe, wśród których dominowały zwiewne tiule w pastelowych barwach. Na myśl, że gdyby nie pomoc Zuzy, włożyłaby na siebie zieloną garsonkę, zrobiło jej się słabo. Natychmiast sięgnęła do torebki po atomizer z „sekretem damy”, który siostra wręczyła jej przed wyjściem, i skropiła nim obficie nadgarstki.

Przyszedł esemes od Tomka. Tym razem do tekstu dołączone było zdjęcie zagipsowanej nogi. „Jestem załamany. Straciłem narzędzie pracy. Musimy porozmawiać”. Tomasz Kantereit był merkantylny i był chujem, ale teraz ten merkantylny chuj znalazł się w dupie i Ani mimo wszystko zrobiło się go żal. Odpisała, że zadzwoni do niego jutro.

Robert musiał być już w środku, bo samochody przestały nadjeżdżać i chłopak z obsługi, który wcześniej wskazał jej miejsce do zaparkowania, zamknął wjazd na parking czerwonym sznurem. Czy jest tu także uwodzicielka? Wspomnienie kobiety wystarczyło, żeby w sercu malarki ponownie otworzyła się otchłań. Powtarzała sobie, że Robert miał prawo ją zdradzić, bo ona zdradziła jego, ale niewiele to zmieniało. Poprzedniej nocy jej mąż wybrał inną kobietę i świadomość tego sprawiała jej potworny ból, bez względu na wszystko. Teraz była już pewna, że nigdy w życiu nie przyzna się przed nim do zdrady, nigdy nie zafunduje mu podobnego uczucia. I można by przypisać tej decyzji jakieś szlachetne intencje, gdyby nie to, że Ania zaczynała wątpić w istnienie miłości, która potrafi wybaczyć zdradę.

Próbując się uspokoić, zapaliła papierosa. Przyjechała tu przecież, żeby walczyć o przyszłość, a nie babrać się w przeszłości. Płonęła chęcią pokazania się Robertowi i podbicia na nowo jego serca, które, o czym nie wiedziała, nigdy nie przestało do niej należeć. To właśnie myśl o tym, że można zacząć od początku, dodała jej sił. Zgniotła papierosa, zsunęła japonki, które siostra pożyczyła jej do jazdy, i włożyła szpilki. Chwiejnym krokiem ruszyła w stronę bramy, w której zniknęły wcześniej wychodzące z samochodów pary.

„Sekret damy” nie działał. Ania czuła się tak niepewnie, jak niepewnie poruszała się na obcasach. Zauważyła, że dwóch mężczyzn zawiesiło na niej wzrok, przez co niemal straciła równowagę. Z każdym krokiem wypełniało ją coraz większe zniechęcenie i miała ochotę się rozplakać. Czy chodziło o to, że nie lubiła tego typu imprez? Bo przecież nie mogło chodzić o wygląd! Wyglądała ładnie, wiedziała, że tak wygląda, choć w porównaniu z kobietami w pastelowych tiulach, które skojarzyły jej się z bohaterkami malarstwa impresjonistycznego, w czerwonej sukience prezentowała się krzykliwie jak puszka zupy Campbell's. Tak, była czerwoną puszką Warhola na wystawie klasyków impresjonizmu. Ta myśl przyniosła jej niespodziewaną ulgę. I nagle w jej głowie coś zaskoczyło. Potruchtała z powrotem do samochodu, zdjęła siedmiocentymetrowe obcasy, które wrzuciła do bagażnika, i włożyła z powrotem japonki. „Sekret damy” zaczął wreszcie działać.

Kiedy doszła na dziedziniec zamku, z wrażenia zaparło jej w piersiach dech. Plac został przemieniony w potężną salę bankietową z okrągłymi stolikami dla gości i podestem dla kwartetu jazzowego, który grał jakąś nastrojową melodię. Największe wrażenie robiły jednak umieszczone we wnętrzach krużganków pochodnie. Wawel, który według Ani przypominał ekskluzywny kurnik, w tym wydaniu prezentował się bajkowo. Zapuściła się w tłum, próbując odnaleźć Roberta. Część gości krążyła pomiędzy stolikami i wokół dziedzińca, gdzie ustawione były wysokie stoliki barowe. Panował typowy przedbankietowy harmider. Najbliższy stół opatrzone był numerem dwudziestym, ona szukała trójki.

– Czy my się przypadkiem skądś nie znamy? – zaczepił ją jakiś mężczyzna.

– Mam nadzieję, że nie – rzuciła w odpowiedzi, nawet się nie zatrzymując.

Stolik numer trzy znajdował się bliżej zespołu i siedzieli przy nim cztery osoby, Roberta tam nie było. Postanowiła, że poszuka męża w okolicach baru.

Miała dobrą intuicję, bo kilkanaście minut wcześniej prezes fundacji organizującej przyjęcie wyciągnął Machowskiego na drinka. Panowie udali się do baru, a potem ze szklaneczkami w dłoniach stanęli w krużganku przy jednym z wysokich stolików. Tego wieczoru prezes był jednak rozchwytywany i szybko zostawił Machowskiego. Robert spojrział na telefon, żeby sprawdzić godzinę. Dochodziła dwudziesta druga, a Ania nie dała jeszcze znaku życia i zaczynał się obawiać, że nie przyjdzie. Kiedyś robiła już podobne numery, zarzekała się, że gdzieś z nim pójdzie, i w ostatnim momencie zmieniała zdanie. Z czasem stało się jasne, że w kwestii oficjalnych imprez nie ma co liczyć na jej towarzystwo, o co zresztą nie miał do niej pretensji. Jednym z sekretów ich małżeństwa było to, że niczego od siebie nie wymagali, a już na pewno nie tego, na co sami nie mieli ochoty. Wystukał esemesa z pytaniem: „gdzie jesteś?”. Schował telefon i wtedy zobaczył dziewczynę w czerwonej sukience.

Należała do zjawisk, które włączają w mężczyźnie funkcję automatycznego skanowania. Chcąc nie chcąc, przeleciał ją wzrokiem z góry do dołu. Dziewczyna miała na nogach japonki! Piękna twarz, niesamowita figura, seksowna sukienka i japonki, które były tak dziwne i nie na miejscu, że aż urocze. Musiała mieć niezły charakter, że odważyła się wystąpić na balu w takich butach. Nie mogąc oprzeć się pokusie, zerknął na nią ponownie. Ich spojrzenia się spotkały i w tej samej chwili Robert zdał sobie sprawę z własnej kompromitacji. Jego twarz zmieniła kolor na czerwony, czego w świetle pochodni nie było na szczęście widać.

Ania pocałowała męża w policzek.

– Cześć.



– Pięknie wyglądasz.

– Wiem – odparła na wpół żartobliwie, chcąc przełamać sztywną atmosferę, jaka niespodziewanie między nimi wyrosła. Czy to możliwe, że jej nie poznał?

Muzyka umilkła i konferansjer poprosił gości, żeby zajęli miejsca przy stolikach. Mikrofon przejął następnie prezes fundacji, który powitał wszystkich na balu i zaprosił na uroczystą kolację. Przez cały czas trwania posiłku Robert nie spuszczał z Ani wzroku. Nie mógł uwierzyć, że kobieta w czerwonej sukience jest jego żoną, tak spektakularna była jej przemiana. Po kolacji poszli na parkiet i dopiero w tańcu, pod wpływem fizycznej bliskości, to dziwne wrażenie obcości zniknęło, pozostawiając jednak po sobie silne pożądanie.

– Wyjdźmy stąd – zaproponował Robert podczas tańca.

– Możemy?

– Możemy wszystko. Pieniądze już dawno przeleżałem, jeśli o to ci chodzi.

– Gdzie chcesz iść?

– Dobrze wiesz.

Przesunął dłonią wzdłuż jej kręgosłupa. Poczwała dreszcz i przyłgnęła do jego ciała jeszcze mocniej, aż stało się to dla niego nie do wytrzymania.

– Chodź – powtórzył.

– Dlaczego?

– Wiesz dlaczego.

– Chcę to usłyszeć.

– Chcę cię przelecieć – wyszeptał jej do ucha.

## Orgazm z innego powodu

Robert był kochankiem dziwnym, połączeniem nawyków starej szkoły kochanków polskich („nocnych misjonarzy”, jak nazywała ich Dominika) z nowoczesną dbałością o potrzeby kobiet. W ciągu dnia nie myślał o seksie i – jak przystało na polskiego męża – czekał z tym do wieczora, kiedy oboje z Anią byli już w łóżku. Można wręcz powiedzieć, że to łóżko uruchamiało w nim potrzeby i nastroje seksualne, bo poza nim nigdy niczego nie inicjował. Zabierając się do rzeczy, zawsze pamiętał o całowaniu i elementarnej grze wstępnej, wyprzedzając tym znacznie dorobek polsko-chołopskiej myśli seksualnej. Był czuły, delikatny, prawil komplementy, a po wszystkim pytał Anię, czy jest zadowolona. Jeśli nie była, był skłonny w ten czy inny sposób zapewnić jej pełnię satysfakcji. Z fizycznego punktu widzenia Ania nie mogła narzekać, miała to, o czym wiele kobiet czytało jedynie w czasopismach – i nie narzekała. Satysfakcjonujące życie seksualne nie tłumii jednak wyobraźni, a ta zrodziła pewne fantazje. Będąc w tych sprawach dosyć nieśmiała, Ania pragnęła dzikiego seksu bez zahamowań. Chciała, żeby Robert złamał schemat i po prostu się na nią rzucił bez względu na czas i miejsce. Pragnęła kochać się na stole, na pralce, na podłodze, na schodach, w wannie, na lampie, na kanapie, pod kanapą, przed dwudziestą, po dwudziestej, o każdej porze dnia i nocą w świetle lamp. Chciała go spoconego, brudnego, egoistycznego i kipiącego pożądaniem. Chciała, żeby zwariował na jej punkcie, żeby stracił przy niej hamulce. Tego wieczoru dostała wszystko.

Sexs związkowy wpłątany jest w cały szereg skomplikowanych relacji uczuciowo-psychologicznych i zazwyczaj chodzi w nim o coś więcej niż tylko zaspokojenie pożądania. Seks związkowy służy potwierdzeniu bliskości, czasami za jego pomocą przegania się demony zazdrości, używa się go zamiast wagi albo jako substytut aktywności fizycznej, czasami jest kartą przetargową w negocjacjach, a najczęściej – jedynym sposobem na posiadanie potomstwa. Kiedy jednak z jakiegoś powodu między małżonkami powraca pożądanie, wtedy mieszanina żądy, więzi, zaufania i doświadczenia stwarza najprzyjemniejsze, najbardziej seksualne i zmysłowe przeżycie, jakie może być dostępne dwojgu ludziom. Kiedy przekroczyli próg domu, Robert rzucił się na Anię, zdarł z niej sukienkę i spełnił jej fantazję. Po wszystkim padli tam, gdzie stali, to znaczy na podłogę w korytarzu.

– Tak sobie pomyślałam, że powinniśmy gdzieś wyjechać.

– Gdzie?

– Gdzieś daleko, może do Ameryki... – Ania próbowała nadać swoim słowom marzycielską lekkość, jakby pomysł pojawił się spontanicznie, ale prawda była taka, że już wczoraj postanowiła wywieźć Roberta z kraju. Jeśli między nim a uwodzicielką coś się działo, odseparowanie ich było najlepszym sposobem, żeby to powstrzymać. – Wynajęty samochód, przypadkowe motele, highway 66. Będę malować portrety napotkanym ludziom. Zrobimy coś w rodzaju malarskiego dziennika podróży – zapaliła się. – Co ty na to?

Robert spojrzął na nią zafascynowany. To znowu była ona, dawna Ania, pełna energii, radosna, piękniejsza niż kiedykolwiek.

– Świetny pomysł.

– Naprawdę? Wow! – podskoczyła z wrażenia. – Jutro wszystko załatwię i możemy jechać już w poniedziałek.

– Skąd ten pośpiech? – Robert się roześmiał. – Przecież wiesz, że nie mogę teraz wyjechać. Mam na głowie konkurs, muszę wybrać zwycięski projekt, a potem rozdanie nagród.

– To pojedźmy gdzieś bliżej – zaproponowała, nie tracąc entuzjazmu. – Zdążymy wrócić na galę.

– Zapomniałaś, że najpierw ktoś musi ten konkurs wygrać.

– Jeśli jutro wybierzesz projekt, będzie po sprawie.

– Nie pamiętasz, co było w zeszłym roku? Klóciliśmy się o zwycięzcę przez dwa tygodnie.

– Ale teraz jesteś sam. Możesz wybrać pierwszy projekt, który wpadnie ci w oko.

Robert pokręcił nosem. Tak, wiedziała, że on tak nie potrafi.

– Dobrze, to zaakceptuj projekt, który rekomendują dziewczyny. – Ania miała na myśli pracownice Art. A oddelegowane do pracy przy konkursie.

– Ech – westchnął Robert. – Gdybyś to była ty, nie wahałbym się ani sekundy, a tak...

– Naprawdę? Bo ja mam swojego kandydata.

– Czytałaś zgłoszenia?

– Tak – skłamała. – I uważam, że najlepszy jest pomysł na klub fitness Tomasza Kantereita.

To było rozwiązanie, które załatwiało wszystkie problemy, i z chwilą, w której Ania to zrozumiała, nie zawahała się po nie sięgnąć. Tomek dostanie to, czego chciał, i zniknie z jej życia na zawsze, a Robert będzie mógł wyjechać na wakacje.

Robert nie był jednak przekonany. Wolał mieć pewność, że poświęcił wszystkim projektom tyle samo uwagi.

– Proszę, zasłużyliśmy na wakacje. Ja wiem, że to szalone, ale naprawdę tego potrzebujemy. Teraz, właśnie teraz.

Robert spojrział na Anię i poczuł, że nie może jej zawieść. Poza tym był jej coś winien za to, że inna kobieta zdołała go zafascynować.

– Dobrze, jeśli bardzo ci na tym zależy, to zgoda.

Ania rzuciła się mężowi na szyję.

– Jutro załatwię nam wycieczkę! – powiedziała na głos, postanawiając jednocześnie, że jutro z samego rana przekaże trenerowi dwie dobre informacje: że załatwiła mu wygraną w konkursie i że z nim zrywa.

# Wibrująca dłoń

Gdyby Dominika odrzuciła go dwadzieścia lat temu, w czasach, gdy dni i noce spędzał na myśleniu o niej, chyba strzeliłby sobie w łeb. Dzięki Bogu, nie był już gówniarzem i zdążył zrozumieć, że mało jest w życiu ludzi i rzeczy, bez których naprawdę nie można się obejść. W przypadku Dominiki miał na to konkretny dowód – już raz ją stracił. I chociaż w związku z tym splamił swój męski honor kilkoma spisanymi drżącą ręką wierszami, przekonał się, że życie bez niej jest możliwe. A jeżeli było możliwe wtedy, to będzie możliwe i teraz.

Dlatego tamtego dnia Janek nie wpadł w rozpacz i nie próbował się zabić, choć oczywiście po tym, co usłyszał, nie było mu wesoło. Gdyby nie miał kaca, wypociłby smutek na siłowni, ale w takiej sytuacji pozostawał mu tylko *Krwawy sport* i browar. Ten zestaw – Van Damme oraz piwo – towarzyszył mu zawsze, kiedy montował materiał po tym, jak Dominika doprowadziła sprawę do końca. W tle leciał *Krwawy sport* na wideo (Janek był fanem starej technologii), a on siedział na kanapie z laptopem na kolanach. Najpierw sprawdzał jakość nagranych materiałów, potem ciął dłuższy. Przeciągająca się rozmowa – cut, przeciągający się pocałunek – cut, przeciągający się striptiz – cut, przeciągająca się gra wstępna – cut, przeciągające się pożegnania – cut, całość nie przekraczała ostatecznie pięciu minut, średniej długości sceny porno. Po wszystkich był bardziej wyczerpany niż Frank Dux po walce z Chong Li.

Magnetowid przewinął taśmę do początku i rozpoczął odtwarzanie filmu. Na ekranie telewizora pojawił się zrolowany, nienadający się do oglądania obraz. Janek przeklął i zwałił się z kanapy. Podszedł do odtwarzacza, wypuścił z niego kasetę, a w jej miejsce włożył specjalną taśmę czyszczącą. Po chwili włączył film. Obraz poszerzył się do wielkości całego ekranu, ale wciąż niemiłosiernie się trząsał. Janek wrócił na kanapę, zgasił pilotem telewizor i otworzył laptopa, a potem zrobił coś, czego nie robił nigdy wcześniej. Kliknął dwukrotnie na znajdujący się na pulpicie folder zatytułowany D. W środku znajdowało się sześć plików wideo. Włączył ostatni.

Nagi mężczyzna siedział w fotelu, obrócona tyłem do kamery kobieta wykonywała przed nim striptiz. Kolejne części garderoby spadały na twarz mężczyzny, który dostał w końcu erekcji. Janek zsunął spodnie. Kobieta wsiadła na faceta i zaczęła go ujeżdżać, wydając z siebie przeciągłe mruczenie. Coraz szybciej i szybciej, i szybciej. Jej włosy, niczym kapelusz meduzy, wznosiły się i opadały. „Liczysz się tylko ty, Edytko, tylko ty” – jęczał Andrzej Wieczorek, aż skończył. Janek Blak skończył chwilę później. Począł, aż kobieta odwróciła się do kamery, a potem nacisnął stop i spuścił się na jej wstrętną gębę.

# Najwyższy wymiar kary

Był dorosłym mężczyzną, ale mieszkał w dziecinnym pokoju z kolorowymi ścianami. Zielona miała go uspokajać, żółta pomagać w budowaniu pewności siebie, czerwona rozpałać ambicję i wolę walki, a na białej mógł malować – tak zaplanował psycholog rozwoju, z którym konsultowano się przed remontem. Miał wtedy osiem lat i zdaniem psychologa był apatyczny, zamknięty w sobie i zanadto przywiązany do matki. Nic, czego nie dałoby się naprawić terapią kolorów.

Teraz, jako dorosły człowiek, otwarcie demonstrował swoje potrzeby, potrafił walczyć o swoje, a nawet przejawiał artystyczne zapędy, planował zostać reżyserem filmowym. Kolorowe ściany spełniły swoją funkcję. Dzisiejszego wieczoru, wpatrując się w czerwoną ścianę, czuł rozpalającą energię i wolę walki. Zastanawiał się, jak dopierdolić jebanej suce, która odebrała mu marzenia. Jeszcze do niedawna był pewien, że pod koniec września wyjedzie na kurs do Nowego Jorku. Nowojorska Akademia Filmowa czekała na jego talent. Wszystko było już dawno przygotowane, żył tym od ponad roku. Kurs, zakwaterowanie, wiza.

Dzisiaj oznajmili mu, że nie pojedzie. Tak po prostu. Nie pojedzie, nie spełni swoich marzeń, nie dostanie Oscara. A jeśli pragnie pojechać w przyszłości, musi zrobić to, co mu każą. I nawet ona była przeciwko niemu. Ta, dla której poświęcił tyle czasu, w imieniu której walczył, dla której się narażał i ryzykował. Ta, przez którą, będąc dzieckiem, przeszedł szykany i został wyrzutkiem, a dla której byłby gotowy skoczyć w ogień. Dostyć tego! Teraz nie chodziło już o nią, ale o niego, zemści się w swoim własnym imieniu. W imieniu marzeń, które zostały mu odebrane, w imieniu arcydzieł, które nigdy nie powstaną.

Ktoś, kto nie wychowywał się w otoczeniu kolorowych ścian, mógłby uznać, że najprostszą zemstą jest obić suce mordę. On był jednak artystą i człowiekiem z fantazją i jeśli snuł prymitywne wizje, to tylko po to, żeby rozładować napięcie. Zwracał oczy w stronę zielonej ściany i wyobrażał sobie, jak wali dziwkę po mordzie. Po chwili wracał jednak do czerwonej, za którą kryło się wyrafinowanie. Przemoc nie była rozwiązaniem, a posiniaczona gęba wystarczającą karą. Chwila bólu za zniszczone życie? Krótkotrwałe cierpienie za nieodwracalne straty? Nie, to nie było sprawiedliwe.

Nie przekonywał go także najwyższy wymiar kary. Bo jaką karą jest śmierć, jeśli człowiek nie wie, że jest martwy? Większy sens widział w torturach. Obdzieranie ze skóry, palenie na stosie, łamanie kołem, miażdżenie, rozerwanie końmi, gotowanie w oleju – tak powinna wyglądać kara śmierci, jeśli w ogóle. Bo w jego przekonaniu ból, a nawet śmierć wcale nie były najgorszymi rzeczami, jakie mogą spotkać człowieka. Istniało coś gorszego. Mówiąc obrazowo: czy największą karą dla Casanovy nie byłaby kastracja, a dla zawodowego tancerza utrata nóg? Czy zawodowy pilot nie ucierpiałby najbardziej, tracąc wzrok, a panna młoda, tracąc narzeczonego? Najgorszą rzeczą dla człowieka jest pozbawić go tego, czego najbardziej pragnie, odebrać mu możliwość realizowania siebie, odebrać mu chęć życia. Wtedy umiera się długą, bolesną i trwającą całe życie śmiercią.

Nie wiedział o niej nic więcej poza tym, czym się zajmuje, ale nagranie, które obejrzał, wystarczyło. Rozwiązanie znajdowało się w ostatniej sekundzie filmu, kiedy spojrzała w stronę kamery. Rozpoznał tę minę, ten malujący się na twarzy zachwyt nad samą sobą, to uwielbienie dla własnego ciała. Setki

razy widział to na Facebooku i Instagramie. Znał ten typ zapatrzonej w siebie suki, która żywi się błyskiem flesza i lajkami, i wiedział, jak ją skrzywdzić.

# Trasa

Blond włosy, jasne niebieskie oczy, śliczna twarz. Trzydzieści lat. Damian. Kulturysta, wicemistrz Europy. 69 na stojąco. Adam. Łysiejący, z nadwagą i poczuciem humoru. Radek. Dwa metry, intelektualista, onanista. Nie stanął mu. Piotr. Kierowca ciężarówki, cukrzyca typu drugiego, wąs. Józek. Hydraulik na emeryturze, poszukiwacz skarbów, siedemdziesiąt trzy lata. Wybrany ze względu na wiek. Tadeusz. Przygłup z leniwą powieką, spocony, pijany. Donald. Prezydent miasta, włosy na żel, żonaty. Teodor, dla znajomych Ted. Przedstawiciel handlowy, kolczyk w łuku brwiowym, amfa. Roman. Spiker radiowy, 25 centymetrów. Marcin. Długie włosy, ramoneska, tenisówki, dwadzieścia lat, brak zarostu. Hubert. Trawa, whisky, babcia z Polski. John. Smutny. Po rozstaniu. Doszedł w majtkach. Grzesiek. Gej z przerośniętym jądrem. Kamil. Biseksualny, metroseksualny, pasek podróbka Gucci. Marek. Książdz. Zbyszek. Potomek Dżingis-chana. Robert. Student archeologii na badaniach w terenie. Michał. Student archeologii na badaniach w terenie. Wojtek. Student archeologii na badaniach w terenie. Sylwek. Miłośnik kaset magnetofonowych, doktor archeologii na badaniach terenowych. Alan. Arogant, zielone włosy, krzywa miednica. Karol. Przystojny pisarz. Daniel. Metr sześćdziesiąt sześć, skoczek narciarski. Janek.

Litry przelanej spermy za kilka mililitrów, których nie udało się wycisnąć.

Następnego dnia po feralnej nocy w lesie Dominika Werner wsiadła do samochodu i wyruszyła w niezaplanowane tournée po Polsce. Podróżowała bez celu, zatrzymując się w mijanych po drodze miastach. Kolejne hotele i kolejni mężczyźni. Wszyscy należeli do niej, ale ponieważ żaden nie był Robertem Machowskim, żaden nie przyniósł jej upragnionej ulgi. Żaden nie uwolnił uwodzicielki od ciężaru porażki.

Dominika zaangażowała w sprawę Roberta osobiste emocje i bez względu na to, czy były one dobre, czy złe – czy chodziło jej tylko o uwiedzenie środków na resztę życia, czy może poczuła coś do Roberta – czyniły jej porażkę bardziej dotkliwą. Bo odrzucając Dominikę, Robert odrzucił właśnie ją, a nie wynajętą przez kogoś uwodzicielkę, tak jak kilkanaście lat wcześniej mężczyzna z baru Smok. Powtórzenie się traumy sprzed lat wzmagało złość Dominiki, ale ta sama złość świadczyła o tym, że Dominika nie była już tamtą bezbronną, wzgardzoną przez wszystkich dziewczynką. Ona nie była smutna, bo mężczyzna zranił jej uczucia, ona była wściekła, bo mężczyzna zachował się inaczej, niż zakładała. Jego wola okazała się silniejsza od jej planów, a to było dla niej nie do zniesienia.

Nie doceniła tego faceta. Nie wzięła pod uwagę, że zaspokojenie pożądania może być pokusą możliwą do przezwyciężenia. Postępowanie Roberta Machowskiego wykraczało poza jej doświadczenie, było czymś nowym, niespodziewanym, wstrząsającym i nienaturalnym, jak widok Boga dla ateisty. Dlatego pierwsze racjonalne myśli Dominiki na temat tego, co się stało, krążyły wokół pytania: czy aby Robert nie wywinął jej numeru? Może prowadził z nią grę, którą ona prowadziła z mężczyznami? Bo jeśli tak nie było, jeśli naprawdę powiedział „nie”, to czy nie powinna paść przed nim na kolana? Po tylu latach znalazła „Świętego Graala”, w którego istnienie nie wierzyła. Czy nie powinna się przed nim ukorzyć? Poddać się jego wyzwalającej sile, większej i wspanialszej od niej samej, od wszystkich kobiecych sztuczek i starań? Uznać, że być może na to właśnie czekała, że

paradoksalnie tego szukała? W imieniu wszystkich kobiet. Przyznać Holy Bitch rację? Nie. Dominika Werner nie umiała pogodzić się z porażką. Kilkanaście lat temu, wychodząc z samochodu niebieskookiego mężczyzny, dała sobie słowo, że nigdy więcej nie dopuści do sytuacji, w której mężczyzna będzie mieć nad nią kontrolę. Czas pokazał, że dotrzymała słowa. Uwodząc, to ona sterowała mężczyznami i czerpała z tego satysfakcję. Przyzwyczaiała się do swojej władzy, do poczucia mocy, do naginania woli mężczyzn według własnego widzimisię. Zrobiła wszystko, żeby odwrócić słowa, które tak boleśnie zapadły jej w pamięć. Nie, kochany. Ja jestem kobietą i to ja decyduję. Tak. Dominika Werner nie mogła pogodzić się z porażką.

Paradoksalnie, gdyby nie towarzyszyły jej aż tak silne emocje, szybciej doszłaby do wniosków, które sprawiły, że dwudziestego szóstego września samolot z Krakowa do Nowego Jorku odleciał bez niej na pokładzie. Objawienie przyszło pewnego dnia na plaży w Sopocie i jak to często z objawieniami bywa, przybrało postać grubej Niemki. Dominika zauważyła, że pewien mężczyzna, który wraz z żoną wypoczywał na sąsiednim kocu, nieustannie się jej przygląda. Kiedy gruba Niemka spostrzegła, że jej mąż wpatruje się w nieznaną, przetoczyła się na drugą stronę koca i własnym sadłem zasłoniła mężczyźnie widok. Z pozorów nic nieznacząca sytuacja sprawiła, że analizując po raz setny przebieg tamtej nocy, Dominika dostrzegła pewien drobny, ale ważny szczegół, który wcześniej umknął jej uwadze. Wprawdzie Robert zdołał się jej oprzeć, ale nie zrobił tego z jej powodu. W pierwszym odruchu odwzajemnił pocałunek i nie było wątpliwości, że w tamtej chwili pożądał jej tak samo, jak ona pożądała (czy też udawała, że pożąda) jego. Problem polegał na tym, że zdołał się opanować i wybrał wierność. Dominika pojęła, że tamtej nocy uwiiodła ciało Roberta, ale przegrała z jego duszą. W pewnym sensie stało się coś odwrotnego do sytuacji, która miała miejsce podczas finalizacji sprawy Andrzeja Wieczorka. Ciało Wieczorka odpowiedziało pożądaniem na wdzięki uwodzicielki, ale w tym samym czasie zrozpaczona dusza mężczyzny przywoływała imię zdradzanej Edytki. I żeby nie było wątpliwości: tamta sytuacja również upokorzyła Dominikę i wywołała jej złość, z tą tylko różnicą, że wtedy Dominika od razu wiedziała, co zrobić, żeby poczuć się lepiej.

W sprawie Roberta Machowskiego wniosek był jeden. Chcąc go uwieść, musiała uwieść jego duszę. Chcąc go zdobyć, musiała zmiażdżyć jego kręgosłup moralny i zdeptać zawieszony na nim, niczym na maszcie, wierność i uczciwość małżeńską. Innym sposobem było zniszczenie jego woli. Wola, która jest mięśniem duszy, narządem umożliwiającym hartowanie osobowości, działa inaczej niż mięśnie ciała. W przeciwieństwie do nich nie tężeje od ćwiczeń, lecz im więcej się ją eksploatuje, tym bardziej słabnie i zanika. Im dłużej namawia się osobę na diecie do zjedzenia ciastka i im więcej ciastek podtyka się jej pod nos, tym większa szansa, że się ją złamie. Nie było zresztą wykluczone, że Robert Machowski żałował swojej decyzji. Ileż to razy trafiali się Dominice świętoszkowaci mnisi, którym starczało woli na pół godziny, a potem wracali do niej ze spuszczoneymi głowami i sterczącymi ogonkami.

Istniał też trzeci i najskuteczniejszy sposób. Należało sprawić, żeby Robert Machowski nie mógł pomyśleć, że dopuszcza się zdrady. Należało sprawić, żeby wątpliwości nie miały prawa się pojawić i dylemat moralny nigdy nie zaistniał. Jak to zrobić? Pozbywając się przyczyny dylematu. Należało usunąć Annę Prus.



## Na plaży

– Moim zdaniem nie ma nic głupszego niż w podróż poślubną jechać na jakąś egzotyczną i drogą wycieczkę, a większość ludzi tak robi – powiedział Robert, gdy razem z Anią leżeli w hotelowym łóżku w pokoju z widokiem na Adriatyk.

Przyszła mu do głowy taka myśl, ponieważ oni sami mogli pojechać nad Solinę albo gdziekolwiek indziej, do jakiegokolwiek innego kraju na jakimkolwiek kontynencie, do jakiegokolwiek hotelu. Przez większość czasu nie ruszali się bowiem z łóżka.

– Rozumiem, o co ci chodzi – odparła Ania, gładząc męża po torsie – ale spójrz na to od mniej pragmatycznej strony. Nikt nie świętuje sukcesu szklanką wody.

– Ja też rozumiem, o co mi chodzi, i dalej uważam, że to nie ma sensu. Taka para w ogóle nie wychodzi z łóżka, a jeżeli już wychodzi, to jest tak zamroczona swoim szczęściem, że nic do niej nie dociera. Jaka jest wtedy różnica, czy ogląda Luwr, czy jakąś rozpadającą się chatę na Mazowszu? A tak w ogóle to uważam, że zakochane pary powinny mieć zakaz zwiedzania.

– To w końcu jak? – Roześmiała się. – Powinni wychodzić czy nie?

– Miesiące miodowe powinno się spędzać w obozach pracy.

Ania roześmiała się jeszcze bardziej.

– Albo chociaż na jakichś zbiorach – kontynuował Robert poważnie. – Nie dość, że nie zbankrutują, to jeszcze zarobią, i zapewniam cię, że wrócą do domu z poczuciem, że spędzili najlepsze wakacje w swoim życiu.

Rozmawiali żartobliwym tonem zakochanych ludzi, którzy gędzą bez sensu tylko po to, żeby zająć jakoś czas przed kolejną miłosną rundą. Spędzili w ten sposób większość siedmiodniowych wakacji, resztę czasu zajmowały im posiłki, spacer i wylegiwanie się na plaży. Ich uczucia nabrały intensywności, jaka cechuje pary z mniejszym niż oni stażem, i oboje rozumieli, że zawdzięczają to przebytemu rozstaniu, które chociaż nie było fizyczne, to oddaliło ich od siebie równie skutecznie. A jak wiadomo, nic nie podgrzewa namiętności w związku tak jak wywołana rozstaniem tęsknota.

Nawet Ania dała się w końcu ponieść odzyskanemu szczęściu. Kilka dni z dala od Krakowa wystarczyło, żeby wspomnienie uwodzicielki zaczęło blaknąć, a groźba kobiety, że uwiedzie Roberta, wydała się tylko ponurym żartem. Ania miała zresztą nadzieję, że cokolwiek stało się w noc poprzedzającą bal, wyczerpało pretensje tej demonicznej baby do Roberta. Jeśli chodzi o inne sprawy, które wydarzyły się w ciągu ostatnich miesięcy, to wracając do nich myślami, Ania coraz mniej skupiała się na swojej winie, za to coraz częściej zastanawiała się nad tym, dlaczego postąpiła tak, a nie inaczej. Od „dlaczego” zaczynało się wiele jej bezsennych nocy. Bezsenność nad Adriatykiem różniła się od tej, która dręczyła Anię, zanim powiedziała Robertowi o Bolonii. Wtedy nie mogła zasnąć, bo gryzły ją wyrzuty sumienia i rozpacz, teraz sen zabierała jej potrzeba analizowania tego, co się stało, i chęć, żeby nad sobą pracować. Ania Prus próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie, czego od życia chce i dlaczego chce właśnie tego. Zrozumiała, że odpowiedź na to drugie pytanie, którego większość ludzi nawet sobie nie zadaje, jest dla człowieka dużo ważniejsza. Co tak naprawdę kryje się za naszymi pragnieniami? Jakie traumy i kompleksy? Jakie wyobrażenia o świecie, o tym, czym jest sukces, a czym

porażka? Wiedziała, że jak każde przykre doświadczenie, także jej historia może mieć tę odrobinę sensu, jeśli stanie się dla niej lekcją na przyszłość.

Jednej rzeczy zdążyła się już zresztą nauczyć. Życie bez Roberta było dla niej agonią. Dlatego postanowiła, że nie przyzna się przed nim do wynajęcia uwodzicielki. To i romans z trenerem pozostaną jej dręczącą tajemnicą, tak jak radziła Zuza. Czy miłość Roberta wytrzymałaby prawdę o podwójnej zdradzie? Czy byłaby zdolna zrozumieć jej powody? Czy zranione i upokorzone serce mężczyzny jest w stanie wznieść się ponad siebie, żeby dostrzec coś więcej niż tylko przykre fakty? Czy Robert potrafiłby zrozumieć, że można jednocześnie kochać i zdradzić? Ania nie chciała się o tym przekonywać. Kochała męża, wiedziała, że on kocha ją, ale postawił całe szczęście na tę jedną kartę – w imię prawdy, której on nawet nie potrzebował? Na to nie miała odwagi. Nie zamierzała testować miłości, którą cudem udało jej się ocalić. Kilka razy w rozmowie z Robertem wróciła jednak do przeżytych minionych miesięcy, tak jakby próbowała wysondować jego myśli i uczucia. Jedna rozmowa zrobiła na niej szczególnie wrażenie.

Czekali na plaży na zachód słońca.

– Czy mogę ci coś powiedzieć? – zapytała Ania.

– Powiedz.

– Wiem, że w ostatnim czasie życie ze mną nie było łatwe...

– Mało powiedziane.

– Chciałam cię za to przeprosić – powiedziała, a widząc, że Robert chce jej przerwać, przysłoniła mu usta dłonią. – Chcę, żebyś wiedział, że jest mi z tego powodu przykro. Nie zasłużyłeś na to. Nie powinienam była niczego przed tobą ukrywać ani tak się zachowywać, jakbyś był moim wrogiem. Przepraszam.

– Było, minęło, nie ma o czym mówić. To ty byłaś najbardziej pokrzywdzona. – Złapał jej dłoń i pogłaskał z czułością.

– Myślisz, że nie będziesz mieć do mnie żalu?

– O co?

– O to, jak się zachowywałam.

– Przecież nie mam.

– Ale czy myślisz, że gdzieś podświadomie nie będziesz czuć urazy?

– Nie będę.

– Skąd ta pewność?

– Bo nie wiem, co to jest podświadomość. – Uśmiechnął się.

– Ja pytam poważnie! Myślisz, że takie sytuacje odbijają się na ludziach, nawet jeśli oni tego nie chcą?

Robert się zamyślił.

– Chyba po prostu przekonamy się o tym na własnej skórze – stwierdził, a potem spojrzał na Anię. Jej twarz przepełniał smutek. – Co cię martwi?

– Przeraza mnie, jak łatwo można zniszczyć tak wielką miłość jak nasza.

– Jeśli coś można łatwo zniszczyć, to na pewno nie jest aż tak wielkie. Uwierz mi, na tym akurat znam się bardzo dobrze.

Robert postrzegał rzeczy w mniej skomplikowany sposób. Cieszył się, że pojechali z Anią na wakacje i że znowu są szczęśliwi. A to, co było, minęło i do tych rzeczy zaliczała się również Dominika. Nie myślał o niej wcale.

# Odwet

Tournée Dominiki po kraju, zakończone objawieniem na plaży w Sopocie, trwało prawie dwa tygodnie. Po tym czasie uwodzicielka wróciła do Krakowa i już następnego dnia przystąpiła do działania. Rano zadzwoniła do Budmachu z pytaniem, czy prezes Machowski jest w biurze, a otrzymawszy pozytywną odpowiedź, zrobiła makijaż, włożyła jeansy, białą obcisłą bokserkę i tenisówki – ultraseksowny strój, który podkreśla wszystkie kształty, perfidnie udając, że to tylko zwykłe „jeansy z koszulką” – i wyszła z domu. Pół godziny później Robert Machowski usłyszał od sekretarki następujące słowa:

– Jakaś Dominika chce się z panem widzieć. Mówi, że to ważne.

Mężczyzna, który właśnie zbierał się do wyjścia, poczuł, że miękną mu nogi, i usiadł z powrotem w fotelu.

– Poproś ją – powiedział i z jakiegoś powodu pomyślał, że dziewczyna przyszła go zabić.

Zanim Dominika weszła do gabinetu, ubranie, które miała na sobie, stało się jeszcze bardziej perwersyjne, bo po drodze zmoczył ją deszcz. Na widok dziewczyny w mokrej koszulce, przez którą prześwitywał biustonosz, przez który prześwitywała jego stercząca zawartość, Robert poczuł strach i podniecenie. Trwało to najwyżej kilka sekund, ale przez ten czas mężczyzna przeżył podróż do czasów nastoletnich, kiedy każda piękna dziewczyna mroziła mu w żyłach krew jak opowieści o potworach.

– Dzień dobry. – Dominika uśmiechnęła się uwodzicielsko.

Robert poczuł, jak schodzi z niego napięcie. Obawiał się niezręcznej atmosfery, ale dziewczyna brzmiała i wyglądała tak samo bez troski jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy.

– Cześć. Nie sądziłem, że jeszcze się zobaczymy.

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale mieliśmy mały wypadek. Muszę zgłosić sprawę do ubezpieczalni.

Ona również przeżyła podróż do przeszłości, do początków kariery, kiedy spotkania z mężczyznami wywoływały w niej tremę. Otarła spocone dłonie o tył spodni.

– Zupełnie o tym zapomniałem, bardzo cię przepraszam. Usiądź, natychmiast się tym zajmiemy – Robert wskazał Dominice fotel – albo, jeśli masz ochotę, moglibyśmy wyskoczyć na obiad. Właśnie się wybierałem – zaproponował bez namysłu i dopiero gdy to mówił, zrozumiał, że palnął gafę. Po tym, co się między nimi stało, powinien unikać tej dziewczyny jak zarazy.

– Dobrze, chodźmy na obiad. I tak chciałam ci o czymś powiedzieć, będzie mnie łatwiej gdzieś indziej.

Restauracja znajdowała się kilka metrów od biurowca i mimo że wciąż padał deszcz, zdecydowali się iść na piechotę.

– Co chciałaś mi powiedzieć? – zapytał Robert po tym, jak złożyli zamówienie. – Czy najpierw spisujemy to oświadczenie?

– Właściwie to w ogóle nie ma o czym mówić, auto jest już naprawione. To był tylko pretekst, żeby z tobą porozmawiać.

Na twarzy Roberta pojawił się wyraz zaciekawienia. Dominika sięgnęła po serwetkę, którą niepostrzeżenie wytarła dłonie. Poza tym drobnym szczegółem nie było po niej widać, że się denerwuje. A jednak w tamtej chwili drżała o to, czy uda jej się zrealizować plan, z którym przyszła do Roberta.

– Znam twoją żonę.

– Znasz Anię?

– Tak, poznałyśmy się niedawno.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

Oświadczenie zaskoczyło Roberta, a ponieważ nie lubił, kiedy coś go zaskakiwało, poczuł lekką złość. Dominika spojrzała mężczyźnie w oczy.

– Twoja żona zatrudniła mnie, żebym cię uwiódł.

Zmusił się do uśmiechu. Nie podobało mu się to, co usłyszał, nie podobało mu się, że ta dziewczyna robi sobie z niego jaja.

– To jest żart?

– Nie – zaprzeczyła. – Pracuję w agencji detektywistycznej, to znaczy pracowałam jeszcze do niedawna – poprawiła się. – Zajmujemy się sprawami rozwodowymi. Wiesz, kompletowanie materiałów do spraw rozwodowych, testowanie wierności, wykrywanie zrad i tym podobne rzeczy, na pewno o tym słyszałeś, wiele agencji się tym teraz zajmuje – starała się zbagatelizować opis, ale mina Roberta nie wskazywała na to, żeby testowanie wierności i wykrywanie zrad były dla niego czymś normalnym. – Jakiś czas temu zgłosiła się do nas Anna Prus i zleciła nam przygotowanie gruntu pod wasz rozwód.

– Przepraszam cię, ale to jest jakiś absurd! – Teraz był już naprawdę zły. – Nie wiem, o co tu chodzi i dlaczego to robisz, ale nie chcę brać w tym udziału. Najlepiej będzie, jak sobie pójdziesz.

– Rozumiem twoje zdenerwowanie.

Dominika złapała za telefon i zaczęła szukać czegoś w internecie.

– Proszę, sam zobacz. – Podała mężczyźnie komórkę.

W przeciwieństwie do krzykliwego neonu stojącego przed siedzibą firmy witryna Agencji Detektywistycznej Black zaprojektowana była z wyczuciem i charakteryzował ją minimalizm. Robert rzucił okiem na stronę, nie klikając jednak na żaden z odnośników. Ani przez chwilę nie wzięła słów Dominiki na poważnie.

– To jest śmieszne. – Zwrócił telefon. – Czy chodzi o to, co się między nami stało? Uraziłem cię? Próbujesz się odegrać? To zemsta? – Spojrzał na Dominikę z politowaniem, bo w tym momencie miał ją już za wariatkę.

– W porządku. – Znowu spojrzała mu w oczy. Niezmącony spokój Dominiki budził w Robertcie lęk, bo ktoś tak spokojny musiał być pewien tego, co mówi. – Pominę to, co można znaleźć w internecie. Resztę powiedziała mi Anna. Zaczynamy... – Wzięła oddech. – Interesujesz się nekropoliami, sztuką i samochodami. Twoje ulubione słodycze to michałki kokosowe. W każdym tygodniu kupujesz żonie prezent, często książki. Mam kontynuować?

– To ma być dowód? Tego wszystkiego mogłaś się dowiedzieć od Jerzego – wycharczał wściekle Robert.

– Czy twój przyjaciel wie o tobie wszystko? Absolutnie wszystko? Czy zna także twoje rozmiary? Piętnaście centymetrów i trzy milimetry?

Robert zbladł.

– Proszę, Robercie, wysłuchaj mnie do końca. Nie wymyśliłabym tego, mówię prawdę.

Robert skinął głową.

– Zgodnie z życzeniem twojej żony próbowałam cię uwieść...

– Co to w ogóle znaczy? Miałaś zaciągnąć mnie do łóżka? – przerwał jej, bo dopiero kiedy spróbował wziąć jej słowa na poważnie, dotarło do niego ich znaczenie.

– Nie jestem prostytutką, jeśli o to ci chodzi. Tu nie chodzi o seks, ale o wszystko inne, co do niego prowadzi. O wolę, o chęć...

– Wystarczy! Nie chcę znać szczegółów.

– Twoja żona... – Dominika chciała kontynuować, ale Robert, w którego głowie kłębiły się pytania, znowu jej przerwał.

– Dlaczego mi o tym mówisz? Jeśli to prawda, jeśli Ania naprawdę... – nie był w stanie dokończyć zdania – ... to dlaczego mi o tym mówisz?

– Myślę, że znasz odpowiedź.

– Skąd miałbym ją znać? – w głosie Roberta zadźwięczał gest opadających rąk.

– Zakochałam się w tobie.

Nie odpowiedział. Może jednak miała rację, może mógłby to wiedzieć.

– A ty nie zasługujesz na takie traktowanie. Ona nie zasługuje na ciebie.

Tak jak w chwili śmierci wyświetla się przed oczami film z całego życia, tak Robert w chwili również doniosłej dla małżeństwa jak śmierć zobaczył w przyspieszeniu swój wieloletni związek.

– Dlaczego? Dlaczego Ania chciałyby... Ja w to nie wierzę. Nie wierzę ci!

– Ona cię zdradza, Robercie.

Robert wybuchnął śmiechem.

– To niemożliwe.

– To prawda.

– Z kim?

– Ze swoim trenerem fitness.

– Skąd możesz to wiedzieć?!

– Po prostu wiem, przykro mi – powiedziała ze smutkiem w głosie. – To są sprawy, o których powinienś porozmawiać z nią. Nic mnie do tego. Ja chciałam ci tylko powiedzieć, że to, co wydarzyło się w tamtym domku, nie było udawane. Teraz nie masz do tego głowy i nie ufasz mi, ale kiedy wszystko sobie poukładasz, kiedy wszystko się wyjaśni, wtedy będziesz chciał się ze mną spotkać. Wiem, że tak będzie, bo wiem, że ty też poczułeś do mnie to co ja do ciebie. Takich rzeczy nie da się udawać. Nawet ja tego nie potrafię.

Dominika wstała, wyciągnęła z torebki długopis, porwała ze stołu serwetkę, na której coś zapisała.

– To jest mój numer telefonu. Na wypadek, gdybyś nie miał. – Przesunęła serwetkę w stronę Roberta, po czym wyszła.

Robert nie próbował jej zatrzymać, chociaż w głowie roilo mu się od pytań, które chciał jej zadać. Ale równie mocno odczuwał potrzebę, żeby zostać samemu. Zmiał w dłoni serwetkę i schował ją do

kieszeni.

Nie wiedząc, co ze sobą zrobić ani gdzie się podziać, wrócił do biura. „Nie ma mnie dla nikogo” – powiedział do sekretarki i zamknął się w gabinecie. Długo krążył po pokoju, zatrzymując się przy kwiatku i pozbawiając nieszczęśnika kilku listków, albo przy oknie, wpatrując się w deszcz, który przeradzał się w coraz większą ulewę.

Nagle wyszedł z pokoju.

– Mogłabyś coś dla mnie sprawdzić? – zapytał sekretarki. – Ten człowiek, który wygrał „Widoki”, nie pamiętam nazwiska...

– Tomasz Kantereit – przyszła z pomocą sekretarka.

– Dowiedz się o nim, czego możesz. Jak najszybciej.

Dziesięć minut później na biurku Roberta leżała teczka Tomasza Kantereita, zawierająca treści, które trener zamieszczał w mediach społecznościowych. Robert przejrzał jej zawartość i przekonał się, że siłownia, w której pracował trener, była tą samą, do której chodziła jego żona. Mężczyzna wyszedł pośpiesznie z biura.

\*

Kiedy przyjechał do domu, Ania znajdowała się w swojej pracowni. Słuchając głośno radia, była zajęta malowaniem. Nie usłyszała, kiedy Robert wparował do środka. Dopiero kiedy wyjął wtyczkę z kontaktu i muzyka ucichła, odwróciła się i zdrętwiała z przerażenia. Zobaczyła go i zrozumiała, że on wie. Skądś, jakimś cudem, wyczytała to z jego twarzy.

– Co ty tu robisz? – zapytała jakby nigdy nic.

– Czy to prawda, że wynajęłaś kobietę, żeby... – Robert jakby się zawstydził – ... przecież to brzmi jak farsa! Żeby mnie uwiodła? – zapytał, ale nie musiał czekać na odpowiedź, bo teraz on wyczytał odpowiedź z jej twarzy.

– Robert!

Podbiegła, chcąc złapać go za rękę.

– Nie dotykaj mnie! – Odsunął się.

Serca obojga waliły jak oszalałe.

– Nie wiem, co ona ci naopowiadała, ale to nie jest tak, jak myślisz. Wszystko ci wytłumaczę. Tylko usiądź i mnie wysłuchaj. Proszę!

– Czy ty mnie zdradzasz?

– Nie, nie! Przysięgam!

– Jakie pamiętasz pomysły z tegorocznych „Widoków”? – zapytał niespodziewanie.

– Co? – Ania zdziwiła się, nie wiedząc, skąd to pytanie.

– Mówiłaś, że czytałaś pomysły i że najbardziej spodobał ci się ten na siłownię. Ten, który mi zarekomendowałaś, a ja cię posłuchałem. Jakie były inne?

Teraz zrozumiała.

– Yyy... ja... to nie jest tak, jak myślisz – zapewniła ze łzami w oczach, cała się trzęsąc. – Proszę, usiądź i pozwól mi powiedzieć.

Widząc ją w takim stanie, gotowy był to zrobić.

– Mów.

– To prawda, że wynajęłam agencję, ale zrobiłam to, bo po tym, co się stało...

– Nie mogę – przerwał jej, kręcąc głową. Jego oczy były wilgotne od łez. – Nie mogę tego słuchać. Odwrócił się i wyszedł.

Ania padła na kolana i wydała z siebie przeciągłe wycie, jakby wzywała pioruny, żeby w nią trafiły.



## Trup przyjaciela, który wie gdzie do celu

Robert wsiadł do samochodu i z całej siły uderzył ręką w kierownicę. Ból fizyczny przyniósł mu niespodziewaną ulgę. Uderzył jeszcze raz, a potem następny i jeszcze następny, aż ręka zaczęła boleć tak mocno, że stało się jasne – dalsze demolowanie kierownicy grozi jakąś kontuzją. Odpalił silnik i ruszył. Po kilkunastu minutach zorientował się, że jedzie na polankę z widokiem na miasto. Co za paradoks, to właśnie tam kilkanaście dni wcześniej poczuł, że Ania wciąż go kocha. Zaparkował samochód i wysiadł, mimo że deszcz wciąż padał.

Nad miastem unosiła się mglista zawiesina. Patrząc z góry, wydawało się, że Kraków paruje. Kiedyś zobaczył stąd Kalifornię, teraz widział tylko polską szarość i beznadzieję. Jego życie legło w gruzach. Gdyby się rozpląkał, deszcz zakamuflowałby spływające po twarzy łzy. Miał ochotę to zrobić, rozbeczeć się perfidnie w deszczu. Płakać jak dziecko. Tylko jedna rzecz nie dawała mu spokoju.

Wrócił do samochodu. Wyciągnął z kieszeni zmiętą serwetkę oraz telefon. Papier nasiąknął wilgocią i cyferki zaczęły już krwawić niebieskim atramentem. Przestraszył się, że źle odczyta numer. Wystukał cyfry, a kiedy nacisnął zieloną słuchawkę, w telefonie pojawił się głos Dominiki.

– Tak?

– Muszę coś wiedzieć.

– Tak?

– Skąd wiesz, że moja żona ma romans?

– Po prostu wiem.

– Nie, nie po prostu – zaprotestował. – Dokładnie: skąd to wiesz?

– Widziałam zdjęcia.

– Jakie zdjęcia?

– Ich, twojej żony i tego faceta, całowali się. Czy na pewno chcesz...

– Skąd je masz? Kto je zrobił?

– Jak to ma znaczenie?

– Muszę je zobaczyć.

– Rozumiem.

– Przyjadę do ciebie. Jesteś w domu?

– Nie, nie teraz – odparła Dominika, wiedząc, że będzie potrzebowała czasu, żeby przygotować się do spotkania. – Napisz ci, kiedy wrócę. I napisz adres, tamto mieszkanie na Szwedzkiej... już tam nie mieszkam.

– To dla mnie ważne – powiedział Robert.

– Wiem, Robercie, niedługo napiszę.

Dominika odłożyła telefon, bezwiednie poprawiła biust, wydeła usta i przeczesła dłonią włosy.

– Mamy to! – Złapała Vivien za mordę i tarmosiła ją chwilę, co jednak nie sprawiało psu przyjemności.

Kiedy ją puściła, Vivien wydała z siebie oskarżycielskie szczeknięcie. W odpowiedzi Dominika zepchnęła ją brutalnie z kanapy.

Sięgnęła ponownie po telefon. Wcisnęła ikonę wiadomości i odnalazła esemesy od Janka. Szukała zdjęcia Holy i Kantereita, ale co dziwne, nie było go w żadnej otrzymanej od Janka Blaka wiadomości. Jak to możliwe? Była pewna, że dostała zdjęcie na komórkę, fuck! Fuck! FUCK! Nagle zrozumiała, co się stało. Pierdolony Snapchat... Janek wysłał zdjęcie za pomocą aplikacji, która nie zapisuje przesyłanych wiadomości. Nie miała tego zdjęcia, nie miała dowodu! Jedyną osobą, która dysponowała zdjęciem, był Janek. Ten sam Janek, którego potraktowała jak ostatniego śmiecia, z którym od tamtego dnia, gdy przyjechał po nią do Kalwarii, nie miała kontaktu.

Na szczęście Vivien usadowiła się na drugim końcu pokoju, bo z pewnością oberwałaby za to kopniaka. Dominika gotowała się ze złości. Kilka kojących oddechów, wdech, wydech, wdech, wydech, wdech, wydech. Uspokoiła się na tyle, żeby odblokować wyświetlacz, a następnie nacisnąć znajdująca się obok nazwiska Blaka ikonę słuchawki. Usłyszała sygnał nawiązywanego połączenia. Jeden... drugi... trzeci... czwarty... piąty... „Numer, z którym próbujesz się połączyć...” FUCK! Wdech i wydech, wdech i wydech.

– Wiem, że odbierzesz – wyszeptła, wybierając ponownie numer. – Wiem, że jeszcze ci nie przeszło.

Jeden... drugi... trzeci...

– Czego chcesz? – głos Janka brzmiał wrogo, ale Dominika i tak odetchnęła z ulgą.

– Dzwonię, żeby cię przeprosić.

Mężczyzna wstrzymał oddech. Znał Dominikę i wiedział, że nie jest ona typem osoby, która przeprasza.

– Trochę się na tobie wyżyłam. Byłam pijana i zła, dlatego powiedziałam te wszystkie bullshits. Przepraszam.

Milczał.

– Czy moglibyśmy się spotkać i o tym porozmawiać?

– Nie ma o czym mówić – odparł w końcu, próbując nadać swojemu głosowi lekki ton, choć wewnątrz drżał ze zdenerwowania. Bez względu na to, jak bardzo tego nie chciał, głos Dominiki, a przede wszystkim to, co powiedziała, zrobiły na nim wrażenie. – To wszystko? Bo jestem trochę zajęty – zdołał wznieść się na wyżyny dumy, choć tak naprawdę zrobił to, bo nie był w stanie ciągnąć dłużej tej rozmowy.

– Żyję w dużym stresie...

– Nie musisz się tłumaczyć, nie ma o czym mówić.

– Janek!

– Co?!

– Nie udawaj, dobrze? Ja nie chcę, żebyś udawał, ja naprawdę chcę, żebyś mnie wybaczył. Jesteś jedynym bliskim mnie człowiekiem, nikogo innego nie mam. Nie mogę cię stracić.

To były najpiękniejsze słowa, jakie od niej usłyszał. To były najpiękniejsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszał od kobiety, nie licząc oczywiście mruczenia calibry.

– Nie martw się, nie straciłaś.

– Are you sure?

– I'm fucking positive.

– Okej, to dzwoniemy się później.

– Pewnie.

– Ach, jeszcze jedno.

– Tak?

– Pamiętasz to zdjęcie, które wysłałeś mnie na Snapchacie z żoną Machowskiego i tym trenerem?

– Mhm.

Poczuł lekkie ukłucie, jak podczas zastrzyku albo ukąszenia. Nie wiedział jeszcze, co ono oznacza.

– Mógłbyś mnie je przesłać? – zapytała Dominika, wtłaczając truciznę do krwiobiegu przyjaciela.

– Po co?

Pytanie było niepotrzebne, bo sens zaczynał już do niego docierać.

– Potrzebuję do archiwum.

– Powiedziałaś, że zlecenie zostało odwołane.

– Jak zwykle musisz mnie denerwować? – próbowała wprowadzić poufaly ton, jakim zazwyczaj ze sobą rozmawiali, trochę żartobliwy, trochę złośliwy.

– Nie.

– To prześlij mnie te zdjęcia jeszcze raz, okej?

– Nie zrobię tego.

– Żartujesz, prawda?

Pretensja i zdziwienie w głosie Dominiki były tak wyraźne, że Janek nie miał już najmniejszych wątpliwości, że jedynym celem jej telefonu było uzyskanie od niego zdjęć.

– Pierwszy raz w życiu jestem śmiertelnie poważny.

– Nie wygłupiaj się! – Teraz usłyszał także złość. – Co ci szkodzi?

– Muszę już kończyć – powiedział, ale nie przerwał połączenia, upajał się hamowaną po drugiej stronie złością.

I wtedy usłyszał coś, co go zmroziło:

– Prześpię się z tobą.

Cisza, a potem znowu jej głos.

– Jeżeli dasz mi to zdjęcie, to się z tobą prześpię.

Przez dłuższą chwilę milczeli w napięciu, oboje zakleszczeni między pożądaniem a koniecznością zachowania pozorów. Dominika zabiłaby za dostanie tego zdjęcia, Janek zabiłby za przespanie się z nią.

– W porządku – powiedział w końcu.

Dominika wyszczerzyła kły.

– Potrzebuję go jeszcze dzisiaj, najlepiej za chwilę.

– Okej.

– Możesz do mnie przyjechać?

– Tak – odparł, nie był w stanie wykrzesać z siebie więcej niż pojedynczego słowa.

– Czekam.

## Płacząca calibra

Upłynęło wiele lat, zanim Dominika Werner oswoiła się z wydarzeniami, które rozegrały się w domu na Kasztanowej owego pamiętnego dnia wieńczącego historię, która zaczęła się jako sprawa Roberta Machowskiego. Najbardziej nieznośna okazała się myśl, że można ich było uniknąć. Bo gdyby posłuchała Janka i wyjechała z miasta albo gdyby przyjęła ofertę Anny i porzuciła sprawę, żadne z tych wydarzeń nie miałyby miejsca. Istniało kilka furtek, którymi mogła się wydostać z tej paskudnej historii, a jednak ślepo brnęła przed siebie, wierząc, że istnieje tylko jedno właściwe zakończenie. Popelniła błąd, który popełnia każdy, komu wydaje się, że to on jest bohaterem własnego życia, i kto w związku z tym oczekuje szczęśliwego zakończenia. Czekała na Janka, Dominika była więc pełna najlepszych przeczuc.

Jak wiele mówi to o przeczuciach, biorąc pod uwagę fakt, że w tym samym czasie wokół jej domu krążył zamaskowany mężczyzna. Janek zwrócił na niego uwagę, kiedy parkował samochód. Nagle we wstecznym lusterku calibra ukazała się idąca chodnikiem czarna postać w masce na twarzy i kapturze na głowie. Ten niespodziewany widok przestraszył Blaka, ale kiedy po bliższym przyjrzeniu okazało się, że człowiek w czerni ma na twarzy maskę antysmogową, Janek parsknął śmiechem, uznając, że zobaczył wariata. Chwilę później miał okazję, żeby przyjrzeć mu się jeszcze bliżej, bo ich drogi przecięły się na chodniku, a dokładnie rzecz ujmując – mężczyzna w czerni przystanął na wysokości willi Dominiki, jakby chciał przepuścić Janka, a potem odprowadził go wzrokiem do drzwi.

– Hi, sweetheart.

Dominika przywitała się z Jankiem serdecznie, całując go jak zwykle w policzek. Po raz pierwszy w życiu mężczyźnie przeszło przez myśl, że ta kobieta jest psychopatką. Zachowywała się tak, jakby nic się między nimi nie wydarzyło, jakby wciąż byli najlepszymi przyjaciółmi.

– Napijesz się czegoś czy od razu chcesz przejść do rzeczy?

W odpowiedzi pomachała jej przed nosem aparatem. Gdyby Dominika zwróciła na Janka większą uwagę, mogłaby pomyśleć o nim to samo co on o niej. Był spokojny, uśmiechnięty i zbyt wyluzowany jak na to, co mieli za chwilę zrobić.

– No to zapraszam.

Dominika ruszyła długim korytarzem do salonu, Janek siedł z tyłu, wpatrując się w kroczące przed nim nogi. Przypomniał sobie scenę z sekstaśmy Andrzeja Wiercorka – Dominika szła przodem, ciągnąc za sobą krawat z przywiązaniem do niego Wiercorkiem, jakby prowadziła barana na rzeź. Miała wtedy na sobie skórzane spodnie i czerwone szpilki, teraz ubrana była w spodenki, które z powodzeniem można by sprzedawać na dziale z bielizną. Co ciekawe, wspomnienie tamtego obrazu wydało mu się bardziej podniecające niż krocząca przed nim rzeczywistość.

– Jestem ciekawy, po co ci te zdjęcia. Wciąż polujesz na siwego gołębia?

– Być może. Nie jesteś chyba zazdrosny, co? – spytała, uśmiechając się kpiąco i zarazem zalotnie. – Ty negocjowałeś już swoje warunki – mówiąc to, sięgnęła rękami za szyję i nieoczekiwanie bluzką, którą miała na sobie, zsunęła się z jej ciała i oczom mężczyzny ukazały się dwie nagie piersi.

– Przypominam ci, że widziałem te cyciki setki razy, nie robią na mnie wrażenia – powiedział żartobliwie, tylko dlatego że cyciki, które widział setki razy, na żywo zrobiły na nim takie wrażenie, że nie wiedział, co ze sobą (albo z nimi) począć. Mimo że przyjechał na Kasztanową z konkretnym postanowieniem, w jednej sekundzie stracił rezon i wcale nie był już pewien, czy uda mu się osiągnąć to, co zamierzał.

– Ja też lizałam kiedyś loda przez szybę.

Zbliżyła się do niego, miał ją teraz na wyciągnięcie ręki. Nagie piersi, długie lśniące włosy, gładkie nogi, prowokujący uśmiech. Po kilkunastu latach czekania stała wreszcie przed nim – półnaga i chętna. Nie próbował się oszukiwać, pragnął jej najbardziej na świecie. Zakochał się w niej prawie dwadzieścia lat temu. Od tamtej pory ich fizyczne kontakty sprowadzały się do przywitalno-pożegnalnych pocałunków, a przecież, będąc wirtualnym świadkiem podbojów Dominiki, marzył tylko o jednym – żeby znaleźć się na miejscu tamtych mężczyzn. I teraz mężczyźni Jana Blaka miały się wreszcie skończyć. Za chwilę dokona transakcji życia – kilkanaście lat cierpienia za kilka minut przyjemności.

Dominika sięgnęła mężczyźnie do rozporka, chcąc zlitować się nad uwięzioną w środku żywą istotą, traktowaną gorzej niż kurczaki z chowu klatkowego\*.

Janek przelknął ślinę. Odłożył aparat, który trzymał dotychczas w ręce. I wtedy usłyszeli potężne uderzenie, a potem szczekanie przestraszonej Vivien. Coś uderzyło jeszcze dwa razy.

– Co to?!

Okna w salonie wychodziły na tył domu, Janek pobiegł więc do drzwi wejściowych, żeby sprawdzić, co się stało. Po chwili jego zrozpaczony głos dobiegł do uszu Dominiki:

– Tylko nie to!

Dominika ubrała się i wyjrzała na zewnątrz. Blak stał przy zaparkowanym na chodniku samochodzie i gładził dłonią uszkodzoną szybę.

– Ktoś rzucił w nią kamieniem. Dwadzieścia pięć lat, oryginał!

Dziewczyna rozejrzała się wokół, ale na ulicy nikogo nie było. Tylko sąsiad, zaniepokojony hałasem, wyszedł z domu.

– Widział pan może, kto to zrobił?

– Chuligan pewnie.

– Tyle to wiem!

– To co się pan pyta?!

Janek spiorunował mężczyznę wzrokiem i ten podreptał z powrotem do domu. Spojrzał na Dominikę. Stała na szczycie schodów, trzymając w rękach aparat. Patrzył na nią kilka sekund, a potem wsiadł bez słowa do calibry i odjechał. Kiedy ruszył, szyba rozpadła się na drobne kawałki. Część z nich została na masce, reszta pofrunęła do środka pojazdu i na boki, jakby z kącików oka samochodu wydobywały się kryształki lez. Nie zatrzymał się. Było mu obojętne, że sporo szkła wylądowało na jego ciele. Nie zmartwił się także deszczem, który chociaż powoli dogorywał, padał przez wybitą szybę wprost na jego twarz. Jedyne, czego w tej chwili zapragnął, to się upić. I nagle pomyślał, że zamiast pić samotnie w mieszkaniu, mógłby pić w czymś towarzystwie, gdzieś na mieście. Wyciągnął z kieszeni telefon i zadzwonił do pierwszej osoby, która przyszła mu do głowy.

– Mam szybkie pytanie.

– Dajesz.

- Co robisz za jakąś godzinę i czy nie wolałabyś zamiast tego wyskoczyć na piwo?
  - Wybierałam się na spacer. Niewiele ciepłych wieczorów zostało jeszcze tej jesieni.
  - Pada deszcz.
  - Już przestaje.
  - To co, piwo?
  - To może chociaż najpierw spacer, a potem piwo? – zaproponowała Sylwia.
  - Skoro nie ma innego wyjścia.
  - Za godzinę pod kościołem w Rynku Podgórskim?
  - Tak jest.
- 

\* Kto poza uwodzicielkami, prostytutkami i innymi kobietami dobrej woli przejmuje się milionami ściśniętych w rozporkach penisów, pozbawionych możliwości wyjścia, bez dostępu do światła i wody?

# Egzamin z uwodzenia

Kilkanaście minut po tym, jak granatowa calibra odjechała spod domu na Kasztanowej, na jej miejscu zaparkowało czarne audi. Robert Machowski, który jeszcze kilka godzin wcześniej był wcieleniem męskiego wigoru, wyglądał, jakby nosił na barkach wszystkie smutki świata. Szedł z pochylonymi do przodu ramionami i wzrokiem wbitym w ziemię. Stał przed drzwiami i nacisnął dzwonek. Najpierw usłyszał ujadanie psa, a po chwili Dominika stanęła w progu, trzymając na rękach wyjątkowo brzydkie zwierzę o mordzie lemura.

– Cześć, poznaj Vivien.

Mężczyzna skrzywił usta w lekkim uśmiechu, nie był w nastroju do zachwywania się psami. Dominika wyczuła to i natychmiast odstawiła mopsa na podłogę.

– Wejdz.

Zaprowadziła gościa do salonu, kręcąc przed nim półnagim tyłkiem.

Dominika uważała, że w uwodzeniu liczy się nie tylko efekt, ale również styl, dlatego w swojej karierze starała się unikać nagości i wyuzdania, pornograficznych środków wyrazu, na które złapanie mężczyzny jest równie trudne jak sprzedawanie wody na pustyni. Dzisiaj rozgrywała jednak swoją ostatnią szansę i zamierzała wykorzystać wszelkie, nawet najbardziej tandetne, sposoby.

– Napijesz się czegoś?

– Masz coś mocniejszego?

Robert uznał, że przyda mu się procentowe wsparcie. Sytuacja, w której się znalazł, była dla niego niezręczna. Nie był zły na Dominikę, że uczestniczyła w chorym planie Anki, rozumiał, że wykonywała swoją pracę, ale czuł w stosunku do niej zakłopotanie. Po pierwsze, dał się jej oszukać i było mu z tego powodu głupio, po drugie, pamiętał, że wyznała mu miłość, i było mu jeszcze głupiej. Obserwując, jak przygotowuje drinka, zastanawiał się, co z tego, czego zdążył się na jej temat dowiedzieć, było prawdą. Czy pochodziła ze wsi? Czy interesowała się literaturą? Czy jeździła starym oplem? Żadna z tych rzeczy nie wydawała mu się teraz prawdopodobna. A jeśli spreparowała swój życiorys, żeby zdobyć jego zainteresowanie, to czy spreparowała także swoją osobowość? Czy można skroić siebie pod gust kogoś innego?

Takiej możliwości Robert nie brał pod uwagę. Podświadomie zakładał, że chemii, która powstaje między ludźmi, nie da się sztucznie wywołać. To, co ciągnęło go do Dominiki, musiało być autentyczne. I z tego między innymi powodu nie potrafił tak po prostu nią wzgardzić – wejść, po co przyszedł, i wyjść. Ta dziewczyna wciąż na niego działała.

Dominika wręczyła Robertowi szklaneczkę z brunatnym płynem.

– Jeśli pozwolisz, chciałabym ci najpierw coś powiedzieć – rozpoczęła swoją ostatnią rozgrywkę. Stawka była wysoka, a jej szanse niepewne i znowu czuła tremę. Spoczone dłonie, ścisk w gardle, szybsze bicie serca.

– Przepraszam cię na sekundę – powiedział Robert, odczytując esemesa, który właśnie do niego przyszedł. Anka napisała: „Pozwól mi wytłumaczyć. Proszę. Wróć do domu”. Rozpoznał w jej słowach

ten sam ton, który przed sekundą wyczuł w głosie Dominiki, i mimowolnie się wzdrygnął. Obie namaczały słowa w błagalno-rozpaczliwym roztworze, żeby łatwiej przepchnąć je przez kanał słuchowy do jego umysłu. Której miał wierzyć, skoro obie brzmiały tak samo? Zostawił wiadomość bez odpowiedzi i spojrział wyczekująco.

– Musisz wiedzieć, że w tamtym domku wydarzyło się coś, co nie było częścią mojej pracy. Wycofałeś się ze względu na kogoś, kto na to nie zasługuje – powiedziała ze łzami w oczach, po czym wyszła z pokoju. Przemówienie obliczone było na teatralny efekt, ale łzy Dominiki nie były wymuszone. Wyjątkowa trema potrafi wydusić kilka słonych kropli nawet z oczu kobiety o kamiennym sercu i niedrożnych kanalikach łzowych.

Dominika wróciła do salonu, trzymając w rękach aparat. Robert zbladł. Słowa, które przed chwilą usłyszał, zrobiły na nim wrażenie, ale teraz mógł myśleć tylko o Ani i o powodzie, dla którego przyjechał do tego domu. Wziął aparat i spojrzął na ekran. Na pierwszym zdjęciu wysportowana łąpa lysego dresa ścisnęła tyłek jego żony. Nacisnął strzałkę. Na drugim zdjęciu blada morda dresa całowała jej zaklamane usta. Robert nie wiedział o Dominice nic poza tym, że mógłby się w niej zakochać, o Ani wiedział wszystko, a mimo to okazało się, że nie miał o niej bladego pojęcia. Z całej siły rzucił aparatem o ścianę, wywołując u Vivien atak szczekania. Zanim Dominika zdążyła powiedzieć słowo, był już przy niej. Pchnął ją na kanapę i przywarł do niej ciałem. Odszukał językiem jej język, jego ręka powędrowała pod spodenki, krew odpłynęła mu z mózgu i nie miał już powodu ani ochoty, żeby zawracać ją z powrotem do góry. Vivien szalała. Dominika była bliska orgazmu. Z chwilą, kiedy poczuła na sobie ciężar Roberta, w jej ciele eksplodowała bomba rozkoszy. Do każdej komórki uwolniło się szczęście – intensywne, nieokiełznane przyjemność – orgazm zwycięzcy. I w tym momencie oboje usłyszeli dzwonek. Przeciągle dźwięczenie dzwonka do drzwi.

– Cholera...

– To na pewno pomyłka, zaraz sobie pójdzie – wyszeptała Dominika, przyciągając Roberta z powrotem do siebie, ale wbrew jej słowom dzwonek ponownie zadźwięczał i tym razem nie przestał.

Ktoś celowo nie spuszczał palca z przycisku. Chcąc nie chcąc, Dominika musiała wstać.

– Przepraszam cię na chwilę.

Poprawiła włosy i ruszyła przez korytarz, tamując złość. Podejrzewała, kto stoi za drzwiami. Janek Blak, przeklęta mała beksa. Czy dlatego nie wziął zapłaty za dostarczenie zdjęć, bo planował zdradę? O to chodziło? Otworzyła gwałtownie drzwi. Zanim zdążyła się zdziwić, została porażona prądem, a następnie człowiek w czerni przytknął jej do nosa chusteczkę nasączoną chlorkiem metylenu.

Robert usłyszał niepokojące odgłosy i wychylił się po chwili z salonu, żeby zobaczyć, co się dzieje. Postać w czarnym kapturze zamknęła za sobą drzwi i zsunęła z ramion plecak. Podniosła głowę i wtedy spojrzenia mężczyzn się spotkały. Obu przeszedł po plecach lodowaty dreszcz. Robert przestraszył się czarnej maski, mężczyzna w masce przestraszył się Roberta. Jak to? To nie jego próbował wykurzyć z domu! Kurwa! Ukrywając się przed tamtym, przeoczył przyjazd tego! Dzieliło ich około dziesięciu metrów. Nie było czasu na zastanowienie, Robert działał instynktownie. Rzucił się biegiem w stronę napastnika i tym samym popełnił błąd. Powinien był pobiec do kuchni, uzbroić się w nóż i zaatakować napastnika z zaskoczenia albo przynajmniej spróbować wezwać pomoc. Pomyślał o tym dziesięć minut później, gdy odzyskał przytomność.

Leżał na podłodze w jakimś pokoju pełnym książek, z ręką przykutą do kaloryfera. Czuł w nosie dziwny chemiczny zapach i bolała go głowa. Domyślił się, że mężczyzna w masce potraktował go



usypiającą substancją. Ostatnie, co pamiętał, to ból w szyi w miejscu, gdzie paralizator dotknął jego skóry. Dominika przykuta była do kaloryfera na przeciwległej ścianie pokoju. Była przytomna i spokojna.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

Pokręciła przecząco głową. Podniósł się do pozycji półsłojącej i zaczął szarpać ręką, co oczywiście nie mogło przynieść rezultatu, inaczej przestępcy nie przykuwaliby ofiar do kaloryferów.

Po chwili do pokoju wszedł człowiek w masce antysmogowej. Na rękach trzymał zadowoloną Vivien.

– Cześć wszystkim – powiedział.

Robert usiadł z powrotem na podłodze. Mężczyzna wypuścił Vivien i ściągnął bluzę. Miał teraz na sobie czarne spodnie, czarny podkoszulek i czarne ciężkie buty. Wyglądał jak członek brygady antyterrorystycznej. Robert i Dominika zauważyli, że jest młody.

Dominika próbowała odgadnąć jego tożsamość. Nie zjawiał się u niej przypadkowo, co do tego nie miała wątpliwości, ale na pewno nie był jedną z jej ofiar. Kim zatem? To on groził jej w listach? Przecież Wieczorek przyznał się do wszystkiego. What the fuck?!

– Słuchajcie, jak nie będziecie cicho, to będę używał paralizatora...

– Czego chcesz?! – warknął Robert.

– Spokojnie, zaraz się wszystkiego dowiecie. Wyjaśnię tylko zasady naszego spotkania. Sprawa jest prosta. Przyszedłem tu, żeby się zemścić. Wykonam swoją misję i znikam. Okej? Od razu mówię, że nie zamierzam nikogo mordować, tak że luz, jeśli o to chodzi. Obowiązuje polityka zero trupów. Możecie się zrelaksować. – Człowiek w czerni spoglądał raz na Roberta, raz na Dominikę. Jego kolokwialny sposób mówienia zrobił na obojgu wrażenie. – W miarę możliwości proszę o współpracę, im szybciej zrobimy, co mamy do zrobienia, tym lepiej dla nas wszystkich.

Powiedziawszy to, wyciągnął z plecaka statyw, który rozłożył naprzeciwko Dominiki, a następnie postawił na nim telefon. Kiedy sprzęt był już gotowy, sięgnął ponownie do plecaka, z którego wyciągał kolejne rzeczy i układał je na podłodze jedna obok drugiej. Nożyczki fryzjerskie. Szklana buteleczka wypełniona przezroczystym płynem. Opakowanie chusteczek nawilżających. Pęseta. Ułożył wszystko w równym szeregu, niczym narzędzia chirurgiczne przed operacją.

– Gotowe – oznajmił uroczystym tonem.

– Posłuchaj mnie, człowieku!

Robert poczuł strach. Dopiero teraz dotarło do niego, że to wszystko dzieje się naprawdę i że nikt nie wyskoczy zaraz zza drzwi z okrzykiem „mamy cię!”. Dwoje ludzi przykuty do kaloryfera przez człowieka w masce antysmogowej – to było absurdalne i to się działo naprawdę.

– To ty mnie posłuchaj, bo teraz powiem, jak to będzie wyglądać.

– Za co się mścisz? – zapytała spokojnie Dominika. W jej głosie było więcej uczniowskiej dociekliwości niż przerażenia przyszłej ofiary.

Robert spojrział na nią z podziwem, zastanawiając się, czy naprawdę nie czuje strachu, czy tak świetnie potrafił go ukryć, a może strach odebrał jej rozum i przestała się bać? Jego nie było stać na spokój, był roztrzęsiony i za wszelką cenę chciał zwrócić na siebie uwagę chłopaka w masce.

– Błagam cię, posłuchaj mnie! – wykrzyczał. – Chcesz pieniędzy? Dostaniesz, ile będziesz chciał, wymienię tylko kwotę, załatwię to!

Dominika pomyślała, że Robert nie ma o ludziach pojęcia. Ona wiedziała już, że człowiek w masce przyszedł ją skrzywdzić i żadne pieniądze go od tego nie odwołają. Człowiek w masce majstrował tymczasem w znajdującej się na statywie komórce, jakby robił screen test przed kręceniem zdjęć.

– Mówię do ciebie, frajerze!

Spojrzał na Roberta, a kiedy skończył z telefonem, powiedział: „pięć milionów” – po czym wyciągnął paralizator i ruszył w stronę Roberta.

– To za frajera. – Nacisnął spust na szyi Machowskiego, aż ten zawył z bólu i padł bezwładnie na bok. – Nie lubię przezwisk. A teraz zajmijmy się tobą. – Odwrócił się w stronę Dominiki, która poczuła gwałtowny przypływ adrenaliny.

Tylko Vivien, nie rozumiejąc nic z tego, co się dzieje, radośnie biegła po pokoju.

– Kim jesteś?

– Nie przedstawiłem się? Bardzo niegrzecznie – zakpił. – Rozumiem, że jesteś zdenerwowana, ale mimo wszystko zachęcałbym do myślenia. Gdybym chciał, żebyś wiedziała, kim jestem, nie zakładałbym maski, co nie?

– Co chcesz zrobić?

– Przecież powiedziałem: zemścić się.

Podniósł nożyczki z podłogi.

– Ciach, ciach, ciach-ciach-ciach! – Szedł w stronę Dominiki, bawiąc się nożyczkami.

– Spierdalaj!

Poczucie bezbronności sprawiło, że dziewczyna zapłonęła wściekłością. Znajdowała się w rękach psychopaty i nic nie mogła zrobić. Czy na pewno? Mózg Dominiki wrzał. Neurony zaczęły się łączyć w poszukiwaniu pomysłu, który mógłby ją uratować. Czula niemal, jak napięcie elektryczne rozsada jej głowę. Mężczyzna stanął przy niej i zimnymi nożyczkami przejechał jej po policzku.

– Cze...kaj! – zaskrzeczał Robert. Zbyt duża dawka prądu zupełnie go otumaniła, ale widząc, co się dzieje, zmusił się, żeby wydobyć z siebie głos. – Pięć milionów, dostaniesz pięć milionów!

Napastnik znieruchomiał, a następnie odwrócił się w stronę Roberta.

– Kim ty jesteś, kolego, że sztasz taką kasą?

– Ma-am pie-niądze – wycharczał Robert. Miał zaschnięte gardło i czuł na szyi uścisk, jakby ktoś go dusił. – Posłuchaj... Jeszcze nic się nie stało, nie wiemy... – odchrząknął – kim jesteś ani jak wyglądasz. Dostaniesz pieniądze i nas puścisz. Nikt nie będzie cię szukać...

– Pięć milionów, powiadasz...

– Tak, tak!

– Muszę to przemyśleć.

Człowiek w czerni wyszedł z pokoju. Odszukał kuchnię. Ściągnął maskę. Skóra na twarzy swędziała go niemiłosiernie. Chwila odpoczynku dobrze mu zrobi. Odkręcił kurek, przemył twarz i napił się wody prosto z kranu. Pięć milionów... Wyobraził sobie, że mógłby je mieć. Nowy Jork... szkoła... kariera... Ale nie był idiotą. Taka kasa wcześniej czy później oznaczałaby wpadkę. O ile w ogóle istniał sposób, żeby ją dostać... Westchnął ciężko i założył maskę z powrotem na twarz. Rzucił okiem na kuchnię – połączone kurki, marmurowe blaty, na salon – stoliki ze stali nierdzewnej, designerska kanapa, kryształowy żyrandol, brakowało tylko leżących na podłodze garbowanych skór

afrykańskich dzieci. I znowu poczuł to wzburzenie, które kazało mu tu przyjść i zrobić jej to, co ona zrobiła jemu.

Ulga uwieczonych nie trwała długo, po kilku minutach oprawca wrócił.

– Kim dla niej jesteś? – rzucił w stronę Roberta.

Robert spojrział na Dominikę zdziwiony i zmieszany, jak uczeń na nauczycielkę, kiedy nie zna odpowiedzi na zadane przez nią pytanie.

– Jakie to ma znaczenie?

– Jakie ma znaczenie, czy ma znaczenie? Mam nad tobą przewagę, więc zamknij się i mów!

– Jesteśmy znajomymi – wtrąciła Dominika.

Wiedziała już, co zrobi, jeżeli człowiek w masce odrzuci okup, a tego była pewna. Miała tylko jeden talent i musiała go wykorzystać. Lata uwodzenia doprowadziły ją do tego momentu – musiała uwieść człowieka, który przyszedł zrobić jej krzywdę.

– Takimi od bzykania?

– Nie.

– Och... – jęknął zawiedziony. – Do niczego nie doszło?

– Przerwałeś nam – powiedziała Dominika, wprawiając Roberta w osłupienie.

– Powinieneś mi zapłacić albo przynajmniej podziękować – człowiek w czerni zwrócił się do Roberta. – Dzięki mnie zaoszczędziłeś kupę kasy, kolego, i rodzinę. Bo masz rodzinę, co nie? Dobrze trafilem? – Robert poczuł ukłucie wstydu. – I nie przeszkadza ci to w pierdoleniu się z suką, która robi to na czyjeś polecenie?!

W zachowaniu zamaskowanego mężczyzny coś się zmieniło. Pojawił się nowy, nieobliczalny pierwiastek, którego nie było wcześniej, jakby ktoś przełączył w nim wajchę. Robert pomyślał, że cokolwiek ten człowiek zamierzał zrobić wcześniej, byłoby niczym w porównaniu z tym, do czego jest zdolny teraz.

– Porozmawiamy o pieniądzach. Pięć milionów, pamiętasz układ? – starał się wrócić do negocjacji, ale tamten nie słuchał.

– Popatrz tylko na ten dom! Chata z klasą, co nie? Antyczne biurko – człowiek w masce podszedł do biurka i postukał w blat – prawdziwe drewno, pierwsza klasa. A ta lampa? – podbiegł do stojącej na stoliku lampki do czytania i uniósł ją do góry – prawdziwy kryształ, ciężki jak chuj – i rzucił lampą o podłogę, płośnie Vivien, która schowała się pod biurkiem. – Francja elegancja. A ile tu książek... – Podbiegł do regałów i zaczął zrzucać książki z półek. – Kto by pomyślał, że zwykła dziwka mieszka w pałacu?

Zimny dreszcz przeszedł Dominice po plecach. Na sąsiednim regale, metr dalej od miejsca, w którym szalał mężczyzna, znajdowały się atrapy książek z teczkami figurantów. Wiedziała, że jeśli zostaną odkryte, będzie po niej. Zanim zdążyła otworzyć usta, żeby wydać z siebie krzyk, który miał odwrócić uwagę mężczyzny, było już za późno. Pozłacane atrapy wylądowały z hukiem na podłodze. Kilka pudełek zdołało się otworzyć, z dwóch wypadły płyty. Mężczyzna podszedł do otwartej książki, z której wystawała złota teczka.

– A to co?

Książki-skrzynki zainteresowały także Roberta, który z zaciekawieniem obserwował rozwój wydarzeń. Człowiek w masce otworzył teczkę i przeczytał na głos: „Adam Lis, urodzony 25.01.1977,

rozwodnik” i tak dalej. Rzucił teczkę za plecy i otworzył następną. „Rafał Moskała, urodzony 16.03.1991”. Wyrzucił ponownie teczkę. Podszedł do półki, na której stały pozostałe tomy dokumentujące karierę uwodzicielki. Otwierał książki po kolei, czytał nazwiska mężczyzn i rzucał je na podłogę. Kilka załączonych do papierów zdjęć pofrunęło w stronę Roberta, który z uwagą przyjrzał się widniejącym na nich mężczyznom, a potem spojrzał na Dominikę, szukając na jej twarzy komentarza. Odpowiedziała wyrazem najszczerzego zdziwienia, jakby sama nie wiedziała, co jest grane. Do Roberta zaczynało jednak powoli docierać, że człowiek w masce nie jest wariatem, który zjawił się w jej domu przez przypadek.

– Jak się nazywasz, kolego? Chcesz, żebym poszukał twojej książeczki?

Człowiek w masce złapał kolejną książkę, ale zamiast odczytać nazwisko figuranta i odrzucić pudełko, zastygł w bezruchu. Spoglądał na otwartą teczkę w milczeniu, a potem rzucił ją na drugi koniec pokoju. Następnie złapał za nożyczki i doskoczył do Dominiki.

Zamiast spanikować, dziewczyna odetchnęła z ulgą, że płądrowanie archiwum wreszcie się skończyło i że skończyło się tylko na tym. Mężczyzna złapał ją za włosy, pociągając głowę do tyłu.

– Nie!!! – krzyknął Robert i zamknął oczy.

Nie mógł patrzeć, jak napastnik wbija ostrze nożyczek w szyję dziewczyny, z której tryska fontanna krwi. Zamiast spodziewanych odgłosów masakry usłyszał jednak dźwięk ścinania włosów. Otworzył oczy. Wokół Dominiki, która wyglądała jak rażony prądem kurczak, leżały pasma lśniących włosów w odcieniu zimnego blondu. W każdym innym przypadku taki widok miałby szansę wzbudzić śmiech, ale Dominika ze sterczącymi na wszystkie strony nierównymi kępkami włosów wyglądała przerażająco. Naruszenie jej nieskazitelnego wyglądu było niczym skalenie obrazu najczystszej panny, to było świętokradztwo, które wzbudzało lęk samym faktem, że ktoś się na nie poważył.

– Co ty wyprawiasz, człowieku?!

– Robi to, bo jest prawiczkciem! – wykrzyczała Dominika.

Człowiek w masce znieruchomiał. Był w wieku, w którym odbycie stosunku równa się prawu do życia.

– Zamknij się, pizdo!

– Dziewica!

– Nie rób tego! – zawołał Robert, który obawiał się, że Dominika razem z włosami straciła rozum. Prowokowanie kogoś, kto miał nad nią przewagę, nie było dobrym pomysłem.

Dominika działała jednak z rozmysłem. Czułe słówka i słodkie minki nie były metodą na uwiedzenie chłopaka w masce. Nienawiść, którą do niej czuł, zamykała mu oczy na jej urok. Jeśli chciała znaleźć się z nim w łóżku, to musiała go sprowokować. Ta sama nienawiść sprawiała bowiem, że chłopak nie zniósłby pochodzącej z jej ust kpiny.

– Ile masz lat, prawiczkcu? – przybrała zalotny i pogardliwy ton głosu. – Osiemnaście, dwadzieścia, nie więcej niż dwadzieścia dwa?

Chłopak odłożył nożyczki i sięgnął po opakowanie chusteczek, z którego wyciągnął kilka listków.

– I nikt cię jeszcze nie chciał? Jakie to żalodne – nie przestawała mówić, obserwując zarazem swojego prześladowcę. – Koledzy od dawna zaliczają dziewczyny, a ty? Brandzlujesz się po nocach, myśląc o tych wszystkich dziewczynach, które... – Nie dokończyła, bo chłopak znowu do niej doskoczył.

Złapał ją za podbródek i zaczął wycierać jej twarz mokrą chusteczką.

Dominika zacisnęła zęby. Ślady czerwonej szminki, którą miała na ustach, rozniosły się po całej twarzy. Z poszarpanymi włosami i czerwoną twarzą wyglądała jak postać z horroru.

Robert zaczynał rozumieć, o co w tym chodzi. Ten człowiek odzierał Dominikę z jej urody. A jeśli rzeczywiście tak było, jaka substancja znajdowała się w przezroczystej butelce?

– Nikt mi niczego nie odmawiał – wysyczał mściciel, zbliżając twarz do twarzy Dominiki na taką odległość, że poczuła na skórze jego maskę.

Spojrzał jej w oczy, miał niebieskie oczy, które gdzieś już kiedyś widziała. Gdzie? Kiedy? I nagle zrozumiwała. To były oczy Wieczorka.

Jak mogła nie wpaść na to wcześniej?

– Szkoda, że nie możesz się zobaczyć – powiedział Matti Wieczorek.

Odsunął się na krok, jakby chciał ujrzeć efekt swojej dotychczasowej pracy. Próbował udawać pewnego siebie, ale pewność siebie była ostatnią rzeczą, jaka od niego biła. Dominika wiedziała, że złapał przynętę. Teraz, kiedy odkryła jego tożsamość i elementy układanki złożyły się w całość, rozumiała również, dlaczego próbowała sprowokować go w ten, a nie inny sposób. Nie chodziło tylko o jego młody wiek, który kazał jej zagrać kartą dziewictwa. Kartą bezbłędną, bo nawet gdyby chłopak nie był prawiczkim, i tak jak niemal każdy młody mężczyzna nie wytrzymałby oskarżenia o dziewictwo. Ale nie chodziło tylko o to. Dominika wyczuła od niego to coś, tę aurę zбочenia, która dopiero wraz z odkryciem tożsamości chłopaka zyskała konkretny kształt. A jeśli miała rację, to właśnie zdobyła nad nim przewagę.

– Jest gorzej, niż myślałam – zakpiła. – Jesteś impotentem, pieprzonym nieudacznikiem.

Walną ją w twarz.

– Słyszałeś – celowo zwróciła się do Roberta, żeby obecnością dojrzałego mężczyzny poniżyć i sprowokować chłopaka jeszcze bardziej. – Jest prawiczkim, bo mu nie staje!

– Przestań! – krzyknął Robert do Dominiki, widząc, że człowiekowi w masce puszczają nerwy.

Interwencja obróciła się jednak przeciwko niemu. Wieczorek podbiegł do Roberta i poczęstował go najdłuższą z dotychczasowych dawką prądu. Tym razem Machowski stracił przytomność.

– To nie pomoże, będziesz musiał nas zabić. I ja, i on wiemy, że jesteś impotentem. Odkryłam twój sekret, nie jesteś zdolny do odbycia stosunku. Może nawet potrafisz ożywić tę glistę, którą nosisz między nogami, ale nie jesteś w stanie uprawiać seksu. Nie mógłbyś mnie zerznąć...

– Zamknij się!

Matti podszedł do umieszczonego na statywie telefonu. Sprawdził parametry nagrywania, a potem sięgnął po buteleczkę z przezroczystym płynem.

– Najpierw zobaczysz, co cię czeka – rzucił wściekle.

Wyciągnął Vivien spod biurka. W jednej ręce trzymał psa, w drugiej butelkę.

– Zostaw!

Mateusz Wieczorek nacisnął buteleczkę i strumień kwasu wydostał się na zewnątrz, wprost na grzbiet najbrzydszego psa świata. Vivien wyla z bólu, kręcąc się wokół własnej osi – wyglądała jak czarny bączek dla dzieci. W powietrzu uniół się dziwny zapach.

Wieczorek podszedł do Dominiki i ścisnął ją za gardło.

– Mogłbym zrobić z tobą wszystko. Problem polega na tym, że się brzydzę. Nie zarżnę cię, bo się brzydzę. A teraz sprawię, że każdy facet, który na ciebie popatrzy, będzie mieć tak samo. – Podniósł

buteleczkę na wysokość zakrwawionej czerwoną szminką twarzy.

– Nie wierzę ci – wydusiła Dominika. – Nie potrafisz mnie przelecieć. Jest tylko jedna kobieta, z którą możesz to zrobić...

Zacisnął palce na jej szyi.

– Twoja matka!

Dominika wypaliła ostatnią kulę i wiedziała, że trafi. Bo nawet jeśli się pomyliła, jeśli młody Wieczorek był najnormalniejszym w świecie nastolatkiem, to ona dałaby sobie rękę uciąć, że chociaż raz w życiu pomyślał o swojej matce w niewłaściwy sposób. I nie miało znaczenia, czy wywołało to w nim strach, obrzydzenie czy podniecenie. Edyta Wieczorek była młodą, piękną kobietą, zbyt młodą i zbyt piękną jak na matkę, a to wystarczyło.

# Skojarzenia

Sylwia nie miała zbyt wiele czasu, żeby przygotować się do spotkania z Jankiem, a i tak zdążyła przymierzyć przed wyjściem około czternastu różnych strojów. Ponieważ w każdym wyglądała jak „potłuczona” albo „jakby miała coś z głową”, włożyła ostatecznie jeansy, te same, w których była w pracy, i zwykły bawełniany top. Do tego obowiązkowo trampki, które nosiła zawsze, gdy pozwalała na to pogoda. Początkowo miała zamiar się umalować, ale przymierzanie ubrań i przeglądanie się w lustrze zmęczyło ją tak bardzo, że zrezygnowała również z tego. Wzięła do ręki ramoneskę, bo noc były już chłodniejsze, i wyszła z domu, mając głęboką nadzieję, że idzie na randkę.

Kiedy dotarła na miejsce kilka minut przed czasem, Janka jeszcze nie było. Weszła po prowadzących do kościoła schodach i podziwiała roztaczający się z góry widok na Rynek Podgórski. Mieszkała w Krakowie przeszło cztery lata, kilometr od Rynku Podgórskiego, i nagle uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, jak nazywa się kościół, przed którym stoi. Sięgnęła po smartfon, żeby to sprawdzić. Zanim kliknęła ikonę internetu, postanowiła, że jeżeli kościół ma patrona, nazwie jego imieniem pierwsze dziecko, jakie będą mieli z Jankiem. Wpisała do wyszukiwarki: „kościół Podgórze Kraków”, i po chwili odkryła, że urodzi chłopca, choć imię dziecka nie do końca przypadło jej do gustu.

– Mówiąc „spotkajmy się pod kościołem”, nie miałem na myśli pod samymi drzwiami – usłyszała dobiegający z dołu głos.

Janek stał obok samochodu, w którym nie było przedniej szyby.

– Co się stało?! – zapytała dziewczyna, zbiegając po schodach.

Mężczyzna wzruszył bezradnie ramionami.

– Nie mam pojęcia, kto i dlaczego to zrobił.

– Przykro mi.

– Oryginalna szyba...

Sylwia pogłaskała calibrę po masce.

– Przyjechałeś na spacer samochodem?

– Przecież nie mogłem zostawić jej samej!

– No tak – zgodziła się. – Podoba ci się imię Józef? – zapytała niespodziewanie.

– Czy ja wiem... jakies takie starożytne. A co?

– Twój syn będzie mieć tak na imię.

– Jesteś tego pewna?

– Raczej tak.

– Jesteś wróżką czy co?

– Bardziej „czy co”.

– Naprawdę idziemy na piechotę? – zapytał z nadzieją, ale widząc zdeterminowanie Sylwii, natychmiast zrozumiał, że wątpliwa przyjemność spacerowania tego dnia na pewno go nie ominie.

Zaparkował więc calibrę i ruszyli na spacer.

– Prowadź, nigdy w życiu nie byłem na spacerze.

- Bardzo śmieszne.
- To prawda, przysięgam!
- Jest jeszcze coś, czego nigdy w życiu nie robiłeś? Bo zaczynam się obawiać.
- Tak.
- Co?
- Nie powiem ci.
- Dlaczego? Jak zacząłeś, to musisz powiedzieć! – zdenerwowała się Sylwia.
- Tak, a niby czemu?

- Taka jest zasada, i już. – Tupnęła nogą. – Nie można bezkarnie rozbudzać czyjejs ciekawości, to niemoralne.

Roześmiał się.

- Dobrze, powiem ci, ale nie teraz.

- Ale na pewno?

- Na pewno, obiecuję.

- To musi być coś poważnego...

- Nawet sobie nie wyobrażasz – stwierdził poważnie. – A propos spacerów na świeżym powietrzu... Nie uwierzysz, ale widziałem dzisiaj koleśia w masce antysmogowej.

- Niemożliwe!

- Serio!

- Wariat?

- Może nie zaktualizował aplikacji antysmogowej.

- Albo szedł na robotę i zapomniał kominiarki.

- Mama nie zdążyła wyprać.

Teraz śmiali się oboje.

- Jak tam w twojej drugiej pracy? – zapytała Sylwia.

- Leci.

- Nie bądź taki tajemniczy, powiedz coś więcej. Wszystkich w klubie zżera ciekawość. Uwodzenie na zlecenie, to robi wrażenie – powiedziała z nutką kpiny, która umknęła jednak Jankowi, podobnie jak szczypta zazdrości w jej kolejnym zdaniu. – I jeszcze ta twoja nieistniejąca współpracownica.

- Tak naprawdę to zamykamy agencję – wyznał Janek.

- Mówisz poważnie? Dlaczego?

- Mam już tego dosyć.

Sposób, w jaki to powiedział, kazał przypuszczać, że kryje się za tym jakaś większa sprawa.

- Coś się stało? Przepraszam, jeśli jestem wścibska, wszyscy mi zawsze mówią, że jestem wścibska. Na pewno skończę jak moja babcia, która cały dzień spędza na podglądaniu sąsiadów. Już tak mam, nie kontroluję tych pytań, ale to nie wynika z faktu, że jestem tak bardzo ciekawa tego, co dzieje się u innych, mówiąc szczerze, to mam to gdzieś. To znaczy – przestraszyła się, że palnęła głupotę – nie chciałam powiedzieć, że mam gdzieś, co się dzieje u ciebie, zupełnie nie o to chodzi! No i podobno dużo gadam – podsumowała zmieszana.

Janek wpatrywał się w Sylwię i uznał, że jest równie pokrecona jak jej czerwone loki.



– Gadanie jest seksi.

– Tak? – Zarumieniła się. – Czemu tak uważasz?

– Jak dziewczyna tyle gada, to ma się ochotę zamknąć jej czymś usta.

– Ty świniol!

Przekomarzając się, przeszli Wisłę i szli dalej w stronę Kazimierza.

\*

Robert ocknął się po kilku minutach, w pokoju nie było nikogo.

– Rahun...ku! Ra...tun...ku! – próbował krzyczeć, ale z jego krtani wydobywały się tylko szczątki dźwięków. Gdzie oni są? Zaczął stukać kajdankami o rurę kaloryfera, mając nadzieję, że ktoś go usłyszy, sąsiad, przechodzień, ktokolwiek...

Mateusz Wieczorek usłyszał dobiegający z biblioteki hałas i stanął w miejscu. Pot spływał mu po skroniach, było potwornie gorąco i w pewnym sensie z radością przyjął tę chwilę wymuszonego odpoczynku. Dziewczyna, z którą od kilku minut bawił się w kotka i myszkę, stała po drugiej stronie łóżka i wpatrywała się w niego z wściekłością. Ręce miała skute za plecami i chyba tylko dlatego nie zdołała mu się całkiem wymknąć. Jak to się stało, że stracił nad nią kontrolę?! Cały czas powtarzał sobie, że musi uważać, skuł jej ręce, zaprowadził do pokoju, który zamknął na klucz, był uważny! Skąd mógł przypuszczać, że suka jest aż tak wysportowana? Kiedy rzucił ją na łóżko, odepchnęła się od materaca, wykonała rodzaj salta do tyłu i stanęła na równe nogi. Była tak szybka, że nie zdołał jej złapać. Na szczęście to on stał bliżej drzwi, dlatego w pierwszym odruchu zatarasował wyjście z pokoju. Jedyne, co udało jej się osiągnąć, to wydostać się z zasięgu jego rąk, poza tym nie mogła nic zrobić. Nie wyskoczy przecież przez zamknięte okno? Ze skutymi rękami nie byłaby w stanie go otworzyć. Od kilku minut wykonywali więc idiotyczny taniec, on kilka kroków w jej stronę, ona kilka kroków w bok. Oboje testowali możliwe rozwiązania sytuacji. Dominika wiedziała, że musi zaryzykować i rzucić się na Wieczorka, on zrozumiał, że bez broni niewiele zdziała. Jedynym rozwiązaniem było wydostanie się z pokoju i pójście po broń. Teraz, kiedy ten debil z dołu robił tyle hałasu, i tak nie było innego wyjścia i Matti podjął decyzję.

Włożył klucz do zamka, otworzył zamek, weźmie klucz, wybiegnie z pokoju i zamknie drzwi od zewnątrz. Co mu strzeliło do głowy, żeby wsadzać ten klucz do kieszeni? Wyciągnięcie klucza spoconą dłonią nie będzie łatwe. Otarł dłoń o spodnie, wymacał w kieszeni klucz, wysunął go i włożył do zamka, przez cały czas nie spuszczał oka z czerwonej twarzy. Dominika obserwowała jego poczynania równie uważnie, ale nie ruszała się z miejsca. Przekręcił klucz, nacisnął klamkę, wyjął klucz. Teraz czekało go najtrudniejsze zadanie. Wiedział, że gdy tylko uczyni krok, żeby wyjść z pokoju, suka natychmiast do niego doskoczy. Musiał być od niej szybszy! Na trzy. Raz, dwa... trzy. Zgodnie z przewidywaniami, gdy tylko wykonał ruch, dziewczyna doskoczyła do drzwi. Zdążył wybiec z pokoju, ale nie zdążył ich zatrzęsnać.

Dominika napierała na drzwi z całej siły, aż zdołała je lekko uchylić. Skąd ona ma tyle siły? Matti tarasował drzwi z drugiej strony, próbując jednocześnie włożyć klucz do zamka. Udało mu się to zrobić, ale nie mógł przekręcić klucza, bo drzwi wciąż były niedomknięte. Zmobilizował całą energię i napał na drzwi najmocniej, jak potrafił. Udało się, przywarły do framugi. Kiedy przekręcił klucz, Dominika zawyla niczym demon podczas egzorcyzmów.

Matti ściągnął maskę, pobiegł do kuchni, chcąc opłukać zmaltretowaną twarz. Wypił kilka łyków wody, założył maskę z powrotem i poszedł do biblioteki, żeby uciszyć debila. Paralizator zdążył się wyładować, więc użył do tego celu szmatki nasączonej alkoholem. Tymczasem Dominika kombinowała, w jaki sposób wydostać się z pokoju. Mogła spróbować wykopać zamek, ale ze skutymi rękami byłoby to trudne i szybko przywołałoby Wieczorka z powrotem do pokoju. Drugą opcję stanowiło okno. Wbrew temu, co pomyślał wcześniej Wieczorek, potrafiłaby je otworzyć. Większy problem stanowiła odległość z okna do ziemi. Skok z rękami do tyłu mógłby się skończyć urazem. Nie chcąc ryzykować, wybrała inne rozwiązanie.

\*

Sylwia z Jankiem dotarli na Kazimierz i dziewczyna zgodziła się wreszcie usiąść. Wybrali pierwszy ogródek z wolnym stolikiem, Sylwia zajęła miejsca, a Janek poszedł do lokalu kupić piwo.

– Włożyłaś kurtkę – zauważył kilka minut później Janek, stawiając na stole dwie butelki.

Usiadł naprzeciwko Sylwii i wpatrywał się w nią nieustępliwie. Coś nie dawało mu spokoju.

– O co chodzi?

– Nie, nic, tylko ta kurtka...

Janek miał wrażenie, jakby w jego głowie zabawiały się ze sobą dwa neurony. Zamiast połączyć się w synapsę, wzajemnie się drażniły, wywołując w jego mózgu uczucie łaskotania.

– Nie podoba ci się? Została mi z czasów, kiedy słuchałam metalu. To było coś, nie każdy metalowiec mógł sobie na taką kurtkę pozwolić. Ale jedną rzecz musiał mieć, choćby nie wiem co. Mam na myśli glany oczywiście.

– Glany?

– No wiesz, te buciory. Ja miałam wszystkie kolory. Zielone, bordowe, granatowe i czarne...

– Czarne?

– No tak, przecież nie różowe. Najgorsze było to, że chodziłam w tych butach cały rok, zima czy lato, chociaż nie nadawały się ani na lato, ani na zimę.

– Lato?

– Czy ty masz wylew?

– O kurwa! – Janek poderwał się nagle z miejsca.

Wreszcie zaskoczyło. Zdjęcia Mattiego Wieczorka na kominku. Metalowiec na klatce schodowej. Człowiek w masce pod domem Dominiki.

– To nie był złodziej.

Sylwia pomyślała, że naprawdę ma w życiu pecha. Wylew na pierwszej randce.

– Dominika jest w niebezpieczeństwie!

\*

Matti Wieczorek usłyszał huk i do głowy przyszło mu tylko jedno słowo: okno! Odrzucił plecak, w którym szukał gazu, żeby za jego pomocą obezwładnić sukę. Porwał za to butelkę z kwasem i pobiegł do pokoju. A co, jeśli naprawdę wyskoczyła przez okno? Pierwszy raz stanął w obliczu ewentualności, że jego plan może się nie powieść, i nie była to miła ewentualność. Serce waliło mu jak oszalałe. Przekręcił klucz i niewiele myśląc, wparował do pokoju. Zobaczył rozbity lampkę nocną i w tym samym

momencie poczuł pod kolanem potworny ból, który ściął go z nóg. Zaczajona za drzwiami Dominika zaatakowała go od tyłu. Kolejne uderzenie powędrowało na plecy, następne na kark i Mateusz Wieczorek padł twarzą na podłogę. Za tę jedną rzecz Dominika była Jankowi wdzięczna – nauczył ją taekwondo. Trudniejsze od zadawania kopniaków z rękami związanymi z tyłu było dostanie się do kieszeni chłopaka, żeby wyciągnąć kluczyk od kajdanek. Dominika usiadła na podłodze bokiem do leżącego ciała i macając spodnie, szukała wejścia do kieszeni. Dlaczego to zrobiła? Dlaczego nie uciekła? Dlaczego założyła, że chłopak stracił przytomność? Nagle poczuła ból, którego nie zapomni do końca życia. Mateusz Wieczorek przekręcił się na plecy i nacisnął butelkę z kwasem, celując w jej stronę. Żrący strumień wylądował na połowie twarzy Dominiki, kilka kropli dotknęło także szyi oraz ramienia.

\*

Dominika nie odbierała telefonu, więc Janek podjął decyzję.

– Muszę do niej jechać.

– Jadę z tobą!

Zawahał się.

– No to biegiem na postój!

– Jest piątek! – rzuciła przytomnie Sylwia.

Oboje zrozumieli, że więcej czasu zajmie im znalezienie wolnej taksówki niż dobiegnięcie do calibry.

– No to kto pierwszy, ten lepszy.

Spacer na Kazimierz zajął im pół godziny, sprint w powrotną stronę niecałe dziesięć minut. Sylwia przybiegła kilkadziesiąt sekund przed Jankiem, który i tak musiał dać z siebie wszystko, żeby za nią nadążyć.

– Myślałam, szefie, że jesteś w lepszej formie.

– Bądź cicho, bo cię zwolnię – wysapał.

Wsiedli do samochodu i Janek ruszył z kopyta. Mógł wreszcie wykorzystać potencjał calibry, tej pantery szos, jak nazywał swój ukochany samochód, ale w tej sytuacji nie potrafił się z tego cieszyć. Bo jeśli teraz miał rację, to wcześniej popełnił błąd i jeżeli Dominika znajduje się w niebezpieczeństwie, to on jest za to odpowiedzialny. Andrzej Wieczorek go oszukał. Przyznał się do napisania listów, bo zrozumiał, że ich autorem jest Mateusz. Ojciec wziął na siebie winę syna.

– Zostań w samochodzie – powiedział Janek do Sylwii, kiedy dotarli na Kasztanową.

Zanim otworzył drzwi, wyjął ze schowka pistolet. Będąc już jedną nogą na chodniku, zobaczył samochód Machowskiego i się zawahał.

– Co się stało?

– Nie, nic.

Instynkt zaprowadził go na tył domu. Słońce już dawno zaszło, a mimo to panowała względna jasność. Blak spojrzal w górę. Na bezchmurnym granatowym niebie świecił okrągły przerażająco żółty księżyc, który przyprawił go o dreszcz. Nie lubił księżyców w pełni i mgieł o poranku, pierwsze kojarzyły mu się z wilkołakami, drugie z zombiakami, żadnego z tych stworów nie chciał spotkać na swojej drodze. Wspiął się po drewnianej konstrukcji na róg tarasu. Przesuwając się wzdłuż ściany,

dotarł do przeszklonych drzwi salonu. Zajrzał przez szybę. W pomieszczeniu paliła się lampka, ale nikogo tam nie było. Przesunął ostrożnie drzwi i wszedł do domu. Wiedział, że bez względu na to, jak cicho będzie się zachowywać, Vivien i tak wyczuje jego obecność i zacznie szczekać. Licząc się z tym, że zostanie zdemaskowany, wyciągnął pistolet. Przez chwilę nasłuchiwał.

Vivien nastroszyła uszy i uniosła poparzoną głowę lekko do góry, na więcej nie miała siły.

– Nie – wymamrotała na wpół przytomna Dominika.

Co pewien czas traciła i odzyskiwała przytomność, tylko częściowo rejestrując to, co się z nią dzieje. Potworny ból minął, a może zdołała się już do niego przyzwyczaić. W nozdrzach czuła jeszcze swąd spalonych włosów i była przekonana, że straciła połowę twarzy. Znowu była w bibliotece przykuta do kaloryfera. Wiedziała, że zaraz umrze.

– Przytargałem cię tu, bo taki materiał nie może się zmarnować – powiedział Wieczorek, stojąc nad Dominiką z butelką kwasu w ręce. – Będzie z tego niezły film. Może nawet wyślę go na jakiś festiwal... Maltretowany pies i maltretowana suka, nikt nie ośmieli się tego odrzucić. Pojeby z Sundance nawet nie zajarzą, że kręciłem na żywca. Mogłem na tę okazję wymyślić jakiś efektowny monolog – zasepił się – no ale chuj. Jest, jak jest. Bo widzisz, jestem reżyserem. W tym roku miałem w związku z tym potężne plany. Kurs reżyserii. New York Film Academy. Mówi ci to coś? Nie? Jak by to opisać... Nowojorska Akademia Filmowa to dla mnie to, co dla ciebie dziesięć centymetrów kutasa ekstra, teraz rozumiesz? Ale niestety, plany poszły się jebać. Mój ojciec, z którym miałaś przyjemność się pieprzyć, i moja matka, która przez ciebie spała się jak wieprz przed weselem, uznali, że zamiast do Nowego Jorku pojedą do Kobierzyna. I powiem ci, że trochę mnie to zabolalo. Ojciec zawsze był miękki, ale ona? – Matti Wieczorek westchnął z żalem.

Zaczerpnął powietrza, żeby kontynuować monolog, ale w tym samym momencie padł na ziemię. Janek zaszedł go od tyłu i z całej siły walnął rękocięcią pistoletu w tył głowy.

Dominika nie była pewna, czy naprawdę widzi Blaka, czy weszła już w stan przedśmiertnych majaków. Jeśli to były wizje, miały bardzo realistyczny charakter. Słyszała wyraźnie głos, który powtarzał: „już dobrze”, „już po wszystkim”.

Janek rozkuł Roberta, walnął go dla otrzeźwienia w twarz, a następnie podbiegł do Vivien, która cały czas cicho kwiliła. Wziął pieska na ręce i wybiegł z domu. Sylwia, która niespokojnie krążyła wokół calibry, spostrzegła go z daleka i od razu zrozumiała, że coś jest nie tak.

– Co się stało?!

– To chyba kwas. Zawieź ją do weterynarza, ja muszę tu zostać – powiedział Janek, umieszczając Vivien w samochodzie.

Dziewczyna nie zadawała zbędnych pytań. Wyszukała w telefonie adres całodobowej przychodni dla zwierząt, usiadła za kierownicą i ruszyła. Obserwując, jak calibra odjeżdża, Blak zadzwonił po karetkę, a potem wrócił do domu.

Kiedy wszedł do biblioteki, Wieczorek leżał jak wcześniej na środku pokoju, ale jego ręce były skute na plecach kajdankami. Machowski pochylał się teraz nad Dominiką, uwalniając jej ręce.

– Karetka zaraz będzie – powiedział Janek, rozglądając się po pokoju.

Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to umieszczony na statywie telefon. Bez zastanowienia schował go do kieszeni.

– Może zanieśmy ją pod bieżącą wodę?

– Dobry pomysł – zgodził się Janek i sam zaniósł Dominikę do łazienki. Włożył ją do wanny i zaczął przemywać oparzenia zimną wodą.

– Policja? – Robert zwrócił się do Janka.

– Nie będzie policji. Nic z tego, co tu się stało, nie miało miejsca – odparł Blak.

– Co ty...

– Zrobisz, co mówię, albo cały świat zobaczy, jak twoja żona pieprzy się z trenerem fitness. Mam to nagrane, jasne? – skłamał. Nic innego nie przyszło mu do głowy, żeby zapewnić sobie milczenie Machowskiego.

Robert skinął głową. Przypomniał sobie atrapy książek wypełnione dokumentami i słowa człowieka w masce. Domyślił się, że mężczyzna, który uratował mu życie, a kiedyś na jego oczach dzielił Dominikę w twarz, prowadzi z nią nielegalne seksinteresy i dlatego nie może wezwać policji.

– Kim ona jest?

– Naszym największym błędem, stary.

Robert zachwiał się na nogach.

– Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest.

– Dostałeś paralizatorem – stwierdził Janek, widząc na szyi Roberta czerwone ślady. – Najlepiej pojedź od razu do szpitala, pewnie zafundował ci końską dawkę. To może być zawał, z prądem nie ma żartów.

– To pocieszające. – Robert się uśmiechnął. – Co będzie z tamtym?

– Zajmę się nim. Bez obaw, zrobię to, jak należy. Zgodnie z prawem – dodał po chwili Blak, uprzedzając obawy Machowskiego – ale muszę to zrobić po swojemu, rozumiesz?

Robert skinął głową. Usłyszeli karetkę.

– Dziękuję za pomoc – powiedział Machowski, po czym odwrócił się na pięcie.

Wychodząc z domu, wskazał sanitariuszom drogę do poszkodowanej.

## Avi.

Jaki ojciec, taki syn, pomyślał Janek, kiedy wchodząc do biblioteki, poczuł zapach moczu. Na czarnych spodniach Mattiego Wieczorka widniała wilgotna plama, która w połączeniu z leżącą obok chłopaka maską sprawiała komiczne wrażenie. Janek przykuł Wieczorka do kaloryfera, po czym usiadł za biurkiem. Sięgnął do kieszeni po telefon, który zabrał wcześniej ze statywu, i zajął się przeglądaniem jego zawartości. Chciał zobaczyć, co dokładnie wydarzyło się w tym pokoju, poza tym potrzebował czasu, żeby podjąć jakąś decyzję. Robert miał rację, dylemat Janka polegał na tym, że zgłaszając popełnienie przestępstwa, sam podałby się policji na tacy. Ale wypuścić wariata i przestępcę z powrotem do ludzi? Sumienie nie pozwalało mu tak postąpić. Odszukał w telefonie ostatnio nagrany plik i nacisnął play.

– Dlaczego to nagrałeś? – rzucił w stronę Wieczorka, dziwiąc się, że ten wpadł na pomysł, żeby zarejestrować własne przestępstwo. Był na tyle głupi, sądząc, że maska uchroni go przed identyfikacją?

Chłopak podniósł głowę i w odpowiedzi na zadane pytanie wzruszył jedynie ramionami. Janek spojrział na ekran telefonu, na którym Wieczorek wycierał twarz Dominiki białymi chusteczkami. Oglądanie takich scen nie było niczym przyjemnym, więc szybko przewinął nagranie. Kiedy jednak w następnej scenie zobaczył Wieczorka polewającego Vivien kwasem, z radości aż podskoczył. Chyba znaleźli rozwiązanie swojego problemu. Wpisał do wyszukiwarki hasło „znęcanie się nad zwierzętami” i po przeczytaniu odpowiedniego paragrafu odetchnął z ulgą. „Znęcanie się nad zwierzętami – kara pozbawienia wolności do lat 3. Jeżeli sprawca działa ze szczególnym okrucieństwem – kara pozbawienia wolności do lat 5”.

Zamknął plik i przejrzał pozostałą zawartość telefonu Mattiego – wiadomości, połączenia, pobrane pliki oraz historię przeglądania. Zwrócił uwagę, że jeden plik wideo odtwarzany był na telefonie wyjątkowo często. Otworzył film i z wrażenia aż się odsunął. Na ekranie pojawiła się bowiem twarz Dominiki. Kobieta patrzyła do kamery w pewny siebie, wyzywająco-kpiący sposób, poprawiając jednocześnie włosy, a potem powiedziała: „Cześć kochanie. Przesyłam ci wideo, na którym uprawiam seks z twoim mężem”. Na ekranie pojawił się następnie znany Jankowi kadr z sekstaśmy Andrzeja Wieczorka. Co ciekawe, film trwał zaledwie kilkadziesiąt sekund. Dominika wysłała Edycie okrojoną wersję, wycinając fragmenty, w których mężczyzna nadaremnie wzywał imię swojej żony.

A więc dlatego się rozwodzą, pomyślał Blak i poczuł głęboki smutek. Dominika stanowiła ucieleśnienie najczystsze, najbardziej zaborczego egotyzmu, do jakiego zdolny jest człowiek. Żadna inna kobieta nie mogła być od niej młodsza, ładniejsza, mądrzejsza, a co najważniejsze, pod żadnym pozorem nie mogła zabierać należnej jej uwagi. Nie przez przypadek grono najbliższych przyjaciół Dominiki stanowili ludzie około pięćdziesiątki, a jej najlepsza przyjaciółka była już babcią, co właśnie dotarło do Janka. Aureola, która w wyobrazeniach Blaka unosiła się nad głową Dominiki, powoli bladła i dotychczas zaślepiony wyznawca swojej przyjaciółki z każdą chwilą odzyskiwał ostrość widzenia, zaczynając dostrzegać, że za blaskiem aureoli kryje się zwęglona wampirzyca. Ale odkrycie całej prawdy okaże się tak szokujące, że jeszcze przez pewien czas Janek Blak będzie próbował jej

zaprzeczać, szukając we wspomnieniach przykładów bezinteresownego zachowania przyjaciółki i nie chcąc przyznać sam przed sobą, że kochając Dominikę, zachowywał się jak skończony dureń.

Detektyw podszedł do Wieczorka.

– Ojciec nie kazał ci trzymać się od niej z daleka? – zapytał, nie mogąc pojąć, jakim cudem stary Wieczorek, wiedząc o listach, nie powstrzymał syna przed popełnieniem dalszych przestępstw.

Chłopak skinął głową.

– To dlaczego go nie posłuchałeś?

– Chcą mnie odesłać do domu wariatów – poskarżył się Matti, jakby to on był największą ofiarą zaistniałej sytuacji. – Przez nią nie pojadę na studia.

– To po co wysyłałeś listy?

– Chuj ci do tego.

Janek przypomniał sobie galerię zdjęć nad kominkiem w domu Wieczorków, która przedstawiała szczęśliwą rodzinę, i stwierdził, że zna odpowiedź na swoje pytanie. Było jeszcze mnóstwo rzeczy, o które mógł zapytać młodego Wieczorka – jak trafił na Szwedzką, a potem na Kasztanową, czy to on potrafił trenera, ale nagle poczuł, że ma to gdzieś. Zarys historii znał, resztę mógł sobie dopowiedzieć.

– Ona zrobiła krzywdę tobie, ty zrobiłeś jej. Jesteście kwita. Możesz iść do domu – powiedział i rozkuł chłopaka.

Zamiast rzucić się przed siebie, Mateusz przytulił się do kaloryfera, sądząc, że sobowtór Toma Cruise'a próbuje wybawić go podstępem z pokoju, żeby zaciągnąć do piwnicy i tam zabić.

– No, wypierdalaj!

– Zostaw mnie!

Janek złapał chłopaka za łachmany i siłą postawił na nogi, następnie zaciągnął go do wyjścia.

– Wypad! – krzyknął i wypchnął chłopaka z domu.

Mateusz Wieczorek zszedł ostrożnie po schodach i dopiero kiedy stanął na chodniku, puścił się pędem przed siebie.

# List

Dwudziestego siódmego września dwutysięcznego dziewiętnastego roku w wieku trzydziestu trzech lat zmarła nagle Anna Prus. To była jej druga śmierć w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy i Ania wiedziała, że tej na pewno nie przeżyje. Ta śmierć spadła na nią zupełnie nieoczekiwanie, w dodatku w momencie, kiedy w jej życiu pojawiło się znowu światło, kiedy powoli wygrzebywała się z mroków pierwszego grobowca. Wychyliła spod ziemi głowę i wtedy właśnie dostała obuchem w łeb.

Po wyjściu Roberta z domu Ania spędziła na kolanach kilkadziesiąt minut. Pusta, sztywna i trupio blada czekała na sąd ostateczny. Myślała o sobie, myślała o Robercie i nagle poczuła przyjemne ciepło w okolicy mostka, jakby krew zaczęła w niej znowu krążyć. Myliła się, nie była martwa. Tak samo jak martwy nie był Robert. I dopóki żył, istniała szansa, że zechce jej wysłuchać i wybaczyć. Ożywiona tą myślą pobiegła do gabinetu i usiadła za biurkiem. Przygotowała kartki, wzięła do ręki długopis i zaczęła pisać.

NR,

*piszę do Ciebie, ponieważ chcę Ci wszystko wyjaśnić. Oczywiście to, że ja napiszę list, nie jest jednoznaczne z tym, że Ty go przeczytasz. Wiem, że jesteś zły i może ta złość każe Ci wyrzucić list do kosza, ale mam nadzieję, że tego nie zrobisz. Mam nadzieję, że go przeczytasz, że od początku do końca wysłuchasz mojej spowiedzi. Bo zamierzam powiedzieć Ci całą prawdę.*

*Ale zanim zacznę, muszę Cię prosić o cierpliwość. Jak możesz się domyślić, jestem pod wpływem tak silnych i sprzecznych emocji, że dziwię się, że jeszcze nie zwariowałam. Czuję taką rozpacz, że chce mi się wyć, a za chwilę oświeśla mnie promyk nadziei, który zaraz gaśnie i wtedy dopada mnie złość – i tak odkąd wyszedłeś. W dodatku taki list odrobinę mnie zawstydza (na przykład miałam zamiar napisać Najdroższy Robercie, ale wydało mi się to tak nie na miejscu, że zastosowałam skrót NR), co natychmiast sprawia, że włącza się we mnie naturalna ironia, która również nie jest na miejscu. A przecież zamierzam napisać ten list bez poprawek (naprawdę nie wiem, jak to możliwe, że kiedyś pisało się ręcznie, to wymagało potwornej precyzji myśli), po prostu przelać myśli na papier. Jeśli skręcą one w dziwną stronę, to proszę, zrozum, że jest to spowodowane emocjami i brakiem poprawek. Zresztą kto wie, może na końcu sama wyrzucę go do kosza?*

*Wysłałam do Ciebie esemesa, mając nadzieję, że zgodzisz się ze mną spotkać i że porozmawiamy twarzą w twarz. Przyniosłoby mi to natychmiastową ulgę. Mam poczucie, że mając Cię w zasięgu ręki, byłabym w stanie wymusić na Tobie wybaczenie, że potrafiłabym Cię przekonać. Może wynika to z faktu, że wiem, jak bardzo mnie kochasz, i że patrząc mi w oczy, nie potrafiłbyś tak naprawdę ode mnie odejść. Z drugiej strony prawda jest taka, że twarzą w twarz nie powiedziałabym Ci wszystkiego. Skłamałabym, tak jak skłamałam wcześniej. Niestety, jestem tchórzem, a przyznanie się do winy wymaga odwagi.*

*Na tamtej polance nie powiedziałam Ci wszystkiego. Przyznaję się, że głównym powodem było moje tchórzostwo, ale mam również taką intuicję, że w emocjach człowiek nie jest w stanie wyznaczyć całej prawdy. Istnieje bowiem prawda i kontekst, a tego drugiego często nie sposób uchwycić i ująć w słowa,*



co dopiero podczas emocjonalnej wymiany zdań. Dlatego może lepiej, że nie odpisujesz na moją wiadomość, może lepiej, że jeszcze się nie spotkamy. Może w ten sposób zdołam powiedzieć więcej – prawdę i kontekst. Bo prawda jest taka, że Cię zdradziłam, i prawdą jest także, że nigdy nie przestałam Cię kochać.

Na pozór nie da się tych dwóch rzeczy połączyć. Można kogoś kochać i zdradzić go, będąc pijanym, jeden raz, pod wpływem chwili, w akcie zapomnienia... Ja kochałam Cię i zdradzałam wielokrotnie. Byłeś w pracy, a ja jechałam na spotkanie z tamtym, a potem wracałam z powrotem do domu i miałam do Ciebie żal. Tak, byłam na Ciebie wściekła, że ode mnie nie odchodzisz, że zdradzam Cię, a Ty wciąż pytasz, czy wszystko u mnie w porządku i jak się czuję. Chciałam, żebyś mnie nakrył i ode mnie odszedł, i najbardziej na świecie bałam się tego, że mnie nakryjesz i ode mnie odejdziesz. Głupie, prawda? Byłam głupia, tak bardzo głupia i zagubiona.

Jeśli cokolwiek to dla Ciebie znaczy, to wiedz, że nigdy nie chodziło o niego. Tak bardzo nie chodziło o niego, że nawet nie zauważyłam, że mój kochanek jest gejem (naprawdę!). Ale nie to jest ważne.

Nigdy nie zastanawiałam się nad miłością. A Ty? Czy myślisz o tym, czym jest miłość, skąd się bierze, jaka powinna być, czy można o nią dbać, czy jest dana, a może można ją wypracować, czy można zmusić kogoś do miłości? Czy można kogoś naprawdę uwieść? Czy ktokolwiek się nad tym zastanawia? Jeśli o mnie chodzi, to mam tylko intuicyjne wrażenie, że raz na milion przypadków zdarzają się ludzie, którzy są dla siebie stworzeni. I my właśnie takim przypadkiem jesteśmy. Ale nie chodzi tylko o to, że ja jestem dla Ciebie, a Ty dla mnie, chodzi o to, że razem jesteśmy stworzeni dla świata. I dlatego nie możemy być osobno, bo wtedy w świecie następuje wyłom, dziura, której nie da się załatać.

Nie jestem pisarką, nie umiem ująć tego w słowa. Może gdybym musiała namalować miłość? (Niestety, za wcześniej się pochwaliłam, bo poza brzmącym cymbałem nic nie przychodzi mi do głowy). W każdym razie byłam z Tobą bardzo szczęśliwa, a potem coś się ze mną stało. Kiedy o tym myślę, czuję bezradność, bo nie wiem, jak do tego wszystkiego doszło, jakby coś mnie opętało i straciłam nad sobą kontrolę. Trzymając się samych faktów, to chyba muszę zacząć od tego, że zawsze chciałam być malarką. Mam na myśli to, że zawsze pragnęłam odnieść sukces. Pamiętasz, jak po studiach spędzałam w pracowni całe dni? Tak dużo wtedy malowałam i tak bardzo nic z tego nie wychodziło, a im bardziej chciałam, tym mniej wychodziło. Nie można zaplanować sukcesu, nikt tak naprawdę nie wie, czy liczy się szczęście, pracowitość, talent, czy może wytrwałość? Z czasem jedno stało się dla mnie jasne: że jeśli chcę malować, a przecież kochałam to robić, wtedy i teraz, i na wieki wieków, muszę odpuścić marzenie o sukcesie, które zatruwało każdą chwilę przed sztalugą, każde dotknięcie płótna pędzlem.

Tak powstała galeria – tarcza ochronna dla malarstwa i worek na chore ambicje i pragnienie sławy Anny Prus. W pewnym sensie udało się, ocaliłam swoje malowanie, bo odkąd utworzyłam Art. A, znowu sprawiło mi ono przyjemność, znowu było czyste i wolne. Szkoda tylko, że ani ono, ani nasza miłość nie uchroniła mnie od późniejszego szaleństwa. Szkoda, że byłam na tyle głupia, że to, co było dla mnie najważniejsze, przyjmowałam za pewnik.

Praca nad wystawą w Bolonii to było czyste wariactwo. Ogarnęła mnie jakaś dziwna mania i wszystko dookoła przestało się liczyć. Nie mówiłam Ci o tym, ale tego samego dnia, kiedy przyszło zaproszenie z Włoch, byłam na USG. Tamtego dnia na moim biurku leżały dwie koperty. Tą białą ze zdjęciem schowałam do biurka, żeby nie przypominała mi słów lekarza.

*Dlaczego to zrobiłam? Dlaczego tak ciężko pracowałam, skoro dostałam wyraźny przykaz, żeby się oszczędzać? Dlaczego nie opuściłam? A potem okazało się, że poświęciłam nasze dziecko, na które Ty tak bardzo czekałeś, dla totalnej porażki. I rozumiałam. Swoją egoizm, swoją nędzę, a przede wszystkim to, jak bardzo Cię skrzywdziłam. I co się we mnie zatrzasnęło. Próbowałam sobie z tym radzić, ale nie potrafiłam, a Ty nie pomagałeś. Ty, tak kochający, tak cierpliwy, tak dobry, tak troskliwy, że aż przerażający, Ty, kolejny powód, żeby siebie nienawidzić.*

*Nie jest prawdą, że będąc z tamtym, byłam zupełnie nieszczęśliwa. Znalazłam przy nim rodzaj spokoju. Wiem, jak bardzo to wobec Ciebie niesprawiedliwe. Ale zaczęłam się z nim zadawać tylko dlatego, że chciałam Cię zostawić i nie potrafiłam się na to zdobyć. I z tego samego powodu wynajęłam potem uwodzicielkę.*

*A może chciałam, żebyś okazał się zły? Może zatrudniłam ją po to, żeby Cię sprawdzić? Może miałam nadzieję, że mnie zdradzisz i okaże się, że wcale nie ma między nami żadnej wielkiej miłości, że w ogóle nie ma miłości? Że jest tylko chemia mózgu, bodziec i fizjologiczna reakcja i że wielką miłość można sobie bardzo łatwo zorganizować... Sama w to nie wierzę. Tylko ktoś, kto nigdy nie poznał miłości, mógłby tak powiedzieć. Ja wiem, że ona jest, problem polega na tym, że nie czyni ludzi mądrzejszymi.*

*Po tym, jak sprowokowałeś mnie do wyznania prawdy, czy raczej części prawdy, gdy jakimś cudem powiedziałam Ci to, co miało pozostać moją tajemnicą, wszystko się zmieniło. Zawsze będę Ci wdzięczna za to, jak się wtedy zachowałeś. Za Twoje zrozumienie, wsparcie i miłość. Następnego dnia zadzwoniłam do uwodzicielki, żeby ją odwołać, a ona powiedziała, że i tak Cię uwiedzie. Że robi to dla siebie.*

*Odkałd wyszedłeś, czując strach. Lodowaty strach na myśl o tym, że nasza miłość nie była na zawsze, że zamarowałam największy skarb, jaki dostałam od życia. Już raz byłam gotowa się z Toba pożegnać, tylko że wtedy byłam emocjonalnym trupem, a trupy mają to do siebie, że niewiele czują. Teraz jest inaczej. Teraz znowu żyję. Ale jeśli odejdziesz, pęknie mi serce. Nie chcę tego i mam ochotę krzyknąć – żałuję, że Cię spotkałam, żałuję, że się kochaliśmy, żałuję!*

*Bo taka miłość ma sens tylko wtedy, kiedy trwa wiecznie. Przynosząc największe szczęście, sprawia, że bez niej życie staje się blade i nędzne. Co tak naprawdę zostanie z mojego życia, kiedy zabraknie w nim Ciebie? Malowanie? Nie sądzę. Nie wiem, z czego bierze się sztuka, ale w moim przypadku na pewno nie z rozpacy. I mam niejaką podstawę sądzić, że dopóki ktoś tworzy, nie jest z nim aż tak źle. Za granicą rozpacy jedyną możliwą formą sztuki jest list pożegnalny.*

*Miłość jest wielkoduszna i wspaniała, dopóki jest. Jest zawłaszczająca, destruktywna, kiedy jej nie ma. Ktoś, kto kocha, musi być przygotowany na to, że pewnego dnia może wszystko stracić. W tej chwili nie wyobrażam sobie życia bez Ciebie.*

*A może mogłabym to sobie wyobrazić? Może nie byłoby to takie straszne? Zastanówmy się. Nie mogę znieść twojego chrapania. Dlaczego chrapiasz i nie pozwalasz mi spać? Co jeszcze mnie denerwuje? Że rozrzucasz brudne ubrania po całym domu, zamiast zanieść je do pralni? Nie, to nie. Nawet lubię znaleźć na podłodze jakąś pachnącą Tobą koszulę. Nie znoszę za to, gdy przeszkadzasz mi, kiedy maluję, zwłaszcza jeżeli nie masz nic ważnego do powiedzenia, tylko zebrało Ci się na rozmowy. Akurat wtedy, kiedy mnie zebrało się na malowanie! Co jeszcze? Uważam, że jako kierowca jesteś zbyt potulny, czasami krew mnie zalewała, kiedy z Tobą jeździę, ale w gruncie rzeczy rzadko jeździmy razem, więc chyba również to nie jest dostatecznym powodem do radości z powodu rozstania. Ach, i masz taki*

*dziwny gest pocierania dłonią włosów, który mógłby mnie irytować, gdyby nie fakt, że to Twoja dłoń i tak naprawdę lubię, kiedy pocierasz nią włosy.*

*Czas kończyć.*

*Przepraszam Cię. Popelniałam błąd, pogubiłam się, zostałam opętana, nazwij to, jak chcesz. Niestety, miłość nie jest żadną magiczną mocą, pod wpływem której ludzie stają się lepsi i mądrzejsi. Ja nie byłam. Zachowałam się źle i głupio, ale to nie znaczy, że kiedykolwiek przestałam Cię kochać. Kocham Cię i proszę, żebyś mi wybaczył.*

*Jeśli nie chcesz zrobić tego dla mnie, zrób to dla świata, żeby nie dopuścić do powstania w nim wyrwy.*

Ania odłożyła długopis, rzuciła okiem na ostatnie zdanie, po czym sięgnęła ponownie po długopis i domalowała na końcu uśmiech. Następnie złożyła kartki na pół i włożyła je do znalezionej w szufladzie koperty. Napisała na kopercie „Robert” i odniosła ją na stolik do salonu. Potem poszła na górę, wyjęła walizkę, do której wrzuciła kilka ubrań, i wyszła z domu.

## Całe mnóstwo miłości

W strefie klimatów umiarkowanych najwspanialsze są wrześnieowe wieczory oraz noce, wciąż jeszcze ciepłe, ale już nie upalne, gdy zatęchłe powietrze staje się nagle rześkie, jakby wpompowano weń dodatkową porcję tlenu. Takie powietrze wdychał Robert Machowski, gdy nocą dwudziestego siódmego września wracał do domu. Kuło go w mostku i ścisnęło w gardle, i początkowo myślał, że może tamten mężczyzna, który kiedyś dał Dominice w twarz, a dzisiaj ocalił tę samą twarz od zupełnej masakry, ma rację. Może przechodzi właśnie zawał serca. Jeśli tak było, niespecjalnie się tym zmartwił – miał poczucie, że skoro zdołał się wydostać z tamtego domu, przetrwa wszystko. Odruchowo sięgnął po telefon, żeby zadzwonić do Ani i powiedzieć, że nic mu nie jest. I wtedy przypomniał sobie zdjęcia, i znowu poczuł w okolicy mostka tępy ból. Ale tym razem wiedział, że to nie zawał. Tak bolało złamane serce. Dlaczego go zdradziła? Co takiego jej zrobił, że szukała szczęścia u boku innego faceta? Nie miał sił się nad tym zastanawiać, nie dzisiaj. Poczuł się zmęczony i stary i cała energia, która przepłynęła go w chwili, gdy opuścił ulicę Kasztanową, gdzieś uszła. Kiedy przekroczył próg domu, dochodziła dwunasta. Spragniony udał się prosto do kuchni. Wyciągnął z szafki szklankę, napełnił ją wodą i wypił duszkiem. Powtórzył czynność jeszcze dwa razy, zanim przestało mu się chcieć pić. Zajrzał do lodówki, ale ponieważ nie było w niej niczego ciekawego, porwał z szafki na słodycze kilka batonów. Zjadł wszystkie, siedząc na kanapie w salonie i wpatrując się w leżącą na stoliku kopertę ze swoim imieniem.

\*

Ania rzuciła palenie przed wyjazdem na wakacje i gdyby liczyła dni bez nikotyny, dziś byłby czternasty. Nie liczyła, bo odstawienie palenia przyszło jej tak łatwo, że nie uważała tego za żaden wielki sukces. Niestety, z taką samą łatwością kupiła dzisiaj cztery paczki marlboro i już w drodze do hotelu zdążyła wypalić trzy papierosy. Wynajęła pokój na siódmym piętrze, z widokiem na Wawel, i kilka następnych godzin spędziła na balkonie, czekając na wiadomość od Roberta i paląc papierosy. Każdy palacz wie, że nie ma lepszego sposobu na przetrwanie męczarni czekania niż palenie. Palenie jest jak maszynka do ściskania czasu – minuty, zamiast dłużyć się, zostają ściśnięte do krótkich porcji przyjemności, które można powtarzać w nieskończoność. I może Ania całkowicie by się w tym paleniu zapomniała, gdyby nie telefon z zegarem na ekranie, który kurczowo trzymała w ręce i który z każdą zmieniającą się cyferką przypominał jej o milczeniu Roberta. Nie rozstawała się z komórką, odkąd wyszła z domu, i nawet zabierała ją ze sobą do ubikacji, żeby tylko nie przeoczyć upragnionej wiadomości lub połączenia. Dla pewności co jakiś czas spoglądała na wyświetlacz, chcąc się przekonać, że nic nie uszło jej uwadze, choć sama wiedziała, że zachowuje się nielogicznie. Już wcześniej podkreśliła głośność w telefonie do maksimum. Oprócz tego przypisała numerowi telefonu Roberta osobny dźwięk połączenia, nie chcąc czuć zawodu, gdyby po usłyszeniu dzwonka zobaczyła na ekranie cokolwiek innego niż słowo Robert. Wybrała do tego piosenkę *Whole Lotta Love*, być może przez skojarzenie z Robertem Plantem albo najlepszy gitarowy riff wszech czasów, którego nie można pomylić z żadnym

innym. Czekala więc, aż Jimmy Page wystartuje ze swoim napędowym motywem, ale gitara milczała, zarówno tej nocy, jak i przez wiele następnych dni i nocy.

# Pokusa

Po zakończonym badaniu doktor Jędraszewski przemył ręce i wrócił do siedzącej już przy biurku pacjentki. W zachowaniu mężczyzny dało się wyczuć pewną sztywność, niepasującą do trzydziestu lat doświadczenia i miana najlepszego w kraju specjalisty od chirurgii rekonstrukcyjnej. Widok pacjentki zupełnie go jednak zaskoczył. Jak zawsze spodziewał się ujrzeć zdeformowane monstrum, tymczasem do gabinetu weszła kobieta o tak niezwykłej urodzie, że nawet z bliznami na twarzy była piękniejsza od większości zdrowych kobiet, jakie znał.

– Co my tu mamy... – Jędraszewski sięgnął po przyniesione przez pacjentkę dokumenty. – Kiedy doszło do wypadku? – zapytał, pobieżnie przebiegając wzrokiem po papierach.

– Tam jest wszystko napisane.

Obcesowość kobiety zrobiła na doktorze nieprzyjemne wrażenie, ale postanowił to zignorować.

– Pani Dominiko, nie jest źle. Strumień kwasu był wąski, bo poparzenia nie są rozległe, co jest dobrą wiadomością, choć widzę, że przeprowadzono na pani kilka operacji zasklepiających rany, co oznacza, że kwas zdążył się weźreć głęboko w skórę. W tej chwili blizny na pani ciele wciąż są niestabilne i bardzo widoczne. To normalne, minęło jeszcze za mało czasu. Ich widoczność będzie się stopniowo zmniejszać, nawet bez jakiegokolwiek interwencji. Blizny obejmują głównie ucho i okolice wokół ucha... – Przerwał wywód, żeby wtrącić pytanie: – Czy kwas dostał się także do wnętrza ucha?

W odpowiedzi Dominika spojrzała na leżące na biurku papiery. Mężczyzna zmieszał się i wbił wzrok w dokumenty. Tym razem przejrzał je z większą uwagą.

– No dobrze – podjął po chwili. – Po pierwsze, musi mieć pani świadomość, że w poparzonych miejscach włosy już nigdy nie odrosną. Po drugie, nigdy nie uda nam się całkowicie odwrócić skutków poparzenia. Dlatego czasami warto się zastanowić, czy gra jest warta świeczki, zwłaszcza kiedy blizny można tak łatwo zamaskować jak w pani przypadku. – Doktor spojrział pytająco, ale siedząca przed nim pacjentka nie miała zamiaru zastanawiać się nad postawionym pytaniem.

Problem, którego największy specjalista od chirurgii rekonstrukcyjnej w kraju najwyraźniej nie pojmował, polegał na tym, że Dominika Werner nie była już doskonałą, a nie będąc doskonałą, nie mogła prowadzić życia męskiego pasożyta. Teraz, kiedy plan zdobycia Roberta leży w gruzach, uwdziicielka musiała wrócić do pierwotnego planu na zagospodarowanie reszty swojego życia, jakim było upolowanie amerykańskiego milionera. Dominika aspirowała do świata rządzonego przez pojęcie prestiżu, w którym mężczyźni kolekcjonują kobiety jak samochody, wybierając tylko najbardziej luksusowe modele. W takim świecie nie ma miejsca na chińskie podróbki albo koreańskie odpowiedniki, co doktor zdołał wreszcie wyczytać z niewzruszonej twarzy swojej pacjentki.

– Rozumiem zatem, że nie idziemy na kompromisy – stwierdził niepewnie. – W porządku. Od razu pani powiem, że najłatwiejsze będą te pojedyncze poparzenia na ramieniu, nodze i twarzy. Pocięszające jest to, że zgłosiła się pani do nas na wczesnym etapie, a zatem możemy mieć pewność, że zrobimy wszystko, cokolwiek da się zrobić.

– Jak długo to potrwa?

– Cóż, to są sprawy, które obejmują miesiące, a najczęściej niestety lata.

Mężczyzna podszedł do przeszkłonej gabloty, z której wyjął broszurę i wręczył ją Dominice.

– Tu jest przykładowy roczny program zabiegowy, mający na celu zmniejszenie blizn i poprawę wyglądu zdeformowanej skóry, wraz z cennikiem.

Uwodzicielka spojrzała na broszurę, nie dając nic po sobie poznać, choć widniejąca na niej liczba zwała ją z mentalnych nóg. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy Dominika wydała na pobyt w szpitalu równowartość trzech chanelek, wyzbywając się większości środków płynnych. Na leczenie w klinice Jędraszewskiego nie było jej stać, co nie znaczy, że nie zamierzała go podjąć.

– Oczywiście każdy program modyfikujemy według indywidualnych potrzeb, ale zapewniam panią, że nie będzie się on znacząco różnił od tego, co jest w ulotce. Najważniejsza jest konsekwencja. Będzie musiała pani odwiedzać Warszawę regularnie. Wy, krakusi, nie przepadacie chyba za stolicą, co? – mężczyzna zażartował w swoim stylu, nie wywołując jednak entuzjazmu pacjentki, do którego był przyzwyczajony. Zakłopotany ciągnął dalej: – No i oczywiście pozytywne nastawienie. Czy znajduje się pani pod opieką terapeuty?

Dominika rzuciła doktorowi zdziwione spojrzenie, pierwszy raz tak żywo reagując na jego słowa.

– Jaki to ma związek z usuwaniem blizn?

– Leczenie blizn należy zacząć od tych, które powstały w głowie – odparł Jędraszewski, zupełnie nieświadomy faktu, że ma do czynienia z wyjątkową kobietą.

Będąc ofiarą napaści, Dominika nie popadła w depresję, nie zamknęła się w sobie, nie poddała się lękowi. Skupiła się na odzyskiwaniu utraconego wyglądu i być może ta walka sprawiła, że wydarzenia tamtej nocy nie zdołały odcisnąć na niej piętna. A może nie było na świecie rzeczy, która potrafiłaby to zrobić? W każdym razie zaraz po tym, jak Dominika trafiła do szpitala, ujawniła się u niej szczególna cecha osobowości, polegająca na zdolności wyłączania emocji. Chociaż była tak wściekła, że najchętniej zabiłaby Wieczorka gołymi rękami, potrafiła wyciszyć w sobie to uczucie, żeby całkowicie poświęcić się leczeniu. Nie chcąc, aby cokolwiek odwracało jej uwagę od walki o zdrowie, zamroziła i zmagazynowała w sobie pokłady złości, po które zamierzała sięgnąć dopiero w chwili, gdy będzie na to gotowa. Można powiedzieć, że nienawiść Dominiki była nienawiścią w kostkach lodu, która nie topnieje wraz z upływem czasu i nawet po latach zachowuje tę samą intensywność.

– Jestem gotowa poddać się leczeniu – stwierdziła Dominka, kolejny raz ignorując słowa Jędraszewskiego, za to po raz pierwszy obdarzając go uśmiechem, który przypisał mężczyźnie o natychmiastową i niespodziewaną erekcję.

– Doskonale, proszę się do nas zgłosić za dwa dni. Przygotujemy dla pani odpowiedni program.

\*

Dominika odwiedziła klinikę jeszcze dwa razy w ciągu najbliższych dni i po ustaleniu wszystkich szczegółów swojego programu wróciła pociągiem do Krakowa. Tego samego dnia udała się do Janka Blaka. Tylko od niego mogła wyciągnąć pieniądze, których potrzebowała na leczenie.

Uwodzicielka nigdy nie była u Janka w domu, a nawet, mimo że przyjaźnili się tyle lat, nie znała jego adresu zamieszkania, który musiała zdobyć od pani Basi. Kiedy więc nawigacja zamiast do blokowiska w Nowej Hucie, odpowiadającego jej wyobrażeniom na temat gustu i stanu posiadania byłego przyjaciela, zaprowadziła ją do luksusowego apartamentowca nieopodal Wawelu, dziewczyna mocno się zdziwiła. Wielu jej krakowskich przyjaciół nie mogło sobie pozwolić na kupno mieszkania

w tej okolicy. Po raz pierwszy w życiu Janek Blak naprawdę ją zaskoczył. Na drugie zaskoczenie nie musiała długo czekać.

Janek, uprzedzony przez portiera o nadchodzącym gościu, czekał na Dominikę przy otwartych drzwiach mieszkania, nerwowo zaciskając szczękę. Od dziecka reagował w ten sposób na stres, ale jeszcze nigdy nie miał wrażenia, które narastało w nim wraz z dźwiękiem zbliżających się obcasów, że zaraz pokruszy sobie zęby. Tupot szpilek rozniósł się echem po korytarzu, zapowiadając nadejście byłej przyjaciółki niczym dźwięk trąb apokalipsę. Obok Janka czekała Vivien. Kiedy Dominika pojawiła się w ich polu widzenia, oboje wydali z siebie żalony pisk.

– Hi, baby – powiedziała Dominika ni to do psa, ni do mężczyzny i pochyliła się, żeby pogłaskać Vivien. – Cześć, nie przeszkadzam? – Tym razem było jasne, że pytanie skierowane jest do Janka.

Mężczyzna wyraźnie się zawahał.

– Nie, wejźdź – powiedział w końcu i otworzył szerzej drzwi, żeby wpuścić demona do swojego domu. – Dobrze wyglądasz.

– Dziękuję. Ty też.

– Przyszedłś po Vivien?

– Tak.

– Szkoda, przyzwyczałem się do niej.

– Nie wierzę. – Uśmiechnęła się.

– Do każdego potwora można się w końcu przyzwyczać – powiedział i przestraszył się, że palnął gafę. – Napijesz się czegoś? – zapytał, gorąco pragnąc, żeby odmówiła.

– Wody.

– Zaraz wracam.

Zrezygnowany wyszedł z salonu. Wrócił po dłuższej chwili, niosąc dwie butelki wody, które postawił na stoliku.

– Nie usiądziesz? – zapytała Dominika, poklepując dłonią puste miejsce na sofie obok siebie.

Wyglądało tak, jakby to ona była gospodarzem domu, a on zbłąkanym gościem. Blak podrapał się po głowie, po czym usiadł na fotelu. Bardzo pragnął, żeby ta wizyta dobiegła już końca.

– Jak tam ze wszystkim? – zapytał.

– Miałam dużo szczęścia.

– Naprawdę dobrze wyglądasz. – Wytrzymał jej wzrok, jakby chciał udowodnić, że naprawdę tak myśli. Bo myślał. Kiedy widział ją ostatnio, wyglądała jak smażony kurczak.

– Co się z nim stało?

Nie musiał pytać, kogo dotyczy pytanie.

– Zgłosiłem do prokuratury zżecanie się nad zwierzętami. Idiota sam się nagrał.

– Sprytnie.

– Nie będziemy mieć problemów?

– Mało prawdopodobne.

– A co u ciebie?

Dominika uśmiechnęła się słodko, ale Janek wyczuł w jej pytaniu fałszywą nutę i zamiast odpowiedzieć, zapytał:

– Dlaczego wysłałaś Edycie Wieczorek film?



Przez sekundę na twarzy dziewczyny zagościło zmieszanie. Nie sądziła, że Janek wie.

– Chciałam ją ostrzec.

Uśmiechnął się kpiąco.

– Ostrzec?

– Zobaczyłam ich kiedyś na mieście – odezwała się jakby do siebie – całą rodzinę. On, ona i syn. Jest piękną kobietą, przypomina moją nieżyjącą mamę. Tak właśnie zapamiętałam mamę, jako piękną kobietę o długich czarnych włosach. Pomyślałam, że taka kobieta nie zasługuje na męża, który ją zdradza, i dlatego wysłałam film.

Janek słuchał ze wzrokiem wbitym w dywan, na którym zobaczył kilka czerwonych włosów. Ich widok wywołał na jego twarzy uśmiech zadowolenia. Nie wierzył Dominice. Korciło go, żeby prychnąć z pogardą, ale wspomnienie nieżyjącej mamy mimo wszystko sprawiło, że poczuł nutkę współczucia. Nawet nie zauważył, kiedy Dominika usiadła mu na kolanach. I tak jak kilkadziesiąt dni wcześniej nie miała na sobie bluzki.

– Na tym skończyliśmy ostatnio – powiedziała.

Mężczyzna zastygł w bezruchu. Początkowo zmieszany próbował uciekać wzrokiem od nagiego ciała, ale nie chcąc wyjść na wstydlivego, odważył się w końcu spojrzeć. Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to wypukła blizna na ramieniu, przypominająca skorupę jakiegoś gada. Poczuł smutek, a potem z czułością przejechał po niej palcem.

– Nigdy nie podziękowałam ci za to, że mnie uratowałeś.

– Właśnie masz okazję.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Odchylił jej włosy, żeby zobaczyć ukryte pod nimi blizny. Tak jak poprzednio z czułością i powoli, jakby dotykał świętej relikwii albo drogiego przedmiotu, przejechał po każdej palcem. Dominika miała wrażenie, że pod wpływem tego dotyku jej blizny powoli znikają. Taki miał być przecież końcowy efekt tej wizyty. Zbliżała się do celu i czuła w związku z tym coraz większe podniecenie.

– Ubiierz się – powiedział nagle Janek, a potem wysunął się spod niej i wstał.

– Co?

– Powiedziałem, żebyś się ubrała – powtórzył spokojnie.

Tamtego dnia, kiedy przyszedł na Kasztanową z aparatem, wcale nie miał zamiaru się z nią kochać. Przyszedł, bo musiał stawić jej czoła – twarzą w twarz, widzącymi męskimi oczami w nagie piersi w rozmiarze DD, kochającym sercem w ciało ukochanej kobiety – powiedzieć, że jej nie chce. Wiedział, że musi się od niej uwolnić. Po części pragnął również zabawić się jej kosztem – tak jak teraz w ostatniej chwili odrzucić jej wdzięki – potraktować ją tak, jak ona traktowała innych. Wieczorem wywabił go wtedy z domu i Janek był wdzięczny opatrności, że tak się stało. W głębi serca czuł bowiem, że nie zdołałby się oprzeć. Okazałby słabość. Dzisiaj było inaczej. Nie tylko potrafił ją odrzucić, ale przyszło mu to bez najmniejszego wysiłku. Czy zawdzięczał to Sylwii? Niepotrzebnie się obawiał, ta demoniczna kobieta nie miała już nad nim władzy. Był wolnym człowiekiem i przepełniała go radość. Ostatni raz czuł się tak szalenie szczęśliwy kilka tygodni wcześniej, kiedy wyjawiał Sylwii swój wstydlivy sekret, a ona sprawiła, że się go pozbył.

– Nie masz prawa mnie tak traktować!

– Nie chcę się z tobą kłócić, wyjdź z mojego domu.

– Nie podnoś na mnie głosu!

Janek wyglądał na znudzonego, co tym bardziej rozwścieczyło Dominikę.

– Kupiłam cię, ty mały chuju! – krzyknęła, pragnąc za wszelką cenę go upokorzyć.

– Może, nie pamiętam. – Wzruszył ramionami.

Tego było za wiele. Kobieta rzuciła się na byłego przyjaciela z pięściami. Krzycząc, okładała go ze wszystkich sił, zupełnie nad sobą nie panując. Mężczyzna czekał cierpliwie, aż atak dobiegnie końca, ale kiedy wariatka zamierzyła się na jego twarz, wykręcił jej ręce do tyłu i zaciągnął ją do drzwi.

– Zostaw mnie! Zostaw! Nie dotykaj mnie! Nie waż się mnie dotykać, ty zaszary chuju!

Wypchnął przyjaciółkę z mieszkania i zatrzaskał za nią drzwi, co nie mogło jednak powstrzymać tornada furii, które zdążyło rozpętać się w jej ciele. Dominika została na korytarzu i waląc pięściami w drzwi, wykrzykiwała przekleństwa i groźby pod adresem Janka, a kiedy wreszcie opadła z sił, zsunęła się na podłogę i klęcząc przed zamkniętym mieszkaniem, wydała z siebie przeciągły, głośny dźwięk. Nie był to szloch, choć jej oczy były wilgotne od łez, lecz wycie syreny oznajmające koniec pewnej epoki. Po kilku minutach była uwodzicielka podniosła się z kolan i ruszyła korytarzem w stronę schodów.

– No i wreszcie się jej pozbyliśmy – oznajmił Janek, słysząc oddalające się kroki.

Najbrzydszy pies świata radośnie zamerdał ogonem.

\*

Dominika wyszła z budynku i usiadła na najbliższej ławce. Potrzebowała chwili, żeby odetchnąć. Po pewnym czasie na ławce usiadła także elegancka starsza pani, jedno z tych samotnych, umalowanych czerwona szminką czupiradeł, które wychodzą na miasto szukać jeleni gotowych wysłuchać ich smętnych historii.

– Przepraszam, że zapytam. Co się pani stało w twarz? – odezwało się niespodziewanie czupiradło.

Dominika zakryła odruchowo blizny włosami i spojrzała w stronę kobiety. Jej wścibstwo sprawiło jej nieoczekiwaną przyjemność. Zamiast powściągnąć więc zapędy czupiradła jakąś chamską odzywką, co normalnie by zrobiła, odpowiedziała grzecznie na pytanie:

– Zostałam obłana kwasem.

– To nie może być!

– To prawda.

– Jak to się stało?

– Ktoś celowo mnie zaatakował.

– Jezus Maria! Dlaczego?!

Dominika, która czuła coraz większą przyjemność z powodu zainteresowania staruszki, zrozumiała nagle, że chciałaby opowiedzieć jej swoją historię. Historię, która jej samej objawiła się nagle jako wzruszająca opowieść o dziewczynie oszukanej przez ukochanego mężczyznę, który odebrał jej wszystko, łącznie z urodą.

– Z zazdrości.

– To niemożliwe!

– I tak miałam dużo szczęścia. Proszę zobaczyć. – Odsunęła włosy, ukazując całą pełnię zniszczeń, jakie wyrządził jej kwas.

Kobieta podskoczyła z wrażenia.

– Biedactwo! Bardzo bolało?

– Ból był nie do zniesienia.

– Biedactwo!

– Dziękuję, że się pani mną zainteresowała. Większość ludzi odwraca wzrok...

Oczy Dominiki zaszkliły się od łez, które po chwili pociekły z oczu umalowanego czupiradła.

– Ludzie to bestie – podsumowała przejęta kobieta.

Dominika Werner nie mogła się z nią nie zgodzić.

# Ania i Robert

To musiało coś, kurwa, znaczyć, nie ma nawet takiej opcji, żeby to, kurwa, nic nie znaczyło, bo znaki były, kurwa, wyraźne. Dwa lata wcześniej Cyganka przepowiedziała Beacie, że wyjdzie za starszego faceta, a w horoskopie, który przeczytała rano, stało jak byk: „wolne Panny mają szansę spotkać kogoś wyjątkowego”. Potem zadzwoniła Antośka (właśnie Antośka, a nie żadna, kurwa, „wole”, abys zwracała się do mnie” Tonia), że się rozchorowała i nie może przyjść do pracy. Gównu się rozchorowała, dziwka jedna, znowu szlajała się całą noc po klubach z tą swoją perfekcyjną paczką perfekcyjnych znajomych perfekcyjnie zajebistych. Beata mogła tylko pomarzyć o tym, żeby Antośka zaprosiła ją kiedyś na jedną z tych imprez, o których opowiadała potem przez pół dnia w pracy, aż Beacie chciało się rzygać. A już największego szału dostawała, słuchając, co ten wstrętny małpizson wyprawia z imionami znajomych. Ja pierdolę, zabić, kurwa, to mało! Nie Ola, tylko Aleksandra, Nati zamiast Natalia, nie Bartek, tylko zawsze Bartosz, zamiast Julki Dżulia i jebana Wero w miejsce Weroniki. No, kurwa, zajebać! Gdyby zamiast w księgarni pracowały w elektrycznym, zmiksowałaby jej łeb blenderem. Ale do niej zawsze zwracała się „Beata”, po prostu „Beata”. Nie „Beti”, „Beatko”, choćby dla żartu „Beatrycze”, nie, „Beata”, zawsze w mianowniku. Kto co, Beata. Beata, możesz mi pomóc? Beata, ja wychodzę. Beata, błagam, ratuj, jestem chora, zastąpisz mnie w pracy? Dziwka.

Ale Beata nie umiała odmawiać i mimo że skręcało ją ze złości, zgodziła się zastąpić Tonię. Przeklinając wszystkich i wszystko (bo chociaż studiowała polonistykę i kochała język polski, najbardziej jednak kochała rodzime przekleństwa), wsiała do tramwaju i pojechała do sklepu. I dobrze zrobiła, bo tego dnia przypomniła sobie przepowiednię Cyganki i uwierzyła, że mężczyzna, któremu sprzedała książkę o miłości (o miłości!), jeszcze do niej wróci.

„Beata proszona do działu z książkami, Beata, proszę” – usłyszała przez megafon nawoływania Tomka. Mówiła matolowi, że zastępuje Tośkę i dlatego jest na muzyce i żeby przestali ją, kurwa, ciągle wołać na górę. Czy nikt w całym sklepie nie ma pojęcia o literaturze? Zresztą reklamowanie klientom książek to najbardziej bezsensowne zajęcie świata, ty nawijasz pięć minut o subtelnościach narracji i konstrukcji bohaterów, a debil i tak kupuje coś z promocji. Nikt nie szanuje już literatury, naprawdę nikt. Przyłażą po książki tylko ze względu na to przekonanie, że oprócz alkoholu i czekoladek książka to wciąż dobry prezent. Beata zemściła się zresztą na klientach za instrumentalne traktowanie literatury. Jeszcze trzy lata temu wszystkim, którzy szukali idealnej książki dla ukochanej babci, mamy albo dziewczyny, polecała *Pięćdziesiąt twarzy Greya*. Zaprzestała procederu dopiero wtedy, kiedy na ekranach kin pojawiła się adaptacja i temat powieści stał się powszechnie znany.

Dziewczyna weszła na piętro, spojrzała w stronę stojącego za kasą Tomka, który wskazał jej palcem mężczyznę między regałami. O ja sram!

Nie był młody, na oko z czterdzieści pięć lat, ale zajebicie przystojny. Taki Fitzwilliam Darcy, tylko z wyobrażenia Beaty, które powstało w jej głowie, kiedy czytała *Dumę i uprzedzenie*, a nie z tej wstrętnej mordy Colina Firtha z filmowej adaptacji i nie mylić z Markiem Darcym (choć jeśli chodzi o ekranizację, to można się spokojnie jebnąć, morda w obu przypadkach ta sama). Siwe włosy w połączeniu z ciemną karnacją to była najprawdziwsza synteza męskości, jaką Beata kiedykolwiek

widziała na oczy (kiedyś wydawało jej się, że taką syntezą jest imię „Justin” połączone z nazwiskiem „Bieber” oraz grzywka, czego do dzisiaj się wstydzi). Beata od razu przypisała mężczyźnie wszystkie cechy bohatera powieści Jane Austen – stanowczy, inteligentny, trochę wyniosły i mrukliwy. Typ chłodnego aroganta bardzo ją pociągał, tak bardzo, że w gruncie rzeczy był raczej fantazją niż realnym pragnieniem. Wiedziała, że tak naprawdę jedynym mężczyzną, którego pragnie i z którym byłaby szczęśliwa, jest Karol Bovary. Ta wołowa dupa Bovary, kochający, naiwny, oddany, ciepły, dobry człowiek, był mężczyzną jej marzeń, bo ona sama była wołową kochającą dupą. Ale kto powiedział, że wołowa dupa musi mieć również wołową twarz?

Dlatego kiedy usłyszała w głosie klienta ciepły, serdeczny i przyjazny ton, jej serce zaczęło bić dwa razy szybciej.

- W czym mogę panu pomóc?
- Szukam książki. Najlepiej o nieszczęśliwej miłości.
- Ojajku, dlaczego o nieszczęśliwej?
- A istnieje inna? – Mężczyzna uśmiechnął się znacząco.
- Mam nadzieję.
- Ja tylko żartowałem.
- To ma być coś z klasyki czy raczej nowa powieść?

Zamyślił się.

– A co może mi pani powiedzieć na temat Tristana i Izoldy?  
– Średniowieczna opowieść spisana w wieku dziewiętnastym, która przeszła do historii literatury jako jedna z najwspanialszych historii miłosnych. Tristan i Izolda wypijają przez przypadek miłosny eliksir i zakochują się w sobie wbrew wszelkiej logice. Odtąd uczucie ciąży nad nimi niczym przekleństwo. Podoba się panu?

- Zakochali się w sobie przez narkotyk? I są na siebie skazani?
- Można tak to ująć – zgodziła się Beata. – Trafna metafora, prawda?
- Mówiąc szczerze, nie bardzo. A jak się kończy?
- Tego panu nie powiem.
- Dlaczego?
- Polityka firmy.

Mężczyzna roześmiał się serdecznie.

- To może Romeo i Julia?
- Nie, proszę tamto.

Robert zapłacił za książkę i torebkę prezentową i wyszedł z księgarni. Do spotkania z Anią pozostało jeszcze pół godziny, dlatego postanowił skoczyć do Vis-à-Vis na szybkiego drinka. To miało być ich pierwsze spotkanie od ponad miesiąca i trochę się z tego powodu denerwował. Do wczoraj nie mieli ze sobą żadnego kontaktu i pewnie trwałoby to o wiele dłużej, gdyby nie Zuzanna. Wczoraj wieczorem siostra Ani wpadła do Roberta z niezapowiedzianą wizytą.

– Nie będę udawać, że przejeżdżałam – powiedziała szczerze, zanim jeszcze przekroczyła próg domu.

- Dlaczego nie uprzedziłaś, że przyjedziesz?

– Nie miałam odwagi, poza tym bałam się, że nie będziesz chciał się ze mną zobaczyć. Wołałam wziąć cię zaskoczenia.

– Wejdz – Robert zaprosił szwagierkę do środka.

– Nie zabiorę ci dużo czasu, Robercie – oznajmiła Zuza, krążąc między kuchnią a salonem, przy okazji dyskretnie skanując teren. Jej uwadze nie uszła leżąca na stoliku kawowym koperta, która wyglądała na nieotwieraną. – Chcę ci tylko powiedzieć jedną rzecz, nie wybaczyłabym sobie, gdybym tego nie zrobiła.

– Anka mieszka u ciebie? – przerwał jej Robert.

– Nie, w hotelu. U niej wszystko dobrze, jeżeli chcesz wiedzieć. To znaczy na tyle, na ile to możliwe. Wróciła do pracy w galerii.

– To dobrze.

– A u ciebie? Co słychać?

– Anka wie, że tu jesteś?

– Nie, nie! Zabilaby mnie.

Uśmiechnął się. Tak, Ania nigdy nie pozwoliłaby Zuzie na wstawienniczą misję, z którą ta zapewne przyszła.

– To, co się między wami dzieje, nie jest moją sprawą, dlatego przepraszam, że się wtrącam – powiedziała Zuza. – Ale uznałam, że tę jedną rzecz ci powiem, bo wiem z doświadczenia, że taka zewnętrzna perspektywa czasami pomaga. Więc mówię... – wzięła oddech – każdy, kto kiedykolwiek widział ciebie i Ankę razem, czuł jedną jedyną rzecz. Cholerną radość, że miłość naprawdę istnieje.

Robert spuścił niemrawo głowę, zawstydzony słowami szwagierki.

– To tyle chciałam ci powiedzieć. – Kobieta ruszyła w stronę drzwi. – Trzymaj się, jakbyś czegoś potrzebował, zawsze możesz do mnie zadzwonić. – Położyła Robertowi dłoń na ramieniu. – Bez względu na wszystko ona cię kocha.

Wizyta Zuzy wyrwała Roberta z letargu, w którym żył od tamtego dnia, gdy Ania wyprowadziła się z domu. Taki już miał charakter, że potrafił odciąć się od czegoś całkowicie i funkcjonować, jakby problem nie istniał, dopóki coś lub ktoś nie włączył w nim z powrotem wtyczki. Tak było i tym razem. Po wyjściu szwagierki Robert wrócił do salonu, usiadł na kanapie, a potem sięgnął po znajdujący się na stoliku list. Rozdarł papier, wyciągnął złożone kartki i zaczął czytać. Kiedy skończył, miał w oczach łzy. Następnego dnia zadzwonił do Ani i umówił się z nią na spotkanie w kawiarni na Brackiej.

Ania przyjechała do centrum jeszcze wcześniej niż Robert i pomimo niesprzyjającej pogody od kilkunastu minut krążyła bez celu wokół Rynku. Tego dnia od rana padał deszcz, było zimno, szaro i nieprzyjemnie. Idealna pogoda, żeby strzelić sobie w łeb albo wygrać milion dolarów, ewentualnie odzyskać utraconą miłość. Ania czuła się jak nastolatka przed pierwszą randką, zdenerwowana do granic możliwości i niepewna tego, co ją czeka. I mówiąc szczerze, wołała sobie tego nie wyobrażać. Dawniej, żeby oswoić stres, przedstawiała sobie w myślach najgorsze możliwe rozwiązanie danej sytuacji, dokładnie to, które najbardziej ją stresowało. Przywoływała demona niczym egzorcysta, a kiedy go zobaczyła, strach zawsze częściowo ustępował, jakby na potwierdzenie faktu, że diabeł najstraszniejszy jest w opowieściach. Teraz miała inną metodę – zamiast zadreżać się katastroficznymi wizjami, odsuwała stresujące myśli daleko od siebie. Spacerując w deszczu, starała

się więc nie myśleć o tym, dlaczego Robert postanowił się wreszcie spotkać i co zamierza jej powiedzieć. I właśnie wtedy na niego wpadła.

Zderzyli się ze sobą na rogu dwóch ulic niczym bohaterowie komedii romantycznej, ale zamiast spojrzeć na siebie zalotnie, oboje otworzyli usta ze zdziwienia.

– Proszę, proszę – powiedziała ona.

– Cześć.

Spotkanie skrępowało obojga, jakby nakryli się na czymś wstydliwym, w efekcie zapadła między nimi niezręczna cisza.

– Jesteś przemoczona – powiedział wreszcie Robert.

Miał na sobie kurtkę przeciwdeszczową i czapkę z daszkiem, w której wyglądał niepokojąco młodzieńczo i seksownie, na co Ania zwróciła natychmiast uwagę. Robert zwróciłby zapewne uwagę na jej strój, nad którym głowiła się od rana, próbując znaleźć idealny balans pomiędzy „seksownie” a „codziennie”, gdyby nie to, że nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy. Rozmazany wokół oczu czarny tusz i ociekające deszczem włosy sprawiały, że wyglądała jak zmoczona panda.

– Pada deszcz – odparła.

Uśmiechnął się.

– Widzę.

– Chcesz już gdzieś pójść czy spotkamy się na Brackiej za pół godziny?

Znowu się uśmiechnął.

– Chodźmy.

Zdjął czapkę i bez słowa nałożył ją Ani na głowę.

– Dziękuję.

Kilka minut później weszli do kawiarni i zajęli miejsca w sali dla niepalących. Ania rzuciła papierosy jakieś dwa tygodnie temu i dopiero dzisiaj poczuła, że brakuje jej uspokajającego działania nikotyny. Nie zamierzała jednak wracać do nałogu, zamiast tego zamówiła trzy różne desery, nie martwiąc się, co o tym pomyśli kelnerka (która pomyślała, że laska mogłaby sobie dać na wstrzymanie) albo Robert (który pomyślał, że między innymi za to ją kocha, że nie dba o konwenanse, według których kobieta nigdy nie jest głodna). Robert zamówił piwo.

– Nie jesteś samochodem?

– Przyszedłem na piechotę.

– W taką pogodę?

– Włożyłem czapkę. – Uśmiechnął się. – Co słyhać, podobno wróciłaś do galerii?

– Skąd wiesz?

– To małe miasto.

– A co u ciebie, jak w pracy?

– Bez zmian.

Rozmawiali w ten niezobowiązujący sposób, aż kelnerka przyniosła zamówienie i oboje pomyśleli to samo – że któreś będzie musiało w końcu zacząć poważną rozmowę.

– Aniu... – padło na Roberta.

Ania wbiła łyżeczkę w jeden z trzech deserów i wpakowała ją do ust, próbując nie zemdleć. Zdenerwowanie Roberta zdradził z kolei rozchodzący się w powietrzu zapach perfum, który wzmagał

się wraz z szybszym biciem serca mężczyzny.

– Przepraszam cię na chwilę, muszę iść do łazienki – powiedziała nagle Ania i wstała od stolika.

Wiedziała, że zaraz usłyszysz coś, od czego nie będzie już odwrotu, i nie była pewna, czy chce to usłyszeć. Przemyla twarz zimną wodą, żeby ochłonić, przy okazji wytarła rozmazany wokół oczu tusz.

– Muszę ci się do czegoś przyznać – zaczął Robert, kiedy wróciła do stolika. – Pamiętasz, jak dzień przed bale Końca Lata nie wróciłem na noc do domu?

Skinęła głową, domyślając się, co usłyszysz, i poczuła ulgę. Z dwojga złego wolała rozmawiać o jego zdradach.

– Powiedziałem ci wtedy, że odwiedziłem wujka Leona i spędziłem u niego noc. To prawda, odwiedziłem wujka, ale noc spędziłem gdzie indziej, z tamtą kobietą.

– Wiedziałam o tym.

– Od niej?

– Domyśliłam się, że mnie zdradziłeś.

– Co? – Robert spojrział na Anię ze zdziwieniem. – Nie zdradziłem cię!

– Jak to?

– Do niczego nie doszło.

– To po co zostałeś z nią na noc? – wypaliła, jakby to było ważniejsze od faktu, że cały czas żyła w błędnym przekonaniu, że mąż ją zdradził.

– To dosyć skomplikowana historia, choć teraz rozumiem, że nie zdarzyła się przez przypadek. W każdym razie podwoziłem ją do jakiejś chatki w lesie i tam przebiłem opony w samochodzie. Musiałem czekać na pomoc drogową, która miała przyjechać dopiero rano. Dlaczego założyłaś, że cię zdradziłem?

Ania nie potrafiła odpowiedzieć, w milczeniu rozgrzebywała ciasto łyżeczką, paląc się ze wstydu. Dlaczego założyła, że ją zdradził? Podchwytliwość tego pytania polegała na tym, że ona niczego nie zakładała, to rozumiało się samo przez się.

Widząc jej bezradność, Robert dał za wygraną.

– Chciałem tylko, żebyś wiedziała.

Milczeli chwilę, ona, torturując swoje desery, on, patrząc jej na ręce.

– Przeczytałem twój list.

– Tak?

Ania poczuła paniczny strach. Spojrzała na Roberta, ale jego twarz pozostała dla niej nieodgadniona. Przez tyle lat bezbłędnie wyczytywała z niej myśli, nastroje i pragnienia męża i nagle ta sama twarz niespodziewanie się przed nią zamknęła. Czy to był znak? Czuli narastający niepokój i nawet wewnątrz pewność, że Robert ją kocha, co powtarzała sobie w myślach jak mantrę, nie pomogła go opanować.

– Chcę się rozstać – powiedział Robert.

Ania poczuła, jakby ktoś spuścił z niej powietrze.

– Przecież mnie kochasz – odparła cichutko.

– Tak.

– To dlaczego?

– Właśnie dlatego.



– Kochasz i dlatego chcesz odejść?

– Nie chcę być traktowany tak, jak ty mnie potraktowałaś. I nie zamierzam być niewolnikiem miłości. Nie wiem, czy tak będzie zawsze, ale teraz tak właśnie czuję i nie umiem tego zmienić, choćbym bardzo tego pragnął.

– A pragniesz? – wyrwało jej się.

Spojrzeni sobie w oczy i przez chwilę w jej sercu pojawiła się nadzieja.

– Najbardziej na świecie. Ale nie chcę z tobą być dlatego, że nie mogę bez ciebie wytrzymać. Nie kupuję takiej miłości, Aniu. Poza tym nie potrafiłbym ci zaufać. Na pewno nie teraz. W imię czego miałbym to zrobić? Uczucia, które każe nam robić z siebie idiotów? Ja tak nie chcę. Ja chcę kochać kogoś, kto na to zasługuje, nawet jeśli miałbym się do tego zmusić.

– Ale to nie jest miłość! – krzyknęła rozpaczliwie. – Właśnie na tym polega miłość, że nie możesz jej wybrać!

– Jesteś tego pewna? A może na tym polega błąd, że zamiast dobrych ludzi szukamy miłości?

– Nie chcę ze mną być, bo nie jestem dobra?

– Ja już nie wiem, jaka ty jesteś! – wyrzyczał Robert, zdradzając, że jego spokojne i przemyślane słowa to pozór, za którym kryją się gorące uczucia.

Z oczu Ani popłynęły dwie strużki łez.

– Nawet nie przyszło ci do głowy, że mógłbym cię nie zdradzić. Nawet nie wzięłaś takiej opcji pod uwagę.

Miał rację, nie przyszło jej to do głowy, ale czy to oznaczało, że go nie kocha?

– Nie uważam, że jesteś złą osobą. Wiem, że nie zrobiłaś tego wszystkiego ze złej woli. Poniekąd cię rozumiem, przynajmniej teoretycznie. Nigdy nie przeżyłem tego, o czym pisałaś w liście, ale potrafię sobie wyobrazić taki stan, kiedy człowiek działa jakby bez związku z samym sobą...

– To dlaczego? Dlaczego?!

– Dlatego, że to się stało.

– Czy miłość nie polega na wybaczeniu?

Robert spojrział na żonę oczami pełnymi smutku.

– Mam nadzieję, bo wtedy będziemy mogli być jeszcze razem.

– Skąd ta pewność?

– Bo ja naprawdę cię kocham.

– I nie chcę ze mną być – powiedziała do siebie.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, jej oczy były wilgotne od łez, jego zaczerwienione od ich powstrzymywania. Oboje rozumieli, że nic więcej nie da się już powiedzieć. Ania wstała od stolika i poszła do sali dla palących, gdzie wyludziła od kogoś papierosa. Usiadła na krześle i przypaliła papierosa od świecy, nie wciągając jednak dymu do płuc. Trzymała dymiącego papierosa w dłoni i obserwowała, jak powoli się spala. Potem wyjęła z kieszeni białą kopertę ze zdjęciem USG, którą tak bardzo chciała pokazać dzisiaj Robertowi, i przytuliła ją mocno do serca, wiedząc, że nie może tego zrobić. Nie chciała, żeby zmienił zdanie ze względu na zdjęcie. Kiedy wróciła, Roberta już nie było. Zostawił jej na stoliku historię pewnej fatalnej miłości.